



HILARY NORMAN UWIĘZIENI

Sam Becket 04

Tytuł oryginału CAGED

Dla Helen i Neda

TLR

PODZIĘKOWANIA

Oto osoby, którym przekazuję szczerze podziękowania: Howard Barnad, Jennifer Bloch, Batya Brykman, Issac i Evelyne Hasson, Jonathan Kern (jak zawsze za wszystko), Christian Le Van, BVM&S, MRCVS, agent specjalny Paul Marcus i jego żona Julie Marcus (jeszcze raz bardzo dziękuję, nie poradziłabym sobie bez „prawdziwych” Sama i Grace), Wolfgang Neuhaus, James Nightingale, Helmut Pesch, Sebastian Ritscher, Helen Rose, Raines Schumacher, Jeanne Skipper, Amanda Stewart, dr Jonathan Tarlow, Eاون Thorneycroft, Ruth Wilson.

TLR

Leżą na ziemi spleceni, połączeni.

Jak para w miłosnym akcie.

*Tylko ta bladość'. Może nie alabastrowa, choć wyglądają
jak wyrzeźbieni.*

Piękne dzieło tylko odrobinę zepsute

Przerażeniem.

I gwałtowną śmiercią.

Leżą razem, jak robili to często

Przedtem.

TLR

6 LUTEGO

Opiekun siedział na podłodze koło plastikowej klatki.

Te spokojne chwile z nimi były najlepszą rzeczą na świecie.

Izabela Siódma zwinęła się w kłębek na jego brzuchu.

Każdy szczur jest inny. Izabela lubiła się tulić, nauczyła się czerpać przyjemność z ludzkiego dotyku i ciepła skóry.

Opiekun wiedział, że niedługo zacznie się ruja i cudownie będzie obserwować Izabelę, całą wibrującą i rozedrganą tak jak jej poprzedniczki. Przy najlżejszym dotknięciu Romea Piątego, namiętnego samca, ogon się podniesie, a sierść na małym tyłeczku stanie, odsłaniając sekretne maleńkie miejsce, które zabarwiło się słodkim fioletem, i Izabela otworzy się przed kochankiem.

Zdaniem opiekuna to było piękne.

Partnerowi Izabeli też się podobało, chociaż Romeo jak każdy zdrowy napalony samiec z ochotą posiadłby cały harem samic, gdyby pokazały mu swoje maleńkie cipki.

Dzisiaj nie stało się nic wartego zanotowania, opiekun złapał więc Izabelę, zmierzył jej temperaturę i puls. Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, zapisał dane i puścił zwierzątko.

Izabela znowu umościła się na ciepłym ludzkim ciele. Opiekun pogładził ją po łepku.

Szczury to miłe stworzenia, choć ludzie ich nie rozumieją. On od jakiegoś czasu badał ich zwyczaje i opiekował się nimi.

Polubił je, wzruszały go i imponowały mu, ponieważ były indywidualnościami jak psy i koty. Oraz ludzie.

Lubiły jeść, bawić się, walczyć i uprawiać seks.

Niektóre lubiły też zabijać.

Miały jednak swoje ograniczenia, wymagały kontroli. Po jakimś czasie, gdy już nic nowego nie prezentowały, opiekun nudził się nimi i zastępował je następnymi. Jedna Izabela robiła miejsce następnej, na miejsce dawnego Romea pojawiał się nowy.

Ich życie nie było długie, nawet wedle szcurzych kryteriów, ale wygodne, może wręcz szczęśliwe w domku wyłożonym cedrowymi trocinami, pełnym pudeł, w których mogły się ukrywać, pudeł, gdzie mogły się wylegiwać, i miseczek z dobrym, odżywczym jedzeniem.

W gruncie rzeczy była to tańsza miniatura Szcurzego Parku, rajy zbudowanego w latach siedemdziesiątych przez kanadyjskiego psychiatrę Alexandra, który prowadził na szcurach eksperymenty dotyczące uzależnienia od narkotyków. Jego badania wykazały, że zwierzaki nie lubią być na haju, wolą czystą wodę od morfiny i płynów z dodatkiem cukru.

Szczury nie są głupie.

W żadnym razie.

Izabela Siódma przeciągnęła się i ruszyła przed siebie. - Nie dzisiaj - powiedział opiekun, podnosząc ją delikatnie i gładząc po słodkim małym nosku. Ta Izabela była wyjątkowa.

Kiedy nadejdzie pora, opiekun łagodnie zakończy jej życie.

Ale jeszcze nie teraz.

Romeo jeszcze z nią nie skończył.

2

Rodzina Becketów cieszyła się życiem. Wszyscy byli bezpieczni, zdrowi i zadowoleni w małym białym domu na wyspie Bay Harbor, w którym Grace Lucca

Becket zamieszkała na kilka lat przed poznaniem i poślubieniem Sama.

Ta swoboda i spokojne życie wprawiały Grace w zdenerwowanie.

W przeszłości nigdy nie była przesadna, z upływem lat jednak to się zmieniło, czasami nawet odpukiwała w niemalowane drewno, tak by nikt tego nie zauważył - oczywiście z wyjątkiem Sama, który dostrzegał wszystko.

Tak na kobietę wpływa małżeństwo z policjantem z wydziału zabójstw.

Wpływa również na wiele innych Sposobów, kiedy policjantem jest Sam Becket, który miłością, troską i dobrocią otacza nie tylko ciebie, małego synka i dorosłą córkę, ale także innych, którzy się liczą w twoim świecie.

Chociaż odczuwasz też napięcie - za każdym razem, gdy mąż wychodzi do pracy.

Nawet w okręgu tak cywilizowanym jak Miami Beach policjant z wydziału zabójstw nazbyt często ma do czynienia z szaleństwem i złem, więc nigdy nie możesz być pewna.

Na razie jednak życie było spokojne, mroczne czasy minęły.

Odpukać.

Joshua miał siedemnaście miesięcy, był wszędobyłskim, cudownie miłym, niezwykle ciekawskim chłopczykiem, który naukę siusiania do nocnika uznał za świetną zabawę i dysponował już zasobem ponad dwudziestu zrozumiałych słów. Grace, psycholog dziecięcy i młodzieżowy, znowu zaczęła przyjmować pacjentów, a Cathy, ich dwudziestodwuletnia adoptowana córka, przyjechała po dziewięciu miesiącach spędzonych w Kalifornii, tak więc na Boże Narodzenie rodzina była w komplecie. Przy świątecznym stole zasiedli także siostra Grace Claudia, jej mąż Daniel oraz synowie, którzy powoli dochodzili do siebie po tragicznych przeżyciach.

Ledwo Cathy wróciła do domu, zaraz spakowała wszystkie swoje rzeczy i znowu się wyprowadziła, tym razem chyba na dobre.

Grace i Sam nigdy nie przypuszczali, że będą z tego powodu szczęśliwi, ale tak się złożyło, że w tym samym czasie Saul, młodszy brat Sama, znalazł mieszkanie w Sunny Isles Beach i zapytał Cathy, czy chciałaby z nim zamieszkać. Zarabiał nieźle jako stolarz, robił na zamówienie meble i stać go było na czynsz, co więcej, dzięki spadkowi, który trzy lata temu Judy Becket zostawiła synom (co obu bardzo poruszyło), zyskał solidne zabezpieczenie, umówili się więc, że kiedy Cathy znajdzie pracę, będzie płaciła swoją część, na razie jednak obecny stan rzeczy mu odpowiadał.

Stryj i bratanica na papierze, w rzeczywistości byli dla siebie jak rodzeństwo, a właściwie jak najlepsi przyjaciele, jako że różnica wieku między nimi wynosiła tylko rok. Kiedy doktor David Becket i jego zmarła żona Judy adoptowali Sama, osieroconego ośmioletniego Afroamerykanina, nie przypuszczali, jaką piękną tradycję rodzinną tym zapoczątkowali. Wszystkie odmienne dziedzictwa zszyte jak w najlepszej amerykańskiej kołdrze; Cathy stanowiła równie ważny jej fragment jak Joshua.

Teraz pytanie brzmiało, co po czasie spędzonym poza domem zamierza dalej robić Cathy.

Odrzucała możliwość powrotu na studia dla pracowników socjalnych.

- Nie chodzi tylko o złe wspomnienia - oznajmiła natychmiast po powrocie. - Miałam wrażenie, że się cofam.

- Więc zamierzasz powrócić do sportu? - zapytał Sam, ponieważ bieganie zawsze było wielką pasją Cathy; pisała im, ile przyjemności daje jej funkcja asystentki trenera w Sacramento.

- Nie jestem na tyle dobra, żeby rywalizować z innymi - odparła Cathy. - A zawód nauczycielki też oznaczałby powrót do college'u.

Zaproponowała, że zaraz po Nowym Roku zacznie pracować u matki. Przez moment serce Grace zabiło mocniej, ale zaraz odrzuciła taką możliwość, bo nawet gdyby nie miała dobrej pomocnicy, czuła, że raz określiwszy granice swojej

wolności, Cathy pewnie uznałaby tę pracę za restrykcyjną, wręcz przytłaczającą.

- Wątpię - skwitowała jej zastrzeżenia adoptowana córka. - Ale gdybyś kiedykolwiek potrzebowała asystentki...

- Bez wahania zwrócę się do ciebie - zapewniła ją Grace. I zapytała, czy Cathy ma plany, ambicje, jakiś pomysł.

- Szczerze mówiąc - odpowiedziała wolno dziewczyna

- jest coś, choć wam może się to wydać ni z gruszki, ni z pietruszki.

- Nie będziemy wiedzieli, dopóki nam nie powiesz - odparła Grace.

3

7 LUTEGO

Kwadrans po ósmej w sobotę rano detektywi Sam Becket i Alejandro Martinez wraz z zespołem techników stali na wielkim dziedzińcu przy Collins Avenue.

To właściwie nie był dziedziniec, a raczej niegdyś piękny ogród z zaniedbanymi trawnikami, wymagającymi ręki ogrodnika ozdobnie przycinanymi krzewami i pustymi donicami.

Dwupiętrowy budynek, stojący w ogrodzie, dawniej mieścił galerię sztuki. Tabliczka koło drzwi wejściowych wciąż informowała, że to Oats Gallery of Fine Arts, ale dom z szarego kamienia zamknięto na głucho, spuszczone żaluzje w oknach, a skrzynkę pocztową zapieczętowano.

Wrażenie spokoju mąciły obecność policji i taśmy otaczające dom, ogród z boku i z tyłu oraz chodnik od frontu.

Nic nie wskazywało na włamanie, chociaż po obu stronach żeliwnej bramy widniały świeże ślady wąskich kół, na trawniku były wgniecenia, a na chodniku sporadyczne otarcia. Wszystko to zostało już dokładnie zaznaczone.

Galeria usytuowana była przy Collins Avenue naprzeciwko North Shore Open Space Park w pobliżu Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy. Dość blisko w linii prostej od miejsca, gdzie półtora roku temu na plaży znaleziono martwego mężczyznę, co dla Becketa i Martineza było początkiem przerażającego śledztwa.

Tamta sprawa nie wiązała się z obecną zbrodnią, zabójca od dawna nie żył.

No i ta była zupełnie inna.

Może na razie nie okazała się wyjątkowa, choć żaden z detektywów z Wydziału Zabójstw w Miami Beach nigdy czegoś podobnego nie widział.

- Bywały gorsze zbrodnie - stwierdził Elliot Sanders, dyżurny patolog, który pojawił się już na miejscu zbrodni - ale ten na pewno jest nieprzyjemny, żeby nie powiedzieć kompletnie chory.

Ofiary były dwie, dwudziestoparoletni mężczyzna i kobieta, oboje nadzy, biali. Mężczyzna miał ciemne włosy, kobieta jasne, długie i splecione. U podstawy jej kręgosłupa widniał maleńki tatuaż przedstawiający wierzbę.

Z odległości można by pomyśleć, że umarli w trakcie stosunku, wciąż połączeni, z wykrzywionymi twarzami. Z bliska detektywi zobaczyli dwie otwarte rany na szyjach, z których przestała płynąć krew.

- Przyczyna śmierci to prawdopodobnie asfiksja, krwotok albo jedno i drugie - powiedział Sanders.

- Ale nie tutaj - odparł Sam.

Przyglądając się ułożeniu ciał, pozwolił, żeby jego myśli krążyły swobodnie; pierwsze pojawiło się skojarzenie z rzeźbą, groteskową parodią, dajmy na to, pary Rodina, choć z drugiej strony mogły to być bliźnięta syjamskie okrutnie złączone lędźwiami.

Ale nie to było najdziwniejsze.

Leżeli na środku trawnika pod wielką plastikową kopułą, mającą w przybliżeniu dwa i pół metra średnicy i niecałe półtora metra wysokości w najwyższym punkcie.

-Doktorek ma rację - powiedział Martinez. - To jest kompletnie pogięte, stary.

- Wyglądają jak eksponaty. - Sam wyciągnął notatnik i zaczął szkicować. -
Może okazy.

Jeśli było to możliwe, starano się na miejscu zbrodni poczynić wstępne ustalenia przed przybyciem patologa, ale chociaż technicy byli tu już od jakiegoś czasu, wciąż pracowali, robili pomiary, zbierali do plastikowych woreczków wszystko, co mogło stanowić ślad dowodu: kawałek chusteczki higienicznej, nici, niedopałki, a także starali się odnaleźć (choć tutaj takiego szczęścia nie mieli) narzędzie zbrodni. Fotografka robiła zdjęcia, żeby udokumentować każdy szczegół, zanim kopuła zostanie zdjęta, umożliwiając dostęp do ciał, a wiatr, deszcz i inne żywioły nieodwołalnie zmieniają miejsce zbrodni.

Sam oglądał się na gmach, włączając go do swego szkicu.

Żeby stwierdzić, czy coś wydarzyło się w budynku, muszą poczekać na nakaz rewizji, chyba że wcześniej uda się odnaleźć właściciela. Ale nawet gdyby zdobyli nakaz, przypuszczalnie zdecydują się poczekać. Chociaż procedura pożerała czas - Sam i Martinez dobrze wiedzieli, że może potrwać od dwóch do dziesięciu godzin - i tak nie była nawet w połowie tak frustrująca jak odrzucenie przez sąd potencjalnie niezbitych dowodów.

Przynajmniej nie potrzebowali nakazu, żeby móc badać ślady w trawie. Odciski kół, szerokości około pięciu centymetrów, nie więcej, prowadziły od bramy (zamkniętej, ale nie na klucz) na środek trawnika.

- Jakiś rodzaj wózka? - zastanawiał się Sam. Martinez tymczasem poszedł porozmawiać z funkcjonariuszami z patrolu, którzy pierwsi zjawili się na miejscu zbrodni. - Może szpitalne łóżko. - Zapisał coś w notatniku. - Co jeszcze mamy, doktorze?

- Nic, co nie rzucałoby się w oczy.

Na drugim końcu ogrodu Martinez rozmawiał przez komórkę.

- Ogrodnik, który ich znalazł, dostał ataku serca - ciągnął Sanders. - Kiedy przyjechałem, sanitariusze wciąż nad nim pracowali, udało im się go ustabilizować.

Martinez wracał, nadal rozmawiając przez telefon. Szedł obrzeżem ogrodu i patrzył pod nogi.

- Doktor powiedział ci o ogrodniku? - zapytał, wyłączwszy telefon.

- Biedak - odparł Sam.

- Nazywa się Joseph Mulhoon - powiedział Martínez.

- Przychodzi tu raz na miesiąc, tak mówił sanitariuszom.

- Zanotował coś. - Sprawdzimy go.

Becket i Martínez byli partnerami nieoficjalnie, ale w oddziale wszyscy tak ich traktowali; zawsze pracowali razem, co jak w przypadku innych detektywów brał pod uwagę szef, sierżant Mike Alvarez, kiedy wyznaczał prowadzącego daną sprawę. Ta przypadła Samowi, co oznaczało, że będzie wyrabiał nadgodziny, na bieżąco pisząc raporty i zajmując się tonami papierów, które gromadziły się przy każdym śledztwie. Pozostałą pracą, czyli analizowaniem faktów i zadaniami, podzieli się po połowie z Martinezem. Mimo że Sam miał za sobą sporo problemów dyscyplinarnych wynikających ze skłonności do działania raczej w zgodzie z intuicją niż regulaminem, a Alejandra Martinez krytykowano za brak ambicji, wspólnie tworzyli dobry zespół śledczy, z czego zdawali sobie sprawę sierżant Alvarez i kapitan Tom Kennedy.

- Mulhoon ma siedemdziesiąt jeden lat - ciągnął Sanders - i byłbym cholernie zaskoczony, gdyby się okazało, że wiedział o ciałach, zanim się na nie natknął.

- Wiemy, kto mu płaci? - zwrócił się Sam do Martineza.

- Firma o nazwie Beatty Managment z North Beach, która opiekuje się posesją. Ich biuro jest zamknięte, ale jakaś kobieta odebrała, kiedy zostawiałem wiadomość. Powiedziałem jej, że bylibyśmy wdzięczni, gdyby właściciel wyraził zgodę na przeszukanie, choć nie wiem, jakie mamy na to szanse. Zapewniła, że dopilnuje, żebyśmy szybko dostali klucze. - Martínez spojrział na zegarek. - Jeśli naprawdę będziemy mieli fart, nakaz dostaniemy wcześniej.

Wydano pozwolenie na usunięcie plastikowej kopuły, patolog wyjął nowe lateksowe rękawiczki i wciągnął na ręce, potem włożył kombinezon, ochraniacze

na buty i maskę. Zgodnie z zasadą, która miała na celu zminimalizowanie szkód, tylko jeden detektyw mógł przebywać na miejscu zbrodni, dlatego do ciał podszedł Sanders.

Obserwując patologa kucającego nad zwłokami, Sam nie śpieszył się z włożeniem ochronnego kombinezonu.

Widok ofiar zbrodni zawsze sprawiał mu trudność, jego żołądek, nie wspominając już o duszy, wciąż żywił awersję do gwałtownej śmierci.

Przypuszczał, że tak powinno być.

Od czasu do czasu myślał o przeniesieniu się do innego wydziału, a nawet o odejściu z policji, ale wiedział, że pewnie nigdy tego nie zrobi, w każdym razie nie z własnej woli. Ofiary i osieroceni przez nie bliscy potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy, a chociaż Sam zdawał sobie sprawę, że wielu detektywów czeka, by zająć jego miejsce, i niektórzy są od niego mądrzejsi, błyskotliwsi, a z całą pewnością młodszy i sprawniejsi, wiedział też, że w tej pracy największym atutem jest doświadczenie. Każda ofiara przestępstwa, z którą przez lata miał do czynienia, na trwałe zapisała się w jego umyśle, podobnie jak znaczące etapy każdego dochodzenia, zmieniające się metody, chwile olśnienia, które nagle pojawiały się podczas codziennej harówki, zdobywane uporem solidne tropy i przełomy w śledztwie. A także doprowadzające do rozpaczki sprawy, których nie udało się rozwiązać, ofiary, które zawiedli.

Odejście byłoby zwykłym marnowaniem zasobów tkwiących w jego umyśle. A także, jak uważał Sam, zdradą wobec kolegów i ludzi, którym mógłby pomóc.

Byłoby rezygnacją.

Niezależnie od tego, jak trudna jest ta przeklęta robota, kochał ją.

Kichnął raz po raz..

- *Gesundheit* - powiedział Sanders, który skończył wstępne badanie. Wyprostował się i głęboko odetchnął nietypowo chłodnym jak na Florydę porannym powietrzem. - Jeśli się przeziębiesz, zachowaj to dla siebie.

- Staram się, jak mogę.

Sanders ściągnął rękawiczki, które podobnie jak cały strój ochronny należało wyrzucić, żeby nie zanieczyścić dowodów. Martinez zbliżył się do ofiar.

- Oni naprawdę wyglądają, jakby to robili, kiedy... Jego okrągła twarz i ciemne oczy wyrażały odrazę. Ten czterdziestopięcioletni Amerykanin kubańskiego pochodzenia, o kilka centymetrów niższy od Sama, znany był z tego, że kiedy się zdenerwował, szarżował jak byk.

- Nie robili - stwierdził patolog bez emocji.

- Jednak coś masz - powiedział Sam.

- Stężenie jeszcze nie ustąpiło, ale wiesz, że niewiele teraz mogę ci powiedzieć... Z całą pewnością umyto ich po śmierci, przypuszczalnie ułożono, zanim zaczęło się stężenie, potem przeniesiono. U obojga na serdecznych palcach są niewyraźne ślady po obrączkach, więc niewykluczone, że mieli za sobą małżeństwo, chyba dość krótkie. Tego oczywiście nie jestem w stanie stwierdzić na pewno, ale może są mężem i żoną.

Sam czekał.

- Co jeszcze?

- Nie będę wiedział, dopóki nie przewiozę ich do kostnicy.

- To się rozumie samo przez się - odparł Sam.

- Klej - oznajmił Sanders ponuro. - Wydaje mi się, że ten przeklęty łajdak skleił im genitalia jakimś cholernym super-klejem.

Teraz obaj, Sam i Martinez, wyglądali na chorych.

4

Sobota była jednym z dni, kiedy Mildred pomagała Grace w gabinecie.

Sam mówił, że ktoś, kto widział ją dawniej, teraz na pewno by jej nie rozpoznał. Grace w tamtych czasach nie znała Mildred, ale Sam często o niej opowiadał. Według niego ta zwyczajna na pozór kobieta jest naprawdę niezwykła.

Aż do połowy ubiegłego czerwca Mildred Bleeker była bezdomną, sypiała na ławce w South Beach. Teraz mieszkała w domu w Golden Beach z doktorem Davidem Becketem, emerytowanym pediatrą, który wciąż przyjmował pacjentów, aczkolwiek gdyby ją zapytać, Mildred pewnie by się upierała, że zostanie tu „tylko na chwilę”. Może to była prawda, choć cała rodzina Becketów miała nadzieję, że nie.

Jednego Grace była pewna: chociaż David miał dopiero sześćdziesiąt cztery lata i cieszył się doskonałym zdrowiem psychicznym i fizycznym, Saul nigdy nie zdecydowałby się na przeprowadzkę do własnego domu, gdyby z ojcem nie zamieszkała Mildred.

Grace odnosiła wrażenie, że pewne sprawy po prostu muszą się zdarzyć.

Nikt z rodziny Becketów nie znał prawdziwego wieku Mildred, ponieważ im tego nie powiedziała, nie zdradziła też, czy w ciągu ostatnich miesięcy miała urodziny; zrozumieli, że muszą poczekać, aż ona sama będzie gotowa na zwieźnienia.

Pierwszy poznał ją Sam, ponieważ jako bezdomna z definicji żyła na ulicy i oczy oraz uszy miała otwarte. A Mildred, mając szczególne powody pragnąć, by prawdziwi niegodziwcy, zwłaszcza ci, którzy ciągną zyski z handlu narkotykami, zniknęli z ulicy, bez skrupułów pomagała policji, jeśli akurat była w stanie.

Sam i Mildred (upierała się, by nazywać go Samuelem, bo jak mówiła, jest to imię nadane mu na chrzcie i pochodzące z Dobrej Księgi) nauczyli się wzajemnie szanować, a z czasem połączyła ich prawdziwa przyjaźń. Potem jednak morderca, nazywający siebie Calem Nienawistnikiem zaczął się obawiać, że Mildred może go zidentyfikować, zaatakował więc w środku nocy. Mildred jakimś cudem przeżyła, ale Sam nie mógł znieść myśli, że wróci na ulicę.

David Becket, który nabrał zwyczaju odwiedzania jej w szpitalu Miami General, bo rozmowy z tą odważną i błyskotliwą kobietą sprawiała mu przyjemność,

podzielał zdanie syna, wyczuwała, że Mildred Bleeker na dnie serca hołubi pragnienie, by znowu być potrzebną. Regularnie napomykał o tym, że jego dom jest za wielki dla jednego starego człowieka, że bardzo ceni sobie ich rozmowy, a w końcu oznajmił, że jeśli Mildred nie zgodzi się spędzić okresu rekonwalescencji u niego, będzie zmuszony znaleźć innego lokatora, bo w przeciwnym wypadku jego młodszy syn Saul nigdy nie zdobędzie tak bardzo mu potrzebnej wolności.

- Wygląda na to, że lokator to najlepsze wyjście - oświadczyła Mildred.

- Nie chcę obcych.

- Długo obcy nie będą - zauważyła Mildred. - I zapłacą czynsz, a dobrze wiesz, że mnie na to nie stać.

- Jestem dość bogaty i nie potrzebuję pieniędzy - odparł David.

- Większość ludzi się cieszy, kiedy może mieć więcej.

- Wolałbym twoje towarzystwo - nalegał. - Poza tym tak jak ty od czasu do czasu lubię łyknąć kropelkę wina mani-schewitz.

- Jeśli to Samuel obrzucił mnie kalumniami, będę musiała z nim porozmawiać.

- Samuel ma o tobie jak najlepsze zdanie - zapewnił ją David.

To był pierwszy i ostatni raz, kiedy widział Mildred zarumienioną.

W Mildred kryło się o wiele więcej, niż można by na pierwszy rzut oka sądzić; była kobietą atrakcyjną, z niebieskimi oczami. Twarz miała wprawdzie pozna-czoną zmarszczkami, ale mniej ogorzałą, odkąd przestała mieszkać na ulicy, a nowa fryzura podkreśliła piękne kości policzkowe. Mildred Bleeker była przekonana, że już dawno wyzbyła się próżności, mimo to w sekrecie cieszyła się z komplementów na temat swojego nowego wyglądu, bo przypominały jej trochę to, które w dawnych czasach prawił jej Donny, nieżyjący narzeczoną.

Nowi przyjaciele wszystko zmienili.

Doktor Becket, rozczochrany, z pobrużdżoną twarzą, był mądry i dobry. Grace, piękna, złotowłosa żona Samuela, psycholożka, lepiej niż pozostali rozumiała, że Mildred potrzebuje czasu, przestrzeni, a przede wszystkim prywatności.

Ale jej bohaterem był Samuel, mierzący metr dziewięćdziesiąt czarny policjant, który zawsze okazywał jej szczerzy szacunek. I który naraził się na kłopoty i wydatki, żeby kupić jej telefon komórkowy, bo chciał, żeby się czuła bezpieczna, jeśli wystraszy ją jakiś łobuz. Ten człowiek miał kochającą rodzinę, dobrych przyjaciół i pracę o wielkim znaczeniu dla mieszkańców Miami Beach. Każdego dnia stawiał czoło niebezpieczeństwu i niemal codziennie pracował do późna, a mimo to znajdował czas dla Mildred.

A teraz znalazł dla niej miejsce w swojej rodzinie.

Co nie znaczy, że dla Mildred było to łatwe. Przebywanie wśród ludzi, którym na tobie zależy, oznacza odpowiedzialność. David uparł się, żeby miała własny pokój, ale ona nie do końca czuła się w nim u siebie. Przeszkadzały jej ściany, na początku dręczyły ją - dotąd się to zdarzało - bezsenne noce, bo Mildred tęskniła za ulicą, gdzie mogła patrzeć na ocean i bezkresne ciemne niebo.

Tylko że wtedy znowu byłaby sama.

- Jeśli mam dłużej u ciebie mieszkać - powiedziała ubiegłej jesieni Davidowi - muszę w jakiś sposób zarobić na utrzymanie.

- Opiekujesz się małym Joshua.

Zmywali naczynia w kuchni, równie staroświeckiej i podniszczonej jak reszta domu, w którym David mieszkał od ponad trzydziestu pięciu lat.

- To jest przyjemność, nie praca.

- Nie potrzebujesz innej pracy.

- Nie potrzebuję, żeby ktoś mi mówił, czego potrzebuję - oznajmiła Mildred szorstko.

David zapytał, co ma na myśli.

- Wydaje mi się, że przydałaby ci się gospodyni.

- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. - David był wstrząśnięty.
- Mam nadzieję, chociaż nie wiem, co jedno ma z drugim wspólnego.
- Ale jest dobrze, tak jak jest. Opiekujemy się sobą, jakoś sobie radzimy. Ty, ja i Saul, oczywiście dopóki się nie wyprowadzi.
- Jesteś lekarzem. Człowiekiem zajęтым.
- Lekarzem jestem coraz rzadziej - zauważył David. - A ty nie jesteś żadną gospodynią.
- Nie wiesz, kim jestem ani kim byłam.
- Skąd mam wiedzieć, skoro nie chcesz mi powiedzieć?
- Może powiem. W swoim czasie.
- A odkładając na bok przeszłość, co chciałabyś robić teraz? Poza gotowaniem i sprzątaniami dla starca?
- Nie takiego znowu starca - odparła Mildred.
- Dziękuję.
- Mam pewien pomysł. W twoim gabinecie panuje straszny bałagan.
- Wieczny bałagan - zgodził się David.
- Nie chcę go sprzątać, ale jestem przekonana, że twoja kartoteka wymaga uporządkowania... Jeśli niepokoi cię kwestia poufności, to zapewniam, że wiem, jak nie wsadzać nosa w cudze sprawy.
- W to nie wątpię.

Poprosiła, żeby to przemyślał. Spełnił jej prośbę, bo prowadzeniem gabinetu aż do śmiertelnej choroby trzy lata temu zajmowała się Judy i David czuł, że musi zamienić z żoną słówko, zanim podejmie decyzję, która na jego gust pachniała nieco zdradą.

Judy nie zesłała gromów, a Saul, kiedy ojciec się z nim skonsultował, oznajmił, że według niego to dobry pomysł. I tak oto Mildred zaczęła pracować. Po tygodniu David powiedział Samowi:

- Ta kobieta jest niesamowita. Nie uwierzyłybyś, ile ma energii, ale przede wszystkim jest niezwykle inteligentna.

- To mnie nie dziwi - odparł Sam.

Włączenie gabinetu Grace do obowiązków Mildred wydało się w tej sytuacji naturalną kolejną rzeczą.

Grace zdawała sobie sprawę, że musi znaleźć kogoś, kto pomógłby jej utrzymać porządek, kiedy po urodzeniu Joshui wróciła do pracy; jej doświadczenia z ostatnią asystentką były prawdziwym koszmarem.

Sugestia wyszła od Davida.

- To rozwiązałyby wszystkie twoje problemy - powiedział. - Mildred, poza tym, że jest doskonałą organizatorką, mogłaby opiekować się Joshuą, kiedy ty przyjmujesz pacjentów.

- Myślisz, że rozważyłaby taką możliwość?

- Ma na tę pracę ochotę, odkąd wspomniałem, że przydałaby ci się asystentka... Chyba jednak się martwi, że rodzicom i opiekunom twoich pacjentów może się nie spodobać, że zatrudniłaś bezdomną.

- Mildred nie popełniła żadnego przestępstwa - odparła Grace szorstko. - Wydaje mi się, że nie mogłabym znaleźć lepszej kandydatki.

- Wygląda na to, że dostała tę robotę - stwierdził David.

- Dobrze by było, żebyśmy porozmawiały - powiedziała Grace. - Dla dobra nas obu uzgodnimy okres próbny. I oczywiście wynagrodzenie.

- Nie jestem pewien, czy będzie chciała brać od ciebie pieniądze.

- Jeśli będzie u mnie pracowała, z całą pewnością musi dostawać wynagrodzenie.

- Wspomniała mi raz, że ma ubezpieczenie społeczne.

-I założę się, że zna numer na pamięć - powiedziała Grace.

5

Dwoje przedstawicieli Beatty Management, których oderwano od sobotnich zajęć, tuż po dwunastej podjechało lexusem pod bramę Oates Gallery; niecałą godzinę wcześniej detektywi W tempie zupełnie niecodziennym dostali nakaz rewizji.

Prezesi firmy Larry Beatty, mężczyzna po trzydziestce, wysoki, szykowny w doskonale skrojonej granatowej marynarce, dżinsach i koszuli w biało-niebieskie paski, z surową miną wysiadł od strony kierowcy i pokazał dowód tożsamości funkcjonariuszowi, po czym schylony przeszedł pod taśmą i przedstawił się stojącym na podjeździe Becketowi i Martinezowi.

- Straszne - powiedział. - Dołożę wszelkich starań, żeby pomóc.

Beatty był przystojny, miał jasne włosy, orzechowe oczy i regularne rysy, ale Sam uznał, że wszystko to razem wydaje się nijakie, co umniejsza jego atrakcyjność.

- Doceniamy to - odparł.

Trzasnęły drzwiczki lexusa od strony pasażera i zza samochodu wybiegła młoda rudowłosa kobieta o zniekanej twarzy. Miała na sobie kostium ze spodniami i sportowe buty, w ręce niosła zniszczoną aktówkę. Podobnie jak wcześniej Beatty, przeszła pod taśmą.

- Ally Moore - przedstawiła się pośpiesznie i zaraz skorygowała: - Allison. - Oczy miała szare, niespokojne. - Przywiozłam klucze.

- Ja jestem tu głównie po to, by przekazać zgodę właścicielki - powiedział Beatty. - To pani Marilyn Myerson, która uczyniła mnie swoim pełnomocnikiem.

- Mam także poświadczone kopie stosownych dokumentów - wtrąciła Ally Moore, z irytacją odsuwając pasma kręconych włosów z piegowatej, dyskretnie umalowanej twarzy.

- Pani Moore jest odpowiedzialna za regularne sprawdzanie nieruchomości - wyjaśnił Beatty.

- Wyobrażam sobie jednak, że większa odpowiedzialność spoczywa na panu jako na prezesie Beatty Management i pełnomocniku pani Myerson - powiedział Sam.

- Naturalnie, jeśli chodzi o jak najlepszą pieczę nad nieruchomością - zgodził się Beatty. - Chociaż budżet pani Myerson ogranicza nieco możliwości zabezpieczenia posesji.

- W budynku jest system alarmowy - wyjaśniła Ally Moore - ale przez większość czasu prąd jest wyłączony, więc zabezpieczenia ograniczają się do zamków i regularnego sprawdzania.

- Głównie chodzi o odstraszenie intruzów i dzikich lokatorów, bo nie zostało nic, co warto by ukraść - dodał Beatty.

- Więc nie ma alarmu, ale płacą ogrodnikowi - powiedział Martinez.

- Biedny pan Mulhoon - odparła Ally Moore. - Tak, to prawda.

Z aktówki wygrzebała jakieś dokumenty i pęk opisanych kluczy, który Martinez od niej wziął, chociaż policja weszła do gmachu w kilka minut po otrzymaniu nakazu przeszukania.

- Czy Mulhoon zwykle pracuje w soboty? - zapytał Sam.

- Czasami - odparła Moore. - Przychodzi w dni, które najbardziej mu odpowiadają, około piątego każdego miesiąca. Firma sprząta około dwudziestego.

- Celem jest zapewnienie podstawowego standardu - dodał Beatty. - Tak jak mówiłem, poza instalacjami i armaturą nie ma tu nic, co zainteresowałoby przeciętnego włamywacza.

- Może jeszcze kominki - wtrąciła Ally Moore. - Słyszysz się o wypadkach, kiedy kominki rozmontowywano i wynoszono.

- Boczna furka ogrodu nie była zamknięta - zauważył Sam.

- Zawsze jest zamknięta - odparła pośpiesznie Ally Moore. - Przypuszczam, że otworzył ją pan Mulhoon.

- Czy Oates Gallery należy do pani Myerson? - zapytał Sam.

- Była administratorką - wyjaśnił Beatty. - Nieruchomością zarządzał kierownik z personelem, a moja firma dbała o zachowanie standardu posiadłości. Jeśli potrzebuje pan dokumentacji, przyślę ją w poniedziałek.

- Dziś albo jutro byłoby lepiej - powiedział Martinez. - Możemy przyjechać do pana.

- Dziękuję - odrzekł Larry Beatty. - Dołożę wszelkich starań, choć znalezienie ich w weekend może nie być łatwe.

- Kiedy galeria została zamknięta? - zapytał Sam.

- Ponad rok temu.

Wciąż stali na głównej ścieżce. Część tylnego dziedzińca, na której leżały ofiary, była całkowicie zasłonięta przed ich oczyma, ale Ally Moore ciągle zerknęła w stronę furki prowadzącej do ogrodu.

- Dwoje ludzi? - zapytała cicho. - To prawda?

- Niestety - potwierdził Sam.

- Wiecie, kim są?

- Jeszcze nie - Sam zwrócił się teraz do Beatty'ego: - Musimy porozmawiać z panią Myerson.

- Obawiam się, że to nie będzie możliwe - odparł prezes. - Cierpi na chorobę Alzheimera w zaawansowanym stadium.

- Przykro mi to słyszeć - powiedział Sam.

- Ma bliskich krewnych? - zapytał Martinez.

- Ja żadnych nie znam.

Ustalono, że w budynku nikomu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, prąd włączono i za zgodą techników detektywi z Beattym i Moore weszli wreszcie do środka.

- My mamy tylko stwierdzić, czy coś jest nie tak? - zapytała nerwowo Ally.

- Przede wszystkim proszę niczego nie dotykać - przestrzegł ich Martinez.

- Będziemy bardzo ostrożni - zapewnił Beatty.

Kroki odbijały się echem w cichym domu, nawet gumowe podeszwy butów Ally wydawały słyszalny odgłos. Lampki i różniące się rozmiarami wyblakłe prostokąty na ścianach wskazywały miejsca, gdzie kiedyś wisiały obrazy; brak kurzu i pajęczyn na dość brzydkich żyrandolach wydawał dobre świadectwo firmie sprzątającej.

Sam uznał, że budynek jest nieładny, mieszanina kolumn w stylu gotyckim, ozdobnych faset i kominków z różnych okresów nie przypadła mu do gustu. Chociaż jako pomieszczenie do ekspozycji obrazów i rzeźb pewnie dobrze spełniał swoje zadanie, nie stanowiąc konkurencji dla sztuki, a krytycyzm Sama pewnie wynikał z przeziębienia.

By nie wspomnieć o zwłokach na tylnym dziedzińcu.

Ostrożnie obchodzili dom.

- Wszystko wygląda jak zwykle - oznajmiła Ally Moore, gdy znaleźli się na głównych schodach. - Chociaż przypuszczam, że wcześniej nigdy tak dokładnie się nie przyglądałam, rozumiecie?

- Jasne - odparł Sam lekkim tonem.

- Panie prezesie, kiedy był tu pan ostatnio? - zapytał Martinez.

- Jakies trzy miesiące temu - odrzekł Beatty. - Oficjalna kontrola.

- Ja przychodzę w środku i na koniec każdego miesiąca - oświadczyła Ally.

-I jakie odnosi pani wrażenie? - zapytał Sam. Stała na szczycie schodów.

- Normalne. - Przerwała na moment. - Takie samo jak przedtem. - Lekko się wykrzywiła. - Nie chcę urazić pani Myerson, ale ten dom zawsze wydawał mi się trochę niesamowity.

- Niektóre stare domy takie są - zauważył Becket.

-I zawsze sprawdzała pani cały budynek? - zapytał Martinez.

Weszli do wielkiego pokoju z wyblakłymi plamami na ścianach, ale tu żyrandole zostały odłączone, więc pomimo otwartych okiennic panował półmrok.

- Zawsze - potwierdziła Ally.

- Jak pani sądzi, zorientowałaby się pani, że ktoś tu był? - zapytał Sam.

- Chodzi o to, czy bym to wyczuła?

- Ludzie czasami wyczuwają takie rzeczy, jeśli naprawdę dobrze znają dom, tak jak pani ten - powiedział Sam.

- Pewnie tak, ale to dotyczy własnego domu. - Ally pokręciła głową i spojrzała na Beatty'ego. - Ja tego nie wyczuwam, w każdym razie nie tutaj. Ale nie jestem jasnowidzem.

- Potrzebujemy listy osób dysponujących kluczami - powiedział Sam.

- Mam ją przy sobie, powinnam była od razu wam ją dać - odparta Ally.

- Jest pani bardzo kompetentna- pochwalił ją Sam. Wydało mu się, że widzi lekki rumieniec, i domyślił się, że dziewczyna rzadko słyszy pochwały od szefa.

- Lista nie jest długa - dodała pani Moore.

- Co powiniennem powiedzieć firmie ubezpieczeniowej? - zapytał Beatty. - Z pewnością chcecie, żeby poczekali, aż wasi ludzie tu skończą.

- Zauważyliście jakieś szkody? - zapytał Martinez.

- Tylko przy bramie - odparł.

- Naprawdę? - zapytał Martinez sucho. - Ja nic nie widziałem.
- Ale i tak cała sprawa może zaszkodzić nieruchomości - uznał Beatty.
- To wina nieboszczyków - powiedział Martinez.

Dopiero kiedy opuścili budynek, Sam zapytał, czy w celach identyfikacyjnych mogliby obejrzeć fotografie ofiar.

- OK. - Ally Moore zbladła.
- Tylko twarze - zapewnił Sam. - To może nam pomóc. Kiwnęła głową.
- Dobrze.
- Panie Beatty?

- Jasne.

Razem spojrzeli na zrobione polaroidem fotografie twarzy obojga zabitych.

- Nigdy wcześniej ich nie widziałem - oznajmił bez wahania Beatty.
- Pani Moore? - ponaglił Sam.

Wciąż patrzyła na zdjęcia, nie śpieszyła się; w jej oczach malował się niepokój, choć Sam uznał, że nie większy, niż było to zrozumiałe w tej sytuacji.

- Wszystko w porządku, proszę pani? - zapytał Martinez.
- W porządku - odrzekła. - Nie, ja też ich nie znam. Tylko że... - Detektywi czekali. - Nie, nic. Tylko że to takie straszne, takie smutne.
- I jeszcze jedno - powiedział Sam. - Będziemy wdzięczni, jeśli wyrażą państwo zgodę na pobranie odcisków palców.
- Naprawdę? - Beatty sprawiał wrażenie wstrząśniętego.
- Chodzi o eliminację - wyjaśnił Sam.
- To konieczne? - dopytywał się Beatty.

- Musimy zdjąć odciski wszystkim osobom mającym dostęp do miejsca zbrodni - wyjaśnił Martinez. - Na wypadek gdyby znaleziono gdzieś pańskie dawne odciski.

- To w pańskim interesie, panie prezesie, ale jeśli ma pan obiekcje... - dodał Sam.

- Oczywiście, że nie - oświadczył chłodno Beatty.

- Ja też nie - dodała Allison Moore. - To ma sens.

- Co ze sprzątaczkami? - zapytał Beatty.

- Skontaktujemy się z nimi - odparł Sam.

- Są na liście osób dysponujących kluczami - powiedziała Ally.

Lexus odjechał, technicy przygotowywali się do załadowania plastikowej kopuły do samochodu, żeby zabrać ją do laboratorium. Sam i Martinez stali w ogrodzie i wymieniali pierwsze wrażenia.

- Zimna ryba z niego - powiedział Martinez.

- Za to ona jest sympatyczna - odrzekł Sam.

- Trochę nerwowa.

- Trudno się dziwić. Ale trzeba dokładnie sprawdzić oboje. -1 upewnimy się, czy alzheimer pani Myerson jest prawdziwy.

Na wczesnych etapach śledztwa dotyczącego morderstwa żadnej informacji nie przyjmowano na wiarę, nawet informacji o chorobie starej kobiety.

- Gdyby nie klej i kopuła, czy jak to cholerstwo nazwać, chyba bym kupił teorię, że wyrzucono ich na opuszczonej posesji bez konkretnego powodu. Ponieważ jednak to dawna galeria sztuki...

- Musimy się przyjrzeć ich wystawom, sprawdzić, czy mieli jakieś dziwaczne rzeźby w rodzaju par leżących pod plastikiem. - Martinez na moment ściągnął usta. - Klej ci się z czymś kojarzy?

Sam pokręcił głową.

- Zobaczymy, co wyrzuci komputer.

- Ciekawe, w jakim stanie jest ten ogrodek. Trzeba go uprzedzić, żeby trzymał język za zębami. - Martinez zrobił stosowną notatkę. - Wiem, co mówił patolog, ale i tak go sprawdzę.

Sam patrzył na namiot zakrywający kopułę i ciała ponad trawnikiem, na którym chorągiewki znaczyły miejsca, gdzie technicy znaleźli coś potencjalnie interesującego.

- Znasz się na sztuce performance'u, Al?

- Nie.

- Ja też nie. Tylko myślę, że performerzy zwykle są żywi - Sam wyciągnął chusteczkę z kieszeni, dwa razy kichnął i wydmuchał nos. - Przepraszam.

- Na zdrowie.

- Dzięki. - Sam zastanawiał się chwilę. - Dwie ofiary, które po śmierci przeniesiono, więc szukamy kogoś bardzo zorganizowanego... pewnie nie można wykluczyć, że jest to silny fizycznie osobnik działający w pojedynkę. - Wzruszył ramionami. - Chociaż równie dobrze może ich być dwóch albo więcej.

- Super. - Martinez stłumił ziewnięcie. - Przepraszam. Powiedział to bardziej z szacunku dla zmarłych niż dla partnera.

- Udany wieczór? - zapytał Sam.

- Z Jessie innych nie ma - odparł Martinez.

- Co u niej? Nie widziałem jej od tygodnia albo dłużej.

- Wszystko w porządku. W absolutnym porządku. Sam się uśmiechnął.

Alejandro Martinez był zakochany.

Poważnie, do szaleństwa, po raz pierwszy od czasu, gdy Sam go poznał. Wcześniej przydarzyło mu się coś podobnego, kiedy w wydziale zaczęła pracować Mary Cutter. Martinez przez jakiś czas chodził roztargniony, a potem na oślep rzucił się w ten związek. Na szczęście zerwanie nie zepsuło wzajemnego szacunku i nadal byli dobrymi kolegami.

Teraz było zupełnie inaczej. Jessica Kowalski pracowała jako sekretarka w dziale kadr na pierwszym piętrze, tuż pod wydziałem zabójstw. Nie tylko przyjemnie było na nią patrzeć, bo miała delikatne rysy, błękitne oczy, długie do ramion jasne włosy i zgrabną figurę, ale też należała do osób, których nie dało się nie lubić. Dobra, troskliwa i chętna do pomocy, jak wtedy, gdy jej koleżanka z pokoju spadła ze schodów i skręciła kostkę - Jess odwiozła poszkodowaną do szpitala, a potem się nią opiekowała, robiła jej zakupy i gotowała, pilnowała też, by w pracy nie powstały zaległości.

- Wiesz, wszyscy do niej przychodzą - powiedział Samowi Martinez, kiedy w listopadzie zaczął umawiać się z Jess.

- Zwierzają jej się z wielkich i małych problemów, bo przy niej czują się lepiej. A ona nigdy o tym nie mówi, właściwie sprawia wrażenie, że nawet nie zdaje sobie sprawy ze swojej dobroci. Ale ci, co o nas wiedzą, powtarzają, że cholerny szczęściarz ze mnie, jakby trzeba było mi to mówić.

W Święto Dziękczynienia przyprowadził Jess do Becketów na obiad, bo jej rodzice mieszkali w Cleveland w Ohio. Zwykle jeździła do domu na święta, ale tym razem powiedziała rodzinie, że ma za dużo pracy.

- Wiesz, Grace, cieszę się, że okłamała rodziców- wyznał Sam żonie. - W przeciwnym razie zaczęłbym się martwić, że jest za dobra, żeby była prawdziwa.

- To raczej wykręt, nie kłamstwo - poprawiła go Grace. - Nie chciała ich ranić.

Oboje od razu polubili Jess. Przyniosła własnoręcznie upieczony polski piernik na miodzie dla nich, domek z ciasta imbirowego dla Joshui i psie ciasteczka w kształcie indyków dla Woody'ego, miniaturowej krzyżówki sznaucera i dachs-

hun-da, którego kilka lat wcześniej uratowali Becketowie, a pies pokochał ją, zanim jeszcze wyjęła swój prezent z torby.

- Jest bardzo sympatyczna i miła - powiedział później Sam. - Człowiek ma wrażenie, że są z Alem od zawsze.

Sam cieszył się ze względu na przyjaciela. Martinez powtarzał, że zatwardziały kawaler to stan posiadający wiele plusów - nie trzeba o nikogo się martwić, nikt nad tobą nie musi się trząść - i chociaż kochał Grace, nigdy nie okazywał nawet śladu zazdrości z powodu małżeńskiego szczęścia Becketów, ale Sam wiedział, że przyjaciel od długiego czasu czuje się samotny.

Jessica Kowalski była urodzoną opiekunką, to nie ulegało kwestii.

7

Cathy lubiła swoją pracę.

Sam znalazł jej to zajęcie, co pewnie mogłoby dziewczynę zniechęcić, urazić jej dumę, ponieważ jednak chodziło o rodzaj stażu, który sama by wybrała, zdawała sobie sprawę, że zachowałaby się jak ostatnia idiotka, gdyby nie skorzystała z okazji.

Oczywiście poza domem, Opera Cafe przy Arthur God-frey Road od jakiegoś czasu należała do ulubionych miejsc Sama; wpadał tam na śniadania w drodze na posterunek przy skrzyżowaniu Washington i Jedenastej Ulicy w South Beach albo na późnowieczorny talerz zupy czy kanapkę, kiedy z Martinezem pracowali w nocy. Matt Dooley i Simone Regan przejęli interes pół roku wcześniej i przekształcili lokal z dość marnej jadłodajni w przytulną kawiarnię-bistro-restaurację serwującą dania najwyższej jakości.

Kiedy Sam pierwszy raz odważył się tam wejść, był głodny jak wilk po długiej, trwającej do późnego wieczora obserwacji i zbyt zmęczony, żeby sobie coś ugotować, a nie chciał budzić Grace. Już mieli zamykać i zgodziłby się na danie

na wynos, ale kelnerka, którą od tamtego czasu znał jako Simone, odparła, że nie mają takich w ofercie. Mimo to zaprosiła go do środka i powiedziała, żeby usiadł na kanapie, bo są bardzo wygodne, a on wygląda na zmęczonego. Potem z kuchni wyszedł Dooley i zapytał, czy to ma być wczesne śniadanie, czy późna kolacja - w tym drugim przypadku radzi zacząć od minestrone.

Jedzenie okazało się wyśmienite, muzyka rozbrzmiewała na właściwym łagodnym poziomie - Leontyna Price śpiewała „Summertime”, jeden z ulubionych utworów Sama, kojący jego znużoną duszę. Sam pasjonował się operą, piękny baryton zapewnił mu sporo głównych ról w przedstawieniach amatorskiego zespołu S-BOP, choć obecnie podziwiał go niemal wyłącznie synek, słuchając kołysanek przed snem.

- Macie stałego gościa - powiedział wtedy i dotrzymał słowa. Martinezowi knajpka także się podobała, chociaż zwykle wpadał do kubańskich lokali, a poza tym mieszkał przy Alton Road, więc miał nie po drodze.

Dania przyrządzane przez Matta Dooleya okazały się rewelacyjne. Jak twierdził, źródłem sukcesu jest to, że zna swoje ograniczenia i szanuje granice, poza które przyzwoity, „przeciętny” kucharz nie powinien się zapuszczać.

- Żaden ze mnie profesjonalny szef kuchni - powiedział raz Samowi. - Umiem tylko gotować lepiej od kucharzy przygotowujących szybkie dania.

A Simone Regan, szczupła, atrakcyjna zielonooka brunetka po czterdziestce, była dla Matta idealną partnerką; doskonale wiedziała, jak traktować gości, Sam widywał, jak radziła sobie z trudnymi klientami, wyraz jej twarzy nagle się zmieniał, rysy nabierały ostrości i mało kto miał ochotę jej się przeciwstawić, zwłaszcza że wspierał ją Dooley.

Był potężnym facetem o wyglądzie twardziela, ale miał ciepłe brązowe oczy i troskliwie jak kotka opiekował się Simone w tych rzadkich okazjach, kiedy brakło jej sił lub dostawała migreny; Sam, który był świadkiem jednego z takich ataków i widział, jak sprawna, energiczna kobieta nagle zwalnia i się potyka, skoczył jej na pomoc, ale Dooley go uprzedził, wyszedł z kuchni, jakby sonarem odebrał sygnał o jej niedomaganiu. Samowi podobał się sposób, w jaki tamten mężczyzna przejął kontrolę i wszystkim się zajął.

Z tego też powodu od razu przyszła mu na myśl Opera Cafe, kiedy Cathy powiedziała Grace, że zastanawia się nad zmianą zawodu.

Wyznała, że wiele ostatnio myśli o swoim zmarłym ojczymie, Arnoldzie Robbinsie, którego szczerze kochała, bo znalazła u niego spokój po straszliwych przeżyciach z dzieciństwa. Okres wytchnienia nie trwał długo, gdyż ojczym i Marie, matka Cathy, zostali brutalnie zamordowani. Rzecz jednak w tym, że Robbins prowadził sieć popularnych lokali o nazwie „U Ar-niego” i teraz, kiedy osiem lat później Cathy szukała nowej drogi, wspomnienia o jego restauracjach powracały do niej z dręczącą, natarczywą słodyczą.

- Wiesz, to prawie tak, jakby chciał mi pomóc - powiedziała Cathy. - Arnie gotował smaczne potrawy, które zatykały ludziom arterie od samego czytania menu, a ja chciałabym przyrządzać dania smaczne i zdrowe.

Jak niezliczona rzesza ludzi w okolicach Miami, pomyślała wtedy Grace, powstrzymała się jednak od powiedzenia tego na głos, ponieważ ani ona, ani Sam w żadnym razie nie zamierzali dławić entuzjazmu córki.

- Wiem, jak tryliony ludzi w tych stronach - dodała Cathy.

- Nie ulega wątpliwości, że to bardzo konkurencyjna branża - przyznała Grace.

- Chciałabym się uczyć, może odbyć coś w rodzaju stażu. W Sacramento pracowałam jako kelnerka.

- Nigdy o tym nie wspominałaś - zdziwiła się Grace.

- Kobieta, u której pracowałam, mówiła, że mam talent - uśmiechnęła się Cathy. - Nie tyle do podawania do stołu, ile do odgadywania życzeń gości. Miałam pracować tylko na godziny, ale dostałam awans na menedżera w te wieczory, kiedy szefowa brała wolne.

- Jestem pod wrażeniem.

- Nie mogłam wam powiedzieć, bo gdybyście usłyszeli, jak świetnie sobie radzę, martwilibyście się, że nigdy nie wrócę do domu.

Z tym Grace nie mogła dyskutować.

- Zgadzam się, że to trudna branża - powiedział później Sam - choć w porównaniu ze sportem to pewnie bułka z masłem.

- Ze sportem wyczynowym tak, ale nie z pracą nauczyciela - odparła Grace.

- Tylko że ona nie chce być nauczycielką. Poza tym wszystko jest trudne, jeśli dokładnie się temu przyjrzyysz.

A ponieważ usłyszał, jak Matt Dooley mówi, że rozgląda się za pomocą, bo matka Simone zachorowała...

Kiedy Sam go zapytał, Dooley najpierw się wahał, jakby coś go dręczyło, a potem od razu wyłożył karty na stół.

- Jestem notowany... Choć może już o tym wiesz.

- Nie wiem - odparł Sam. - Nie mam zwyczaju sprawdzać przyjaciół.

- W każdym razie przypuszczam, że gdyby twoja córka miała tu pracować, jako troskliwy ojciec na pewno byś to zrobił. Sądzę, że gdybym miał córkę, też bym taki był. - Dooley znowu się zawahał. - W młodości ukradłem parę rzeczy. Zrobiłem to z kumplami i bez uzasadnionego powodu, to znaczy nie byłem głodny i te rzeczy wcale nie były mi potrzebne. Bardzo się tego wstydzę.

- Cóż, wszyscy mamy na sumieniu rzeczy, których się wstydzimy - odrzekł Sam.

- Pomyślałem, że powinienem ci powiedzieć.

- Doceniam to, choć w gruncie rzeczy niepotrzebnie.

- Nawet nie wiemy, czy Cathy będzie chciała tę pracę.

- Ani czy ty będziesz chciał, żeby ona tu pracowała.

- Mam w tej sprawie dobre przeczucia - odparł Dooley. Nie mylił się.

Cathy zaczęła pracować w pierwszym tygodniu stycznia. Miesiąc później jej entuzjizm dla Opera Cafe i wszystkiego, co z nią związane, wcale nie osłabł. Chociaż mieszkała z Saulem, wciąż wpadała do domu bawić się z Joshuą i opo-

wiadać rodzicom o przepisach kulinarnych, dobrym sercu Dooleya i cierpliwości Simone.

- On rzadko się wścieka - powiedziała zeszłej niedzieli, kiedy przyszła na kolację. - A jak się wścieka, to najczęściej na siebie, bo danie nie jest doskonałe, coś upuścił albo jakiś sprzęt go zawiódł. Zazwyczaj zaciska zęby i wrzuca jednodolarowy banknot do tego wielkiego słoja po ciastkach, który stoi na kontuarze.

- Ludzie tak robią, kiedy klną. - Sam się uśmiechnął.

- Widziałem, jak wrzucał pieniądze.

- Wtedy wkracza Simone i wykorzystuje moment, żeby powiedzieć wszystkim w lokalu, że czas na firmowy poczęstunek. Ale nigdy nie naciska, więc nikomu to nie przeszkadza.

- A jak ci się podoba praca? - zapytała Grace.

- Niełatwa, bo jestem czymś w rodzaju chłopca na posyłki, ale wiesz, że lubię ciężko pracować, a poza tym oboje chętnie mówią mi różne rzeczy, więc sporo się uczę.

- To dobrze.

Przez chwilę Cathy bawiła się włosami. Były proste i w tak podobnym odcieniu do jasnych włosów Grace, że ludzie często sądzili, iż mają do czynienia z biologiczną córką i matką. W przeszłości Cathy nosiła długie włosy, do biegów wiązała je w ogon, ale w Kalifornii obcięła je na krótko i mężczyźni często komplementowali jej wygląd. Co nie znaczy, że Cathy była już gotowa na randki, choć minął ponad rok, odkąd jej ostatni poważny związek zakończył się tragedią. Wciąż było w niej zbyt wiele wahań, zbyt wiele niepewności dotyczących własnej zdolności osądu, nie wspominając już o prawdziwej naturze swej seksualności...

- Wiem, oboje się martwicie, że robi się ze mnie dziwadło - powiedziała.

- Z całą pewnością nigdy czegoś takiego nie mówiliśmy - odparł Sam.

- Bo nigdy nie powiecie, co nie znaczy, że nie pomyśleliście.

- Nie myślimy. W żadnym razie - zapewnił Sam.
- Mam nadzieję, że wiesz, że zawsze jesteśmy wobec ciebie szczerzy - dodała Grace.
- Oczywiście - odparła Cathy. - Ale jesteście dobrzy i nie chcecie mnie zranić.
- To akurat prawda - przyznał.
- Więc jeśli się martwicie, że marnuję czas w restauracji...
- Jeśli tak będzie, to dlatego, że to nie był dla ciebie właściwy wybór. Cała sprawa stanie się kolejnym etapem twojej podróży - powiedziała Grace.
- Znalezienie własnej drogi nie zawsze jest łatwe, skarbie - dodał Sam.
- Wiem - odparła Cathy. - I wiem też, że na razie jest za wcześnie, ale zaczynają czuć, że to naprawdę może być to.
- Na nic więcej nie moglibyśmy liczyć - stwierdziła Grace.

8

Identyfikacja ofiary zabójstwa znalezionej bez ubrania i rzeczy osobistych zawsze jest trudna, chyba że istnieje wyraźne podobieństwo do osoby, której zaginięcie zgłoszono, znajdzie się jakiś związek z tego rodzaju raportami albo próbka DNA ofiary pasuje do próbki w bazie CODIS gromadzącej tego rodzaju dane.

Sam i Martinez wiedzieli, że dwie ofiary albo sprawę ułatwią, albo też porządnie skomplikują.

W tym przypadku było to ułatwienie.

W piątek wieczorem rodzice zgłosili zaginięcie Suzy i Michaela Eastermanów. Dwudziestosześcioletni architekt Easterman, o chłopięcych, subtelnym rysach był wysoki i ciemnowłosy. Jego o dwa lata młodsza żona, ilustratorka książek, miała długie jasne włosy, śliczną twarz i tatuaż na plecach w kształcie maleńkiej wierzby, którą - jak powiedziała jej matka - sama zaprojektowała.

Pozostawiało to niewiele miejsca na wątpliwości.

Eastermanowie pobrali się w Boże Narodzenie i zaledwie trzy tygodnie temu zamieszkali w domu przy La Gorce Drive, oddalonym o niecałe pięć kilometrów od Oates Gallery. Suzy prawie codziennie rozmawiała z matką, Audrey Stein, i w piątek miały zjeść razem lunch w Bal Harbour. Córka jednak nie przyszła na spotkanie, a kiedy pani Stein mimo licznych prób nie zdołała się do niej dodzwonić ani na komórkę, ani na telefon stacjonarny, postanowiła skontaktować się z zięciem. Dowiedziała się wtedy, że godny zaufania młody architekt bez uprzedzenia nie pojawił się w pracy.

Po licznych, coraz bardziej gorączkowych telefonach do krewnych i przyjaciół młodego małżeństwa pani Stein wszczęła alarm.

Nowożeńcy.

Czasami Sam i Martinez nienawidzili swojej pracy.

9

Kostnica w Miami znana była obecnie jako Centrum Medycyny Sądowej im. Josepha H. Davisa albo jako Biuro Patologa Okręgu Miami-Dade. Budynek sam w sobie był ładny i wygodny, choć wiązała się z nim ponura statystyka: co roku przyjmowano tu ponad trzy tysiące ciał.

Mimo że mieścił się przy Bob Hope Road, rzadko się tutaj śmiano.

To jednak była kostnica.

Patolog, który przyniósł fotografie dwóm parom rodziców czekających w przeznaczonych do tego sali przy głównym holu, wciąż nie mógł się przyzwyczaić do widoku ludzi, którym wali się świat.

- Bardzo wam współczuję - powiedział do rodziców Suzy i Michaela Eastermanów po tym, jak odebrał im ostatni cień nadziei.

William Stein zada! pytanie, które wszystkim krążyło po głowie:

- Czy nasze dzieci cierpiały?

Patolog żałował, że nie może skłamać, nie miał jednak wyjścia, musiał łagodnie poprosić, żeby poczekali na raport. Patrząc na ściągnięte twarze tych biednych ludzi, wiedział, że ich cierpienie dopiero się zaczyna.

- Chcę zobaczyć syna - powiedział Ben Easterman. To było na razie niemożliwe.

Rodzice odebrali odmowę jako dodatkowe okrucieństwo.

Podobnie jak detektywi, patolog czasami nie znosił swojej pracy.

W gabinecie na piętrze, z dala od pogrążonych w żałobie rodzin, Elliot Sanders dzielił się ponurymi ustaleniami z Samem i Martinezem.

- Klej, to nie ulega wątpliwości. Wewnątrz i na zewnątrz. W waginie i na sromie pani Easterman, na cewce moczowej jej męża. - Sanders pokręcił głową. - Wciąż składam to w całość, ale podejrzewam, że sprawca umył ich i osuszył po śmierci, a potem zabrał się do roboty, używając narzędzia, którym mogło być wszystko, począwszy od gruszki do odciągania tłuszczu, na strzykawce skończywszy.

Detektywi spojrzeli na siebie bez słowa.

- A przy okazji, jeszcze trzy rzeczy - ciągnął Sanders. - Zginęli od gładkiego ostrza. Zostali pokrojeni, nie podżgani. Brak śladów po ząbkach, brak wyraźnych cech narzędzia zbrodni, ale przypuszczalnie szukacie ostrza szerokiego na trzy centymetry, może więcej.

- Ile milionów takich narzędzi jest w tym pieprzonym mieście? - zapytał Martinez.

- Znalazłem ślady na lewej kostce pana Eastermana i prawej kostce jego żony, które mogły zostawić jakiegoś rodzaju pęta.

- To z minuty na minutę robi się coraz bardziej chore

- stwierdził Martinez.

- Albo bardziej złe - skorygował Sam. Na moment ogarnęło go przerażające poczucie bezsilności w obliczu prawdziwego zła.

W tej samej chwili przeziębienie ruszyło mu na ratunek, zsyłając kolejne potężne kichnięcia. Przypomniało o normalnych sprawach.

- Mówiłeś o trzech rzeczach - przypomniał Sandersowi.

- W galerii technicy znaleźli trochę krwi oraz ślady kokainy - odparł patolog. - Będę was informował na bieżąco.

10

Pozostali członkowie zespołu zajmowali się sąsiedztwem dawnej Oates Gallery, Sam i Martinez natomiast pojechali do domu Eastermanów przy La Gorce Drive. Piękny piętrowy budynek kremowej barwy usytuowany był przy eleganckiej alejce niedaleko Pięćdziesiątej Ulicy. Osłonięty palmami frontowy ogród sprawiał, że dom był potencjalnie bardziej narażony na przestępstwo.

Wystąpili o nakaz, choć jeszcze go nie otrzymali, ale zgodę na przeszukanie wydali pogrążeni w żałobie rodzice, którzy pragnęli pomóc w każdy możliwy sposób. We właściwym czasie zarzucą detektywów gradem pytań, z których zbyt wiele pozostanie bez odpowiedzi, na razie jednak muszą się zmagać ze straszli-

wym pierwszym szokiem. Sam i Martinez planowali, że porozmawiają z nimi dopiero jutro.

Teraz mieli do przesłuchania ewentualnego świadka, a chociaż nic nie wskazywało na to, że zbrodni dokonano tutaj, woleli poczekać na nakaz, zanim rozpoczną przeszukiwanie.

Mayumi Santos, filipińska gospodyni, wczesnym wieczorem w piątek wróciła z wizyty u kuzynki, u której spędzała wolny dzień, i zastała niespokojną matkę Suzy.

Siedząc teraz w kuchni, Mayumi cała się trzęsła.

- Pani Stein powiedziała, że dzwoniła wiele razy do pani Easterman, kiedy nie przyszła do Bal Harbour... - Mówiła po angielsku z silnym akcentem, ale płynnie. - Potem tu przyjechała, poszliśmy do sypialni i widzę, że nie spali, bo kiedy pani Suzy... moi pracodawcy chcą, żebym mówiła do nich po imieniu, ale mnie się to nie podoba... - Urwała i zaczęła szlochać.

Kuchnia była pałacem z granitu i gładkiej stali nierdzewnej; niedługo detektywi będą musieli poprosić Mayumi, żeby opuściła dom, bo trzeba zachować wszelkie możliwe dowody. Ponieważ jednak przebywała tu od wczoraj wieczorem, spała i przypuszczalnie kąpała się, gotowała, jadła i zmywała naczynia, Sam i Martinez uznali, że niewiele zyskają, każąc zszokowanej młodej kobiecie natychmiast wyjść z domu, w którym być może nigdy więcej nie będzie miała okazji mieszkać.

Okażą jej życzliwość i pewnie osiągną lepszy skutek, jeśli porozmawiają z nią tutaj.

- Czy czegoś brakuje, pani Santos? - zapytał Sam. Przesunął wzrokiem po wiszaku z nożami na ścianie nad

granitowym blatem, stwierdzając, że sześć lśniących noży o różnej wielkości wisi na swoich miejscach; tym zajmą się później, dopilnują, żeby wszystkie noże z gładkimi ostrzami szerokimi na co najmniej trzy centymetry zbadano i sprawdzono, czy zabójca podczas mycia czegoś nie zostawił.

Młoda kobieta spojrzała w tym samym kierunku i ze strachu otworzyła szeroko oczy.

- Niczego, proszę pana.

- Może nam pani pokazać, gdzie są pozostałe noże? - zapytał Martinez.

- Tak, proszę pana. - Mayumi wstała, podeszła do głębokich szuflad i zawahała się. - Mogę dotknąć?

Sam stanął po jej prawej ręce, nie za blisko.

- Jak pani myśli, uda się pani otworzyć te szuflady jednym palcem?

- Ale ja już je dzisiaj otworzyłam jak zwykle - odpowiedziała zmartwiona. - Przepraszam.

- Nic się nie stało - uspokoił ją Martinez.

Kobieta otworzyła wielką szufladę, w której Sam zobaczył starannie poukładane noże do siekania, oprawiania i obierania.

Mayumi poruszała ustami, jakby je po cichu liczyła. W końcu oznajmiła:

- Są wszystkie.

- Jest pani pewna? - zapytał Martinez.

- Tak, proszę pana.

- Dziękujemy pani - powiedział Sam.

- Mówiła pani, że państwo Martinez nie spali w domu? - ciągnął Martinez.

- Tak. Widziałam, bo kiedy pani Suzy ścieli łożko, wygląda to zupełnie inaczej.

- A kiedy pani ostatni raz ścieliła? - zapytał Sam.

- W czwartek rano.

Poza tym niewiele więcej mogła im powiedzieć. O ile potrafiła się zorientować, wszystko stało na swoim miejscu. Nie było też najmniejszego znaku świadczącego o tym, że podczas jej nieobecności w domu byli goście.

- Sprawdziłam zmywarke, czy nie trzeba jej rozładować, ale była pusta.

- Czy to normalne po pani wolnym dniu? - zapytał Martinez.

- Nie takie normalne. - Pomyślała chwilę i dodała logicznie: - Ale skoro ich tu nie było, nie używali naczyń.

- Więc uważa pani, że nie gotowali w domu? - zapytał Sam.

- Nie wiem, ale wygląda na to, że nie.

- A zwykle gotowali, kiedy pani miała wolne? - zapytał Martinez.

- Czasami.

- Zauważyła pani, czy pościel została zmieniona? - zapytał Sam.

- Nie sprawdzałam, proszę pana.

Poszli na piętro. Gospodyni przyjrzała się łóżku.

- Czy mogę podnieść kape?

- Jasne - odparł Martinez.

Mayumi Santos uniosła róg narzuty i przyjrzała się uważnie gładkiej bawełnie, idealnie naciągniętemu prześcieradłu.

- Ja to zrobiłam - powiedziała.

- Doskonała robota - pochwalił Martinez.

- Dziękuję panu. - Znowu była bliska łez.

Mimo że technicy dokładnie sprawdzą każdy centymetr pościeli i materaca, Sam i Martinez zdziwiliby się, gdyby znaleźli cokolwiek interesującego w łóżku Eastermanów.

8 LUTEGO

Nikt w zespole nie lubił pracować w niedziele, zwłaszcza gdy śledztwo dotyczyło morderstwa, ale Sam i Martinez nie potrafili sobie wyobrazić czegoś gorszego od konieczności złożenia kondolencji zdruzgotanym rodzinom dwojga brutalnie zamordowanych młodych ludzi.

I od wtykania nosa w ich nazbyt krótkie życie.

Ludzie odbierali śledztwo różnie, niektórzy obojętnie, inni furją reagowali na każde działanie policji. Jedni byli w stanie stawić czoło wyłącznie faktowi samej śmierci, drudzy czasami nawet tego - zwłaszcza tego - nie potrafili. Jeszcze inni chcieli działać, pomóc w ukaraniu zła, które odebrało życie ukochanym osobom. Te reakcje w połączeniu ze straszliwym cierpieniem bywały bardzo trudne do zniesienia także dla policjantów.

Steinowie byli miłymi ludźmi, otwartymi mimo swego bólu, pragnęli pomóc i sami uzyskać pomoc. Sam i Martinez spotkali się z nimi w niedzielę przed południem.

- Strasznie mi zależało, by nie wyglądało na to, że wtrącam się w ich małżeństwo - mówiła Audrey Stein w eleganckim szarym salonie mieszkania na dziewiątym piętrze, skąd rozciągał się widok na Bal Harbour. - Suzy dzwoniła prawie codziennie, ale jeśli nie zadzwoniła, czekałam, aż pierwsza się odezwie. Gdybym w piątek rano tego nie zrobiła...

Musiała przerwać, by przycisnąć przemoczoną białą chusteczkę do oczu. Ramiona jej drżały, ręce się trzęsły.

William Stein, który też miał zaczerwienione oczy, objął żonę i bezradnie spojrział na detektywów.

- Niektórzy przyjaciele, do których Audrey dzwoniła, przypuszczali, że Suzy i Mike mogli gdzieś wyjechać, bo Mayumi miała tego dnia wolne...

- Ale ja wiem, że to nonsens - wtrąciła Audrey Stein, wykręcając chusteczkę w palcach - bo chociaż Mike i Suzy naprawdę lubili May, uwielbiali mieć dom dla siebie.

Pokój był pięknie urządzony, w serwantce przyciągała wzrok kolekcja szkła Lalique. Liczne fotografie w polerowanych srebrnych ramkach w większości przedstawiały córkę samą lub z mężem.

- Tak czy owak to po prostu wykluczone, żeby Suzy wyjechała z miasta, nie uprzedzając mamy - dodał William Stein.

- Czy może nam pani powiedzieć coś o pani Santos? - zapytał Martinez.

- May to dobra dziewczyna - odparła spieszenie i z naciskiem pani Stein. - Przedtem pracowała u naszych przyjaciół, ale przeprowadzili się do mniejszego mieszkania w Boca i musieli z niej zrezygnować.

- Wiem, że Mike miał wszystkie jej dokumenty i referencje - uzupełnił William Stein. - Są w szafce w jego domowym biurze.

- Kto to mógł zrobić? - Pani Stein znowu się rozpląkała. - Dlaczego ktoś zrobił coś tak strasznego dwojgu przyzwoitym, pięknym ludziom?

Na to pytanie detektywi nie mieli odpowiedzi.

Pierwsza rozmowa z Benem i Sissy Eastermanami była równie smutna, ale Suzy była jedynym dzieckiem Steinów, w salonie Eastermanów natomiast tłoczyło się rodzeństwo Michaela i inni krewni, którzy - takie wrażenie odnieśli Sam i Martinez - wlewali się do mieszkania nieustającym strumieniem.

Eastermanowie mieszkali w rezydencji przy West Country Club Drive z cudownym widokiem na pole golfowe Turnberry. Kolejny piękny, zamożny dom.

Dzisiaj jednak nie było powodów do zazdrości. Większość obecnych miała na sobie czarne ubrania; traktowali detektywów przyjaźnie, przedstawiali się, rozpaczliwie pragnęli pomóc. W salonie zebrali się starszy brat Michaela, Anthony, i jego żona Trish, młodsza siostra Debbie z narzeczoną Richardem i siostra Bena, Rose Graber.

- To się wydaje nierealne - powiedziała pani Graber. - W jednej chwili Sissy siedzi w salonie Danny'ego Mizrachi, gdzie farbują jej włosy, a w drugiej Michael (to jej fryzjer, nie nasz Mikey) mówi, że jest do niej telefon. To był początek końca. - Złapała Sama za ramię, mocno zaciskając palce na rękawie. W jej oczach błysnęły łzy. - Kiedy ludzie będą mówić, że te dzieciaki były wyjątkowe, proszę im wierzyć, detektywie, bo to prawda. Mój bratanek i Suzy byli cudowni.

- Miło to słyszeć - odparł Sam łagodnie. - I ładnie z pani strony, że nam pani o tym mówi. - Nie próbował się uwolnić, zresztą widział wyraźnie, że Rose Graber jeszcze nie skończyła.

- Nie mówię tylko o talentach. Oboje byli inteligentni i uzdolnieni, ale też bardzo dobrzy, nie tylko dla siebie czy swoich rodziców. Wszystkich traktowali jednakowo.

W końcu puściła rękaw Sama, odwróciła się i szlochając, wybiegła z pokoju. Anthony Easterman poszedł za ciotką.

Sam wiedział, że kochającej się, blisko związanej rodzinie łatwiej przetrwać trudny czas.

Najpierw jednak trzeba pokonać kręgi piekieł.

- Mike i Suzy byli na swoim punkcie zwariowani - powiedziała ciemnowłosa Debbie, podobna do nieżyjącego brata. - Ciągłe się przytulali, tak bardzo się kochali.

-Ale przynajmniej...-zaczął jej narzeczony Richard, wysoki i jasnowłosa.

- Co? - zapytała Debbie. Pokręcił głową.

- To zabrzmiało głupio, ale chciałem powiedzieć, że ponieważ się kochali, przynajmniej byli razem.

- Wiem, o co ci chodzi - odparła Debbie cicho i rozplakała się.

Kręgi piekieł.

Izabela Siódma miała ruję.

Co bardzo uszczęśliwiło jej opiekuna.

Czy raczej uszczęśliwiłoby, gdyby Romeo Piąty nie zaczął zachowywać się tak agresywnie.

Ugryzł biedną Izabelę w szyję, kiedy ostatni raz ją posiadał, ugryzł tak mocno, że zapiszczała.

Odgłos szczyrzego cierpienia był okropny. Przewiercił opiekunowi czaszkę, wydawało się, że wibruje godzinami, i potem długo pozostawał w pamięci.

Nie ulegało wątpliwości, że ten Romeo wkrótce będzie musiał odejść.

Na razie opiekun zamierzał rozdzielić parę i uspokoić chłopaczka miligramem diazepam, a potem zająć się ranami samicy, uzupełnić notatki i się wycofać.

Wszyscy troje potrzebowali odpoczynku.

Coraz trudniej było myśleć o utracie tej Izabeli, ale czas płynął nieubłaganie. Izabela Siódma była tu już za długo, trzeba ją zastąpić, może jedną z jej córek, a może nie.

Po wykarmieniu małych przez matkę opiekun będzie musiał się zdobyć na surowość.

Na wzór biblijnego faraona okryć serce twardą zbroją.

Władza ma swoją cenę.

Dla mieszkańców i gości Miami Beach pierwsze dwa dni tego lutowego tygodnia były końcem zimnej pogody i zapowiedzią słońca, ale dla detektywów z wydziału zabójstw poniedziałek i wtorek wiązały się wyłącznie z ponurymi rutynowymi zajęciami i zbieraniem wiadomości.

Zbyt mało wiedzieli o młodej parze, która nie miała zadeklarowanych wrogów.

Krótką przeszłość i żadnej przyszłości.

W środę rano zespół śledczych, składający się z sierżanta Alvareza, Sama Becketa, Ala Martineza, Beth Riley i Mary Cutter, spotkał się w sali konferencyjnej, by od nowa omówić dotychczasowe ustalenia. Spotkania takie będą powtarzali regularnie, zwłaszcza teraz, gdy brak solidnego tropu, ponieważ wczesne odkrycia często zachowują swoją wagę, nawet gdy pojawiają się nowe fakty.

Wszystkie dotychczasowe istotne ustalenia pochodziły z biura patologa; zespół otrzymał je w poniedziałek wcześniej rano. Żadna z ofiar nie została zgwałcona, nie znaleziono obrażeń, które by wskazywały na motyw seksualny, i poza śmiertelnymi ranami od noża na szyjach oraz drobnymi otarciami i stłuczeniami Elliot Sanders nic więcej nie znalazł.

Krew na podłodze galerii nie była krwią żadnej z ofiar, nie znaleziono też pasującej próbki w bazie danych CODIS. To samo na razie dotyczyło odcisków palców, które zdjęto z rozmaitych powierzchni w galerii, aczkolwiek zgodnie z oczekiwaniami w kilku miejscach pojawiły się odciski Allison Moore, a w jednym Larry'ego Beatty'ego.

Ostatnim posiłkiem Michaela Eastermana była wołowina ze śmietaną i papryką - gulasz albo boeuff strogonow - Suzy Easterman natomiast zjadła białą rybę. Oboje spożyli ziemniaki i coś jeszcze: solidną dawkę temazepamu; zdaniem Sandersa ten środek mógł zadziałać szybko, ponieważ oboje pili alkohol.

- Więc jeśli lek był w ziemniakach - podsumował Sam na spotkaniu - to albo ktoś przygotował dla nich posiłek w domu, a potem dokładnie posprzątał, albo poszli do restauracji, w której ktoś ich nie lubił.

- Mogli też zamówić dania na wynos - powiedział Mar-tinez.
- Albo ktoś zaprosił ich na kolację do siebie - zasugerowała Beth Riley.
- Coś nowego, jeśli chodzi o restauracje? - zapytał Alvarez.
- Nic - odparł Sam.

Sprawdzili karty dań w okolicznych restauracjach, znaleźli dwie serwujące strogonowa i łososia, ale żadnych białych ryb, dwie inne miały w menu gulasz i dania rybne, jedna znajdował się dość daleko, bo w Coral Gables, druga z topograficznego punktu widzenia wydawała się bardziej prawdopodobna; Sam i Martinez odwiedzili wszystkie, po czym wrócili na posterunek ze spisami rezerwacji i obopólnym wrażeniem, że to ślepa uliczka.

- Chociaż na tym etapie niczego nie wykluczamy - zastrzegł się Sam.

- Od sąsiadów też niczego nowego się nie dowiedzieliśmy - oznajmiła Mary Cutter.

Nikt nie widział dostawcy wchodzącego czy opuszczającego dom z pojemnikami na jedzenie; chociaż niektórzy sąsiedzi może byli bardziej wścibscy, niż przyznawali, drzewa zasłaniały im widok na frontowe drzwi Eastermanów i ścieżkę.

- W biurze Eastermana też nic - oznajmił Martinez.

- W ogóle nic nowego. - Beth Riley przeczesła dłonią krótkie włosy.

Wszyscy, z którymi rozmawiali, byli wstrząśnięci: koledzy z pracy, przyjaciele, sąsiedzi.

Nikt nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie młoda para przebywała tuż przed porwaniem.

- OK. - Sam próbował zmobilizować zespół. - Sprawdźmy listę osób, które musimy przesłuchać.

- Albo przesłuchać ponownie - dodał Alvarez.

W drugiej kategorii mieścili się wszyscy sąsiedzi, koledzy z pracy i Mayumi Santos. W pierwszej - kuzynka Mayumi, u której Filipinka spędziła kluczowe dwadzieścia cztery godziny.

- Może jeszcze także jej przyjaciół - zaproponował Sam.
- Można - zgodziła się Mary Cutter.
- Dobrze się czujesz? - zapytał Sam Martineza, kiedy wrócili do swojego pokoju. Przeziębienie już mu minęło i zastanawiał się, czy nie zaraził partnera.
- Dobrze - odparł Martinez.
- Sprawiasz wrażenie spiętego.
- Może trochę... Masz czas pogadać, zanim zabierzemy się do pracy?
- Mogę znaleźć chwilę.
- To sprawa osobista.
- Tak sądziłem. - Sam poczuł, jak serce mu się ściska. - Problemy z Jess?

Martinez rozejrzał się po przestronnym pokoju, żeby sprawdzić, kto jest w zasięgu słuchu.

Beth Riley i dwóch chłopaków na drugim końcu. Trzy pary uszu za dużo.

- Możemy stąd wyjść, stary? - zapytał Martinez. - Napijemy się kawy.

Szybkim krokiem szli Washington Avenue, obaj świadomi, że zegar tyka i czeka ich mnóstwo zajęć. W Markie's, jednej z knajpek, w których regularnie bywali, usiedli przy stoliku w głębi. Martinez zamówił americanos, Sam - angielską herbatę. W przeszłości uwielbiał kawę, ale o mało go to nie zabiło.

Tamta filiżanka była ostatnią kawą w jego życiu.

- Więc co się dzieje? - zapytał Sam, kiedy milczenie się przedłużało. - Choć ta cisza jest całkiem przyjemna.

Kawiarnia świeciła pustkami, w przedniej części siedziały dwie kobiety, przy kontuarze Markie pracowała na laptopie.

- Niewykluczone, że sporo - odparł Martinez.
- Powiesz coś więcej?
- Daj mi szansę, stary. - Martinez upił łyk kawy, sparzył się w usta i zaklął.
- Wszystko w porządku, Al? - zawołała Markie. - Chcesz wody?
- Nic mi nie jest, dzięki! - odkrzyknął Martinez. Odczekał sekundę i powiedział: - Mam zamiar poprosić Jess, żeby za mnie wyszła.
- Żartujesz! Al, to świetnie.
- Będzie świetnie, jeśli się zgodzi.
- A dlaczego miałyby się nie zgodzić?
- Powinieneś raczej zapytać, dlaczego miałyby się zgodzić? - Martinez zgarbił się na krześle. - Nie jestem śliczny jak obrazek, na wypadek gdybyś nie zauważył, i mam marne perspektywy na przyszłość. - Pokręcił głową. - Kobiety umawiają się z gliniarzami, ale nie chcą wychodzić za nich za męża, to powszechnie znany fakt.
- A Grace za mnie wyszła.
- Ty jesteś przystojnym czarnym facetem, człowieku. Ja jestem niskim Kubańczykiem w średnim wieku.
- Dajże spokój - roześmiał się Sam.
- Jessie to piękna młoda kobieta, mogłaby mieć każdego.
- Ale chce ciebie - zauważył Sam.
- Może tak, może nie.
- Więc kiedy planujesz się oświadczyć?
- Dzisiaj wieczorem - odparł Martinez. - Jeśli wcześniej skończymy.

- Załatwione.
- Oprócz tej nowej sprawy mam stertę papierów do załatwienia.
- Przed wyjściem rzuć mi je na biurko.
- Grace mnie znienawidzi, jeśli z mojego powodu będziesz pracował do późna.
- Grace będzie wiwatować na twoją cześć - oznajmił Sam.

14

W środę wieczorem Elizabeth Price i Andre Duprez, specjalizujący się w rozwodach adwokaci z kancelarii Tiller, Valdez, Weinman, pracowali do późna.

Oboje prawie zawsze pracowali, razem lub osobno, brali udział w naradach, zajmowali się klientami, stawali przed sądem, przedzierali się przez prawnicze tomy przy biurku w swoich gabinetach albo w bibliotece.

Czasami przerywali, żeby coś zjeść, wykonać obowiązki domowe albo się kochać, co oboje bardzo lubili, choć ambicje zawodowe często motywowały ich silniej niż popęd fizyczny.

Oboje byli tuż po trzydziestce i dobrze sobie radzili. Andre, który pochodził z Quebecu, jeździł używanym bmw i mieszkał w apartamentowcu w Miami Shores. Elizabeth miała niewielki dom w pobliżu jeziora Maule w North Miami Beach. Ustalili, że kiedy jedno z nich zostanie wspólnikiem w firmie, zamieszkają razem, choć mieli zamiar poczekać z decyzją o małżeństwie, aż oboje zaczną więcej zarabiać, wierzyli bowiem w stabilizację i równość.

Ich rozmowy najczęściej dotyczyły kwestii prawnych; rozmawiali bez końca, nigdy się ze sobą nie nudzili, dzielili się poglądami i nowymi doświadczeniami, wspólnie się uczyli, i wzajemnie się szanowali.

Minęła już dziesiąta, a oni od kolacji pracowali w mieszkaniu Andre i byli skonani, choć Elizabeth zapowiedziała, że na noc musi wrócić do siebie, bo od tygodnia nie robiła prania i nie została jej ani jedna czysta biała bluzka na jutrzejsze poranne spotkanie w firmie.

- Ale jeszcze nie skończyliśmy, a ty padasz na nos - powiedział Andre z akcentem z Quebecu, który Elizabeth z czasem bardzo polubiła.

- Nic mi nie jest.

Andre stłumił ziewnięcie i zmarszczył brwi.

- Prawdę mówiąc, ja też jestem śpiący.

Elizabeth powiodła wzrokiem po dokumentach na stole.

- Sprawdźmy, czy uda nam się jeszcze trochę zrobić, a potem pójdę - powiedziała.

15

Czasami Martinez nienawidził samego siebie.

Tyle gadał, tak się skupiał na chęci, żeby wszystko robić dobrze, a mimo to ciągle coś zawałał. Nawet podczas kolacji nie udało mu się wypowiedzieć tych przeklętych kilku słów, tak jak sobie zaplanował.

Zabrał Jess do Blue Moon, jednej z restauracji w Doubletree Grand Hotel przy North Bayshore Drive, ponieważ facet, z którym zgadał się w barze dwa tygodnie temu, opowiedział mu o wspaniałym romantycznym wieczorze z dziewczyną, jaki tam spędził. Nieznajomy wydawał się sympatyczny, poza tym Martinez nikogo innego nie chciał pytać, nawet Sama, ponieważ gliniarz w średnim wieku powinien dobrze wiedzieć, dokąd zaprosić dziewczynę na ważny wieczór. Dlatego poszedł za radą tamtego i zarezerwował stolik z widokiem na zatokę.

Problem polegał na tym, że znienawidził to miejsce, zanim jeszcze znaleźli restaurację, ponieważ hotel był wielki, zapchany turystami, a do Blue Moon musieli pojechać windą, przez co człowiek miał wrażenie, że jest w cholernym centrum handlowym albo na stacji kolejowej; podczas gdy piękna dziewczyna trzymała go za niezgrabną łapę, Martinez mógł myśleć tylko o tym, że jej pewnie też się tu nie podoba, że uważa, że skoro to jego ideał romantyzmu, to chyba powinna poszukać sobie kogoś innego...

Sama restauracja była miła, podobnie jak stolik z widokiem na marinę, ale nowoczesny wystrój klócił się z charakterem Jessiki Kowalski, dziewczyny starswieckiej - choć z drugiej strony kiedy usiedli i zamówił chardonnay dla niej i piwo dla siebie, rozejrzała się i oznajmiła:

- Al, tu jest tak pięknie. Boże, jak on ją kocha.

- Zależało mi na czymś wyjątkowym - odparł i jej niebieskie oczy rozbłysły od uśmiechu; przez chwilę myślał, że załatwi to jak trzeba, ale potem podano drinki i nagle Martinezowi zaczęło się wydawać, że znowu spieprzył, bo powinien był zamówić szampana. Tylko że wtedy Jessica mogłaby się domyśleć, co zaraz nastąpi, a to jeszcze bardziej by go zdenerwowało. Siedział więc w poczuciu, że wszystko jest nie tak, zaczęli przeglądać karty dań i mówili tylko o jedzeniu.

Przy przekąskach zrobiło się łatwiej. On wybrał kalmary, ona smażone przegrzebki. Powiedziała, że są wyśmienite, i zapytała, czym sobie zasłużyła na taką ucztę, na co Martinez odparł, że zasługuje na wszystko, co najlepsze, ale potem znowu się spał.

Przy pierwszym daniu Jess zapytała, czy Martinez dobrze się czuje.

- Wspaniale. Stek jest OK.

- Bo wiesz, wyglądasz na podenerwowanego.

- Chyba po prostu jestem zmęczony. - Martinez miał ochotę solidnie się kopnąć za przegapienie kolejnej okazji, ale obiecał sobie, że naprawi to podczas deseru, tylko że Jess powiedziała, że nic więcej nie zmieści.

- Al, coś jest nie w porządku - dodała, widząc wyraz jego twarzy.

- Jedno: nie zasługuję na ciebie.
- Co masz na myśli? - zapytała Jess ze szczerą troską.
- Później - odparł Martinez.
- Teraz zaczynam się bać.
- O Boże, Jessie, nie powinnaś. Z wysiłkiem się uśmiechnęła.
- Łatwo ci tak mówić, bo nie widzisz swojej miny.
- Wiesz co? Ta knajpa działa mi na nerwy.
- Więc chodźmy stąd.
- I czemu sam o tym nie pomyślałem?

Tak więc teraz, o wpół do jedenastej, siedzieli w jego chevy na parkingu niedaleko hotelu i kiedy Martinez przekręcił kluczyk w stacyjce, pojął nagle, że jeśli będzie dalej zwlekał, usiłując trafić na odpowiednią chwilę, sprawy znowu mogą przybrać zły obrót.

- Jessie, chodzi mianowicie o to... - zaczął. Otworzyła okno i wiatr rozwiewał jej złote włosy, połyskujące srebrem od księżycowej poświaty.

Kiedy Martinez patrzył na tę kobietę, do głowy przychodziły mu różne fantazyjne myśli o miłości, na które wcześniej nigdy sobie nie pozwalał, chociaż gdyby ktoś kazał mu wyjaśnić powody, nie potrafiłby ich podać. Aż do teraz samotność wydawała się prostsza.

- Jesteś wszystkim, czego pragnę na tym świecie. W końcu dotarł do sedna.

Jess odwróciła się do niego. Oczy jej błyszczały. Wiedział, że będzie dobrze. Więc ją zapytał.

Wbił palce lewej ręki w siedzenie i zadał to przeklęte pytanie. Wreszcie.

- Jessie, wyjdiesz za mnie?

Na jej twarzy malowała się odpowiedź, jasna i wyraźna, ale i tak Jessica ją wyszeptowała.

- Tak. - Króciutka przerwa. - Dziękuję, Alejandro. Martinez odmówił w duchu krótką modlitwę. Pomyślał o Samie, który może jeszcze jest w pracy. Dobry przyjaciel ucieszy się ze względu na niego.

W tej chwili Martinez czuł się szczęśliwy w imieniu całej ludzkości.

Dwaj młodzi chłopcy, którzy ze śmiechem mijali samochód, przystanęli, żeby zajrzeć do środka, ale Martineza guzik to obchodziło, włączył silnik i ruszył w stronę bramy, kładąc prawą dłoń na kolanie Jess; poczuł ciepło, kiedy nakryła jego rękę swoją.

- Wiesz co? - powiedziała. - Chyba muszę wracać do domu.

- Jasne - odparł Martinez. - Możemy zostać u ciebie, skoro tego chcesz.

W gruncie rzeczy niemal nigdy nie bywali u Jess w North Miami Beach, ponieważ jego dom był o wiele wygodniejszy, ale dzisiaj wieczorem zupełnie nie dbał o to, gdzie będą, byleby byli razem.

- Nie - powiedziała Jess. - Muszę sama wrócić do domu.

- Dlaczego? - Martinez poczuł niepokój. Dostrzegła jego minę.

- Nie patrz tak, Al.

Zatrzymał samochód tuż przed bramą.

- Zmieniłaś zdanie.

- Nigdy. Jest wręcz przeciwnie.

- Więc dlaczego akurat dzisiaj w nocy nie chcesz być ze mną?

Jessica zastanawiała się chwilę nad doborem właściwych słów.

- Podejrzewam, że trudno ci to będzie zrozumieć, bo jesteś mężczyzną, masz więcej lat i doświadczenia, o czym oboje wiemy.

- Nigdy dotąd nie prosiłem żadnej kobiety o rękę - powiedział Martinez.

- A mnie nikt się nie oświadczył.

- Przysięgasz?

- Nie kłamałabym w takiej sprawie - oznajmiła żarliwie. - Wiesz, to najważniejsza rzecz, jaka mi się przydarzyła w całym życiu, i nie wiem dlaczego, ale czuję się przez to... staroświecka.

Ktoś z tyłu nacisnął na klakson. Martinez spojrzął w lusterko i zobaczył, że to ci sami smarkacze, którzy wcześniej się na nich gapili, ale teraz budzili w nim mniej życzliwe odczucia i jeśli zrobią to jeszcze raz...

- I dlatego chcę wrócić do domu sama - ciągnęła Jess. - Bo chcę się napawać faktem, że mężczyzna, na którego punkcie oszalałam, poprosił mnie o rękę. Chcę sama pójść do łóżka, myśleć o tobie i naszej przyszłości.

Znowu rozległ się klakson, ale agresja Martineza całkiem się rozplynęła; podniósł przepaszająco dłoń i wyjechał na ulicę.

- OK - powiedział do Jess ze świadomością, że naprawdę wszystko jest w porządku, że jednak nie spieprzył tej sprawy, że będzie lepiej niż cudownie.

- Czy to ma dla ciebie sens, Al? - zapytała Jess. Spojrzął na nią z ukosa, zobaczył, że na niego patrzyła,

zobaczył w jej oczach miłość.

- Jak najbardziej - odparł.

16

- Jesteś za bardzo zmęczona, żeby prowadzić - powiedział Andre do Elizabeth, kiedy przed wyjściem pakowała dokumenty do aktówki. Stłumił kolejne potężne ziewnięcie. - Wygląda na to, że ja też.

- Dam sobie radę, ale pod warunkiem, że pojedę natychmiast.

- A może się położymy i nastawimy budzik wcześniej, żebyś mogła wrócić do domu i wyprasować bluzkę.

- Tylko że ja nie mam nic do wyprasowania.

Andre wiedział, kiedy dyskusje z Elizabeth nie mają sensu, do jej domu droga była prosta, a okolica bezpieczna, poza tym dzisiaj wieczorem nie miał siły się sprzeczać, czuł, że pada na nos ze zmęczenia, więc odprowadził ją tylko do jej hondy, która stała w podziemnym parkingu. Nie mieli tu problemów z przestępstwami, ale Andre lubił myśleć o sobie jako o dżentelmenie, a Elizabeth była dla niego najdroższą osobą na całym świecie.

- Nikt nie może się z tobą równać - powiedział, kiedy pocałował ją na pożegnanie.

- Ani z tobą - odparła.

Ona też mówiła szczerze, z całego serca, a przynajmniej z tej jego części, która nie była oddana karierze.

Wiedziała, że nigdy nie znajdzie nikogo takiego jak Andre.

Że naprawdę są idealną parą.

Kiedy mniej więcej osiem miesięcy temu Martinez znalazł ten mały dom przy Alton Road w pobliżu Czterdziestej Siódmej, miał skrupuły, że robi tak solidną inwestycję jako zatwardziały kawaler, nie wspominając już o tym, że jest policjantem z marnymi szansami na awans. Poza rzadkimi momentami, gdy dośkwierała mu samotność, zawsze lubił swoje życie, więc w środku negocjacji zadał sobie pytanie, dlaczego podejmuje taki krok w wieku czterdziestu pięciu lat. Naprawy dachu, uszczelnienie okien na wypadek huraganów, a przede wszystkim spłata hipoteki - wprawdzie stać go było na to, bo wydawał mniej niż większość znanych mu ludzi, mimo to wiedział, że nie będzie łatwo.

Po tygodniu od poznania Jessiki Kowalski dom nagle zaczął nabierać sensu. Wszystko zaczęło nabierać sensu.

Kiedy wrócił do domu, pomyślał, że chyba rozumie, co Jessica miała na myśli, mówiąc o samotnym pójściu do siebie i pozwoleniu, by ta sytuacja do niej dotarła.

Dzisiaj wieczorem dom wyglądał inaczej.

Całe życie się zmieniło.

Powiedziała, że oszalała na jego punkcie.

Odczuwał te słowa wyraźnie, napępniały go ciepłem i przyjemnością.

Zastanawiał się, czy zadzwonić do Sama, uznał jednak, że tak jak jego narzeczona (w przeszłości często wyśmiewał się z tego słowa, ale z tym już koniec), posiedzi sobie spokojnie, może otworzy piwo, położy się i będzie rozmyślał o niej i ich przyszłości.

Wspólnej przyszłości.

18

Elizabeth mieszkała w zaułku zamkniętym bramą, która wyposażona była w kamerę rejestrującą każdy wjeżdżający i wyjeżdżający pojazd.

Zwykle panował tu spokój, atmosfera łagodności i dyskretnego bogactwa.

Elizabeth od początku czuła się tutaj bezpieczna.

Dzisiejszy wieczór nie był wyjątkiem.

Przejechała pod podniesionym szlabanem, mgliście świadoma, że za sobą ma inny samochód, choć jego światła znikły jej z oczu, zanim otworzyła pilotem

drzwi i zapaliła lampy. Wolno wprowadziła hondę do garażu, zamknęła drzwi i wyłączyła silnik.

Wtedy zgasły lampy.

- Cholera - mruknęła, ale była za bardzo zmęczona, żeby się przejąć, poza tym przez szybę w drzwiach wpadało dość światła, by mogła zabrać torebkę i aktówkę.

Wysiadając z samochodu, upuściła klucze, więc nagle dziwnie oszołomiona schyliła się i po omacku je znalazła. Wyprostowała się i odwróciła do drzwi łączących garaż z domem. Z trudem włożyła klucz do zamka.

- Co z tobą, dziewczyno? - mruknęła do siebie.

Przed oczyma przemknęło jej pranie, ale była zbyt skonana, żeby nawet o tym pomyśleć, więc jednak mogła zostać u Andre...

Kiedy otworzyła drzwi, nieoczekiwanie ogarnęło ją nieprzyjemne, alarmujące wrażenie, że w garażu ktoś jest. Chciała się odwrócić, ale refleks ją zawodził, a ktoś tu był...

- Hej - powiedziała z rosnącym strachem.

Coś znalazło się na jej ustach, czyjaś dłoń, więc instynktownie chciała krzyknąć. Zacisnęła zęby na dłoni, poczuła smak i zapach lateksu. Druga dłoń szturchała ją w plecy, popychając w głąb domu. Chciała walczyć, ale nie miała sił...

- To tyle, Elizabeth - powiedział jej prosto do ucha obcy głos. - Koniec z gadaniem. Będziesz mocno spała.

Sam położył się ostrożnie, dokładając starań, by nie obudzić Grace, ale odwróciła się ku niemu, wsunęła jedną rękę pod jego ramię, drugą oparła mu na piersi i owinęła nogi wokół jego nóg.

Przytuliła się cała, oboje to uwielbiali.

Była naga.

- Miałem zamiar powiedzieć, że mi przykro, że cię obudziłem, ale to byłoby kłamstwo - odezwał się Sam.

- Czekałam na ciebie. - Głos miała lekko schrypnięty.

- No nie. Jesteś napalona.

Gdyby ktoś go zapytał, kiedy wchodził po schodach, przywitawszy się z Woodym i zamknąwszy drzwi, czy jest jakaś szansa, że dzisiaj w nocy będą się kochać, roześmiałby się z wielkim znużeniem.

Ale najpierw zajrzał do Joshui i słodkie łuki policzków, ust i rzęs malca wzruszyły go jak zawsze, sprawiły, że miłość wypełniła go bez reszty. A teraz jego piękna naga żona przylgnęła do niego i wszystko wskazywało na to, że w starym psie zostało jednak trochę życia...

- Jeśli jesteś zmęczony, to nie ma sprawy - powiedziała Grace.

Wiedział, że naprawdę tak myśli, ale jego ciało zaczynało się budzić. Jak zawsze.

- Och - mruknęła, dotykając go dłonią. - Jak miło.

Przez moment Sam myślał o Martinezie i Jess, o tym, że jeśli dane im będzie przeżyć jedną dziesiątą tego, co po dziesięciu wspólnych latach wciąż jest udziałem jego i Grace, będą mieli szczęście.

A potem przestał o nich myśleć.

- Cześć, Gracie - powiedział. - Jestem w domu.

I odwrócił się do niej.

12LUTEGO

- Andre - powiedziała Elizabeth. Po raz trzeci powtarzała jego imię. Nie odpowiadał.

Odzyskała przytomność kilka minut temu i natychmiast z całego serca tego pożałowała.

To był koszmar najgorszy z możliwych.

Leżała na zimnej kamiennej podłodze, całym ciałem czując chłód i szorstką powierzchnię.

Wiedziała, że jest naga.

Coś otaczało jej prawą kostkę, coś jeszcze zimniejszego od kamieni. Stal.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że to obręcz w rodzaju kajdanek, od której łańcuch prowadził do grubego metalowego pręta. Jednego z wielu.

Ponieważ była uwięziona w klatce.

Klatka znajdowała się w wygłuszonym pokoju.

Były tylko dwa rzędy krat, jeden wzdłuż ściany za nią, drugi przed nią, z zamkniętymi na kłódkę drzwiczkami pośrodku. Snop słabego światła z pojedynczej żarówki padał na Elizabeth i rozjaśniał niewielki obszar wokół niej.

Nie widziała, co znajduje się za kratami przed nią.

Rozciągała się tam nieprzenikniona ciemność.

A w klatce nie była sama.

Był z nią Andre - tajemnica, której nie potrafiła rozgryźć. Przecież porwano ją samą, a jego obecność, choć powinna, wcale jej nie pocieszała, bo leżał na ziemi kilka metrów dalej.

Nagi, skuty jak ona i niemal na pewno nieprzytomny.

O ile nie gorzej.

Elizabeth wielokrotnie próbowała go ocucić i wołała po imieniu najpierw cicho, ostrożnie, potem głośniej, chociaż bardzo się bała, że ten, kto ich tu sprowadził, usłyszy ją i przyjdzie.

Andre nie reagował, w dodatku leżał plecami do niej, więc nie mogła stwierdzić, czy oddycha - z całą pewnością nie słyszała jego oddechu.

Z przerażeniem myślała, że Andre umiera lub już jest martwy.

To musi być koszmar senny.

Musi.

Elizabeth myślała o swoim ojcu w Sarasocie, o tym, jak zawsze był z niej dumny. Myślała o matce, która dawno temu umarła na raka. O młodszej siostrze Margie studiującej prawo i zdecydowanej podążać w ślady Elizabeth. O tym, jak ta sprawa na nich wpłynie.

Jakiegolwiek będzie miała zakończenie.

Ona i Andre znaleźli się tu w jakimś celu. Wyznaczonym przez obcego człowieka.

Tego, który czekał na nią w garażu.

Myślała o głosie szepczącym jej do ucha i nawet nie wiedziała, czy należał do kobiety, czy do mężczyzny, niczego nie była pewna.

- Andre! - zawołała znowu.

Nic.

Już przysunęła się do niego tak blisko, jak pozwalał łańcuch, a gdy teraz spróbowała jeszcze się zbliżyć, poczuła ucisk stalowej obręczy na kostce.

Rozplakała się, myśli przebiegały jej przez głowę jak szalone.

Myśli o gwałcie. O tym, że na zawsze zostanie w tej klatce z nieprzytomnym, może martwym kochankiem. Że umrze z głodu, a potem zgnije. O torturach.

Rozważała, czy krzyki o pomoc byłyby objawem mądrości czy szaleństwa.

Nagość pozbawiła ją nie tylko ubrania, ciepła czy nawet godności. Wyglądało na to, że zabrała niemal wszystko, co sprawiało, że Elizabeth Price była wyjątkowa.

Wszystko z wyjątkiem umysłu, ale i on, zwłaszcza on, wydawał jej się obcy, przepełniony przerażeniem.

Przed najgorszą z możliwych rzeczy.

Przed nieznanym.

21

Martinez sięgnął po kij baseballowy, który trzymał pod łóżkiem.

Wysilając się, by go chwycić, stwierdził, że jednak nie jest sprężyną.

Postanowił, że jeśli wyjdzie cało z tej sytuacji, popracuje nad kondycją.

Podkradł się do drzwi w chwili, gdy zaczęły się otwierać.

Podniósł kij wysoko nad głowę...

Do pokoju cichutko weszła na bosaka Jess.

- Chryste, Jess! - Odłożył kij i zapalił światło. - O mało nie zgruchotałem ci czaszki.

Nie tylko była bosa. Miała na sobie skąpą bieliznę w najintensywniejszych odcieniach czerni i szkarłatu. Martinez nigdy wcześniej nie widział jej w podobnym stroju, ale wyglądała jak kawałek raju.

- Chciałam zrobić ci niespodziankę - wykrztusiła, wciąż wstrząśnięta jego reakcją.

- Jest niespodzianka, omal nie dostałem ataku serca.

- Przepraszam. Powinnam była o tym pomyśleć.

- Wszystko w porządku. - Martinez objął ją, rozkoszując się ciepłem jej ciała. - Już mi lepiej.

- Dałeś mi klucz, pamiętasz?

- Jasne, ale nigdy dotąd z niego nie skorzystałaś.

- Jesteś zły, że teraz to zrobiłam?

Wyczuł, jak Jess się spina, a ponieważ nie miał pojęcia, jak jej wynagrodzić to, że zepsuł niespodziankę, zrobił rzecz naturalną: pocałował ją i ujął jej piersi w dłonie.

- Taki jestem zły - powiedział.

- Kupiłam je już jakiś czas temu. - Jess przesunęła palcami po figach. - Ale wcześniej żadna okazja nie wydawała mi się odpowiednia, dopiero dzisiaj uznałam, że są idealne na uczczenie oświadczyn.

-I miałaś rację - odparł, prowadząc ją w kierunku łóżka. - A co się stało z pomysłem, żeby położyć się samej i rozmyślać o nas?

- Próbowałam. - Opadła na pościel obok niego. - Ale marnie mi to wychodziło.

- Cieszę się - powiedział Martinez.

Kiedy skończyli się kochać, Martinez wstał, żeby zgasić lampy, ale żadne nie mogło zasnąć.

- Może porozmawiamy? - zapytała Jess.

- Świetnie, zresztą i tak chciałem cię zapytać, jak chcesz to rozegrać? Zgadzasz się, żebyśmy powiedzieli ludziom?

- Chyba tak. Wiem, że jesteśmy w różnych wydziałach, ale co będzie, jak się okaże, że szefostwo nie chce, żeby narzeczeni pracowali w jednym budynku?

- Nie sądzę, żeby to był problem - odparł Martinez. - Zresztą i tak na razie chciałem powiedzieć Samowi.

Jess zastanawiała się przez chwilę.

- OK - zgodziła się. - To porządny facet.

- Najlepszy. Będzie na pewno chciał powiedzieć Grace, bo o wszystkim sobie mówią, ale jeśli ich poprosimy, nikomu nie powtórzą.

- W takim razie w porządku. - Uśmiechnęła się w ciemności. - Będiesz szczęśliwy, mówiąc Samowi, tak?

- To mój przyjaciel. I oboje ucieszą się ze względu na nas.

- W takim razie im powiedz.

- A ty komu powiesz? Rodzicom?

- Nie wiem, bo jeśli to zrobię, będą chcieli tu przylecieć, a mama nie czuje się najlepiej.

- Nic nie mówiłaś - powiedział Martinez z troską.

- Byłeś zajęty.

- Nigdy nie jestem aż tak zajęty, żeby nie mieć czasu na twoje sprawy, Jessie.

- Ma jakieś kobiece problemy i myślę, że akurat teraz podróż może być dla niej zbyt męcząca.

- W takim razie może powinnaś poczekać, aż my będziemy mogli polecieć do Cleveland.

- Zrobiłbyś to? - zapytała Jess.

- Żartujesz? Nie mogę się doczekać, kiedy poznam ludzi, którzy cię stworzyli. - Martinez się zawahał. - Chociaż niewykluczone, że twoi rodzice pomyślą, że mogłaś lepiej trafić.

- Na pewno tak nie pomyślą, bo to nieprawda. A nawet gdyby, to ja nie zmienię zdania. Ale na pewno nie pomyślą.

Martinez ułożył się inaczej, ale zobaczył, że odsunął się od Jess, więc wrócił do poprzedniej pozycji. Pomyślał, że nigdy nie czuł się wygodnie, przez długi okres dzieląc łóżko z kobietą, a przy Jessie nawet to się zmieniło.

- Myślałem, że chciałabyś mieć pierścionek - powiedział. - Skoro jednak nie chcesz mówić znajomym z posterunku...

- Mimo to pierścionek możesz mi dać, Al. Po prostu nie będę go nosiła w pracy.

- To dobrze.

- Czy to się dzieje naprawdę? - zapytała Jess cicho.

- Tak samo jak to. - Martinez znowu ją pocałował, najpierw w gładkie czoło, a potem w usta. - Czujesz?

Mruknęła potwierdzająco.

- Za każdym razem, kiedy będziesz miała jakieś wątpliwości, zamknij swoje piękne oczy i przypomnij sobie, jak się teraz czułaś.

- Czuję się cudownie - odparła Jess.

- Bo jesteś cudowna.

22

W czwartek rano Sam wszedł do Opera Cafe o siódmej dziesięć. Było jeszcze mnóstwo czasu do spotkania w Beatty Management o wpół do dziesiątej, a miał

ochotę na porządne śniadanie. Dodatkową premię stanowiła świadomość, że Cathy pracuje na pierwszej zmianie.

Obsługiwała klientów pod oknem, wstrzymał się więc z uściskiem i usiadł przy stoliku w środku sali. Dooley zobaczył go z kuchni przez szybę w drzwiach i pomachał, a jakieś trzy sekundy później z ulicy weszła Simone i pocałowała Cathy w policzek, co bardzo Sama ucieszyło.

Był zadowolony ze względu na swoją córkę.

Dooley zaczynał dzień od duetu z pierwszego aktu „Wesela Figara”, co też było dobre. Sam obserwował, jak Simone przejmuje obowiązki od Cathy, która uśmiechnęła się do niego i przeszła do kuchni, żeby pomóc Dooleyowi; już po chwili pracowała z zapalem, ruchy miała spokojne i zręczne, i było coś w jej postawie i wyrazie twarzy, co wydało się Samowi właściwe, jakby Cathy rzeczywiście znalazła swoje powołanie.

Bardzo się z tego ucieszył i zapragnął zadzwonić do Grace, żeby podzielić się swoimi odczuciami.

Jego komórka zawibrowała, więc wyjął ją z kieszeni.

- Cześć, człowieku - powiedział Martínez. Jego głos też brzmiał dobrze.

-I co? - Sam miał nadzieję, że nie popełnia nietaktu, zadając to pytanie. - Jak się udał wieczór?

- Bardzo.

- Jeśli nie chcesz rozmawiać przez telefon, mogę poczekać.

- Taa, poczekajmy.

- Mnie to pasuje. - Sam postanowił go sprawdzić. - Skrzyżowanie Collins i Siedemdziesiątej Trzeciej, dwadzieścia lat później, OK?

Martínez pękł.

- Zgodziła się, człowieku. - W jego głosie brzmiała czysta radość.

- To wspaniale, tak się cieszę.

- Ja też, człowieku - odparł Martínez. - W życiu nie byłem taki szczęśliwy.

Kiedy przyjechali do Beatty Management, Larry Beatty był poza biurem, za to Allison Moore czekała na nich z dokumentami, o które prosili.

- To jest kompletne archiwum galerii z ostatnich pięciu lat istnienia. - Udostępniła im gabinet na tyłach budynku na tak długo, jak będzie to potrzebne, ułożyła teczki na tekowym biurku, przyniosła też dzbanek kawy i kilka małych butelek wody evian. - Wystawy, artyści, sprzedane dzieła, klienci... Są też fotografie. Uznałam, że to wszystko może się przydać.

- Gdyby tylko wszyscy byli tacy pomocni, nasze życie stałoby się o wiele łatwiejsze - powiedział jej Sam.

- Mam tylko nadzieję, że to rzeczywiście coś da - odparła Ally. - Biedni ludzie.

- Jeśli nie pomoże bezpośrednio, to przez eliminację - powiedział Martínez.

- Chyba coś tu jest. - Zawahała się. - Przeglądałam stare katalogi... to znaczy w gruncie rzeczy nie wiedziałam, czego szukać, ale usłyszałam o tej dziwacznej plastikowej rzeczy... Otóż dwa lata temu na wystawie pokazano rzeźbę z akrylu.

- Gdzie pani o tym słyszała? - zapytał Sam.

- Jest tutaj, w jednym z katalogów.

- Detektyw Becket pyta, gdzie pani słyszała o tej „dziwacznej plastikowej rzeczy”? - Martínez także się ożywił, bo w sobotę ani przez chwilę nie było takiej sytuacji, żeby Ally Moore albo jej szef mogli zobaczyć scenę na tylnym dziedzińcu.

- Nie pamiętam. Myślę, że od jednego z ludzi, którzy tam pracowali, chyba od jakiegoś technika.

Nastąpiła chwila ciszy.

- Jeśli jest coś, o czym chciałaby nam pani coś powiedzieć, pani Moore, to teraz jest najlepsza pora - odezwał się wreszcie Sam.

- Nic takiego nie ma.

Obserwując ją, dostrzegł coś, co mogło być unikiem lub zwykłym staroświeckim zdenerwowaniem, ponieważ wypytywali ją detektywi prowadzący śledztwo w sprawie ponurego podwójnego morderstwa.

- Może coś pani widziała? - zapytał Martinez.

- Nigdy nie wiadomo, co okaże się ważne - dodał Sam łagodnie.

- Pewnie tak, jeśli coś by było - powiedziała Ally.

- Ale nie było? - chciał wiedzieć Martinez.

- Oczywiście że nie. W przeciwnym razie już bym wam powiedziała.

- I nie potrafi sobie pani przypomnieć, kto wspomniał o tej „dziwacznej plastikowej rzeczy”? - dążył Sam.

- Nie, bardzo mi przykro.

- Może jednak - naciskał Martinez.

Ally Moore bezradnie potrząsnęła głową, aż zaatakowały lekko rude włosy.

- Miałam nadzieję, że będę mogła pomóc.

- Już pani pomogła. - Sam wskazał dokumenty na stole. - Jest jeszcze jedna sprawa, jeśli pani pozwoli.

- Oczywiście.

- W domu znaleziono krew - powiedział Sam. - Jest jej niewiele i niemal na pewno nie łączy się ze zbrodnią, ale tak samo jak w przypadku odcisków palców byłoby dobrze, gdyby zgodziła się pani dobrowolnie dostarczyć próbkę do zbadania DNA.

Teraz młoda kobieta wyglądała na wytrąconą z równowagi.

- Chodzi o ślinę, nie krew - dodał Sam.

- Przypomina pani sobie, czy kiedyś zraniła się pani w galerii? - zapytał Martinez.

- Nie. Nigdy.
- To mogło być małe zadrapanie - wyjaśnił Sam. - Coś, co ledwo pani zauważyła.
- Dlatego lepiej mieć pewność - uzupełnił Martinez.
- Próbkę pobierzemy tylko za pani zgodą - ciągnął Sam.
- Nie ma najmniejszych powodów do obaw.
- Dobrze - powiedziała Ally.
- Dziękuję pani - odrzekł Sam.
- Znaleźliście moje odciski w środku? - zapytała.
- Oczywiście.
- Więc gdybyście nie mieli moich odcisków do porównania, szukalibyście jakiejś nieznaney osoby - zauważyła Ally.
- Trafiła pani w dziesiątkę - stwierdził Martinez.

Sam i Martinez wrócili do tej chwili później, gdy skończyli przedzierać się przez materiały przygotowane przez Ally Moore. Przy pierwszym przesiewie nie znaleźli nic, co na pierwszy rzut oka byłoby użyteczne; eksponaty z akrylu okazały się rzeźbami zwierząt, które Samowi wydały się marną imitacją Steuben Glass.

- Więc skąd się dowiedziała o plastiku? - zapytał Martinez.

Siedzieli w chevy zaparkowanym na Collins Avenue, obok przechodzili miejscowi i turyści, ciesząc się słonecznym przedpołudniem i szukając miejsca, żeby zjeść lunch, zanim niektórzy z nich wyruszą na plażę.

- Nie mam pojęcia - odparł Sam.

Żaden nie kupił jej historyjki o techniku paplającym głośno o szczegółach śledztwa.

- Myślisz, że mogła podsłuchiwać przez dziurkę od klucza? - zapytał Martinez.
- Rzecz ujmując metaforycznie.

- Nie - odparł Sam.

- Ja też nie sędzę.

- Może ten ogrodnik do niej zadzwonił?

- Więc dlaczego nic nam o tym nie powiedziała?

Od Josepha Mulhooona nie mogli się tego dowiedzieć, jeszcze nie, bo ogrodnik, który okazał się porządnym staruszkim, wciąż leżał podłączony do respiratora w Miami General.

- Może jednak weszła, zanim przyszedł Mulhooon - powiedział Martinez - ale jest tym zażenowana i dlatego nam nie mówi.

- Nie sędzę.

- Myślisz, że częściej tam wchodziła?

- A może pozwalała na to komuś innemu? Obaj znowu pomyśleli o krwi i kokainie.

- Może spotykała się tam z kochankim - zastanawiał się Martinez. - Trudno nazwać ten dom miłosnym gniazdkim, ale ludzie mają różne gusta.

- Mówiła, że to miejsce wydaje się niesamowite.

- Uważasz, że jest podejrzana?

- No cóż. - Sam wzruszył ramionami. - Jak dobrze wiemy, wszystko jest możliwe.

- Mnie bardziej prawdopodobny wydaje się Beatty.

- To dlatego, że go nie lubisz - odparł Sam. Oboje zostali już sprawdzeni.

- Założę się, że nie wyrazi zgody na pobranie próbki śliny - powiedział Martinez. Zaraz potem zadzwonił jego telefon.

- Cześć, Jessie. Co się dzieje?

- Tak mi przykro, Al - powiedziała przygnębiona.

- Stało się coś? - Serce zaczęło mu bić szybciej.

- Nie, tylko muszę zostać w pracy. Jedna z dziewczyn straciła sporo plików na swoim komputerze, więc zaproponowałam, że jej pomogę. Dopiero potem przyszło mi do głowy, że powinnam była uzgodnić to - tu zniżyła głos niemal do szeptu - z moim narzeczonym.

Zerkając na przyjaciela, Sam zobaczył na jego twarzy uśmiech. Z rodzaju tych, które wszystkim dokoła poprawiają samopoczucie.

23

Kiedy wrócili na posterunek, zadzwonił Elliot Sanders. Powiedział, że badanie kleju trochę potrwa, choć niewykluczone, że nie uda im się stwierdzić, jakiego rodzaju użyto.

- Ale jedno jest pewne - dodał patolog. - Jeżeli klej nie pochodzi z przemysłowego pojemnika, należy założyć, że ilość potrzebna do tego zadania mogła się wydać dziwna sprzedawcy.

- Jeśli jednak kupiono klej przez Internet, o wiele trudniej będzie wysledzić nabywcę - zauważył Sam.

Dotarcie do miejsca, skąd pochodziła plastikowa kopia wcale nie było proste.

- Wciąż się zastanawiam - powiedział Martinez. - Wygląda na element używany na wystawach.

- To może być rekwizyt teatralny - zauważyła Beth Riley.

- Albo filmowy.

- Niewykluczone, że jest fragmentem jakiejś większej naukowej imprezy, której nawet nie potrafimy sobie wyobrazić

- zasugerowała Mary Cutter.

- Chryste - jęknął Martinez. - Więc teraz pozostaje nam tylko rozpracować tę „imprezę”.

Przysunęli krzesła do stojącego w kącie biurka Sama. Beth Riley usiadła pod starym plakatem *Aidy* z Florida Grand Opera.

- Może to coś z filmu science fiction - powiedziała.

- Jakby ją odwrócić - sierżant Alvarez, który właśnie do nich dołączył, patrzył na fotografię przypiętą do korkowej tablicy wiszącej koło plakatu - mogłaby to być gigantyczna salaterka.

- Nie ma podstawy - stwierdził sucho Sam. - Kołysałaby się.

- Kojarzy mi się z rodzajem klatek, w których w zoo albo w laboratorium trzymają niebezpieczne owady - powiedziała Beth. - Musi być pod nią bardzo gorąco i duszno.

- Sam od razu stwierdził, że ofiary wyglądają jak okazy - zauważył Mike Alvarez.

- Albo eksponaty - dodał Sam. - Chociaż moim zdaniem pokaz jest tu sprawą kluczową.

- Podoba mi się też pomysł rekwizytów filmowych - powiedział Martinez.

- No to do roboty. - Sam wstał, czując nowy przypływ energii.

- Plany filmowe, ogrody zoologiczne, firmy urządzające wystawy, wszyscy, którzy mogli tę naszą rzecz sprzedać albo im zginęła.

- Tak jest. - Beth Riley także się podniosła.

- Możliwe też, że sprawca znalazł ją na śmietniku. - Martinez zobaczył wyraz twarzy Sama i podniósł ręce. - Wiem, wiem, musimy szukać wszędzie.

Ani na krok nie zbliżyli się do odkrycia rzeczywistego miejsca popełnienia zbrodni. Dom Eastermanów dostarczył jeszcze mniej tropów niż dawna galeria,

przesłuchania krewnych, przyjaciół i kolegów z pracy wprawdzie dopiero się rozpoczęły, ale nic nie wskazywało na to, że ci ogólnie i szczerze lubiani młodzi ludzie mieli jakiegoś czającego się w cieniu wroga.

Suzy Easterman ilustrowała głównie książki dla dzieci, Michael Easterman był architektem specjalizującym się w budownictwie usługowym i z jego nazwiskiem nie łączyła się żadna afera, nikt nie zamierzał też pozywać do sądu ani jego samego, ani firmy, w której pracował.

Czyli tych dwoje wybrano przypadkowo. Sprawa piekielnie przerażająca i jeszcze trudniejsza do rozwiązania.

Morderstwa były niezwykle sprawnie zorganizowane. I pełne pychy.

Sama dręczyła myśl, że o ile Eastermanowie nie zostali ofiarami tej potwornej, straszliwej zbrodni z jakiegoś szczególnego powodu, umysł lub umysły, które były za nią odpowiedzialne, mogą planować powtórkę.

Na razie w komputerze nie pojawiło się nic, co by wskazywało, że ktoś popełnił takie morderstwo wcześniej w południowej Florydzie czy gdziekolwiek na obszarze Stanów Zjednoczonych.

Ale każdy morderca kiedyś zaczyna.

24

Elizabeth zasnęła na chwilę, miała krótki moment odpoczynku, ucieczki.

Ale teraz znowu była przytomna i przemarznięta. Andre nie zmienił pozycji, przynajmniej jednak zyskała pewność, że żyje, dzięki Bogu, bo przed sekundą jego łopatki nieznacznie się poruszyły i usłyszała oddech...

Coś przyciągnęło jej uwagę.

Coś innego.

Ruch. Nie w klatce, niezupełnie w klatce, ale... Na ścianie z lewej strony przesuwały się kształty. Monochromatyczne postaci w czarno-białym filmie. Niemym.

Z dwuosobową obsadą. Elizabeth i Andre.

25

Sam i Martinez pojechali do Milton Zuckerman Home, renomowanego domu opieki przy Biscayne Boulevard, który znajdował się kilka przecznic na północ od Aventura Mail. Mieli spotkać się tam z panią Marilyn Myerson.

Przestudiowali dokumenty od Larry'ego Beatty'ego, w tym raport lekarza geriatry potwierdzający alzheimera, ale musieli się przekonać na własne oczy.

Beatty powiedział im, że demencja pani Myerson jest bardzo zaawansowana, i mówił prawdę.

Nie zdołali wydobyć choćby kilku składnych słów z tej biednej kobiety.

- Wiem, że jesteśmy na służbie, ale kieliszek dobrze by mi zrobił - powiedział Martinez, kiedy wyszli na ciepłe słońce.

- Świetnie cię rozumiem - odparł Sam, bo choć obaj ze względu na własne zdrowie psychiczne wyrobili w sobie jakąś odporność na cierpienie, oglądanie udreki niewinnych ludzi wciąż bywało trudne. - Może wreszcie mi opowiesz o wczorajszym wieczorze? - zapytał, kiedy wsiedli do samochodu.

- Już ci mówiłem. Zgodziła się.

- Wszystko poszło tak, jak zaplanowałeś?

- Spieprzyłem sprawę - odparł Martinez. - Myślałem, że kompletnie zawałem.

- A jednak nie.

- Skończyło się na tym, że oświadczyłem się jej w samochodzie! Siedziała tu, gdzie ty, możesz w to uwierzyć?

- Jasne. Mieliście piękny widok na zatokę?

- Byliśmy na parkingu - wyjaśnił sucho Martinez.

- A ona mimo to się zgodziła - uśmiechnął się Sam. - Musi naprawdę cię kochać.

- Na to wygląda - powiedział Martinez ze zdumieniem w głosie.

Włączył silnik; smutny los starszej pani, która niegdyś była właścicielką wielkiej posiadłości i galerii sztuki przy Collins, już zaczynał blaknąć w ich pamięci, chociaż Sam zastanawiał się, czy ktokolwiek odwiedza panią Myerson i czy starszka jest na tyle świadoma, by to zauważyć.

- Dlaczego na parkingu? - zapytał dopiero teraz.

- Tonący brzytwy się chwyta. Wiedziałem, że gdybym poczekał, aż dojedziemy do domu, znowu zabrakłoby mi odwagi. - Martinez się uśmiechnął. - Człowieku, do śmierci będę kochał ten parking.

26

Na ścianie z lewej strony było coś w rodzaju ekranu z drobnej siatki, którego Elizabeth nie zauważyła, dopóki nie zaczął się „film”, choć przypuszczała, że musiał tam wisieć przez cały czas.

Zastanawiała się, która może być godzina, ale w żaden sposób nie potrafiła tego określić; pomyślała, że może tak jest lepiej, och, dobry Boże, jak bardzo przemarzła, musi obudzić Andre, musi się do niego przytulić...

Film był niemy, ale słyszała cichy szum aparatury.

Nikt nie zapłaciłby za możliwość obejrzenia go w kinie, ale Elizabeth nie potrafiła oderwać wzroku od ekranu.

Ona i Andre siedzieli gdzieś i rozmawiali.

Rozmawiali, rozmawiali bez końca.

W żaden sposób nie mogła stwierdzić, gdzie byli, kiedy ich filmowano - kiedy ich szpiegowano - ponieważ ujęcia przedstawiały głównie zbliżenia twarzy; po jakimś czasie pojęła, że to seria zmontowanych krótkich sekwencji. Ubrania czy raczej widoczne na ekranie ich fragmenty nie pomagały w ustaleniu daty i miejsca, ponieważ ona miała na sobie białe bawełniane bluzki, które zwykle wkładała do kostiumów, i często w tym samym stroju szła na drinka lub kolację prosto z pracy, a Andre nosił swoje ulubione dopasowane koszule Brooks Brothers...

Jej długie do ramion ciemnobrązowe włosy w każdej sekwencji były inaczej uczesane, związane w ogon, rozpuszczone, częściowo spięte spinkami z szylkretu, ale Elizabeth miała za wielki zamęt w myślach, żeby poszukać w pamięci, jaką fryzurę nosiła przy różnych okazjach.

Seans hipnotyzował, bo pomimo niezręcznego montażu to wciąż była całość, wyświetlana na okrągło; czasami oboje z Andre mówili jednocześnie, czasami jedno mówiło, drugie słuchało, a czasami była to pośpieszna wymiana zdań, ale tylko to stanowiło temat każdego obrazu: rozmowa.

Na koniec ostatniego ujęcia, na koniec pętli, kamera najeżdżała na ich twarze, tak że usta wydawały się jeszcze większe, co za każdym razem doprowadzało Elizabeth do gwałtownych mdłości; chciała wtedy odwrócić wzrok, ale miała straszne, przesadne wrażenie, że jeśli to zrobi, jej życie, życie ich obojga może się zakończyć wraz z tym chorym filmem.

Zbyt się bała, żeby rozważać znaczenie obrazów na ścianie, zastanawiać się, kto puszcza film, czy robi to za pomocą pilota, a może jest obok i widzi ją wpatrzoną w ekran, wyłączyła więc dociekliwą część swego umysłu, która zawsze stanowiła znaczący rys jej osobowości, i po prostu utkwiała wzrok w przesuwających się obrazach.

Chciało jej się krzyczeć.

Wiedziała, że jeśli cała ta sytuacja potrwa dostatecznie długo, w końcu to zrobi.

Tylko że może tym skłonić reżysera filmu do działania. Może go skłonić do przyjscia tutaj.

- Proszę - powiedziała bardzo cicho. - Proszę, proszę, proszę...

Spojrzała na Andre, mężczyznę, którego kochała, nagle rozdarta pomiędzy radością, że nie cierpi, a wściekłością, że nie ma go przy niej, bo w takim stanie był zupełnie bezużyteczny, a ona oczywiście go kocha, ale...

- Proszę - powtórzyła.

I znowu spojrzała na ludzi na ścianie. Którzy jej udreżonemu umysłowi wydawali się coraz bardziej obcy.

27

W czwartek po południu Grace wybrała się z Joshuą na zakupy.

Rano przyjęła dwoje pacjentów i teraz była wolna aż do następnego dnia. Słońce dodało jej energii, u Laurenza na West Dixie kupiła dyniowe ravioli, na targu - owoce i ryby, a całą resztę w Publiksie. Chociaż już zostawiła kilka toreb w domu Davida, bagażnik toyoty wciąż był załadowany.

Teraz przyjechała do Saula. Zmieniwszy Joshui pieluszki, siedziała na spokojnym tarasie, z którego rozciągał się widok na kanał Intercoastal Waterway, i popijała mrożoną herbatę. Przed chwilą wróciła z pracy Cathy; od progu oznajmiła, że zamierza biegać po plaży, jak tylko przetrawi wielki talerz penne, który Dooley przygotował dla niej na koniec zmiany. Kiedy Grace przyjechała, Saul był za rogiem w swoim małym wynajętym warsztacie przy North Bay Road i wykańczał zamówiony komplet plażowy: stół i krzesła. Meble wyglądały pięknie,

na ich widok Grace ogarnęła duma z młodego szwagra - a teraz takie samo uczucie budziła w niej Cathy, uszczęśliwiona i zadowolona.

- Wujek Sol! - zawołał nagle Joshua. Saul w szortach i T-shircie z obciętymi rękawkami krzyknął wesoło i złapał bratanka w objęcia. Po sekundzie dołączyła do nich Cathy i zaczęła, łaskotać braciszka w brzuszek.

- Caffii! - pisnął Joshua z radością.

- Joshi! - odpowiedziała w tym samym stylu Cathy.

- Mamusiu! - Joshua chciał, żeby Grace także się z nimi bawiła, ale ona dalej siedziała, ciesząc się chwilą i myśląc, że śmiech małego dziecka to na pewno jeden z najpiękniejszych dźwięków na świecie.

Kiedy wczoraj w nocy skończyli się kochać, Sam powiedział, że Martinez ma zamiar oświadczyć się Jess, i Grace poczuła, jak serce jej topnieje na myśl, że ten dobry człowiek także zasmakuje takiego życia.

Cudowny czas.

Najlepszy.

28

W czwartek wieczorem szczury były same, po jedzeniu nie został ślad.

Izabela Siódma siedziała spokojnie w swojej części klatki, za to odseparowany od niej Romeo był głodny i coraz bardziej się denerwował. Jakiś czas temu potrzeba zdobycia jedzenia zagnała go do jednego z otworów wentylacyjnych klatki, niewielkiej szczeliny po zewnętrznej stronie, której opiekun nie zauważył.

Gryzienie sprawiało mu satysfakcję.

Wolność zapewni mu pokarm.

Ten młody szczur nie był żadnym pokojowym pieskiem, nie wychował się w domu. Romeo Piąty był najzwyczajszym dzikim szczurem, *Rattus rattus*, których wszędzie pełno jak śmieci, smukłym, pełnym wdzięku gryzoniem z szarym grzbietem i o odcień jaśniejszym brzuchem, czuł się szczęśliwy, wgrzyzając się w izolację, druty czy rury jak większość jego pobratymców.

Gdyby Romeo miał bezpośredni dostęp do Izabeli albo innej samicy, pewnie zastanowiłby się, czy od razu uciekać, w każdym razie jeszcze raz by na nią wskoczył. Ale Izabela nie była dostępna.

Dlatego Romeo gryzł.

Przez cały czas oddawał mocz i wydalał kał.

Jak każdy szanujący się dziki szczur.

29

Elizabeth usłyszała nowy odgłos.

- Andre - syknęła, rozpaczliwie pragnąc go w końcu ocucić, chcąc, by tu z nią był.

Ale ten pełen życia mężczyzna, młody, sprawny i inteligentny, który kochał się z nią z tą samą żarliwością, z jaką pracował - ten mężczyzna leżał teraz, obrabowany z sił, wi-talności i godności przez porywaczy.

Film wciąż się wyświetlał, lecz Elizabeth przestała go oglądać i na chwilę po-grążyła się we śnie, by po przebudzeniu na nowo uświadomić sobie swoje straszliwe, przerażające położenie; pęcherz ostatecznie nie wytrzymał, co sprawiło, że z upokorzenia się rozplakała. Nie mogła nic na to poradzić, przesunęła się tylko bliżej ściany, z dala od własnego moczu i jeszcze dalej od Andre.

Nigdy nie czuła się taka samotna.

Usłyszała zbliżające się nowe dźwięki.

Coś grzechotało, toczyło się, trzeszczało.

Pewnie koła.

Rozległ się szcęk klucza w zamku.

Elizabeth zwróciła szeroko otwarte z przerażenia oczy w kierunku hałasu, bezskutecznie usiłując przebić wzrokiem ciemność zalegającą przestrzeń przed klatką.

Klucz się obracał, niewidoczne drzwi zaczęły się otwierać i do pomieszczenia wpadł promyk światła, który rozlał się w trójkąt, choć momentalnie zasłoniła go wchodząca do środka postać. Trójkąt skurczył się i znikł, kiedy drzwi na powrót zostały zamknięte i znowu zapadła nieprzenikniona ciemność.

Elizabeth poczuła dreszcz przerażenia.

- Andre - szepnęła po raz ostatni.

Znowu pomyślała o ojcu, siostrze i zmarłej matce.

Serce dziwnie ją bolało.

Może pękało.

30

Myśli Sama raz po raz odrywały się od śledztwa i wędrowały ku niespodziance, którą przygotowywał na urodziny Grace przypadające pierwszego marca.

Niczego nie będzie się spodziewała, bo to trzydzieste dziewiąte urodziny, ale Sam nie chciał czekać cały rok na okrągłą rocznicę. Grace już teraz zasługiwała na coś wyjątkowego, na czterdzieste urodziny przygotowuje dla niej coś innego, jeszcze wspanialszego, o ile pozwolą na to fundusze; spadek po matce bardzo

poprawił ich sytuację finansową, a Judy pochwaliłaby syna za takie rozpieszczanie żony, ponieważ bardzo przywiązała się do synowej w ciągu pięciu wspólnie spędzonych lat.

Tak więc na te urodziny Sam zaplanował rejs - statek wypływał z Fort Lauderdale trzy dni przed wielkim dniem.

Sam martwił się tylko, że niespodzianka może okazać się aż nazbyt zaskakująca, bo nigdy wcześniej nie brali pod uwagę rejsów wycieczkowych i niewykluczone, że obojgu ta wycieczka zupełnie nie przypadnie do gustu, Bóg wie, że ich dotychczasowe doświadczenia z łodziami były skromne i dalekie od przyjemnych... Z drugiej strony *Stardust* należący do linii First International wcale nie był mały, a Sam chciał, by oboje oderwali się od normalnego życia; mógł sobie pozwolić tylko na kilka dni wolnego, a rejs oszczędzał mu konieczności długich lotów i wyczekiwania na lotniskach. Jeśli się okaże, że trafią na złą pogodę, zapadną na chorobę morską albo nie spodoba im się spędzanie urlopu z tłumem obcych, to co tam, do diabła, to tylko cztery doby, które spędzą razem, z dala od domu...

Na myśl, że zabierze Gracie, która spodziewa się najwyżej obiadu w rodzinnym gronie, prosto na piękny statek, Sama ogarniało miłe ciepło.

Na razie mało kto wtajemniczony był w ten plan, tylko ojciec Sama, Martinez, sierżant Alvarez i kapitan Kennedy, bo ich musiał powiadomić, zanim zarezerwował miejsca w First International. Niedługo powie także Cathy i Saulowi, jako że potrzebował ich pomocy w rozegraniu intrygi i nie mógł z tym długo zwlekać.

Problem w tym, że przed wyjazdem trzeba było rozwiązać sprawę podwójnego morderstwa, a nic nie wskazywało na bliski przełom, dlatego Sam powinien całą uwagę poświęcić pracy, a nie myśleć o rejsie.

Kiedy w poniedziałek rano Karen Christou podniosła w sypialni żaluzje i wyjrzała na tylny ogródek, najpierw wybuchnęła głośnym śmiechem, bo ktoś splatał brzydkiego psikusa temu sukinsynowi, jej mężowi.

Potem przyjrzała się uważniej.

Przestała się śmiać.

Zaczęła krzyczeć.

Tak głośno, że obudziła sąsiadów.

Ale nie zmarłych.

Wielu egzotycznych ryb i krewetek rozrzuconych na trawniku.

A także dwojga nieszczęśników, którzy zajęli miejsce ryb w tysiącilitrowym akrylowym akwarium.

Elliot Sanders, którego powiadomił dyżurny patolog Mike Dietrich, o dziesiątej dwadzieścia dwie zadzwonił do Sama.

- Musicie tam z Alem pojechać - powiedział. - Do parterowego domu przy Prairie Avenue. Mamy następne ofiary - ciągnął. - To znaczy dwie.

Sam poczuł, jak zaciskają mu się wnętrzności.

- Ten sam sposób działania?

- Niezupełnie, ale wystarczająco podobny.

- Przecięte gardła? - zapytał Sam.

- Tak. Przecięte, nie poderżnięte.

- Klej?

- Tak - odparł Sanders.

Właścicielka domu wciąż była w szoku, kiedy przyjechali policjanci.

Ładny dom, błyszczące białe ściany, dach z czerwonych dachówek, pięknie rozplanowany ogród i drzwi wejściowe w hiszpańskim stylu.

Teraz to miejsce zbrodni.

Neal Peterson, funkcjonariusz z patrolu, który pierwszy tu przybył, od dawna znał Sama i Martineza. Powiedział, że mąż pani Christou już tu jedzie ze swojego domu w Boca Raton. Jest właścicielem restauracji.

- Są w separacji, nie po rozwodzie - dodał. - Wygląda na to, że niezbyt się lubią.

- Myślisz, że rozpoznała ofiary? - zapytał Sam.

- Nie wydaje mi się, żeby dokładnie się przyjrzała - odparł Peterson. - Nie powiem, że mam o to do niej pretensje.

Sam i Martinez ruszyli na tyły domu. W nozdrza uderzył ich odór zdechłych ryb, w słońcu nabierający intensywności.

- Ładne, naprawdę ładne. - Elliot Sanders powitał ich kiwnięciem głowy.

- Jezu - mruknął Sam.

Ofiary leżały w ogromnym akwarium. Kobieta i mężczyzna, oboje rasy kaukaskiej, dwudziestoparoletni. Kobieta leżała na mężczyźnie.

Twarzą w twarz.

Na trawniku pełno było ryb i krewetek.

Zbiornik miał dwieście czterdzieści pięć centymetrów długości i tylko sześćdziesiąt centymetrów głębokości. Łącznie z kamienną podstawą wysokość całości dochodziła do stu piętnastu centymetrów i nie istniała możliwość, żeby ktoś wszedł do środka.

- Zaraz zaczną wycinać otwór - powiedział Sanders - ale będzie pełno kurzu, choćby nie wiem jak uważali, więc poprosiłem, żeby poczekali, aż się przyjrzy-cie, zorientujecie w sytuacji.

- Dzięki - odparł Sam; jego umysł i ciało wzdragały się przed tym widokiem.

Martinez z kamienną twarzą już szkicował miejsce zbrodni.

Patolog poczekał, aż Sam dokładnie przestudiuje układ zwłok, a potem kiwnął głową do dwóch mężczyzn w uniformach ochronnych, którzy stali pod białą kamienną ścianą z plastikowymi płachtami i potężną piłą.

- Trochę czasu potrwało, zanim zebrali wszystko co trzeba z trawników i zewnętrznej ściany zbiornika - mówił Sanders. - Później przewiozą całe to cholerstwo na platformie, ale Mike Dietrich i ja zdążyliśmy dobrze się przyjrzeć.

Mężczyźni w kombinezonach byli sprawni jak drwale i precyzyjni jak chirurdzy. Wycięli potężny kawałek grubego akrylu i zdołali większą część kurzu i ścinek zachować po zewnętrznej stronie zbiornika.

Patolog wszedł pierwszy, stąpając ostrożnie po śladach techników; bez pośpiechu przeprowadził badanie i wrócił do detektywów.

- Stężenie jeszcze nie ustąpiło - oznajmił. - Umyci i przeniesieni po śmierci. Narzędzie zbrodni może być to samo. Więcej szczegółów później. Teraz wasza kolej.

Podobnie jak Eastermanowie ofiary były za życia atrakcyjnymi młodymi ludźmi, ale ta kobieta miała długie do ramion ciemne włosy, mężczyzna natomiast jasne i krótko ostrzyżone. Chociaż twarze obojga były częściowo niewidoczne, nie ulegało wątpliwości, że kobieta cierpiała bardziej niż jej partner, który - jak pomyślał Sam - wyglądał niemal spokojnie.

- Przykucnijcie i nachylcie się - odezwał się stojący za nimi Sanders. - Zobaczcie klej. Podejrzewam, że jest go więcej, ale trochę już widać na pewno.

- Chryste Panie - mruknął Martinez. Sam odetchnął cicho.

- Tym razem usta. - W głosie Sandersa brzmiała odraza.

- Nie będziemy w stanie stwierdzić, czy klej wypełnia całe wnętrze jamy ustnej, dopóki nie przewieziemy ich do nas.

- Obserwując detektywów, którzy przyglądali się uważnie zwłokom, dodał: - Nie widzę śladów wokół genitaliów.

- Trafiliśmy na potwora - stwierdził ponuro Martinez.

- Może jest ich więcej - dodał Sam.
- Jeśli był jeden, musiał się ciężko napracować.
- Niewykluczone, że jeden jest mózgiem, który dowodzi oddziałem.

Wyprostowali się i jeszcze raz spojrzeli wokół. Sprawca najpierw dokonał masakry ryb, wyrzucając wszystkie na trawę, potem spuścił wodę, a następnie umieścił w zbiorniku ciała.

- Moim zdaniem zostali bardzo ostrożnie opuszczeni - powiedział Sanders. - Żeby nie zepsuć układu i wyklejaneł.

Sam odwrócił się i znowu przykucnął. Mrużąc oczy, przyglądał się części trawnika, która została ogrodzona.

Podwójne ślady kół wyglądem podobne do tych w galerii.

- Moim zdaniem to łóżko szpitalne - powiedział. - Może takie, w którym reguluje się wysokość. To bardzo ułatwiłoby sprawę pojedynczemu sprawcy.

- Kolejna pozycja do listy zakupów - odparł Martinez.

- Kosztowna.

- Wcale nie, jeśli ukradli łóżko ze szpitala - sprzeciwił się Sanders. - Może z podnośnikiem, co pomogłoby przy opuszczaniu ciała.

- Sporo sprzętu do dyskretnego przewiezienia - stwierdził Sam i rozejrzał się. - Nie ma kamer. - Spojrzał na dom.

- Pani Christou musi mieć cholernie twarde sen, skoro nic nie słyszała.

- Jej sąsiedzi też - dodał Martinez, robiąc notatki.

- Przypuszczam, że można to było zrobić całkiem cicho - powiedział Sam. - Dobrze naoliwione kółka jadące głównie po trawie. Spuszczenie wody ze zbiornika.

- A ryby nie krzyczą - zauważył Elliot Sanders.

Anthony Christou przyjechał niecałe pół godziny później, poszedł na tylny dziedziniec z Samem i Martinezem, a potem wyraźnie roztrzęsiony i bliski łez wrócił z nimi do domu, gdzie w salonie siedziała na sofie jego żona i paliła papierosa.

Zaciągnięte zasłony odgradzały ich od przerażającej sceny, z klimatyzacji płynęło chłodne powietrze, ale pokój był nieprzyjemnie zadymiony, a pięć czerwonych od szminki niedopałków leżało w wielkiej szklanej popielnicy na stoliku z marmurowym blatem.

- No i masz to, czego zawsze chciałaś - powiedział agresywnie Christou.

Był krępy męczyzną o ciemnych włosach pokrytych żelem i zaczesanych gładko do tyłu, ale kręcących się lekko na karku. Miał na sobie czarny T-shirt i dzinsy, a w jego brązowych oczach malowały się gniew i prawdziwe cierpienie, tak odebrał to Sam.

- Co ty, kurwa, myślisz, że miałam z tym coś wspólnego? - zapytała jego żona.

- Nienawidziłaś ich.

Karen Christou miała turkusowe oczy (Sam podejrzewał, że taki odcień zapewniły szkła kontaktowe), popielate włosy z blond pasemkami wyglądały na starannie wyszczotkowane. Pani Christou w którymś momencie poświęciła też chwilę, żeby umalować usta, choć wciąż była owinięta w długi szlafrok z zielonego jedwabiu, który jak powiedział im Peterson, miała na sobie, kiedy przyjechał patrol.

- Na wypadek gdybyś nie zauważył, w środku są dwa martwe ciała.

- Zauważyłem, kurwa. Nie jestem ślepy. Karen spojrzała na detektywów.

- A na wypadek gdybyście się zastanawiali, kogo zdaniem mojego męża nie-
nawidziałam, wyjaśniam, że chodzi o ryby, nie o tych biedaków. - Nagle popłaka-
ła się, wyciągnęła chusteczkę z pudełka na stoliku.

Christou opadł na fotel i zakrył dłonią oczy.

Sam i Martinez wymienili spojrzenia, bez słów uzgadniając, że przez jakiś czas
nie będą tym dwojgu przeszkadzać w swobodnym wyrażaniu myśli.

- Pewnie myślicie, że to idiotyczne - Christou bezwładnie opuścił dłoń na kola-
na - dorosły mężczyzna płacze z powodu ryb.

- Nie bardzo - odparł Sam.

- Chodzi o to, że bardzo się starałem, żeby miały dobre życie.

- Na pewno - powiedział Martinez.

- Dlatego kupiłem takie wielkie akwarium - ciągnął Christou. - Bo uznałem, że
jeśli chcę podziwiać ich piękno, muszę dać im tyle przestrzeni, ile to możliwe, a
teraz...

- Tak bardzo je kochał, że od nich oszedł. - Karen Christou zgasła papierosa.

- Oszedłem od ciebie, nie od ryb - sprostował Anthony.

- Przyrzekł, że przeniesie akwarium, ale jego przyrzeczenia są nic nie warte,
wiecie? - ciągnęła Karen. - Musiałam codziennie je karmić, cholera, bo był zbyt
zajęty, żeby samemu to robić.

- Ja pracuję, pamiętasz?

- Żeby zarobić na hodowanie ryb w pieprzonym podgrzewanym akwarium.

Sam i Martinez znowu spojrzeli na siebie.

- OK - powiedział Sam. - Dość tego.

- Trochę szacunku - dodał Martinez.

- Mamy kilka pytań - ciągnął Sam.

- Przepraszam - odezwał się Anthony Christou. - Słucham.

- Usiądźcie, proszę. - W głosie Karen Christou pobrzmiwał lekki wstyd. Plastikową zapalniczką zapaliła następnego marlboro light. - Może napijecie się kawy?

- Dziękujemy, nic nam nie trzeba. Sam i Martinez usiedli w fotelach.

- Musisz to robić? - Anthony spojrzał na papierosa w dłoni żony.

- A jak myślisz? - odparła, po czym zwróciła się do Sama:

- Przeszkadza to panom?

- To pani dom.

- Ale nasze płuca - zauważył Anthony.

Karen zaciągnęła się głęboko i odwróciła plecami do męża.

- Mówiłam już gliniarzom, którzy pierwsi tu przyjechali, że nie znam tych ludzi. - Głos miała spokojniejszy. - Choć nie przyjrzałam im się z bliska. - Jej turkusowe oczy otworzyły się szeroko. - Błagam, nie każcie mi znowu na nich patrzeć.

- W odpowiednim czasie pokażemy państwu fotografie - odrzekł Sam. - Tylko twarze. Na wszelki wypadek.

- Jasne. Nie ma sprawy. - Anthony przeżegnał się gwałtownym, urywanym ruchem, a potem pokręcił głową. - Naprawdę bardzo mi przykro.

- Wszystko w porządku - powiedział Sam.

- To musiał być straszny szok - dodał Martinez.

- Ciebie przynajmniej ostrzeżono - wtrąciła Karen. - Wyobraź sobie, co ja przeżyłam.

- Wiem - odrzekł Anthony.

- Nie rozumiem - ciągnęła jego żona. - Dlaczego my? - Otuliła się mocniej szlafrokiem, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

- Dlaczego tutaj, chciałaś powiedzieć - poprawił Anthony.

- To nie ma z nami nic wspólnego.

- Ale to pana ogródek - zauważył Martinez.

- Przecież ja nawet już tu nie mieszkam - odparł Anthony.

- Jesteś niewiarygodny - stwierdziła Karen; dostrzegłszy wyraz twarzy Sama, pokręciła głową. - Przepraszam.

- Ale wy chyba nie myślicie, że to może mieć coś wspólnego z nami? - zapytał jej mąż.

- A przychodzi panu do głowy jakiś powód, dla którego mielibyśmy tak myśleć? - zapytał Sam.

- Jasne, że nie.

- Mój mąż pracuje w branży restauratorskiej - oznajmiła Karen.

Sam nie był pewien, czy to miało wykluczać wszelkiego rodzaju przestępczość lub wrogi stosunek do ludzi, czy wręcz przeciwnie.

- Jest pan właścicielem restauracji? - zapytał Martinez, jakby pierwszy raz o tym słyszał.

- Trzech - uściślił Christou. - Wszystkie specjalizują się głównie w rybach przyrządzanych według greckich przepisów.

Co oznaczało, że w karcie dań nie ma gulaszu i strogonowa, pomyślał Sam.

- Między innymi dlatego tak lubiłem zajmować się moimi ślicznotkami - ciągnął Anthony. - Bóg wie, że mam na sumieniu mnóstwo ugotowanych i usmażonych ryb, więc uznałem, że w taki sposób im się odwdzięczę, rozumiecie?

- Jasne - zgodził się Martinez. W jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. - Sprzedajecie dania na wynos?

Jego myśli biegły tym samym torem co myśli Sama.

- Niektórym klientom. Dla nas to żaden interes.

- Przedtem pracowałam z Anthonym - wtrąciła Karen. - Teraz siedzę w domu i opiekuję się jego pieprzonymi rybkami.

U tych dwojga złość czaiła się tuż pod skórą.

- Świetna robota - stwierdził Christou sarkastycznie.

- Odpieprz się - warknęła jego żona.

- Miłe. - Anthony spojrział na detektywów. - Oni naprawdę nie muszą tego słuchać, Karen.

- A my musimy? - zapytała.

Minęła chwila wypełniona może nie rozejmem, ale przynajmniej milczeniem. Potem Christou wstał.

- Muszę się napić. Ktoś ma ochotę?

- Nie, dziękuję - powiedział Sam.

- Ja też dziękuję - dodał Martinez.

Czekali, aż Anthony otworzy barek i naleje do kryształowej szklanki whisky na dwa palce, po części spodziewając się, że pani Christou zaprotestuje, ale zawieszenie broni trwało.

- Kto poza waszymi przyjaciółmi i sąsiadami mógł wiedzieć o akwarium? - zapytał Sam.

- Mnóstwo ludzi. - Christou wrócił na miejsce i napił się whisky. - Na przykład nasi goście.

- We wszystkich restauracjach na ścianach wiszą wielkie fotografie akwarium - wyjaśniła Karen.

- A w „Miami Today” był o nim artykuł - powiedział Anthony.

- I recenzja restauracji w „Heraldzie” kilka lat temu - dodała Karen.

- Nie wydaje mi się, żeby wspomniano w niej o akwarium.

- Christou na moment umilkł. - Jeden z funkcjonariuszy powiedział mi, że musimy się wynieść, ponieważ dom jest teraz miejscem zbrodni. To prawda?

- Niestety tak - potwierdził Sam.

- Ale przecież... - Karen Christou nagle uświadomiła sobie nowy horror. - Chyba nie myślicie, że zabito ich tutaj? Przecież tylko ich tu zostawiono po tym, jak...

- Niemal na pewno przeniesiono ich tutaj - powiedział Sam.

- Dzięki Bogu... Więc gdzie ja się podzieję?

- Możesz zamieszkać u mnie. - W głosie Christou brzmiała niechęć.

- Mogę zatrzymać się w hotelu? - Karen zignorowała jego propozycję.

- Oczywiście. W hotelu, u rodziny, u przyjaciół - odrzekł Sam.

- Pod warunkiem że poznamy miejsce pani pobytu - dodał Martinez.

Do państwa Christou dotarła wreszcie powaga sytuacji.

- O mój Boże, Tony! - jęknęła Karen, znowu bliska łez.

- Opowiedz mi o tym - poprosił jej mąż.

- Co za para - stwierdził Sam, gdy wyszli z domu.

- Cieszę się, że już nas tam nie ma - odrzekł Martinez. Co nie znaczyło, że mogli odczuwać wielką ulgę, wciąż

mając przed oczami makabryczną scenę w ogródku na tyłach domu.

To nie było tylko brutalne zabójstwo.

To był powtórnie dokonany szczególny rodzaj upokorzenia. Obaj odczuli go bardzo intensywnie, całą duszą.

A potem, jak zawsze bywało w przypadku najgorszych zbrodni, obu dodało to energii, napełniło ich determinacją, by wykonać pracę, jak najlepiej wykorzystując posiadane umiejętności.

I na tym nie poprzestać.

33

Z sąsiadami Karen Christou poszczęściło im się o tyle, że prawie wszyscy byli w domach, kiedy Sam i Martinez do nich zapukali. Na tym jednak szczęście się skończyło, bo nikt się nie przyznał, że widział lub słyszał coś podejrzanego wczoraj wieczorem i w nocy.

Ale przynajmniej wszyscy zostali przepytani, więc można ich było skreślić z ciągle wydłużającej się listy żmudnych, rutynowych zadań do wykonania. Wszystkie były żmudne i rutynowe, wymagały tym większej staranności, że brakowało głównego tropu. Nie znaczy to, że Sam i Martinez narzekali, wiedzieli przecież, że ta robota tak wygląda, że warto to wszystko zrobić, bo w końcu dotrą do celu. Co sprawy nie ułatwiało, ale w końcu za to im płacono i byli to winni ofiarom.

Wielka sprawa.

Dzisiaj był jeden plus.

Jessica Kowalski nie miała służby, ale usłyszawszy o nowych morderstwach, poczuła wielką potrzebę zaopiekowania się swoim nowiutkim narzeczonym, przyniosła więc lunch dla niego i jego partnera.

Chrupiące bułeczki, kanadyjski cheddar, zimny kurczak, woda mineralna.

- Nie wzięłam wina, bo prowadzicie śledztwo - powiedziała.

- Żartujesz? - odparł Martinez. - Jak to wszystko zjemy, będziemy spać do wieczora.

- Jest tego za dużo - zasmuciła się Jessica. - Nie pomyślałam.

- Za dużo? - powtórzył Sam. - To najmilsza rzecz, jaką kiedykolwiek w tej pracy ktoś dla nas zrobił.

-I mogłem się z tobą zobaczyć - dodał Martinez.

- Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że możemy się do tego przyzwyczać - powiedział Sam.

Policzki Jess się zarumieniły.

-Przypuszczam, że Grace nie bardzo ma czas na takie rzeczy, bo pracuje i opiekuje się dzieckiem.

- Och, byłabyś zaskoczona, gdybyś widziała, ile Grace potrafi zrobić. - Sam uśmiechnął się z dumą.

Poza tym niewiele było dzisiaj dobrych rzeczy.

Nie mieli nic nowego w sprawie podwójnego zabójstwa.

Teraz już poczwórnego.

- Jaka jest definicja seryjnego zabójcy? - zapytała Jessica tuż przed wyjściem.

- Wszystko, tylko nie to - odparł Martinez i zaraz odpukał w drewno. - Mamy taką nadzieję.

- Zabicie co najmniej dwóch osób w pewnym okresie to chyba rzecz podstawowa - wyjaśnił Sam. - Chociaż gliniarze nie biorą pod uwagę takiej ewentualności, jeśli nie mają dowodów bardziej jednoznacznych niż nasze.

- Innymi słowy, muszą być kolejne zabójstwa - dodał Martinez.

- Boże broń - odrzekła Jess.

Wszyscy zaangażowani w śledztwo mieli jednak nieprzyjemną świadomość, że teatralne elementy zabójstw aż nazbyt wyraźnie świadczą o możliwości, że sprawca lub sprawcy zechcą ukoronować swoje „osiągnięcie” trzecią parą.

Boże broń, jak powiedziała Jess.

I nagle po południu wreszcie coś się pojawiło.

Kilka ziarenek piasku znalezionych w śladach kół na trawniku państwa Christou.

Pozornie drobiazg, zważywszy, że Paririe Avenue znajduje się w Miami Beach. Technicy jednak stwierdzili, że to nie jest charakteryzujący się złotą barwą i ostrymi krawędziami piasek z Miami Beach.

Piasek ze śladów był biały i delikatniejszy, bardziej przypominał piasek znad zatoki albo nawet z północno-zachodniej części Florydy, gdzie mieli najczystszy, najbielszy piasek w całym stanie - niewykluczone też, że pochodził z jednego z licznych w okolicy pól golfowych. Technicy próbowali zanalizować go dokładnie, by zawęzić miejsce pochodzenia, ale to wymagało czasu. Na razie wiedzieli tylko, że to nie jest piasek z miejscowej plaży, i nikt nie potrafił odgadnąć, czy to pomoże w złapaniu zabójców ofiar z akwarium.

Ale przynajmniej coś mieli.

Kiedy Sam wrócił do domu, było już za późno na taki piątkowy wieczór, jaki uwielbiał, za późno na świece i rodzinne zebranie przy stole szabasowym; nawet Grace, której przodkowie byli włoskimi katolikami i szwedzkimi protestantami, nauczyła się cenić te wieczory - Becketowie świetnie się bawili, kiedy przy okazjach w rodzaju Święta Dziękczynienia wymieniali swoje liczne rasowe, narodowe i religijne dziedzictwa; aż do narodzin Joshui Sam zawsze się upierał, że zdobył pierwsze miejsce w konkursie tygla narodowościowego jako afrykańsko-bahamsko-episkopalno-żydowsko-amerykański potomek zbiegłego niewolnika.

Dzisiaj wieczorem było już późno i chociaż synek smacznie spał, Grace czekała na męża z zupą z wołowiny i ziemniaków, gotową do pokrojenia ciabattą i resztkami dobrego chianti, które pili wczoraj w nocy.

Sam pocałował żonę, opadł na krzesło i podrapał za uchem Woody'ego, który oparł się o jego nogę.

- Wszyscy mnie dzisiaj rozpieszczają - oznajmił.

Już wcześniej opowiedział jej o Jess, która przyniosła lunch.

- To znaczy, że sobie zasłużyłeś - odparła Grace.

- Skoro mowa o tym, co można schrupać. Popatrz na siebie.

Grace nie miała na sobie jakiegoś zmysłowego stroju - nie nosiła koronek czy skąpej bielizny - ale potrafiła jego starej białej koszuli nadać wygląd bardziej seksowny niż jakakolwiek rozkładówka w „Gentlemen's Quarterly”.

- Wyglądasz na skonanego - zauważyła, nalewając zupę.

- To prawda. Jestem skonany.

- Zbyt zmęczony, żeby porozmawiać o pewnym pomysle? - Postawiła miseczkę przed Samem, ukroiła kawałek ciabatty i naląła wina do kieliszka.

- Jasne, że nie. - Ujął ją za rękę. - Dziękuję, Gracie.

- Proszę bardzo. - Uwielbiała w nim to, że wciąż zadawał sobie trud, żeby dziękować jej za drobne uprzejmości.

- Jaki to pomysł? - Zjadł łyżkę zupy. - Ależ to dobre.

- Jak myślisz, czy Al będzie miał coś przeciwko temu, jeśli urządzimy przyjęcie dla niego i Jess?

Sam uniósł brwi zaskoczony.

- Chciałabyś to zrobić? Grace usiadła kolo męża.

- Bo wiesz, jakoś nie potrafię wyobrazić sobie Ala urządzającego takie przyjęcie, a mam wrażenie, że sprawiłoby im to radość, więc jeśli twoim zdaniem pomysł jest dobry, to z przyjemnością się wszystkim zajmę.

- Naprawdę jesteś wyjątkową kobietą - powiedział Sam.

- Mam rozumieć, że się zgadzasz?

- Oczywiście, tylko nie jestem pewien, czy możemy zaprosić ludzi z wydziału.

- Więc oni naprawdę nikomu nie powiedzieli? - Grace się skrzywiła. - W takim razie nie mam pojęcia, kogo zaprosimy. Nigdy nie słyszałam, żeby Al mówił o przyjaciółkach spoza pracy.

- W gruncie rzeczy nie ma prywatnego życia.

- Nie miał - poprawiła go. - Teraz ma.

- Więc niech to będzie rodzinny obiad, my jako jego rodzina.

- Mnie to odpowiada. I jeszcze jedno: zrobimy im niespodziankę czy powinniśmy to z nimi skonsultować?

- Myślę, że powinniśmy powiedzieć Alowi, a jeśli się zgodzi, niech sam zdecyduje, czy chce zaskoczyć Jess. - Sam nie sądził, by dał radę zorganizować więcej niż jedną niespodziankę na raz.

- Zostaje największy problem - powiedziała Grace. - Prowadzicie to śledztwo i musicie znaleźć sobie wolny wieczór.

Sam westchnął: niestety, to była prawda.

- Poczekajmy, co przyniosą następne dni. - Ujął łyżkę, ale zaraz ją odłożył. Apetyt całkiem mu minął.

- Zidentyfikowaliście tę parę?

- Nawet nie wiemy, czy faktycznie byli parą.

- Dobry Boże - westchnęła Grace.

34

14 LUTEGO

Romeo Piąty zaginał w akcji.

Opiekun nie wiedział, czy bardziej go to martwi, czy mu imponuje.

Od samego początku nie ulegało wątpliwości, że Romeo to macho, a teraz stało się jasne, że także twardziel, w dodatku bardzo niezależny, zresztą prawdę mówiąc, i tak niedługo musiałby odejść.

Tak się zresztą złożyło, że dobre wiadomości przeważały złe.

Izabela Siódma była w ciąży.

Jasne, że tak, w końcu płodna z niej mamuśka.

W ten weekend opiekun nie zamierzał męczyć jej statystykami, postanowił, że pozwoli Izabeli cieszyć się odmiennym stanem w spokojnym odosobnieniu.

Kto wie, może Romeo znowu się pojawi.

W końcu tutaj czekają na niego jedzenie i seks.

35

W niedzielę rano zespół zebrał się na naradę; urządzili ją w swojej sali, a nie w konferencyjnej, ponieważ większość pozostałych pracowników miała wolne.

To już dla nich druga robocza niedziela z rzędu, wczoraj wieczorem też musieli pracować do późna - co nie znaczy, by któryś z nich czuł się jakoś nadmiernie przywiązany do walentynek, rzecz w tym, że byli zmęczeni, a niektórzy mieli rodziny. Jak większość kolegów, Sam także po staroświecku pragnął zostać w domu z Grace i Joshuą, co zdarzało się cholernie rzadko. Zwykle jednak siedział po godzinach, by nadrobić zaległości w pracy papierkowej, a nie z powodu brutalnych zbrodni.

Przez większość czasu pracowali i mieszkali w spokojnym mieście.

Tym bardziej mieli powód, żeby chronić je najlepiej, jak potrafili.

Dzisiaj rano w planach była burza mózgów oraz ponowne omówienie informacji; dołożą wszelkich starań, by odświeżyć umysły i wyjść z czymś nowym i pożytecznym.

Jeden, dwaj czy nawet więcej sprawców - to pytanie wciąż pozostawało bez zadawalającej odpowiedzi. Nie mogli na sto procent stwierdzić, że mają do czynienia z silnym, wysoce zorganizowanym osobnikiem, który działa w pojedynkę, czy też sprawca znalazł sobie pomocnika - i to była największa nadzieja na słabe ogniwo. Sam przyniósł na to spotkanie obrzydliwą listę seryjnych morderców w przeszłości działających parami lub w zespołach na terenie Stanów Zjednoczonych i na świecie. Należało przejrzeć; może jakiś element tamtych śledztw pomoże im na nowo spojrzeć na sprawę.

Na tablicy wisiało więcej zdjęć niż dwadzieścia cztery godziny temu. Dwoje NN dołączyło do Eastermanów, a poniżenie bezimiennych ofiar zawsze sprawiało, że Sama bolało serce.

Wszystkich dręczyło jedno pytanie, które pierwszy wypowiedział głośno Martinez:

- Wciąż nie łapię, jaką cholerną wiadomością jest to akwarium?

-I w jaki sposób odnosi się do kopuły? - dodał Sam.

- Akwarium jest z akrylu - zauważyła Riley.

Idea zabójcy z obsesją na punkcie akrylu nikogo jednak nie przekonała.

Koncepcja wystawy była oczywista, ale poza nią nie potrafili wskazać żadnego ogniwa łączącego ogród nieczynnej galerii z tylnym ogródkiem zamieszkanego luksusowego domu.

Zapewne sprawca podrzucał swoje ofiary w tych miejscach tylko dlatego, że było to łatwiejsze od włamywania się do budynków.

- No i jest większe prawdopodobieństwo, że wystawy szybciej zostaną odkryte - powiedziała Cutter. - Chociaż to bardziej odnosi się do domu państwa Christou.

- Do galerii też, jeśli znali rozkład pracy ogrodnika - odparł Sam. - Co by oznaczało, że miejsca porzucenia zwłok zostały starannie wybrane.

- Ale czy to znaczy, że ofiary wybrano mniej lub bardziej przypadkowo? - zapytała Riley.

Zadzwoił telefon. Elliot Sanders miał najnowsze ustalenia.

- Przełączam na głośnik, doktorze - powiedział Sam.

- Ten sam nóż albo cholernie podobny - zaczął patolog. - Mamy zawartość żołądka: wołowina, bakłażan, pomidory i ser.

- Musaka - skomentowała Riley.

- Greckie restauracje Christou - dodał Martinez.

- W jego restauracjach serwuje się ryby - zauważył Sam.

- Ale na pewno wie, jak zrobić musakę - upierał się Martinez.

- Podwyższony poziom środków uspokajających - ciągnął Sanders. - Znowu temat. Więcej we krwi mężczyzny, może dlatego, że więcej zjadł na kolację. Niewykluczone, że przed śmiercią był nieprzytomny... Dalsze szczegóły podam później, ale pomyślałem, że chcecie o tym wiedzieć.

- Musimy ustalić, czy ofiary lubiły grecką kuchnię - stwierdził Sam.

- Ja zaczęłabym od ustalenia nazwisk - odparła Beth Riley.

- Przez tę musakę państwo Christou stają się bardziej interesujący - powiedział Martinez.

- Tylko że u Eastermanów był gulasz - zauważyła Cutter. -1 ryba - uzupełnił Martinez.

- Zapędzamy się, koledzy - wtrącił Sam. - Co prawda państwo Christou nie wzbudzili we mnie sympatii, ale jakoś nie wydają mi się na tyle szaleni, żeby zabić tych ludzi i ułożyć ich we własnym akwarium, nie wspominając już o telefonie na policję...

- Dzwoniła Karen, nie Anthony - zauważył Martinez.

- Może wybrano ich ogródek z innych powodów, nie tylko z powodu akwarium - powiedział Sam.

Z głośnika na biurku Sama rozległ się głos Sandersa:

- Wciąż tu jestem.

- Przepraszam, doktorze - powiedział Sam.

- Oboje mieli klej w ustach, mnóstwo kleju. Pokusiłbym się jednak o stwierdzenie, że istota sprawy, polegała na połączeniu ich ust w taki sam sposób, w jaki Eastermanowie byli połączeni niżej. Może to podnieca sprawców, ale ustalenie tego faktu pozostawiam już wam.

- Usta i biodra - zauważył kwaśno Martinez, kiedy patolog się rozłączył. - Myślicie, że to poeta?

- Pamiętaj, że to nie były biodra - odparł Sam.

- Pewnie, że pamiętam. - Martinez pokręcił głową. - To jest chore.

Tuż przed lunchem wpłynęło zawiadomienie o zaginięciu.

Zaczynał się koszmar kolejnych dwóch rodzin.

- Dwoje prawników z tej samej firmy - powiedział Sam do Martineza, przesuwając wzrokiem po wydruku. - Nie byli małżeństwem, nawet nie mieszkali razem, ale bez wątplenia stanowili parę.

Elizabeth Ann Price, lat trzydzieści trzy, i o rok starszy Andre Duprez od czwartku rano nie pojawili się w kancelarii prawniczej przy Biscayne Boulevard. Zaginięcie zgłosiła bliska przyjaciółka i koleżanka z pracy Michelle Webster, która tamtego dnia miała wolne, ale uznała, że coś jest nie tak, kiedy nie przyszli także w piątek, a potem wiedziała na pewno, że stało się coś złego, bo nie odpowiadali na jej esemesy ani nie odbierali telefonów stacjonarnych, komórek ani Skype'a.

- Pani Webster próbowała sobie wmówić, że zaszaleli, choć to zupełnie do nich nie pasuje, i wzięli kilka dni niezaplanowanego urlopu - czytał Sam. - Ale potem pojechała do domu pani Price w North Miami Beach i zobaczyła, że bmw pana Dupreza stoi zaparkowane na ulicy, a honda pani Price jest w garażu.

Michelle Webster zeznała, że wstrzymała się jeszcze do sobotniego popołudnia, mówiąc sobie, że mogli wyjechać samochodem przyjaciół albo taksówką czy też po prostu postanowili spędzić weekend poza miastem. Ale te ewentualności nie wydawały jej się przekonujące, więc w końcu wybrała się do mieszkania Andre Dupreza w Miami Shores, gdzie namówiła dozorcę, żeby wpuścił ją do środka, bo chce się przekonać, czy wszystko jest w porządku.

Najwyraźniej było. Nic nie wskazywało na to, żeby w ostatnich dniach Andre jadł coś w domu sam albo z Elizabeth. Michelle zeznała, że w kuchni panował nieskazitelny porządek, ale kiedy rozglądała się po pokojach w towarzystwie dozorcey, zobaczyła, że wszystkie walizki łącznie z małą torbą są na miejscu.

Sam odłożył raport.

- Żadnych śladów walki, o ile potrafiła stwierdzić.

- Weszła do domu pani Price? - zapytał Martinez.

- Nie miała klucza... Ojciec i siostra Elizabeth mieszkają w Sarasocie, matka nie żyje. Andre Duprez pochodzi z Quebec City, zimowy ptak, który przyleciał tu jakieś dziesięć lat temu i został. Rodzice żyją, mieszkają w Kanadzie.

Dotarły fotografie dostarczone w sobotę przez Michelle Webster.

Dwoje atrakcyjnych młodych ludzi bawiących się na przyjęciu. Brunetka z wysokimi kośćmi policzkowymi i śmiejącymi się ustami, ubrana w prostą, elegancką czarną sukienkę. Krótko ostrzyżony blondyn w białej koszuli rozpiętej pod szyją, wyraziste rysy, inteligentne niebieskie oczy.

Nie było już wątpliwości.

Przed upływem godziny policja z Sarasoty odwiedzi Edwarda Price'a, ojca Elizabeth. Podobnie będzie w Quebec City. W obu miastach funkcjonariusze załatwią wszystko tak, by rodziny jak najszybciej mogły przylecieć do Miami.

Potrzebna jest zgoda na przeszukanie mieszkań obojga zabitych. Policja wystąpi o nakaz, by ustalić, czy do morderstwa doszło pod którymś z adresów, a także czy styl życia ofiar, a nawet upodobania dotyczące sztuki mogą być ogniwem łączącym tych dwoje z parą z Oates Gallery.

Tymczasem Sam i Martinez spotkają się z Michelle Webster i pojedą do kancelarii prawniczej Tiller, Valdez, Weinman na rozmowę z dwojgiem starszych wspólników, którzy zgodzili się pomóc w ustaleniu możliwych związków pomiędzy zamordowanymi parami.

Innych niż rodzaj śmierci.

Teraz przynajmniej dwoje NN ma nazwiska.

36

Tuż po trzeciej po południu spotkali się z Michelle Webster w biurze patologa. Młoda kobieta zidentyfikowała swoich bliskich przyjaciół na podstawie przerażających fotografii i była roztrzęsiona. Powiedziała detektywom, że przyjaźniła się z Elizabeth, ale polubiła też Andre.

- Po prostu nie mogę w to uwierzyć. To do mnie nie dociera. Była drobna, miała około stu sześćdziesięciu centymetrów wzrostu, krótkie kruczoczarne włosy i oczy w niemal takim samym odcieniu. W oprawce owalnych okularów połyskiwały maleńkie kamienie i to był jedyny błyszczący element w wyglądzie tej młodej, ubranej na czarno kobiety.

Mówiła z trudem, jakby sprawiało jej to ból, a słowa przeplatały się ze szlochem. Sam i Martinez wątpili, czy dzisiaj uda im się wydobyć z Michelle Webster jakiegokolwiek użyteczne informacje.

Odnosili się do niej łagodnie, powiedzieli, że Edward Price i jego młodsza córka Margie wylądują na Miami International późnym wieczorem, a Gerard i Claudine Duprez mają na jutro zarezerwowany pierwszy poranny lot z Quebec City.

- Czy odwieźć panią do domu? - zaproponował Sam. Michelle pokręciła głową.

- Chyba bym nie zniosła powrotu do domu, pojedę do kancelarii. - Dostrzegła ich wahanie. - Wiem, że jest niedziela. Nie zamierzam pracować, tylko tam po-

siedzieć. Już dzwoniłam do Rachel. - Rachel Weinman, była starszym wspólnikiem.

- Tak, wiemy - odparł Sam. - Sami też tam niedługo jedziemy.

- Zrobiłam źle, mówiąc jej o tym? - zapytała Michelle ze strachem.

- Ależ nie - zapewnił Sam. - Potrzebuje pani wsparcia.

- Na razie mam do pani tylko jedno pytanie - włączył się Martinez.

- Proszę mówić do mnie po imieniu. I proszę pytać o wszystko. Bardzo chcę wam pomóc.

- Czy pani przyjaciele lubili grecką kuchnię?

- Tak, od czasu do czasu. - Nagle dotarł do niej fakt kryjący się za tym pytaniem i w jej oczach pojawił się nowy żal zmieszany ze strachem.

- Bardzo pani współczujemy - powiedział Martinez. Nic więcej nie mogli dodać.

Sala recepcyjna w kancelarii Tiller, Valdez, Weinman była nowoczesna, kosztownie urządzona i budząca zaufanie - Sam podejrzewał, że dla niektórych klientów do momentu, gdy rozmowa przechodziła na honoraria.

Dwoje wspólników już czekało. Na widok ich poważnych twarzy Michelle Webster znowu wybuchnęła płaczem. Rachel Weinman, krępa kobieta z krótkimi siwymi włosami, ubrana w grafitowy kostium ze spodniami i czarną bluzkę, przytuliła dziewczynę, a Victor Valdez, wysoki, szczupły, w eleganckim ciemnym garniturze, poklepał ją po ramieniu. Wyjaśnił, że trzeci wspólnik, Stephen Tiller, obecnie przebywa w Berlinie.

- Gdyby jednak trzeba było się z nim skontaktować, mogę wam podać jego numer - dodała Rachel. - Albo on zadzwoni do was, jak sobie życzycie.

- Wyobrażam sobie, że na tym etapie chcecie przede wszystkim porozmawiać z kolegami Elizabeth i Andre, aczkolwiek raczej będzie można to załatwić dopiero jutro rano - powiedział Valdez.

- Jutro wystarczy - odparł Sam.

- Na razie mam dla panów kopie teczek personalnych obojga - odezwała się Rachel. - Jak pewnie wiecie, Andre pochodził z Kanady, ale był członkiem Flo-rydzkiej Rady Adwokackiej.

- Był. - Michelle zadrżała.

- To straszne. - Mecenas Weinman westchnęła.

- Tacy inteligentni młodzi ludzie. - Valdez pokręcił głową. - Mieli przed sobą wyjątkowe kariery.

- Mieli przed sobą całe życie - sprostowała pani Weinman.

Teraz i w jej oczach błyszczały łzy.

Wróciwszy do samochodu, Sam i Martinez zgodzili się, że prawnicy sprawiali wrażenie bardzo przyzwoitych ludzi. Samowi podobało się ich wspólne działanie, gdy ustalali, kto odbierze Price'ów z lotniska i pełne taktu traktowanie zdruzgotanej Michelle; bez arogancji załatwiali trudne sprawy, przygotowali firmowe mieszkanie na wypadek, gdyby Edward i Margie Price'owie nie zarezerwowali pokoju w hotelu.

- Jednym słowem mamy następną porządną, sympatyczną młodą parę - podsumował Martinez.

Wspólnicy zapewniali, że nic nie wiedzą o żadnych wrogach czy rozgniewanych klientach.

- Na to wygląda - zgodził się Sam.

- Cholernie przygnębiające - powiedział Martinez.

Uzyskali nakaz przeszukania, poszli więc z ekipą techników przyjrzeć się domowi Elizabeth Price.

Jeśli porwano oboje razem, to najprawdopodobniej stąd, ponieważ tutaj zostały ich samochody, dlatego technicy szczególną uwagę poświęcili garażowi i drzwiom prowadzącym do domu. Jak zawsze rozpoczęto od gromadzenia dowodów i fotografowania, na razie nie używano środków chemicznych, bo technicy czekali ze zdejmowaniem odcisków, aż detektywi przyjrzą się wszystkiemu dokładnie.

Wzięto odciski Michelle Webster, żeby móc je wykluczyć, ale nikt tak naprawdę się nie spodziewał, że znajdą tu coś jednoznacznego, chociaż liczyli, że kolejny nakaz zezwalający na przejrzenie taśm z kamer monitorujących bramę w uliczce może coś dać.

Sam i Martinez, obaj w ochronnych kombinezonach i rękawiczkach, ostrożnie krążyli po małym, ładnym domu i dotykali przedmiotów tylko w razie konieczności. Nie natrafili na nic nieoczekiwanego. Ładne, dobrej jakości meble i sprzęty, wystrój stonowany, bez nadmiernej ekstrawagancji, mnóstwo książek, głównie ustawionych w porządku alfabetycznym na półkach. Część nosiła ślady częstego użytkowania: prawnicze tomy, biografie, pamiętniki, powieści różnych autorów, od Jane Austen przez Kafkę do Grishama. Dwie książki, *Biko* Donalda Woodsa i *Dreams from My Father* Baracka Obamy leżały na stoliku koło kanapy, a trzecia, *The Good Mother* Sue Miller na kuchennym blacie; we wszystkich trzech strony zaznaczono skórzanymi zakładkami.

W każdym pomieszczeniu były fotografie, niektóre zapewne przedstawiały rodzinę, na jednej w pięknych ramach promienni Elizabeth i Andre stali na pokładzie jachtu. Poza tym prywatnych drobiazgów było mało. Dwie szafy wypełniała damska garderoba i buty, w większości dość konserwatywna, w jednej części zajmowały męskie ubrania, przypuszczalnie należące do Andre. Z kosza wysypywały się rzeczy do prania. Detektywi nie znaleźli notatnika, tylko na lodówce wisiały karteczki przypominające o zakupach. Kuchenne noże, których teoretycznie mógł użyć sprawca, zostały umyte i odłożone na miejsce - choć nikt nie potrafił stwierdzić, czy czegoś brakuje.

W lodówce niczego szczególnie interesującego nie było: jogurt, woda mineralna, butelka sauvignon blanc, czerwone jabłka, cztery jajka i sos do sałaty, choć bez sałaty.

- Przypuszczam, że robiła zakupy w weekendy - powiedział Sam.

Myśl o młodej kobiecie budziła w nim smutek.

Myśl o obojgu wywoływała rosnący gniew.

Gabinet Elizabeth na piętrze był dobrze rozplanowany, wszystko stało na miejscu, choć technicy niedługo dokładnie go przeczesały, a laptop z biurka starannie sprawdzą w poszukiwaniu tropów mogących wyjaśnić, z jakiego powodu ta młoda prawniczka i jej chłopak padli ofiarą morderstwa.

W domu nic nie wskazywało na użycie przemocy, panował w nim ład, podwójne łóżko w sypialni na piętrze było starannie zasłane, podobnie jak u Eastermanów; detektywi zastanawiali się, czy Elizabeth zawsze tak je zostawiała, czy też robił to ktoś inny, równie zręczny jak powiedzmy Mayumi Santos?

- Moje łóżko nigdy tak nie wygląda - zauważył Martinez.

- Może też miała gospodynię - odparł Sam.

- Może pani Santos chałturzyła na lewo.

- Znowu przesadzasz.

- No to pozwij mnie do sądu - zaproponował Martinez.

Podobnie, choć niezupełnie, było w mieszkaniu Andre Dupreza, mieszczącym się na drugim piętrze apartamentowca Juniper Terrace. Brak śladów włamania, użycia przemocy czy nawet bytności kogoś obcego, choć tutaj łóżko było rozgrzebane, na poduszkach widniały wgniecenia po głowie i wszystko wskazywało na to, że młody Kanadyjczyk pracował w salonie na jakiś czas przed porwaniem lub dobrowolnym wyjściem.

- Tu też nie ma brudnych naczyń - zauważył Martinez. Sam palcem otworzył szufladę.

- Nie za dużo ostrych noży.

- Ile noży potrzebuje facet? - zapytał Martinez. - Ja mam jeden wielki i jeden mały.

Sam zmarszczył nos.

- Czujesz coś?

Martinez pociągnął nosem i w jego ciemnych oczach zapalił się ostry błysk.

- Musaka?

- Może. - Sam był ostrożniejszy. Martinez otworzył drzwi lodówki.

- Bingo.

Sam obejrzał się przez ramię, zobaczył jeden błyszczący bakłażan, pół opakowania pomidorów i starty ser kefalotiri.

- Zostawione specjalnie dla nas?

- Tak myślisz? - Martinez poskrobał się po głowie. - Chociaż jeśli Duprez sam gotował, to kto, kurwa, dodał środków uspokajających?

W koszu na śmieci nie znaleźli resztek jedzenia, zaświecili latarką do zsypu - technicy później go wymontują i zbadają dokładnie wnętrze oraz rury - który na razie wyglądał równie czysto i lśniaco jak reszta kuchni.

- Nie kupuję tej całej higieny - powiedział Martinez. - Dom Price wyglądał porządnie, ale to tutaj nie jest normalne.

W łazience znaleźli aspirynę Bayera, tylenol i butelkę przeterminowanego syropu na kaszel.

- Nie ma temazepamu - stwierdził Martinez.

- Co to jest? - Sam wskazał buteleczkę stojącą w głębi na górnej półce.

Martinez przyjrzał się dokładniej.

- Propanolol. To coś znaczy?

- Z czymś mi się kojarzy. - Sam wpisał nazwę do wyszukiwarki w komórce. - To betabloker... - Przesunął wzrokiem po tekście. - Nadciśnienie... niepokój... Nie wspomniano o problemach zdrowotnych u Eastermanów, ale powinniśmy sprawdzić, czy któreś nie brało leków na stany lękowe, może nawet chodziło do terapeuty.

- Wspólny psychiatra to dobre ogniwo - zauważył Martinez.

- Za dobre, żeby było prawdziwe - odparł Sam. - Trzeba dodać ten lek do badania toksykologicznego.

Wyszli z mieszkania do windy, żeby zjechać do garażu, ale musieli poczekać, bo ktoś z trzeciego piętra pojechał na pięte.

- Wiesz, u Eastermanów była Mayumi, która dbała o porządek w domu... - Schludność wciąż dręczyła Martineza. - ...ale facet, zajęty prawnik...

- Więc jak myślisz, porwano go z mieszkania? - zapytał Sam.

- Tylko że to nie ma sensu, skoro jego samochód stoi przed domem Elizabeth.

Ktoś wstrzymywał windę na piątym piętrze. Sam zastukał w drzwi.

Martinez znowu zastanawiał się nad kuchnią.

- Więc jeśli mamy myśleć, że sam przyrządził musakę...

- Może zabójca guzik się przejmuje tym, co myślimy - powiedział Sam. - Może te składniki to tylko zabawa i on wie, że się zorientujemy.

- Czyli mamy gracza albo dwóch.

Sam nie odpowiedział, wspominając największego niegodziwca, z jakim miał do czynienia, drania, który prowadził nikczemne gry, w chwili własnej śmierci odpowiedzialnego za odebranie życia wielu ludziom.

Jego głównym celem była Cathy.

Winda nadjechała. Sam wszedł do środka.

- Nie ma kamery - powiedział.

- Ale pomocne, kurwa - odparł Martinez.

A jak chwilę później się przekonali, w garażu wisiała tylko atrapa, może dlatego, że lokatorzy Juniper Terrace nie chcieli ponosić dodatkowych kosztów.

Niewykluczone też, że mieszkając w okolicy takiej jak Miami Shore, gdzie wskaźniki przestępstw są niskie, nie wierzyli, że kiedykolwiek mogą potrzebować systemu alarmowego.

-Więc na razie mamy dwie atrakcyjne młode pary - powiedział Sam, gdy przyglądali się miejscu parkingowemu Dupreza z wymalowaną białą farbą numerem mieszkania 3B. - Młodzi, zamożni, skupieni na karierze. Może Suzy Easterman mniej niż pozostali, chociaż tego nie wiemy na pewno.

-Tylko że to wszystko dotyczy sporej części mieszkańców okręgu Miami-Dade - zauważył Martinez. - Więc dlaczego akurat oni? Nawet jeśli wybrano ich przypadkowo, coś musiało sprawić, że uwaga zabójcy skupiła się właśnie na nich.

- W dodatku nie byli jedynie celami, ale eksponatami - powiedział Sam.

- Co znowu kieruje naszą uwagę na galerię.

- A może to też jest tylko kolejnym elementem gry.

38

Niedzielny wieczór Martinez spędzał u Jess, w kawalerce na parterze kamienicy przy Północno-Wschodniej Sto Sześćdziesiątej Siódmej w North Miami Beach.

Kawalerka była ciasna, ale na nic więcej Jess nie mogła sobie pozwolić, za to okolica sympatyczna, a Jess wykorzystwała przestrzeń najlepiej, jak umiała. Urządziła sobie maleńki ogródek, w którym hodowała pomidory; choć musiała zasłonić je siatką, bo ptaki częstowały się nimi prosto z krzaków. Przez jakiś czas miała kotkę Violet, nazwaną tak od oczu koloru zmierzchu (Martinez wtrącił, że nie zna nikogo, kto używałby jeszcze tego słowa). W czasie gdy Jess była w pracy,

kotką opiekował się sąsiad, ale potem się wyprowadził i razem z nim zniknęła Violet, a Jess przysięgła sobie, że nie weźmie innego zwierzaka, dopóki nie będzie mogła poświęcić mu czasu.

- Nigdy nie miałem zwierząt - przyznał Martinez; prawdę mówiąc, nie był pewien, czy chciałby trzymać w domu kota albo psa.

- Ale je lubisz? - zapytała Jess. - U nas był kundel Chudzielec, tak nazwał go tata. Kochałam Chudzielca, spał ze mną w łóżku i wysłuchiwał wszystkich moich sekretów.

- Jasne, że lubię zwierzęta - odparł Martinez, ponieważ nie chciał jej rozczarować, a poza tym naprawdę lubi! Woody'ego, psa Becketów. - Chociaż chyba wolę psy od kotów, bez obrazy dla Violet.

- Nie przejmuj się. Psy są bardziej lojalne.

Czasami Martinez czuł się w jej mieszkaniu trochę przytłoczony, takie było małe, i zdecydowanie wolał swój dom, zwłaszcza teraz, kiedy Jessica tak często w nim bywała, ale wizyty u niej wydawały się właściwe, trzeba zobaczyć rzeczy osobiste tej drugiej osoby, żeby naprawdę ją poznać, a on pragnął dowiedzieć się o Jess wszystkiego, co tylko się dało.

Fotografie - miała ich wiele - powiedziały mu najwięcej. Przedstawiwały rodzinę Kowalskich i Chudzielca, na jednym była kotka. Ojciec Jess, George (naprawdę na imię miał Jerzy, ale je zmienił, bo Amerykanie mieli trudności z wymową), wyglądał na sympatycznego, otwartego faceta, natomiast mama, Monika, na niektórych zdjęciach była wyraźnie spięta. Na jednym Jess, mniej więcej siedmioletnia, siedziała ojcu na kolanach, a matka stała w niezręcznej pozie z boku; może Monika nie lubiła osoby robiącej zdjęcie, a może po prostu należała do ludzi, którzy nie chcą się fotografować.

- Mówiłam ci, skąd wzięło się moje imię? - zapytała go dzisiaj Jessica, kiedy skończyli kolację złożoną ze spaghetti i pulpecików, chyba najlepszych, jakie Martinez w życiu jadł. Nie miałoby dla niego znaczenia, gdyby Jess była marną kucharką, ale z drugiej strony nic nie szkodziło, że umie gotować.

- Bo twój tata miał bzika na punkcie Jessiki Lang w *King Kongu*.

- O Boże! - jęknęła. - Powtarzam się, a nie cierpię tego.

- Ja cały czas to robię - powiedział Martinez.

- Nieprawda.

- Ale to miła historia. Myślę, że wszystko, co dotyczy twojego ojca, jest dla ciebie ważne, a mnie to nie przeszkadza. - Przytulił ją i pocałował w usta, które smakowały mocno doprawionymi pomidorami. - Chcę dzisiaj u ciebie zostać.

- Ale w domu jest ci wygodniej.

- Nigdzie nie jest mi tak wygodnie jak w twoich ramionach - odparł Martinez.

Obudził się tuż po północy, niedługo po tym, jak oboje zasnęli. Wcześniej pozmywali, obejrzelili odcinek „Medium”, pieszcząc się na niewygodnej kanapie, a potem się kochali.

Po sosie czosnkowym chciało mu się pić, poszedł więc bosy do łazienki i nalał sobie do szklanki wody z kranu. Stał w drzwiach do ogrodu i patrzył na księżyc, rozmyślając o swoich zmarłych rodzicach, zwłaszcza o mamie Alicii, najserdeczniejszej kobiecie, jaką w życiu spotkał.

Spojrzał na Jessie, na jej włosy rozrzucone na poduszce, lekko rozchylone usta, twarz niewinną i słodką jak u anioła - choć lepiej niż inne kobiety wiedziała, jak podczas seksu doprowadzić go do szaleństwa - i po cichu wrócił do łóżka.

Śledztwo wdarło się w jego myśli, wszyscy psychopaci świata próbowali wczołgać się do łóżka, ale szybko ich odpędził i przytulił się do kobiety, która miała zostać jego żoną.

Pani Martinez, Boże kochany.

Nawet najbardziej popieprzeni mordercy nie byli w stanie zepsuć mu cudownego samopoczucia.

16 LUTEGO

To był wypełniony zajęciami poniedziałek dla Sama i Mar-tineza.

Zaczął się obiecująco od pierwszego przestudiowania nagrań z kamery, która zarejestrowała trzy potencjalnie interesujące pojazdy na uliczce prowadzącej do domu Elizabeth Price późnym wieczorem w środę jedenastego lutego - w czasie kiedy najprawdopodobniej doszło do porwania.

Srebrny lincoln navigator, czarny hammer i volkswagen van. Wszystkie były dostatecznie wielkie, żeby zmieścić dwie nieprzytomne, przypuszczalnie skrupowane dorosłe osoby, w dodatku volkswagen wjechał za bramę zaraz za hondą Elizabeth.

Był ciemny, szary albo granatowy, z widoczną tablicą rejestracyjną, za to z ledwo majaczącą postacią za kierownicą, podczas gdy Elizabeth Price bez trudu rozpoznali w hondzie. Powodem niewyraźnego obrazu kierowcy volkswagena mógł być błysk światła albo fakt, że van miał szyby przyciemnione lub pokryte ciemną folią.

Dość szybko ustalili, że lincoln należy do sąsiada pani Price, a hammer do gościa jednego z lokatorów. Właściciel volkswagena pozostał nieznany, a tym samym budził podejrzenia.

Co znowu wskazywało na dom Elizabeth jako miejsce porwania.

- Chyba że porwano ich oddzielnie, w odstępie czasu - powiedział Sam.
- Czyli sprawców musiało być co najmniej dwóch - zauważył Martinez.
- A może to cała cholerna grupa.

Dalej poza ten punkt się nie posunęli, kamera nie zarejestrowała odjazdu vana. Ani też przyjazdu bmw Dupreza tamtego wieczora lub nocy, ale w ostatnich kilku miesiącach system często szwankował.

- Chyba że zabójca ją wyłączył - powiedział Martinez.
- Po co w takim razie zostawił nagranie vana? - zastanawiał się Sam.

- Kolejny element gry? Sam pokręcił głową.

- Nie kupuję tego. Zbyt pokręcone... Poza tym jeśli van został użyty do porwania, pewnie jest kradziony.

-I założę się, że tablice też - dodał Martinez. Każda inna możliwość w tym doskonale zorganizowanym morderstwie nie wchodziła w grę.

Początek jednak nie okazał się nadmiernie obiecujący.

Resztę dnia mieli ściśle zaplanowaną. Z Edwardem i Margie Price'ami, którzy zatrzymali się w mieszkaniu kancelarii adwokackiej, detektywi zamierzali się spotkać dopiero wczesnym popołudniem, a potem chcieli porozmawiać z krewnymi pana Dupreza.

Tymczasem Josepha Mulhoona, ogrodnika z Oates Gallery, czterdzieści osiem godzin temu odłączono od respiratora i lekarze uznali, że stan chorego pozwala na krótkie przesłuchanie.

Mężczyzna, który leżał w jednoosobowej biało-niebieskiej salce z fotografią South Beach na ścianie, przed atakiem serca zapewne był silny i opalony, teraz jednak twarz miał bladą i wymizerowaną.

- Co przymykam powieki, to widzę tych nieszczęśników. - Mulhoon miał zaczerwienione i przerażone oczy. - Jaki chory potwór mógł zrobić taką rzecz?

- Jeszcze nie wiemy - odparł Sam. -I dlatego potrzebujemy pańskiej pomocy.

- Przecież ja nic nie wiem - zdziwił się Mulhoon.

- Rozumiemy, ale pan pierwszy ich zobaczył, a w każdym razie pan pierwszy zawiadomił policję - włączył się Martínez.

- Co oznacza, że mógł pan zauważyć coś, co umknęło naszej uwagi - dodał Sam.

- W końcu zna pan ten ogród jak nikt inny - uzupełnił Martínez.

- To prawda... Tylko że nie potrafię sobie przypomnieć niczego poza tymi biedakami. - Mulhoon pokręcił siwą głową.

- Ja jestem człowiek praktyczny, ale skoro pytacie, powiem wam, jak to wyglądało na pierwszy rzut oka: jak coś, co zostawili na ziemi kosmici.

- Takiej ewentualności nie braliśmy pod uwagę - powiedział Sam lekko.

- Prawdę mówiąc, mnie latające spodki przysły do głowy, ale uznałem, że mamy na ziemi dość własnej niegodziwości - oznajmił Martinez.

- To prawda - zgodził się ogrodnik. - Bóg o tym wie.

Podczas trwającej dwadzieścia minut rozmowy Mulhoon nie powiedział im nic nowego. Kiedy znalazł ciała, nie zadzwonił do Allison Moore ani do nikogo z Beatty Management. Wchodząc przez bramę, która nie była zamknięta na klucz, zauważył ślady kół.

- Od razu pomyślałem, że coś jest nie tak. A jak ich zobaczyłem, ręce mi się tak trzęsły, że byłem w stanie tylko zadzwonić na policję. Potem zaczęło mnie boleć...

Pozwolili mu odpocząć przez kilka minut.

- Możemy zadać jeszcze parę pytań? - zapytał Martinez.

Mulhoon skinął głową.

- Oczywiście.

- Kiedy pan tam przyszedł, widział pan kogoś wychodzącego albo kręcącego się w pobliżu rezydencji? - zapytał Sam.

- Nie, proszę pana.

- Żadne samochody osobowe ani vany nie parkowały na ulicy? - zapytał Martinez.

- Tam wszędzie są zaparkowane samochody, ale jeśli pytacie, czy coś odbiegało od normy, to nie.

- A czy podczas poprzednich bytności odniósł pan kiedyś wrażenie, że ktoś pana obserwuje, może sprawdza, o której pan przychodzi i wychodzi? - ciągnął Sam.

- Nie. - Mulhoon wzruszył ramionami. - Ale z drugiej strony nigdy się nie rozglądam, parkuję tylko ciężarówkę, zabieram narzędzia i robię, co do mnie należy.

Sam do końca zwlekał z pokazaniem ogrodnikowi fotografii Eastermanów, bojąc się, że ich widok może go zdenerwować, choć nie były to polaroidowe fotki, które pokazali Beatty'emu i Moore, tylko zdjęcie przedstawiające szczęśliwą parę w podróży poślubnej.

- Ojej. - Stary ogrodnik wziął je drżącą ręką, ale zdobył się na uśmiech. - Po prawdzie cieszę się, że mogę zobaczyć, jak wyglądali za życia. Nigdy nie wiadomo, może teraz uda mi się zastąpić tamte wspomnienia tym obrazem.

- Byłoby bardzo dobrze - powiedział Sam łagodnie.

- Ale jeśli pytacie, czy widziałem ich przed tamtym dniem, to odpowiedź brzmi: nie. Nigdy ich nie widziałem.

40

Cathy, która zaczynała pracę dopiero wieczorem, przed biegiem po plaży odwiedziła Grace.

Mama kończyła sesję z pacjentem w gabinecie, noszącym też nazwę pokoju konsultacyjnego, tak więc nie mogąc bawić się z Joshua, który był u Davida, Cathy wyszła na taras i spokojnie usiadła z Woodym u stóp.

Ostatnimi czasy często się tak czuła. Spokojnie.

I wypełniała ją wdzięczność.

Zamieszkanie z Saulem okazało się świetnym posunięciem. Dla niego też, nie wątpiła w to, choć brat Sama nie znosił ranić innych i nigdy by nie okazał, że nie odpowiada mu jej obecność.

Ale Cathy sądziła, że by się domyśliła. Podejrzewała, że to jedna z korzyści, jakie wynikają z przeżycia wielkiego emocjonalnego bólu; uważała, że nauczyła się lepiej odczytywać uczucia ludzi, nie osądzać ich wyłącznie z pozoru, zresztą gdyby z lekcji udzielanych jej dotąd przez życie nie wyciągnęła żadnych wniosków, byłaby największą idiotką na świecie.

Sprawy naprawdę dobrze się układają, pomyślała, drapiąc Woody'ego za uszami. Mieszka z człowiekiem, którego uwielbia, przy którym czuje się bezpieczna. Resztę rodziny ma dosłownie za rogiem. Lubi swoją pracę, a dzięki Dooleyowi i Simone zaczyna wyglądać na to, że chyba naprawdę znalazła właściwą drogę.

Usłyszała, jak w domu zamykają się drzwi i oczyma wyobraźni ujrzała mamę odprowadzającą młodego pacjenta do wyjścia, a potem wracającą wąskim korytarzem, w końcu zaś zobaczyła ją wychodzącą przez werandę na taras.

- Przepraszam. - Grace uściskała córkę i usiadła obok niej.

- Niepotrzebnie. Chłodziłam się tu z Woodym.

- Lunch?

Cathy pokręciła głową.

- Idę pobiegać.

- Cudownie cię widzieć - powiedziała Grace.

- Właściwie to przyszedłam, żeby was zaprosić.

- Zapowiada się miło.

- To dość nietypowe, ale mam nadzieję, że ty i Sam się zgodzicie. Kolacja w Opera Cafe w czwartek wieczorem, po zamknięciu lokalu, jeśli uda wam się tak długo wytrzymać. - Cathy odetchnęła głęboko. - Sprawa wygląda tak: ja gotuję według wskazówek Dooleya, a Simone chce podawać, ale mam nadzieję, że uda

mi **sieją** odwieść od tego pomysłu, zwłaszcza że przecież zatrudnili mnie po to, żeby mogła spędzać więcej czasu z mamą.

- To bardzo miło z ich strony - powiedziała Grace.

- Proszę, zgódźcie się. Strasznie mi na tym zależy.

- Nie odmówimy, pod warunkiem że...

- Saul mówi, że zajmie się Joshua, a ja uznałam, że skoro Sam jest zawałony robotą, to kolacja późnym wieczorem powinna mu odpowiadać.

- Ale najpierw musimy go zapytać.

- Jeśli się zgodzi, przyjdziecie?

Grace spojrzała w czyste, pełne żarliwej prośby oczy córki.

- Nie opuścilibyśmy tego za skarby świata.

41

Sam i Martínez wrócili do kancelarii Tiller, Valdez, Weinman.

Praca w firmie toczyła się jak zwykle, ale panował nastrój powagi, znajomi ofiar byli wstrząśnięci, a dla tych, którzy mieli niewielki kontakt z Elizabeth lub Andre, to podwójne morderstwo zdarzyło się zbyt blisko, żeby mogli czuć się dobrze. Sam ucieszył się, słysząc, że Rachel Weinman zorganizowała terapię dla wszystkich potrzebujących.

Następnym przystankiem był Beatty Management.

Wzmianka Ally Moore o „dziwnym plastiku” wciąż nie dawała detektywom spokoju, choć przepuszczenie jej nazwiska przez komputer zakończyło się fiaskiem, a dzisiejsza rozmowa z Beattym początkowo nie wniosła niczego intere-

sującego, dopóki nie padła wzmianka o chorobie pani Myerson i roli Beatty'ego jako pełnomocnika.

- Smutna sprawa - powiedział. - Cieszę się, że nie jestem pełnomocnikiem starszej pani w kwestiach zdrowotnych.

- Mówi pan jak prawnik - zauważył Martínez.

- Kiedyś nim byłem - odparł Beatty. - Jakiś czas temu zmieniłem pracę.

- Dlaczego? Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu pytaniu - powiedział Sam.

- Z powodów osobistych.

Jego gabinet znajdował się na pierwszym piętrze, ponad ruchliwą recepcją. Ściany wyłożone były boazerią, potężne mahoniowe biurko zajmowało sporo miejsca. Detektywi siedzieli na niewygodnych krzesłach naprzeciwko biurka.

- W jakich kancelariach pracował pan jako prawnik? -zapytał Martinez. - Znamy je?

- W kilku. Czy to ważne?

- Zupełnie nie - odrzekł Martinez. - Jestem po prostu ciekawy. W naszej pracy poznajemy mnóstwo firm prawniczych, jak może pan sobie wyobrazić.

- Zajmowałem się prawem korporacyjnym, nie kryminalnym.

- Aha. - Martinez nie nalegał.

- Mamy do pana prośbę - powiedział Sam. - Czy zgodzi się pan na dobrowolne pobranie próbki DNA?

- Dlaczego?

Kiedy poprosili o to samo Ally Moore, wyglądała na zirytowaną, natomiast Beatty sprawiał wrażenie przerażonego.

- W dawnej galerii znaleziono ślady biologiczne - wyjaśnił Martinez.

- Kilka kropli krwi - dodał Sam.

- Nie należała do ofiar? - zapytał Beatty. Sam pokręcił głową.

-I niemal na pewno nie łączy się ze sprawą, ale tak jak w przypadku odcisków palców chodzi o eliminację.

- Czy kiedykolwiek zaciął się pan albo zadrapał w galerii?

- zapytał Martinez.

- Nie. Nigdy.

- Mimo to próbka bardzo by nam pomogła - nalegał Sam.

- Nie ma powodu do niepokoju - zapewnił Martinez.

- Ale naturalnie ma pan prawo odmówić - dodał Be-cket.

Na gładkiej twarzy Beatty'ego pojawił się rumieniec.

- Chodzi o to, że już raz oddawałem dobrowolnie próbkę.

- Dlaczego? - zapytał Martinez uprzejmie. Rumieniec się pogłębił.

- Zostałem fałszywie oskarżony. Wiedziałem, że badanie DNA dowiedzie mojej niewinności, i rzeczywiście tak się stało. Oskarżenie zostało wycofane, ale niesmak pozostał.

- To zrozumiałe - zgodził się Sam. - Jak mówiłem, ma pan prawo odmówić.

- Tylko że odmowa wyglądałaby dziwnie - zauważył Beatty. -1 wysoce podejrzenie.

- Nie jest pan o nic podejrzany - oświadczył Martinez.

- Nie przychodzi mi do głowy żaden powód, dlaczego miałbym być, ale cieszę się, że pan tak mówi... Krew była stara czy świeża? Jestem zaskoczony, że w ogóle coś tam znaleziono, skoro sprzątacze przychodzą regularnie. - Wziął długopis, zapisał coś szybko w notatniku i podniósł wzrok. - Może ich też powinniście poprosić o próbki.

- Pewnie to zrobimy - odparł Sam.

Komputerowe poszukiwania przeprowadzone po powrocie na posterunek ujawniły dziwny zbieg okoliczności.

Ostatnią firmą, w której nie tak dawno temu pracował Lawrence Beatty, była kancelaria Tiller, Valdez, Weinman.

Sam i Martinez nie wierzyli w zbiegi okoliczności.

Pojechali do kancelarii, gdzie zastali Michelle Webster w jej gabinecie, ciasnej, ale własnej klitce bez okien, której przytulności dodawały rośliny, fotografie w ramkach i makatka z wyszytym cytatem z Beniamina Franklina.

Bóg czyni cuda tam i tu;

Dziw nad dziwy, prawnik, uczciwy człowiek!

- Cieszę się, że panów widzę - powiedziała Michelle.

- To nie zdarza się często - odparł Sam.

Wyszła zza biurka, wyciągnęła dwa składane płócienne krzesła z szafki z dokumentami i zaczęła je ustawiać.

- Pani pozwoli, ja to zrobię - ofiarował się Martinez. Michelle cofnęła się i poczekała, aż detektywi usiądą.

- Dziś w pracy właściwie się obijam, ale szczerze mówiąc, na nic więcej mnie nie stać. Tak bardzo bym chciała coś zrobić dla Elizabeth i Andre, choć wiem, że nie mogę, a tu nagle wy przychodzicie.

Sam żałował, że powodem ich wizyty nie jest coś więcej niż tylko sprawa, która niemal na pewno okaże się niewinnym zbiegiem okoliczności.

- Mamy tylko jedno pytanie.

- Słucham. - Michelle wciąż stała za biurkiem. - Pytajcie o wszystko.

- Czy zna pani Lawrence'a Beatty'ego? - zapytał Sam.

- Larry Beatty? - powtórzyła Michelle zaskoczona. - A co on ma wspólnego z Elizabeth i Andre?

- Przypuszczalnie nic - odparł Martinez. Dziewczyna usiadła.

- Kiedyś tu pracował, ale o tym najwyraźniej już wiecie. - Pokręciła głową. - Osobiście go nie znałam, zwolnił się niedługo po tym, jak przyszedłam do TVW, ale pamiętam, że były jakieś plotki... Przykro mi, nie wiem, czy powinnam o tym mówić.

- Nie ma sprawy - powiedział Sam. - Proszę się tym nie przejmować.

- Jak pani myśli, kto mógłby nam pomóc? - zapytał Martinez.

- Chyba dział kadr. Martinez się uśmiechnął.

- Chodziło mi o plotki.

- Właściwie to nie wiem. - Michelle chwilę się zastanawiała. - Pamiętam, że jedna z dziewczyn o nim mówiła, ale ona też już tu nie pracuje. - Sfrustrowana, przeczesała palcami krótkie włosy. - Proście mnie o drobiazg, a ja nie mogę wam pomóc.

- Już pani pomogła - powiedział Sam łagodnie.

- Każdy drobiazg jest pomocny. Jak w układance, rozumie pani? - zapytał Martinez.

- Pewnie tak - odrzekła Michelle.

Ruszyli na poszukiwanie Victora Valdeza, który natychmiast znalazł dla nich czas.

Jego narożny gabinet, według szacunków Sama osiem razy większy od dziupli Michelle, był nowoczesny, urządzone w dębie i stali, z ogromnymi oknami.

- Proszę, siadajcie, panowie. - Valdez wskazał ręką wielką skórzaną sofę. - Czym mogę służyć?

- Lawrence Beatty - powiedział Martinez. Ciemne oczy Valdeza nagle stały się niemal czarne.

- A co z nim?

- Może nam pan coś o nim powiedzieć? - zapytał Sam.

- Czy to ma jakiś związek z morderstwami?

- Niemal na pewno nie - odparł Sam. Valdez spojrział na złotego roleksa.

- W takim razie bardzo mi przykro, ale mam spotkanie. - Wstał i przesunął palcami po spince. - Jeśli potrzebujecie informacji na jego temat, zadzwonię do kadr, żeby przygotowali dla was jego teczkę.

Rachel Weinman okazała się bardziej chętna do pomocy.

Jej gabinet był mniejszy niż gabinet Valdeza i panowała w nim atmosfera ciężkiej, choć niezbyt dobrze zorganizowanej pracy. Błat biurka ginał pod stosami teczek. Pani Weinman zmarszczyła brwi, słysząc nazwisko Beatty'ego, ale skinęła głową, poprosiła detektywów, żeby usiedli (sofę też miała mniejszą niż Valdez), zaproponowała wodę i zajęła miejsce w pobliżu.

- To, co powiem, jest absolutnie poufne... - zaczęła.

- Oczywiście, o ile nie będzie miało wpływu na nasze dochodzenie - powiedział Sam.

- Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mogłoby wpłynąć. Jakiś czas temu jedna z pracownic wysunęła poważne oskarżenie przeciwko panu Beatty'emu, co wywołało sporo nieprzyjemności. Oskarżenie okazało się fałszywe i zostało później wycofane, ale pan Beatty zdecydował się odejść.

- Na czym polegało to oskarżenie, pani Weinman? - zapytał Martinez.

- Fałszywe oskarżenie - poprawiła prawniczka.

- Rozumiemy - powiedział Sam.

- Młoda kobieta twierdziła, że pan Beatty ją zgwałcił. Zaprzeczył i zaproponował, właściwie nalegał na zbadanie DNA, które rzeczywiście dowiodło jego niewinności.

- Czy ofiara zgłosiła się na policję? - zapytał Martinez. -Nie.

- Firma też tego nie zrobiła? - zapytał Sam.
- Podjęto decyzję, by sprawę załatwić dyskretnie, przynajmniej na początku... Próbkę DNA wysłano do prywatnego laboratorium i mogę panów zapewnić, że gdyby były jakiegokolwiek wątpliwości, pierwsza należałabym na zwrócenie się do policji.
- Dlaczego sprawę ukrywano? - zapytał Martinez.
- To nie było ukrywanie, detektywie - odparła pani Wein-man stanowczo.
- Więc skąd ta decyzja o dyskrecji? - Sam ujął to delikatniej.
- Czy te pytania naprawdę są konieczne? - Kamienna twarz prawniczki nie zdradzała emocji.
- Nie zadawalibyśmy ich, gdyby nie były.
- Ta młoda kobieta była siostrzenicą pana Valdeza.
- Rozumiem - powiedział Sam.
- Szczerze mówiąc - ciągnęła pani Weinman - już wcześniej dała się poznać jako osoba o nieco nadmiernie wybujałej wyobraźni.
- Więc skłamała - stwierdził Martinez.
- Z całą pewnością przesadzała.
- Czy pan Beatty podjął jakieś działania przeciwko niej? - zapytał Sam.
- Nie.
- To był jego wybór czy ktoś na niego wpłynął? - zapytał Martinez.
- Ta młoda kobieta była w złym stanie psychicznym i pan Beatty zrezygnował z dalszych kroków. To był jego wybór. Tak samo jak odejście z kancelarii.
- Czy ta młoda kobieta nadal tu pracuje? - zapytał Sam.
- Już nie.
- Ale pracowała po odejściu pana Beatty'ego? - zapytał Martinez.

- Przez krótki okres.
- Mówiąc „przesadzała”, chce pani zasugerować, że coś mogło się kryć za tym oskarżeniem? - zapytał Sam.
- Niczego nie sugerowałam - odparła pani Weinman.
- Mogę panów zapewnić, że żadnego gwałtu nie było. - Poprawiła się na krześle. - To wszystko, co na ten temat mogę powiedzieć.
- Czy Elizabeth Price albo Andre Duprez znali Beatty'ego? - zapytał Sam.
- Nic o tym nie wiem. Niewykluczone, że ich drogi nigdy się nie skrzyżowały. Pan Beatty zajmował się prawem korporacyjnym, oni rodzinnym. Mogę popytać, jeśli panowie chcą.
- To pewnie bez znaczenia, ale gdyby coś pani usłyszała, byłibyśmy wdzięczni za informacje - powiedział Sam.
- Oczywiście. Załatwię to dyskretnie. Wszyscy troje wstali.
- Czy nazwisko Allison Moore z czymś się pani kojarzy? - zapytał Martinez.
- Nie, ale mogę sprawdzić w naszych archiwach. Już z progu Sam się odwrócił.
- Nie sędzę, by pamiętała pani, czy Lany Beatty grał w golfa?
- Jeśli nawet, ja o tym nie wiem - odrzekła Rachel Weinman.

43

W poniedziałek nadzieje na postęp rozwiewały się z każdą mijającą godziną.

Choć szukali wnikliwie, nie znaleźli nic na temat Beatty'ego w Stowarzyszeniu Adwokatów Stanu Floryda, żadnych skandali, oskarżeń, wymierzonych przeciwko niemu działań. W bazach danych FBI także nic nie było.

Żaden szpital czy dom opieki nie zgłosił braku łóżka.

Nikom nie zginęła plastikowa kopała.

Firmy oferujące klej w sklepach lub przez Internet nie stwierdziły sprzedaży nietypowych ilości.

Suzy i Michael Eastermanowie, jak zgodnie zeznali krewni i przyjaciele, nie szukali ani nie potrzebowali terapii czy leków na stany lękowe, co wykluczyło możliwość związku z Andre Duprezem.

W niecałe dwie godziny po ich rozmowie Rachel Weinman zadzwoniła z informacją, że w archiwach firmy nie znalazła żadnej wzmianki o Allison Moore.

- Podejrzewam, że czasem zbiegi okoliczności po prostu się zdarzają - powiedział Sam.

- Pewnie tak - zgodził się Martinez. - Ale wciąż się obojgiem interesujemy, racja? Oskarżenie o gwałt może się przydać.

Sam mruknął coś niezobowiązująco.

Ustalenia dotyczące numerów rejestracyjnych volkswagena potwierdziły pesymistyczne przypuszczenia. Tablica należała do chryslera, którego kradzież mieszkanka Naples zgłosiła w listopadzie. Ta informacja niewiele im pomogła, bo zapewne van także został ukradziony, ale przynajmniej teraz wiedzieli, że pojazd niemal na pewno jest podejrzany, może nawet użyto go wcześniej podczas morderstwa Eastermanów, przypuszczalnie z innym zestawem fałszywych tablic.

Technicy powiększyli i dokładnie zbadali ujęcia przedniej szyby; doszli do zgodnego wniosku, że ponieważ folia na szkle jest bardzo ciemna, kierowca przypuszczalnie użył jej tylko do tej jazdy, bo niewiele przez nią widział, a poza tym tego rodzaju osłona w ciągu dnia zwróciłaby uwagę patroli.

- A gdyby, powiedzmy, zainteresował się nią strażnik przy bramie, kierowca mógł po prostu zawrócić i odjechać - powiedział Sam.

Na razie wynikało z tego jedno: brak zdjęć kierowcy, a także niemożność stwierdzenia, ilu pasażerów - lub ofiar - siedziało w vanie.

Następnym punktem planu dnia była rozmowa z kolejnymi pogrążonymi w żałobie krewnymi.

Na tym etapie w grę wchodziło jedynie delikatne wypytywanie.

Detektywi pozwolili sobie na chwilę żalu, że nie są w domu z ukochanymi osobami, z dala od ohydy tej pracy.

To pragnienie dla Martineza wciąż było nowym luksusem.

- Myślałem, że już gorzej być nie może - powiedział Sam, kiedy około szóstej rozmawiał z Grace przez telefon. - Ojciec i siostra tej młodej kobiety zachowywali się powściągliwie, ale widać było, że to ich zżera. - Pokręcił głową. - A potem rodzice Dupreza.

- Za wiele - odparła Grace łagodnie. - Także dla ciebie i Ala.

- My się nie liczymy, chyba że nie jesteśmy w stanie wykonać pracy, za którą nam płacą.

- Robicie, co w waszej mocy. Nie można wymagać więcej.

- Cztery rodziny, którym świat się zawalił. Mają wszelkie prawo, żeby żądać więcej.

- Właściwie nie powinnam o to teraz pytać - odezwała się po krótkim wahaniu Grace - ale czy kolacja na cześć Ala i Jess jest aktualna?

- Nie wiem.

- Przecież zawsze stosujesz zasadę, że życie musi toczyć się dalej, prawda? Wydaje mi się, że naszym przyjaciółom przyda się przypomnienie, że to najszczęśliwsza chwila w ich życiu.

Sam się uśmiechnął.

- Czy czwartek to za wcześnie?

- Nie dla mnie - odpowiedziała Grace. - Może najpierw pogadaj z Alem, potem ja zajmę się resztą.

- Jutro późna kolacja w Opera Cafe, w czwartek przyjęcie zaręczynowe. Nagle jesteśmy strasznie towarzyscy.

- Więc odłożmy to na weekend - zaproponowała Grace.

- Nie. - Sam był stanowczy. - Masz rację, życie musi się toczyć dalej. A kto może dzisiaj zaręczyć, że w weekend będzie łatwiej?

44

W poniedziałkowe wieczory Evelyn i Frank Resslerowie często zamawiali na kolację dania na wynos, ponieważ popołudnia spędzali na potańcówce w synagodze w Surfside, gdzie jedzenie nie było najlepsze, zresztą przede wszystkim pochłaniał ich taniec.

Evelyn skończyła siedemdziesiąt jeden lat, Frank trzy lata więcej, ale wciąż bardzo się kochali. Ona miała srebrne włosy, on był prawie łysy i nosił sztuczną szczękę, oboje potrzebowali okularów do czytania, ale generalnie cieszyli się dobrym zdrowiem i jasnym umysłem; znajomi zrzędzili, że są w sobie zapatrzeni, choć oni tego tak nie odczuwali, interesowali się przecież innymi, zwłaszcza ukochaną córką Barbarą, wnukami Arielem i Debbie, a także Simonem, który był dobrym zięciem, i nie można zarzucać im egoizmu tylko dlatego, że na spacerach lubią się trzymać za ręce...

- Ludzie po prostu są zazdrośni - powiedziała niedawno Evelyn.

- Mnóstwo mężczyzn zazdrości mi ciebie - odparł Frank.

- Pochlebstwem sforsujesz każde drzwi.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

Wielokrotnie powtarzali tę wymianę zdań, ale obojgu sprawiała przyjemność, więc komu to mogło zaszkodzić? Evelyn pocałowała Franka, on odwzajemnił się tym samym.

Wciąż często się całowali.

Codziennie też byli wdzięczni losowi, że ciągle mają siebie.

Opiekun porzucił nadzieję na powrót Romea Piątego.

Rozlegające się z rzadka odgłosy świadczyły, że Romeo jest na wolności, przypuszczalnie świetnie się bawi, trawiąc te elementy budynku, w które zdołał wbić swoje ostre ząbki.

To pożywienie było mniej korzystne dla jego zdrowia od karmy, którą opiekun przygotowywał dla niego i jego ukochanej, ale co poradzić.

Izabela Siódma na razie wydawała się zadowolona z samotności, cieszyła się przestrzenią tylko dla siebie, może też z ulgą przyjmowała fakt, że nie musi znosić natrętnych zalotów samca.

Czekała ją cudowna izolacja przez kilka następnych tygodni, ciąża u szczurów trwa od dwudziestu jeden do dwudziestu trzech dni.

A potem skrobanie maleńkich łapek.

Trzeba będzie wybrać następców Romea i Izabeli.

Zadecydować, które ze szczurząt będą żyć, a które umrą.

Potęga i chwała.

17 LUTEGO

- O mój Boże, o mój Boże - powtarzał Frank Ressler.

Evelyn od razu wiedziała, że to Frank, choć teraz jego głos brzmiał dziwnie. Zwykle był miły i czysty, Frank nigdy nie mamrotał, jak często robią to inni, a teraz wypływały z jego ust bełkotliwe i niewyraźne słowa, jakby się upił.

Prawdę mówiąc, ona też się tak czuła.

Pijana, na granicy wymiotów; może najwyższy czas, żeby otworzyła oczy i się obudziła, bo nie ulegało wątpliwości, że Frank jest chory i jej potrzebuje, a poza tym coś było nie tak z ich łóżkiem. Przypomniawszy jej się czas, kiedy Frankowi dokuczał kręgosłup i ktoś im poradził, żeby pod materac wsunęli deskę, ale jak pierwszy raz się położyła, zaraz z piskiem skoczyła na równe nogi i nigdy więcej tego nie próbowali. Evelyn wyrzuciła deskę, a Franka i tak przestały boleć plecy.

- O mój Boże - powtórzył Frank.

- Przestań jęczeć - zganiła go Evelyn. Tylko że jej głos też brzmiał dziwnie.

Otwórz oczy, nakazała sobie, ale powieki miała ciężkie jak z ołowiu.

Po chwili jakoś jej się to udało.

Natychmiast ogarnęło ją paralizujące, potężne przerażenie.

- O mój Boże - jęknęła.

Resztki poczucia humoru podsunęły jej myśl, że to musi być zaraźliwe.

47

Minęło dziesięć dni od znalezienia pierwszej pary, cztery od porzucenia Elizabeth Price i Andre Dupreza w akwarium na Prairie Avenue, a Sam, Martinez i zespół wciąż nie mieli nic konkretnego. Ta sytuacja bardzo ich przygnębiała.

Nikt na La Gorce Drive ani w jej pobliżu nie przypominał sobie, żeby van marki Volkswagen z przyciemnionymi lub zwykłymi szybami parkował przed domem Eastermanów.

Sprawdzono kuzynkę i przyjaciół Mayumi Santos.

W sprawie drugiego morderstwa także nie wypłynęło nic nowego.

Ludzie oczekiwali lepszych rezultatów, słusznie zresztą.

Rzecz jednak w tym, że dopóki policjantom nie dopisze szczęście albo sprawca nie da się złapać (co czasami się zdarzało, a powodem było pragnienie, by go powstrzymano, lub głód sławy, niepozwalający czekać, aż policja trafi na jego ślad), śledztwo przypomina szukanie przysłowiowej igły w stogu siana.

Na razie mogli tylko gromadzić wszelkie możliwe informacje o czterech ofiarach, a większość i tak nie miała znaczenia dla śledztwa, choć nikt nie potrafił przewidzieć, czy odkrycie, że Mike Easterman kolekcjonował stare plakaty filmowe, nie okaże się przełomem. Podobnie jak to, że Suzy od czasu do czasu fundowała sobie cały dzień w Willow Stream Spa w ośrodku Turnberry Isle niedaleko domu jej teściów, że Andre Duprez miał wstąpić do klubu cygarowego, chociaż Elizabeth nalegała, by rzucił palenie, albo że w tydzień po poznaniu Andre Elizabeth zerwała ze swoją sympatią od czasów dzieciństwa, prawnikiem Jayem Millerem...

Żadne z ustaleń nie ujawniło związku między ofiarami, ale zespół nie rezygnował, próbował każdej ścieżki, bo istniała możliwość, tylko możliwość, że dowiedzą się czegoś ważnego na temat jednej lub więcej ofiar.

Jeśli to były przypadkowe zabójstwa lub przypadkowe ofiary, szukanie igły w stogu siana w porównaniu z szukaniem sprawcy może się okazać dziecinnie proste.

Tego środowego poranka Sam najbardziej obawiał się kolejnych morderstw.

Chociaż nie to samo w sobie było najgorsze.

Najgorsze wydawało się to, że dopiero kolejne podwójne zabójstwo może dostarczyć im tropu, którego dotąd nie mieli.

Znajdowali się w czymś w rodzaju klatki.

- Czy to sen? - zapytał Frank jakiś czas temu.

- Nie wiem - odparła Evelyn. - Mam taką nadzieję.

- Jedno przynajmniej jest w tym dobre. Znajdowali się w klatce w wygłuszonym pokoju, skuci łańcuchami i nadzy. Nadzy.

- Co? - zapytała.

- Jesteśmy razem.

- Drugim plusem jest to podle światło, bo nie widzisz mnie dokładnie.

Więc jednak nie całe poczucie humoru straciła.

- Dla mnie jesteś piękna. Wiesz o tym. Powiedziała mu wtedy, że go kocha.

Zawsze to sobie powtarzali, chociaż teraz wyznania przypominały im czas, kiedy byli przekonani, że Frank umrze na serce, i rozmowa o uczuciach nabrała niezwyklej wagi.

- Wiesz, co w tym dziwne? - zapytała teraz Evelyn. - Zupełnie nie pamiętam, co się działo, zanim się tutaj znaleźliśmy.

- Ja też nie.

Teraz ich głosy brzmiały bardziej normalnie. Normalnie.

- Jedliśmy kolację, prawda? - zapytała Evelyn.

- Chyba tak, nie jestem pewien. Evelyn odetchnęła.

- Myślę, że to jednak nie jest sen, kochanie.

- Mylisz się. To musi być sen. - Mówił z całym przekonaniem, na jakie go było stać, zarówno ze względu na żonę, jak i na siebie. - Przecież nikt nie potraktowałby tak dwojga starych ludzi, którzy nigdy nikomu nie zrobili krzywdy.

- Może jednak zrobiliśmy. - Evelyn wróciła myślami w przeszłość. - Może kogoś skrzywdziliśmy.

- Ale nie aż tak, żeby zasłużyć na coś takiego.

- Nie, masz rację. To tylko sen.

- Wiesz co? - powiedział Frank. - Powinniśmy mocno zamknąć oczy, myśleć o dobrych rzeczach, takich jak dzieci czy fokstrot, i czekać, aż się obudzimy.

- Poczulałbym się o wiele lepiej, gdybyśmy mogli się dotknąć.

Evelyn przykuto do klatki w jednym kącie, Franka w przeciwległym.

Za daleko, żeby mogli trzymać się za ręce. I to było najgorsze.

49

Sam wykorzystał chwilę w porze, kiedy mieli przerwę na lunch, i zapytał Martinez o przyjęcie zaręczynowe.

- Będziemy tylko my. Ale przynajmniej możemy świętować niezależnie od tego, co tu się dzieje. - Uśmiechnął się.

- A przy okazji, właściwie to pomysł Grace. Doszła do wniosku, że ty i Jess powinniście wiedzieć, jacy jesteście szczęśliwi.

- Człowieku. - Martinez pokręcił głową, ze wzruszenia dławilo go w gardle. - Twoja żona jest najlepsza... Choć może powinniśmy pójść do restauracji. Ja stwiam. To nie w porządku, żeby Grace odwaliała całą robotę.

- Ona chce to dla was zrobić, Al. Oboje chcemy.

- To wspaniale. - Martinez czuł, jak oczy mu wilgotnieją.

- Naprawdę wspaniale.

- Cała przyjemność po naszej stronie.

- Myślę, że zrobię Jess niespodziankę. - Wciąż się zastanawiał. - Zwłaszcza że jeszcze nie powiedziała nic rodzicom, wiesz? - Znowu pokręcił głową. - To najlepsze, co mogło mnie spotkać.

- Grace jest najlepsza - przyznał Sam.

- Tak samo jak Jess - dodał jego partner.

- A jak myślisz, dlaczego ta sytuacja tak cholernie mnie cieszy?

50

- O mój Boże - powiedział znowu Frank.

Evelyn miała zaciśnięte powieki.

Przekonała się, że tak lepiej znosi tę koszmarną sytuację, bo przy każdym otwarciu oczu widziała snop słabego światła na swoim ciele, pomarszczonym, obwisłym i starym. Jakiś czas temu ten widok skojarzył jej się ze zdjęciami z Holocaustu, ale zaraz ogarnął ją wstyd, bo przecież miała wielkie szczęście, nigdy nie zaznała głodu, chorób, poniżenia, a przede wszystkim spotkała Franka i razem dożyli starości, choć teraz, gdy patrzyła na jego upokorzenie, czuła wielki ból. Nie sądziła, że byłoby im łatwiej, gdyby byli młodzi i piękni - ale ktoś im to zrobił, ktoś ich rozebrał i zostawił tutaj, gdziekolwiek to „tutaj” się znajdowało, na powolną śmierć albo coś gorszego. I to nie sen.

Evelyn wiedziała o tym od samego początku, wiedziała też, że Frank także zdaje sobie z tego sprawę. Był inteligentnym człowiekiem, przez większość życia pracował jako księgarz i przeczytał więcej książek z najróżniejszych dziedzin niż jakikolwiek ich znajomy. Frank upierał się przy tym niemądrym pomysle o śnie ze względu na nią i niedługo będzie musiała przemówić mu do rozsądku, bo jeśli mają umrzeć, chce mu o paru rzeczach powiedzieć.

- Dobry Boże. - W jej myśli wdarł się napięty głos Franka. - Evelyn, otwórz oczy.

Posłuchała więc, bo może dzieje się coś dobrego.

Ale to nie było dobre, niezupełnie.

Nie całkowicie złe, tylko dziwne i absurdalne.

Do tego stopnia, że na moment ogarnęło ją wrażenie, jakby straciła rozsądek i powróciła do przekonania, że może jednak jest to długi, zwariowany koszmar senny. Nagle, nie wiadomo skąd, na ścianie po jej lewej stronie zaczął się film. Rzecz niewiarygodna, ale przedstawiał ją i Franka, tylko ich dwoje; składał się z serii zdjęć, na których byli szczęśliwi, trzymali się za ręce, patrzyli na siebie tak, jak pewnie zawsze na siebie spoglądali. Z miłością.

Gdyby byli teraz bezpieczni w domu i gdyby powiedzmy na którąś rocznicę ślubu Barbara z Simonem przygotowali dla nich taki film, Evelyn przypuszczalnie uznałaby, że jest serdeczny i romantyczny, może wprowadziłby ją w zakłopotanie, byłaby jednak zachwycona. Ale tu i teraz, w tych nieznanym okolicznościach wyświetlane w kółko obrazy wydawały się odrażające, były pogwałceniem uczuć obojga.

To nadużywane określenie, pomyślała Evelyn. Podobnie jak słowo „zdruzgotany”. Komuś włamali się do domu złodzieje, stłukli wazon i ukradli telewizor, a właściciel czuje, że pogwałcono jego prywatność, i jest zdruzgotany.

Dla ich obecnej sytuacji „pogwałcenie” było właściwym określeniem.

- Co to znaczy, Evie? - Głos Franka znowu drżał. Pojęła, że się nie odezwała, odkąd ją zawołał, była zbyt

mocno pogrążona w myślach, a on wydawał się nagle taki przerażony. Zapra-
gnęła go chronić, bo może teraz jej kolej na okazanie siły, i z całego serca żałowała, że nie może mu tego wszystkiego oszczędzić.

- Lepiej się nie zastanawiać, co to znaczy, skarbie - powiedziała.

- OK. Kocham cię, Evelyn.

- Ja też cię kocham, Frank.
- I jestem bardzo dumny, że jesteś taka odważna.
- Nie ma sensu wrzeszczeć i zanosić się płaczem. Chociaż prawdę mówiąc, chętnie bym pokrzyczała.
- Więc krzycz, jeśli myślisz, że to ci pomoże. Evelyn pokręciła głową.
- Nie dam im tej satysfakcji. -Im?
- Ten, kto nam to zrobił, może nas teraz obserwować.
- Obserwuje nas, obserwuje - powtórzył Frank silniejszym już głosem.
- Właśnie, Frank. Tylko tyle możemy zrobić. Nie tracić odwagi, najlepiej wykorzystać.
- Co wykorzystać, Evie?
- Czas, który nam pozostał.

51

Po południu pojawiła się informacja o nowej zaginionej parze.

Rodzina, przyjaciele i sąsiedzi nie widzieli Evelyn i Franka Resslerów, dwojga starszych mieszkańców Surfside, od poniedziałkowego wieczora, kiedy oboje wyszli z synagogi B'nai Torah przy Isaac Singer Boulevard, gdzie byli na popołudniowej potańcówce.

Córka, Barbara Herman, rozmawiała z matką wkrótce po tym, jak wrócili do domu przy Bay Drive; Evelyn powiedziała, że oboje jak zwykle świetnie się bawili. Kiedy pani Herman zatelefonowała do rodziców rano, nikt się nie zgłaszał, ale wiedząc, że o jedenastej ojciec ma wizytę u kardiologa, pomyślała, że po prostu wcześniej wyszli i później się do niej odezwą.

O dwunastej zadzwoniła do niej recepcjonistka z gabinetu kardiologa.

Godzinę później Barbara Herman zaczęła obdzwaniać szpitale, a Simon Herman zwolnił się z pracy, żeby być przy roztrzęsionej żonie.

O trzeciej oboje wiedzieli, że stało się coś bardzo złego, i Simon zdecydował się na telefon, którego tak bardzo się bali.

Teraz każdy policjant w Miami-Dade szukał zaginionych.

Na razie nie było żadnych wiadomości.

52

Kolacja w Opera Cafe udała się pomimo złych informacji, które Sam tego dnia otrzymał. Na początku nie potrafił oderwać uwagi od śledztwa, przede wszystkim od Resslerów, bo myśl o dwojgu starsuszków, których porwano, nie wspominając już o zastraszeniu i torturach, była nie do zniesienia. Ale ciągle zgłaszano czyjeś zaginięcia i zwykle po krótkim czasie sprawa się wyjaśniała, zdarzało się coś, co nie miało nic wspólnego z zabójstwami, jak choroby, wypadki czy typowe zwłaszcza dla ludzi starszych chwile zapomnienia.

Tylko że zwykle przydarzało się to osobom, które w pojedynkę wychodziły z domu same. Wprawdzie nie można tego wykluczyć, ale mało prawdopodobne, by to samo jednocześnie przytrafiło się małżeństwu które, jak twierdziła córka, zachowało pełnię władz umysłowych.

Ale to był ważny dla Cathy wieczór i Sam dokładał starań, żeby dobrze się bawić.

Pomocny okazał się wybór muzyki dokonany przez Dooleya: trochę Schuberta, szczypta Verdiego i mnóstwo Pucciniego, romantyczne utwory pasujące do świec i słodkich róż na stole.

Cathy i Dooley nie wychodzili z kuchni, ale było jasne, kto zajmuje się gotowaniem; Sam i Grace widzieli, jak Cathy szatkuje, kroi, miksuje, pewnie porusza

się między lodówką a kuchenką, na której z garnków unosi się para, osiada na szklanych drzwiach, i...

- Trudno oderwać wzrok - powiedziała Grace.

- Jestem z niej cholernie dumny - wyznał Sam.

- Ja też. I jestem pod wielkim wrażeniem - dodała Grace. - Tylko na nią popatrz.

Jedzenie podane przez Simone (najwyraźniej Cathy nie zdołała jej przekonać) było po prostu wyśmienite.

- Wszystko sama wymyśliła - uprzedził Dooley, kiedy oboje wrócili do sali. - Ani jedno danie nie figuruje w naszym menu.

- Wasze menu jest rewelacyjne - zapewnił go Sam. Dooley się uśmiechnął.

- Nie sądzę, żeby chciała nas urazić. Zależało jej, żeby dobrać wasze ulubione składniki, i będę zaskoczony, jeśli nie będzie wam smakować.

Menu okazało się dość eklektyczne, ale Dooley miał rację. Zaczęli od lekkich ravioli z krabami, potem była idealnie przyrządzona cielęca wątróbka z pieczonymi ziemniakami i delikatna surówka z różnego rodzaju sałat z sosem, którego Grace nie potrafiła rozpoznać.

- Przykro mi - powiedziała Cathy, pojawiając się na krótko. - Nie zdradzę.

- Przecież jestem twoją matką. Zawsze dzieliłam się z tobą przepisami.

- To sprawa zawodowa - uśmiechnęła się Cathy. - Może pewnego dnia ci powiem.

Stojący obok Dooley podniósł dłonie w geście poddania.

- Nie miałem w tym udziału, ale liczę, że znajdzie się w naszym jadłospisie.

Po deserze składającym się z tarty *tatin* i domowych lodów waniliowych Simone, Dooley i Cathy zgodzili się wreszcie usiąść z gośćmi; niewykluczone, że wina wybrane przez Matta Dooleya umocniły dobry nastrój Sama i Grace, choć

jednocześnie wzruszył ich talent Cathy i wielkoduszność Dooleya, który tak chętnie ją uczył.

- Otworzyłeś przed nią cały nowy świat - powiedział Sam.
- Otworzyła go sobie sama, kiedy była w Kalifornii - odparł Dooley.
- Ale tak naprawdę ty pomogłeś jej wejść do środka - dodała Grace poruszona.

Sam ujął jej dłoń, a potem oboje równocześnie wstali, żeby uścisnąć córkę, zaraz jednak wypuścili ją z objęć, ponieważ dzisiejszy wieczór ukazywał nową drogę Cathy i nie chcieli go zepsuć, wprawiając ją w zakłopotanie.

Na powrót usiedli.

- Dla mnie to jest to - oznajmiła szczerze Cathy. - To moje życie.
- Pod warunkiem że nie zostaniesz tu zbyt długo - powiedział Dooley.
- Chcesz się mnie pozbyć?

Mówiła lekkim tonem, ale Grace wyczuwała kryjącą się pod nim bezbronność.

- Wręcz przeciwnie - odezwała się Simone. - Ale rozumiem, o co chodzi Mattowi. Jeśli ma to być twoje życie, Cathy, musisz nauczyć się wszystkiego, czego się da, brać, ile możesz, przenosić się z restauracji do restauracji, od jednego nauczyciela do drugiego.

- Ja nie jestem nauczycielem - zauważył Dooley.
- Według mnie jesteś - zaprotestował Sam.

Dooley skromnie wzruszył ramionami, ale w jego piwnych oczach malowała się serdeczność.

- Simone ma rację, Cathy. Nauczysz się od nas wszystkiego, czego możemy cię nauczyć, a potem musisz znaleźć lokal, który będzie dla ciebie odpowiedni. Pomożemy ci, damy doskonale referencje, cokolwiek będziesz potrzebowała.

- Nie ma pośpiechu - dodała Simone. - Cieszymy się, że z nami jesteś, Bóg to wie. Nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne, kiedy moja matka jest w takim stanie.

- Chętnie będę pracowała dłużej, jeśli ci to pomoże - powiedziała Cathy.
- Niewykluczone, że cię o to poproszę - odparła Simone.
- Ale szczerze mówiąc, to, że teraz muszę przychodzić do restauracji, utrzymuje mnie przy zdrowych zmysłach.
- To mogę zrozumieć - powiedziała Grace.
- Ta pani - Dooley spojrzał na Simone - naprawdę jest wyjątkowa.
- Swój swego zawsze pozna - odrzekł Sam.

53

18 LUTEGO

W środę rano nieprzyjemne napięcie i frustracja przybrały na sile, członkowie zespołu żywili najbardziej ponure obawy, że Evelyn i Frankowi Resslerom mogło się już przydarzyć najgorsze. Wciąż nie znano dokładnego rozkładu czasu podczas poprzednich morderstw, ale wszystko wskazywało na to, że Eastermanowie zostali porwani wieczorem lub nocą w czwartek piątego lutego i porzuceni w ogrodzie dawnej galerii w sobotę rano, drugą parę natomiast niemal na pewno porwano w ostatnią środę wieczorem, prawie tydzień temu, i przewieziono na podwórko państwa Christou wczesnym rankiem w piątek.

Jeśli taki był związek czy wręcz wzór działania, oznaczało to, że Resslerowie niedługo się znajdą, ale dzisiaj rano detektywom pozostało tylko zająć się informacją, że Mary Cutter zlokalizowała podobnie wyglądającą plastikową kopulę w jednej z witryn internetowych, które obsługują wystawców organizujących konwencje i mniejsze pokazy.

- Nie jest taka sama - stwierdził ponuro Martinez.
- A ja myślę, że jest - odparła Cutter. - Porównałam wymiary z tymi, które mają technicy, a doktor Sanders wszedł na tę stronę i zgodził się ze mną.

- Mamy listę nabywców? - zapyta! Sam.
 - Powinnam ją dostać po południu.
 - To dobrze - stwierdził Sam.
 - Nawet nie wiemy, czy mordercy Eastermanów kupili tę przeklętą kopułę - powiedział Martinez. - A jeśli tak, to pewnie z drugiej ręki.
 - Albo ją ukradli - dodała Beth Riley.
 - Więc jak dostanę listę, mam ją skasować? - zapytała kwaśno Cutter.
 - Nawet tak nie żartuj. - Do sali konferencyjnej wszedł sierżant Alvarez. - Dobra robota - pochwalił Mary. - Mniej pesymizmu, koledzy.
- Sam odczekał sekundę, bo wiedział, że to, co powie, nie przyczyni się do poprawy nastroju w zespole.
- Zidentyfikowano klej. To Hero, jeden z najbardziej popularnych na rynku.
 - Co mniej więcej tak nam pomoże jak cios prosto w żołądek - skwitował Martinez.
 - Co ci jest? - zapytał Sam po spotkaniu, gdy wracali do biurka.
 - Nie wiem, chyba wyrzuty sumienia - odparł Martinez.
 - Z jakiego powodu?
 - Właściwie to drobiazg, ale w porze lunchu chciałem iść do jubilera przy East Flagler, bo uznałem, że w czwartek przed wyjściem z domu albo na przyjęciu miło by było dać Jess pierścioneł.
 - Więc co jest nie tak? - zapytał Sam, czytając notkę na żółtej karteczce przyklejonej do jego telefonu. - To świetny pomysł.
 - Chodzi o Resslerów. Wiesz, nie mam teraz do tego serca.
 - Jasne, rozumiem. Ale musisz to zrobić dla Jess i dla siebie. - Spojrzał na zegarek: prawie dziesiąta. - Może mylimy się co do wzoru. Tamte pary znaleziono wczesnym rankiem, niewykluczone więc, że Resslerom nie stało się nic złego.

- Oby Bóg cię wysłuchał - powiedział Martinez.

- Albo leżą w jakimś bardziej odludnym miejscu i trochę potrwa, zanim ich znajdziemy. - Sam umilkł, bo taka ewentualność pogłębiała tylko beznadziejność sytuacji. - Może wcale.

- Wykluczone, jeśli są trzecią parą - sprzeciwił się Martinez. - W końcu ekspozowanie zwłok jest dla sprawców przynajmniej w połowie tak ważne jak samo morderstwo.

-

54

John Hercules lubił ukołysać się do snu alkoholem.

Głównie czerwonym winem, a czasami *pastis de marseille*, którego wczoraj wieczorem wypił trochę za dużo, bo jego dziewczyna Lise wściekła się na niego, choć przyczyny nie potrafił sobie teraz przypomnieć. Powiedział jej więc, żeby spadała, a ona go posłuchała; podejrzewał, że potem humor mu się pogorszył i przerzucił się na ricarda.

Nie pamiętał zbyt wiele z tego, co się działo, kiedy otworzył butelkę. Pół godziny temu ocknął się i walcząc z makabryczną paradą symptomów kaca, zdołał zaparzyć wielki kubek mocnej kawy.

Wyszedł na podwórze.

Kierował się do atelier; nie zamierzał teraz pracować, ale przebywanie tam często poprawiało mu nastrój. Tylko że coś było nie tak.

Coś z piecem do wypalania.

Leżało w nim coś, czego nie powinno być.

Podszedł bliżej.

- Matko Święta - powiedział bardzo cicho.

Po raz pierwszy i jedyny w życiu John Hercules pomyślał, że wolałby być ślepy.

Artyści muszą widzieć, to oczywiste, ale jako rzeźbiarz dałby sobie radę.

Teraz na to za późno.

Wiedział, że ten widok na zawsze wryje mu się w pamięć.

Jak straszliwa, bolesna, ohydna rana. Na zawsze.

55

Miejsce znajdowało się poza ich jurysdykcją, ale Elliot Sanders, który miał to nieszczęście, że był na służbie, nie tracił czasu i natychmiast wezwał Sama i Martineza do Coconut Grove, do domu przy Gifford Lane. Pierwszego ściągnął z posterunku, drugiego ze sklepu jubilera. Sam z niejaką przykrością zauważył, że niedaleko, na Matilda Street, mieszkała „przyjaciółka” Cathy, Kez Flanagan.

To była jedna z mniejszych posesji, mały niebieski dom z gankiem i bananowcami rosnącymi na zaniedbanym trawniku, które po części ukrywały zły stan budynku. A mimo to, myślał Sam, owo miejsce odznaczało się pewnym urokiem, może dlatego, że mieszkający tu człowiek był dość znanym rzeźbiarzem, który pewnie już nigdy nie zarobi fortuny, ale jak wykazały poszukiwania w sieci, swoje dzieła sprzedawał regularnie.

Jednak Sam nie dostrzegał nigdzie akrylowych rzeźb. John Hercules tworzył w metalu i glinie.

Funkcjonariuszom, którzy przyjechali pierwsi, powiedział, że od ponad dwóch tygodni nie używał pieca, choć spędzał większość czasu w pracowni, i że idąc z domu przez podwórko ma piec w zasięgu wzroku.

Rozmawiali w salonie połączonym z kuchnią. Hercules, czterdziestodwuletni mężczyzna z ogoloną głową i tatuażem na muskularnych ramionach, wyglądał na zdruzgotanego.

- Przed chwilą przechodziłem koło lustra - powiedział detektywom - i ledwo siebie poznałem. Wyglądam jak Dorian Grey po zniszczeniu tego pieprzonego portretu. Ciekawe, czy wrócę do siebie.

Sam dostrzegł minę Martineza.

Opętani obsesją na swoim punkcie osobnicy nie należeli do jego ulubieńców.

Mimo to, pomyślał Sam, biedny facet...

Jeśli uważali, że pierwsze dwie pary stanowiły okropny widok, w porównaniu z obecną tamte sceny były niemal łagodne.

Ten sam *modus operandi*, choć jakimś sposobem najbardziej okrutny.

Znowu podcięte gardła. Na twarzach Evelyn i Franka Res-slerów malowało się przerażenie i wyraźne cierpienie, choć oczu nie było widać. Na razie nie dało się stwierdzić, czy mają oczy w oczodołach, czy poza nimi, ponieważ ułożono ich twarzą do twarzy i sklejono okulary, a z tego, co patolog, technicy i policjanci mogli dostrzec, szkła z kolei przyklejono do powiek.

Ręce też mieli złączone, Evelyn prawą dłonią trzymała lewą dłoń męża.

Tak samo jak poprzednie ofiary byli nadzy. Ludzie po siedemdziesiątce.

Sam nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wcześniej widział Martineza wymiotującego na miejscu zbrodni. On zdołał się powstrzymać, choć łzy cisnęły mu się do oczu, a kiedy patrzył na kobiety i mężczyzn zgromadzonych na podwórku, widział wyraźnie, że nie jest w tej reakcji osamotniony.

Czuł także gniew.

Piekącą, palącą, rosnącą wściekłość.

Wszystko się zmieniło.

Bez wątpienia mieli do czynienia z seryjnymi morderstwami, w dodatku sprawa zapowiadała się na jedną z poważniejszych. Czas najwyższy na wprowadzenie szczegółów do systemu Vi-Cap w Narodowym Centrum Analizy Przestępstw FBI. Teraz potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy.

Sformowano zespół, do którego doszedł agent specjalny FDLE nazwiskiem Joe Duval, wyznaczono salę. W pewnych okolicznościach obecność nowego człowieka wkurzałaby detektywów, ale pracowali już wcześniej z Duvałem, byłym policjantem z wydziału zabójstw w Chicago i Miami, który miał spore doświadczenie w tworzeniu profili sprawców, i wiedzieli, że przy tego typu sprawie dobrze mieć go przy sobie. Zresztą w tej sytuacji nie mogli marudzić.

Technicy znowu znaleźli ślady kół, stanowiące obecnie znak szczególny mordercy oraz wskazujące na sposób przetransportowania ofiar, a chociaż piec do wypalania był bardziej zamkniętą przestrzenią niż ogródek, związek ze sztuką narzucał się w sposób oczywisty.

Co być może kazałoby im od razu wrócić do Beatty'ego i Moore, ale śledztwo w laboratorium uzyskało priorytet, próbki badano poza kolejnością i Ida Lowenstein z biura patologa poinformowała, że krew z nieczynnej galerii nie należy do żadnej z tych osób.

- Co tylko znaczy, że sami nie krwawili - stwierdził cierpko Martinez.

Były jednak dwie rzeczy.

Teraz jeszcze mniej prawdopodobne wydawało się to, że morderca działa w pojedynkę, ponieważ trudno było wyobrazić sobie, by jeden człowiek, choćby najsilniejszy, zdołał umieścić ciała Evelyn i Franka Resslerów w piecu, zachowując ich ułożenie twarzą w twarz.

- Chyba że doktor Sanders ma rację i sprawca korzysta z podnośnika - powiedziała Riley.

Po raz drugi znaleziono piasek w śladach i na trawie. Taki sam biały, drobny piasek jak poprzednim razem.

- Chciałbym pojechać do ogrodu w galerii - powiedział Sam.

Jedli spiesznie popołudniową kanapkę u Markie, Martinez zamówił cubano, Sam befsztyk na razowym chlebie, bo niech Bóg ma ich w opiece, ale byli głodni pomimo horroru, z jakim mieli do czynienia.

- Myślisz, że technicy mogli przegapić tam piasek? - Martinez nie krył wątpliwości.

- Mało prawdopodobne, ale nie padało, więc nie zaszkodzi jeszcze raz się przyjrzeć.

Obaj wiedzieli, że chwytają się brzytwy.

- Chętnie poszukałbym białego piasku w domach Beatty'ego i Moore - powiedział Martinez. - Myślisz, że mamy dość, aby dostać nakaz?

- W żadnym razie - odparł Sam. - Ale z przyjemnością zrobiłbym to samo w domu Anthony'ego Christou.

- Możesz o tym zapomnieć.

- Wiem - przyznał Sam. - To, że ktoś zachowuje się obrzydliwie, sędziemu nie wystarczy.

- Nie wystarczy nawet obrzydliwe zachowanie i fakt, że w akwarium były dwa ciała. - Martinez wytarł usta serwetką. - Cholera, znowu straciłem apetyt.

Rozmawiali do znudzenia o Karen i Anthony'ym Christou. Po raz kolejny zgodzili się, że porwanie, zamordowanie dwóch ofiar, zostawienie ich we własnym ogródku i zawiadomienie policji to czyn, który świadczyłby o kompletnym szaleństwie.

Małżonkowie jednak nie darzyli się sympatią, chyba wręcz się nienawidzili, dlatego obaj detektywi nie mogli jeszcze całkiem ich skreślić.

- Nie mówię, że moim zdaniem Christou albo jego żona mieli coś z tym wspólnego - powiedział Sam. - Byłbym tylko zadowolony, gdybyśmy mogli definitywnie ich wykluczyć.

- W takim razie odwiedzmy go w jego domu w Boca - zaproponował Martinez.

- Albo przynajmniej wpadnijmy do jego biura. Ustalili, że Christou prowadzi swoją małą sieć greckich lokali

z biura nad pierwszą restauracją, którą otworzył w Aventura sześć lat temu. Nosila nazwę Anthony's Taste of Ionia.

- Niewykluczone, że ma gdzieś magazyn - zastanawiał się Martinez. - Na tyle wielki i ustronny, że może zamknąć w nim ofiary i spokojnie bawić się klejem bez obawy, że ktoś go zauważy.

- Przychodzi ci na myśl jakiś motyw, dla którego miałyby to robić? - zapytał sucho Sam.

- W przypadku Beatty'ego i Allison Moore też nie mamy motywu.

- Nie musisz mi mówić. - Sam wzruszył ramionami. - Ale to nie powód, żebyśmy nie porozmawiali raz jeszcze z panem Christou, nie zapytali, jak oboje radzą sobie z szokiem.

- Zadamy mu kilka przyjacielskich pytań - zgodził się Martinez. - Na przykład czy spędza długie weekendy nad zatoką, a może gra w golfa?

- Albo czy nieudane małżeństwo nie spowodowało, że znienawidzili szczęśliwe pary? - uzupełnił Sam.

- Widzisz? - Martinez wstał. - Masz motyw.

Długo na to czekali, ale wreszcie miecz Damoklesa spadł na nich w porze, gdy zespół kończył pracę. Media połączyły morderstwa.

To naturalnie było nieuchronne; najpierw liczba telefonów od łowców wiadomości z gazet, telewizji i radia powiększyła się czterokrotnie, potem detektywi zaczęli odnosić wrażenie, że atakuje ich chmara głodnych szerszeni.

Kiedy sytuacja się pogorszyła, Sam uznał, że jedno w tym dobre: szef przejął dowodzenie i teraz przełożeni decydowali, które szczegóły podać do wiadomości publicznej, a których nie ujawniać.

Na razie nie ujawniali wyłącznie faktów negatywnych. Sam nie zazdrościł swoim zwierzchnikom.

Na ósmą trzydzieści rano następnego dnia zwołano konferencję prasową.

- Do diabła, jak mogę teraz nawet myśleć o rejsie? Sam wypowiedział na głos dręczące go pytanie dopiero

wtedy, gdy w toalecie oprócz niego był tylko Martinez.

- Ja dzisiaj tak się czułem w związku z pierścionkiem, a ty mi powiedziałaś, żebym mimo wszystko poszedł go kupić, i tak zrobiłem, niech Bóg mi wybaczy.

- Ale wzruszy! ramionami. - Poza tym do rejsu zosta! tydzień. Przez ten czas mnóstwo może się wydarzyć.

- O tak. Na przykład kolejne morderstwa.

- Albo nastąpi przełom - odparł Martinez. - Czy też nawet aresztowanie.

- Nie jestem optymistą. - Sam pokręcił głową. - Po tym, co widzieliśmy u rzeźbiarza, mam jak najgorsze przeczucia.

- Myślisz, że powinniśmy odwołać jutrzejszy wieczór?

- W żadnym razie. Grace już gotuje.

- Więc jednak jest światełko w tym tunelu? - zapytał Martinez.

W uśmiechu Sama nie było wesołości.

Izabela Siódma i jej nienarodzone dzieci nie żyły.

Opiekun pograżył się w żałobie. Nie tylko po szczurzyca, ale po następnym pokoleniu, bo któż może wiedzieć, czy będzie Romeo Szósty i kolejna Izabela?

Klatka była pusta, cedrowe trociny, pudełka z gniazdami, resztki karmy zostały spalone.

Razem z Izabelą.

Szczury były czymś więcej niż przedsięwzięciem, czymś o wiele więcej niż projektem naukowym.

To było ćwiczenie w sprawowaniu kontroli i opiekun doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

Choć nie tylko. Nie chodziło wyłącznie o władzę, ale też o rodzaj miłości.

19 LUTEGO

Czwartkową konferencję prasową przeprowadzono na Rocky Pomerantz Plaża przed komendą główną, ponieważ spodziewano się tłumu uczestników, z czego większość miała kamery i mikrofony. Zgodnie z przewidywaniami zespołu było to wydarzenie ponure i żałosne.

W konferencji udział wzięli detektywi z komendy miejskiej w Miami, w których jurysdykcji znaleziono Resslerów, oraz zespół z Miami Beach i agent spe-

cialny Duval, ale sforze dziennikarzy stawili czoło komendant Hernandez i kapitan Kennedy; w innych okolicznościach Sam poprowadziłby konferencję, jednak ze względu na jego bliski urlop komendant uznał, że jeśli do tego czasu nie rozwiążą sprawy (co było cholernie prawdopodobne), na wydział spadłby grad krytyki, gdyby dzisiaj w centrum uwagi znalazł się Becket.

Ta świadomość nie poprawiała mu samopoczucia.

- Dzień dobry, jestem komendant Hector Hernandez z policji Miami Beach. Towarzyszą mi kapitan Tom Kennedy i sierżant Michael Alvarez, główny śledczy Sam Becket, agent specjalny FDLA Joseph Duval oraz zespół prowadzący dochodzenie w sprawie zabójstw, które wszystkimi wstrząsnęły i pogrążyły w smutku naszą kochającą spokój społeczność.

W głośnikach zapiszczało, Sam i Martinez wymienili spojrzenia. Hernandez odczekał sekundę i ciągnął dalej:

- Są z nami także przedstawiciele policji Miami...

Pisk przybrał na sile i Sam się wzdrygnął, do diabła, wszyscy się wzdrygnęli, ale zdawał sobie sprawę, iż część kamer została skierowana na niego, i gotów był się założyć o sporą sumę, że jeśli w materiale filmowym będzie wyglądał na spiętego, media wyjaśnią jego zdenerwowanie tym, że jest głównym śledczym.

To bez znaczenia, powiedział sobie surowo, uważnie słuchając pytań, na które kapitan i Alvarez mieli zaraz odpowiadać.

- Pani Susan Easterman. Pan Michael Easterman. - Wymieniając nazwiska ofiar, Tom Kennedy po każdym robił przerwę, by okazać szacunek zamordowanemu. - Pani Elizabeth Price. Pan Andre Duprez. Pani Evelyn Ressler...

Z tłumu na placu dobiegi szloch, stłumiony kobiecy płacz. Sam nie widział płaczącej kobiety, orientował się jednak, że to nie wróży dobrze, starali się bardzo, by ochronić krewnych przed tą konferencją, ale...

- Oraz pan Frank Ressler.

Zapadła długa cisza, potem kapitan oddał głos sierżantowi Alvarezowi, który przedstawił zwięzłe, starannie ocenzurowane opisy zbrodni oraz ogólne wskazówki dotyczące miejsca znalezienia zwłok. Zakończył apelem:

- Każdy, kto ma jakieś informacje mogące doprowadzić do ujęcia sprawcy lub sprawców tych potwornych zbrodni, zostanie potraktowany z najwyższą dyskrecją.

Alvarez więcej faktów pominął, niż ujawnił: nie wspomniał o kleju, plastikowej kopule, akwarium i o piecu do wypalania gliny. Wcześniej uzgodnili, że tak będzie lepiej dla śledztwa, poza tym chodziło o uniknięcie dodatkowej sensacji, skoro same zbrodnie i tak były dostatecznie szokujące.

Sierżant kontynuował, opierając się na profilu sporządzonym przez Joe Duvala.

- Sądźmy, że to zabójstwa z podpisem, pary porywane są razem lub osobno, mordowane oraz porzucane w miejscach, gdzie zostaną znalezione raczej wcześniej niż później. We wszystkich przypadkach wystąpił element „ekspozycji”. Podobny był także czas, który upłynął od zniknięcia do odkrycia ofiar, co świadczy o wysokim stopniu organizacji i wyraźnej potrzebie chęłnienia się swoim czynem sprawcy lub sprawców.

W raporcie Duval stwierdził też, że chociaż żadna z ofiar nie była napastowana seksualnie, takiego motywu absolutnie wykluczyć nie można, bez wątplenia natomiast celem zabójcy jest zademonstrowanie władzy.

Sam był wdzięczny Alvarezowi za wrażliwość, którą okazał, pomijając te elementy. Bóg wie, że sytuacja i tak była dostatecznie trudna niezależnie od tego, czy w tłumie za półkolem utworzonym przez dziennikarzy są krewni ofiar, czy też nie, ale najdrobniejsza nawet wzmianka o motywach seksualnych stałaby się pożywką dla krzykliwych tytułów.

- Do tej pory intencją naszego wydziału - ciągnął sierżant - było uniemożliwić zabójcy napawanie się sławą, której prawdopodobnie łaknie, ale teraz, gdy trzecią parę spotkał taki potworny, tragiczny los, stało się jasne, że choć nie ma po-

wodu do wszczynania powszechnego alarmu, ze smutkiem należy stwierdzić, że istnieje rzeczywista potrzeba wzmożonej obserwacji w okręgu Miami-Dade.

Rozpoczęło się zadawanie pytań, padały szybko i ze wszystkich stron, ostre, wnikliwe, bo na konferencji obecni byli przedstawiciele Foksa, 7 News, CBS 4 i innych wielkich stacji. Alvarez pominął dość informacji, by teraz móc na część odpowiedzieć, ponieważ jednak większość szczegółów musiał utrzymać w tajemnicy, jego położenie było trudne.

- To już trzecie pytanie, na które unika pan odpowiedzi -warknęła Ann Nunez z *Miami Daily News*. Wokół niej rozległ się chór sfrustrowanych, wrogich pomruków.

Alvarez wiedział (tylko kilka kropel potu na czole zdradzało, jak jest zestresowany), że najwyższa pora na zdradzenie jednego ważnego szczegółu, częściowo po to, by zadowolić dziennikarzy, częściowo dlatego, że policja może dzięki temu trafić na ważny trop.

- Mamy powody sądzić, że we wszystkich trzech wypadkach ofiary przetransportowano taczka lub wózkiem na miejsce, gdzie zostały znalezione. Nie wykluczamy, że jest to łóżko szpitalne.

- Ale nie wiecie tego na pewno, tak? - zawołał głośno i wyraźnie Sandy Reiner z *Miami Star*. -I nie macie pojęcia, kogo szukacie. Nie żyje sześć osób, a wy nawet nie wiecie, czy sprawca jest jeden, czy ośmiu.

- Tej kwestii dzisiaj nie skomentujemy, ponieważ jest zbyt blisko związana ze śledztwem - odparł, panując nad głosem - ale przekazemy kolejne informacje....

- ...później - dokończył Reiner. - Tak, tak. Nad placem uniósł się kobiecy głos:

- Sierzancie, jak wytłumaczy pan pozostawienie mieszkańców Miami w zupełnej niewiedzy?

Tłum zafalował, jakaś kobieta wystąpiła przed dziennikarzy, którzy chętnie zrobili jej przejście, wyczuwając „moment”.

Była wysoką brunetką w średnim wieku, miała na sobie kostium z czarnego lnu. Sam nie poznał osobiście córki Resslerów, ale widział jej zdjęcie i serce mu się ścisnęło.

- Przez was mieszkające tu starsze małżeństwo było kompletnie bezbronne.

Głos Barbary Herman drżał, mimo to zdawał się wypełniać powietrze. Wszystkie obiektywy i kamery zwróciły się na pogrążoną w żalobie i pełną gniewu kobietę.

- Moi rodzice przez całe swoje życie nikomu nie zrobili krzywdy. - Dławiły ją łzy, ale jeszcze nie skończyła i nikt nie próbował jej powstrzymać. - Nie mieli cienia szansy, bo nawet nie wiedzieli, że ich życie jest zagrożone. Jak pan to wytłumaczy?

Czas wziąć na siebie część krytyki. Sam wstał i wystąpił.

- Pani Herman, bardzo pani współczujemy z powodu straty i jeśli jest pani gotowa...

- Gotowa na co, detektywie Becket? - Zdruzgotana kobieta płonęła od gniewu. - Żeby zbył mnie pan wymówkami w rodzaju, że nie mogliście wiedzieć, kto będzie następny?

- Nie zamierzałem...

- Oczywiście, że tego nie mogliście wiedzieć - przerwała mu Barbara Herman. - Nikt nie oczekuje cudów, detektywie, ale nawet nie próbowaliście ostrzec ludzi.

Komendant wstał, dając Samowi znak, żeby ustąpił.

- Pani Herman, czy mogę... - zaczął.

- Nie może pan. - Jeszcze z nimi nie skończyła. Po jej twarzy płynęły łzy i nie próbowała ich wytrzeć. Sam wiedział, że dziennikarze są zachwyceni. - Z powodu waszej niekompetencji moich rodziców spotkała niewyobrażalnie okrutna śmierć. - Zwróciła się twarzą do tłumu, drżąc na całym ciele. - Jestem głęboko przekonana, że oni nie mówią wam całej prawdy, a z całą pewnością nie powiedzieli wszystkiego. Nie ulega jednak wątpliwości, że kiedy ja i mój mąż dowie-

my się, co naprawdę się stało - a dowiemy się na pewno - dołożymy starań, by przekazać wszystkie szczegóły mieszkańcom Miami.

Po tych słowach odwróciła się wreszcie i ruszyła na miejsce. Jakiś mężczyzna - Sam przypuszczał, że to jej mąż - objął ją, a kamery znowu zaszumiały.

Niedługo potem kapitan Kennedy zakończył konferencję.

Szkoda się stała. Wydział otrzymał solidny cios.

Ale Sam Becket nie mógł winić tej biednej kobiety.

60

Przed dwunastą wyszli razem z Jess na wczesny lunch, nie dlatego, że byli głodni, lecz dlatego, że Sam i Martinez potrzebowali chwili wytchnienia po nowym ciężarze odpowiedzialności, który przygniótł ich podczas konferencji prasowej, a Jess, współczując im obu, zapytała, czy może iść z nimi.

- O ile wam to odpowiada - zastrzegła się. - Nie chcę przeszkadzać, jeśli macie zamiar omawiać śledztwo albo pogadać sobie po męsku.

- Na pewno nie to drugie - odparł Martinez.

- Hej, a może wy chcecie spędzić trochę czasu we dwoje? - zapytał Sam.

- O nie, skoro mogę mieć was obu. - Jess wzięła ich pod ramię. - Tak dobrze?

- Jasne - odparł Sam i znowu ucieszył się ze względu na przyjaciela, chociaż wiedział, że trzeba by czegoś więcej niż półgodzinnych przekomarzanek z Jess, żeby im obu poprawił się nastrój.

Jak na luty było słonecznie i ciepło, a prognozy zapowiadały dobrą pogodę i na Washington przechodnie rozkoszowali się przyjemną aurą. W powietrzu wyczuwało się ożywienie, co zdaniem Sama było dobrym znakiem dla South Beach, jako że ubiegłoroczny kryzys spowodował tu zastój. Jak wszędzie, ale Sam żywił

szczególną sympatię do tego miejsca; w przeszłości mieszkał na poddaszu w różowo-białej kamienicy w stylu art deco przy Collins, na które trafił dzięki szczęśliwemu trafowi. Uwielbiał je, przy sprzyjającej pogodzie spędzał całe noce na dachu i wątpił, by cokolwiek innego niż miłość do Grace Lucca mogło skłonić go do wyprowadzki.

Ani razu tego nie żałował.

-Hej!

Okrzyk Jess przestraszył ich obu. Puściła ich i pobiegła ulicą...

- Jess! - wrzasnął Martinez.

Minęły dobre dwie sekundy, zanim Sam i Martinez zorientowali się, dokąd pędzi. Obaj ruszyli za nią, ale było za późno, żeby ją powstrzymać; zdążyła się rzucić na wysokiego czarnego nastolatka.

- Jess, przestań! - krzyknął Martinez.

Z całej siły uderzyła torebką chłopaka, który jęknął z bólu i upuścił czarny portfel. Becket i Martinez dobiegli do nich, kiedy Jess zamierzała wykręcić chłopcu rękę.

- Jess, nie rób tego! - powiedział Sam.

- Zabrał jej portfel! - Jess była zadyszana i przejęta.

- Zwariowała pani? - Oburzona kobieta, niska i pulchna, złapała nastolatka za rękę. - To mój syn!

- Widziałam, jak wyjmuję portfel z pani torebki - odparła Jess, rumieniąc się z zakłopotania. - Widziałam to, proszę pani.

Sam i Martinez wyjęli odznaki.

- Policja, proszę pani.

- To mój syn - powtórzyła kobieta. - Dałam mu portfel.

- Ale on podbiegł do pani! - zaprotestowała Jess. - Wyjął portfel z pani torebki.

- Posłałam go do sklepu, ale zapomniał o portfelu, więc wrócił. - Kobieta wciąż była rozgniewana. - Prawo teraz tego zabrania?

- W żadnym razie, proszę pani - powiedział Sam. - To była pomyłka.

- Ta suka złamała mi rękę! - Chłopak piskliwie zaakcentował ostatnie słowo i wokół nich zaczął gromadzić się tłumek.

- Jeśli coś ci się stało, wezwiemy pogotowie - zapewnił Sam.

- Jeśli złamała mu rękę, pozwę policję - oznajmiła kobieta.

- Ma pani do tego prawo - odparł Martinez. - Ale to było nieporozumienie. Ta pani sądziła, że chłopak jest złodziejem. Próbowwała pomóc.

- Tak mi przykro. - Rumieniec Jess przybrał barwę szkarłatu, z sekundy na sekundę jej upokorzenie rosło. - W głowie mi się nie mieści, że to zrobiłam. Tak bardzo mi przykro.

- Nie ma sprawy - powiedział Martinez. - Po prostu się pomyliłaś.

Po pięciu minutach matka się uspokoiła, z ręką jej syna nie działo się nic złego poza tym, że wyskoczył na niej siniak, ale detektywi ponownie zaproponowali, że zadzwonią na pogotowie, powiedzieli też matce, że ma prawo złożyć skargę, ale kobieta po namyśle zrezygnowała. Sam zapytał chłopaka, czy chciałby przejechać się kiedyś wozem patrolowym, na co ten zareagował pogardliwym prychnięciem, choć jego mama uznała, że to dobry pomysł.

- Przynajmniej tyle mogą dla ciebie zrobić. Tłumek rozproszył się, nieco rozczarowany.

- Wszystko w porządku - powiedział Sam. - Idziemy coś przegryźć?

- Chyba nie dam rady nic przełknąć - odparła Jess.

- Coś jednak powinnaś zjeść.

Poszli dalej i nagle, kiedy byli daleko poza zasięgiem słuchu matki i syna, Martinez zatrzymał się i zwrócił do Jess:

- Do diabła, jak mogłaś być tak głupia? To ostatnia rzecz, jaką powinnaś była zrobić, przecież gdyby złodziej miał broń, już byś nie żyła. Nie wspomną już o tym, że napadłaś na nastolatka!

- Hej, stary, wyluzuj - wtrącił Sam, widząc w oczach Jess łzy. - Spokojnie, ona myślała, że robi dobrze. - Objął dziewczynę. - Tylko że Al ma rację, Jess. Jesteś odważna, ale chłopak mógł mieć nóż, a twój narzeczony chce, żebyś była z nim przez długi czas.

- Wiem. - Wytarła oczy drżącymi dłońmi. - Naprawdę bardzo mi przykro.

Wysunęła się z objęć Sama i Martinez ją przytulił.

- OK. Już dobrze - powiedział Sam.

- Mnie też jest przykro. - Martinez ją pocałował. - Nie powinienem był tak się wściekać, ale jak mówił Sam, wiele dla mnie znaczysz i musisz o siebie dbać.

Jess się cofnęła.

- Nie w miejscu publicznym, Al. Już i tak jestem zażenowana.

- Twoja narzeczona jest niezwykła - oświadczył Sam. I znowu zobaczył, jak Jess się rumieni.

61

Pierwsza restauracja pana Christou, Anthony's Taste of Ionia, czynna była od piątej po południu, ale kiedy detektywi zapukali, drzwi otworzyła im młoda ciemnowłosa kobieta w bawełnianej sukience i sandałkach na platformach. Nie zaskoczył jej widok odznak, z czego wywnioskowali, że dobrze wie, co się zdarzyło w domu jej szefa.

- To wizyta towarzyska - wyjaśnił Sam.

- Pana Christou nie ma, ale powinien niedługo wrócić. Chcą panowie na niego poczekać?

Wpuściła ich do wielkiej, mrocznej, pustej sali. Na przykrytych białymi obrusami stołach leżały srebrne sztucce i stały odwrócone do góry dnem kieliszki.

- Jestem Effie - przedstawiła się, zamykając drzwi na klucz. - Effie Stephanopoulos, osobista asystentka pana Christou... To straszne, co się stało.

- Tak, to prawda - zgodził się Sam.

Dziewczyna sprawiała wrażenie, że nie bardzo wie, co zrobić.

- Napiją się panowie kawy?

- Proszę o wodę, jeśli to nie sprawi kłopotu - powiedział Sam.

- Najmniejszego. - Effie weszła za długi, staroświecki bar. - Dla pana też? - zwróciła się do Martineza. - A może kawa albo coś mocniejszego?

- Tylko woda, proszę pani. Choć gdyby miała pani tabletki na ból głowy, byłbym wdzięczny.

- Tylenol może być? - Pochyliła się i wyjęła z lodówki dwie małe butelki wody evian.

- Oczywiście. Bardzo dziękuję.

- Naprawdę nie ma za co. - Wzięła małą tacę, postawiła na niej butelki i położyła dwie tabletki, które wyjęła z fiołki.

- Mam nadzieję, że nie będzie to panom przeszkadzać, ale muszę wracać do pracy.

- Naturalnie - powiedział Sam.

- Proszę usiąść, gdzie wam będzie wygodnie, przy stoliku albo przy barze.

Patrzyli, jak wychodzi przez drzwi na zaplecze, potem usłyszeli jej kroki po schodach. Martinez popił tabletki prawie całą butelką.

- Bardzo boli? - zapytał Sam.

- Aha. - Martinez zakaszał. - Chyba mnie zaraziłeś.

- Przykro mi.

- Mnie też.

Wolno obeszli restaurację, oglądając fotografie, o których w piątek wspomniała Karen Christou: trzy ujęcia akwariów, na dwóch obok niego stał rozpromieniony właściciel.

- Hej. - Martinez przeszedł na koniec długiego baru.

- To ci coś przypomina?

Sam odwrócił się i zobaczył przezroczyste naczynie, którego zapewne używano do przykrycia ciasta, a może serów. Była to kopuła ze szkła lub plastiku. Wzruszył ramionami.

- Gdyby była większa o dwa metry, byłoby o czym mówić.

- Zaczął studiować kartę dań. - Ale tu coś jest. Nie podają wyłącznie ryb. „Sztufada Anthony'ego”, rodzaj gulaszu wołowego, ale z papryką i śmietaną.

Obaj zamilkli, rozważając możliwe implikacje tego faktu.

- Choć musiałby być kompletnym świrem, no nie? - odezwał się pierwszy Martinez. - Żaden zabójca przy zdrowych zmysłach nie dzwoni na policję, żeby się pochwalić tym, co zrobił na własnym podwórku.

- Tylko w sytuacji, gdyby sprawcą był Christou - odparł Sam.

- Więc według ciebie to Karen? - Martinez znowu zakaszał i wypił resztę wody. - Z kochankiem?

- W tym przynajmniej byłby jakiś sens. - Sam pokręcił głową. - Tylko po co zabijać najpierw Eastermanów i zostawiać ich w galerii? Dla przyjemności?

- Jeśli wrabia mężulka i ma nierówno pod sufitem, to kto wie, jak daleko się posunie?

Na schodach znowu rozległy się kroki, do sali weszła Effie.

- Tak mi przykro - powiedziała - przed chwilą dzwonił Anthony, to znaczy pan Christou. Bardzo przeprasza, ale nie wie, kiedy wróci, i pyta, czy mogliby panowie umówić się na spotkanie.

- Jasne - odparł Sam. Effie się skrzywiła.

- Powinnam była przynieść kalendarz.

- To żaden problem - powiedział Martinez. - Pójdziemy z panią.

Poszli za nią po wyłożonych linoleum schodach do biura. W sąsiednim pokoju przy biurku pracował stary mężczyzna z szopą siwych włosów, a przez otwarte drzwi widzieli większy gabinet, pewnie należący do Christou.

- Anthony był w głębokim szoku, kiedy to się stało - powiedziała Effie cicho.

- A kto by nie był? - zapytał Martinez.

- Więc stąd zarządzacie wszystkimi restauracjami? - zapytał Sam.

- Tak. - Effie uśmiechnęła się do niego. - Jedli tu kiedyś panowie?

- Jeszcze nie.

- Ja też nie - dodał Martinez.

- Powinni panowie spróbować. Dania są naprawdę świetne. Sam powiódł wzrokiem po ścianach, zobaczył certyfikaty,

fotografie, listy i wydruki komputerowe przypięte do korkowej tablicy nad biurkiem, które najprawdopodobniej należało do Effie.

- Sprawdź w kalendarzu. - Otworzyła terminarz gęsto zapisany pod każdą datą.

Sam spodziewał się uników.

- Wybiera się pani na wakacje w tym roku? - zapytał Martinez.

- Mam taką nadzieję, ale jeszcze niczego nie zaplanowałam.

- A pan Christou? - zapytał Sam.

- Wydaje mi się, że wiosną jedzie na Korfu.
- Nigdy tam nie byłem. - Martineza znowu złapał atak kaszlu. - Przepraszam.
- Czasami się zastanawiam, dlaczego ludzie męczą się podróżami za granicę - odezwał się Sam. - Przecież na Florydzie mamy tyle pięknych miejsc.
- Rozumiem pana - powiedziała Effie. - W zeszłym roku byłam w Fort Myers. Tam jest cudownie.
- Czy pani szef lubi wybrzeże nad zatoką? - zapytał Martinez.
- Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek tam był. - Effie spuściła wzrok na terminarz. - Odpowiada wam jutro rano? Powiedzmy o dziesiątej trzydzieści?
- Więc jednak obyło się bez uników.
- Odpowiada. - Sam podszedł do drzwi prowadzących do gabinetu Anthony'ego Christou. Tu też na ścianie wisiały zdjęcia akwarium. - On naprawdę kochał te ryby, co?
- Miał bzika na ich punkcie - potwierdziła Effie. Sam stanął w progu.
- Koło drzwi stała szklana gablotka. Były w niej trzy srebrne puchary.
- Za co je dostał?
- Za golfa - uśmiechnęła się Effie. - To jego kolejna pasja.
- Orientuje się pani, gdzie gra? - zapytał Sam.
- Dlaczego? Pan też gra?
- Pytam z ciekawości.
- Anthony najczęściej grywa w ośrodku Dyplomata w Hollandale.
- Założę się, że to piękne pole - powiedział Sam.
- Lubi je. Spędza tam mnóstwo czasu - wyjaśniła Effie.

Na przyjęciu na cześć Martineza i Jess wszyscy dobrze się bawili, choć Sam stwierdził, że trudniej mu niż kiedykolwiek oderwać myśli od ofiar i dysfunkcyjnego małżeństwa Christou. No i co z tego, do diabła, jeśli nawet Anthony gra w golfa, w końcu tysiące mężczyzn w średnim wieku grają w golfa w okręgu Miami-Dade i Broward i z całą pewnością na podszwach butów mają ziarenka piasku z pola. I oczywiście trzeba sprawdzić, jak wygląda życie uczuciowe Karen. Prawda jednak jest taka, że greckie danie z papryką i śmietaną w menu restauracji nic w gruncie rzeczy nie znaczy.

Kiedy wrócił do domu, Grace od razu wiedziała, że mąż czuje się fatalnie.

- Szkoda, że przyjęcie jest dzisiaj - powiedziała. - Potrzebujesz długiej gorącej kąpieli, masażu pleców i dobrej staroświeckiej czułości, a teraz nie mogę ci tego zaproponować.

- Urządzasz przyjęcie dla mojego najlepszego kumpla. Według mnie to aż nadto.

Grace dopilnowała, żeby wyłączyć telewizor przed przyjściem gości, choć Sam i tak zdążył wysłuchać solidnej dawki krytyki pod adresem ich wydziału. Przygniatało go poczucie odpowiedzialności i w drodze do domu podjął decyzję: jutro powie Alvarezowi, że jeśli w ciągu kilku następnych dni nie dojdzie do przełomu w śledztwie, odwoła rejs, gdyż po prostu nie ma innego wyjścia.

Było mu z tego powodu cholernie smutno.

Mimo to kolacja się udała, Grace była doskonałą gospodynią, a kiedy przyjmowała ludzi, których lubiła, cały dom zdawał się emanować serdecznością.

- Zrobiłem to - oznajmił Martinez na powitanie. - Jess ma na palcu mój pierścionek.

- Pokaż, kochanie. - Grace pociągnęła młodą kobietę na próg, gdzie było lepsze światło. - Och, jest przepiękny.

Jess wyciągnęła rękę tak, żeby w kamieniach odbiły się refleksy. Martinez wybrał trzy błękitne szafiry otoczone brylancikami.

- Strasznie mi się podoba - powiedziała. - Al mówił, że się denerwował, bo nie wiedział, czy nie wolałabym samych brylantów, ale szafiry kojarzyły mu się z moimi oczami. Nie mogłabym marzyć o piękniejszym pierścionku.

- Rozumiem. - Grace delikatnie uścisnęła jej dłoń; była zimna, co świadczyło o zdenerwowaniu młodej kobiety. - Jest prześliczny, Jess. Oboje z Samem cieszymy się waszym szczęściem.

- Twój pierścionek jest naprawdę piękny.

Grace wydało się, że dostrzega zazdrość na twarzy Jessiki, i rozgniewała się na siebie, że włożyła swój brylantowy pierścionek, Martinez mógł poczuć się niezręcznie, ale to przecież jakieś bzdury...

- Dostałam go od Sama po urodzeniu Joshui - wyjaśniła w nadziei, że to pomoże. - Nigdy właściwie nie miałam pierścionka zaręczynowego.

Błysk czystej radości powrócił do oczu narzeczonej Ala.

Przyszli pozostali, Saul i Cathy, David z Mildred, w nowej czarnej sukience; Grace wiedziała, że do kupna namówił ją David, chciał też zapłacić, ale Mildred uparła się, że ma dość pieniędzy.

- Wyglądasz cudownie - powiedziała jej Grace.

- Na pewno nie - odparła tamta.

- Mildred nienawidzi komplementów - skomentował David. Mildred zignorowała jego słowa i powiedziała:

- Mam nadzieję, że masz zapasowy fartuch. Chcę ci pomóc.

- Nie dzisiaj - zaprotestowała Grace.

- Zobaczymy.

- Dobrze się czujesz, kochanie? - zapytała Jess narzeczonego, kiedy na tarasie popijali koktajle bellini, rozkoszując się ciepłym wieczorem. Byli tam wszyscy prócz Grace i Mildred.

- Wspaniale. - Martinez ścisnął jej dłoń. - Nigdy nie byłem szczęśliwszy.

- Wcale tak wspaniale nie wyglądasz.

- Dobra, złapałaś mnie. - Martinez zniżył głos, nie chcąc, by pozostali go usłyszeli. - Nie czuję się za dobrze, ale to drobiazg, zaraziłem się od Sama katarem i nie pozwolę, żeby to zepsuło dzisiejszy wieczór, OK?

- Jasne. - Jess pogładziła go po policzku. - Chcę się tobą zaopiekować.

- Dzisiaj wieczorem to nie będzie potrzebne – zapewnił ją- Wypił kolejny łyk koktajlu, który smakował świetnie, choć Martinez zaczynał się zastanawiać, czy nie bierze go grypa.

Poczuł wyrzuty sumienia, bo Grace zadała sobie tyle trudu, udekorowała dom, a Jess znowu wygląda jak cholerny anioł w swojej ślicznej letniej sukience, z włosami unoszonymi przez lekki wietrzyk znad wody...

- Jeśli jesteście gotowi, to proszę do stołu. - W drzwiach pojawiła się Grace.

- Zawsze jestem gotowy na twoje kolacje, Gracie - powiedział David. - Jakie tokańskie rozkosze czekają na nas dzisiaj wieczorem?

- Dzisiaj menu jest raczej amerykańskie - odrzekła Grace i cicho dodała: - Mildred uparła się, żeby mi pomóc, a ja chcę, żeby się dobrze bawiła.

- Przecież wiesz, że pomaganie sprawia jej przyjemność.

- Uszy mnie pieką. - Z kuchni wyszła Mildred.

- Uzgodniliśmy z Grace, że wyglądasz zbyt elegancko, żeby się brudzić w kuchni,

- Mówisz, że się ubrudziłam? - Mildred przygładziła włosy.

- Ani trochę - odparł David. - Wyglądasz pięknie. Uroczyste obiady, nawet w Święto Dziękczynienia czy

w Boże Narodzenie, najczęściej jadali przy wielkim starym kuchennym stole, wykorzystując werandę jako salon, zwłaszcza w dni, gdy Grace przyjmowała pacjentów i gabinet był zajęty, ale dzisiaj wieczorem przenieśli meble i werandę przekształcili w jadalnię. Grace chciała, żeby Martinez i Jess czuli się wyjątkowo, dlatego całe pomieszczenie połyskiwało od światła świec, sztućców i śnieżnobiałych serwetek. Na przystawkę był krab kamienisty, po nim polędwica z grilla (ulubione danie Martineza) z sosem béarnaise, ziemniakami z wody i takim wyborem warzyw, by trafić w gust każdego. Jedyne włoski element stanowił deser składający się z *zabaglione*, lodów i domowych *biscotti di Prato* oraz małych kieliszków *vin santo* do maczania biszkoptów.

Pod koniec, kiedy Grace i Cathy w kuchni przygotowywały deser, Sam wyprowadził Saula na taras, z dala od pozostałych, żeby powiedzieć mu o rejsie.

- Chociaż jeżeli w pracy nic się nie zmieni, nic z tego może nie wyjść, ale gdyby się udało, będę potrzebował pomocy twojej i Cathy- mówił cicho.

Pośpiesznie przedstawił bratu plan, który już dawno sobie ułożył, w nadziei, że cuda jednak się zdarzają i nie będzie musiał odwoływać wyjazdu.

- Nawet nie myśl o rezygnacji - odparł Saul. - To rewelacyjny pomysł. Musicie popłynąć.

- Powiedz to rodzinom ofiar.

- Wiem. Rozumiem, co czujesz, ale to tylko kilka dni. Grace jest niezwykła, oboje na to zasłużyliście. Powiem o wszystkim Cathy i załatwimy to tak, żeby Grace w odpowiednim czasie wyszła z domu. Pakowaniem może zająć się Cathy.

- Jego piwne oczy błyszczały. - Człowieku, w żadnym razie nie możesz tego odwołać.

Po tej rozmowie Samowi zrobiło się źzej. Grace i Cathy przyniosły desery, on nalał do kieliszków *vin santo*, a wtedy nadszedł odpowiedni moment, by wznieść toast na cześć szczęśliwej pary. Potem wszyscy wychwalali *zabaglione* i lody waniliowe, które Grace zrobiła poprzedniego dnia.

- To najszczęśliwsza chwila w całym moim życiu - powiedziała Jess do Sama, żegnając się z nim w holu. - Tylko myślę, że Al jest chory, chociaż dzielnie to ukrywa.

Spojrzał na Martineza, który dziękował Grace, i pomyślał, że Jess ma rację, przyjaciel nie wygląda najlepiej. W tej samej chwili Samowi przyszła do głowy myśl, że grypa jego partnera może być ostatnim gwoździem do trumny dla rejsu.

- Chciałam ci podziękować... - Jess nadal mówiła, Sam wrócił więc do rzeczywistości. - ...za pomoc wtedy, na ulicy. W głowie mi się nie mieści, że to zrobiłam, dotąd czuję się jak ostatnia kretynka.

- Nie masz za co dziękować.

- Wręcz przeciwnie - zaprotestowała Jess. - Byłeś bardzo miły. Stojąca w pobliżu Cathy usłyszała tę rozmowę. Zerknęła na Mildred i zauważyła jej uniesione brwi. Wymieniły spojrzenia, rozumiejąc się bez słów, a to co spostrzegły, zmąciło Cathy całą radość z tego wieczoru.

63

20 LUTEGO

- Sam, czuję się podle - powiedział Martinez, kiedy z Samem w piątek rano czekali na zebranie zespołu. - To chyba coś poważniejszego niż katar.

- Masz gorączkę? - zapytał Sam.

- Nawet jeśli, to nie chcę o tym wiedzieć - odparł ponuro jego partner.

Śmierć Resslerów nie przyniosła nic nowego poza smutkiem.

Ostatni posiłek Evelyn i Franka składał się z białej ryby, ziemniaków, marchewki i temazepamu (danie nie było ani greckie, ani węgierskie); od Barbary Herman dowiedzieli się, że rodzice przypuszczalnie zjedli kolację w domu. W poniedziałki matka czasami gotowała, czasami zamawiali potrawy na wynos, ale pani Herman nie potrafiła powiedzieć, w jakich restauracjach, ponieważ dla rodziców źródłem dumy było to, że nie muszą nikogo prosić o pomoc i sami doskonale sobie radzą.

Tym razem także wystąpiły wszystkie elementy charakterystyczne dla dwóch pierwszych morderstw. Nieskazitelnie czysta kuchnia. Porwanie i ślady skucia, ten sam lek w organizmie, śmiertelne rany na szyi i dziwaczne wyeksponowanie zwłok.

- Pycha w czystej postaci - stwierdził Sam.

- Jezu - jęknął słabo Martinez. I upadł.

64

Cathy, która tego poranka nie pracowała, przyszła do domu rodziców, żeby pomóc w sprzątaniu po przyjęciu.

- To naprawdę nie było konieczne - powiedziała Grace, gdy wspólnymi siłami przywracały werandzie dawny wygląd.

- Wiedziałam, że Sam nie będzie mógł ci pomóc, więc dlaczego miałabyś robić wszystko w pojedynkę?

- Dzięki.

Cathy poczekała do chwili, kiedy w kuchni usiadły przy kawie (maczały w niej biszkopty, które zostały z wieczoru), żeby zadać dręczące ją pytanie.

- Co naprawdę myślisz o Jess?

Grace usłyszała to „naprawdę”, ale nie próbowała dociekać, co może oznaczać.

- Uważam, że jest bardzo sympatyczna. Nie znam jej dobrze, bo i skąd? Ale się cieszę, że Al jest z nią szczęśliwy.

- Ja chciałabym się cieszyć - powiedziała Cathy.
- A jest inaczej? - Grace była zaskoczona. - Dlaczego?
- Poza tym coś mi się wydaje, że nie ja jedna tak uważam. Odniosłam wrażenie, że Mildred podziela moje odczucia.
- Czyli co? - spytała zaintrygowana Grace, bo choć Mildred niewątpliwie miała zdecydowane poglądy, zawsze wstrzymywała się od pochopnych ocen.
- Nie powiem ci, co myślała Mildred. - Cathy odłamała kawałek biszkopta i rzuciła Woody'emu. - Wczoraj wieczorem nie rozmawiałyśmy, ale widziałam jej spojrzenie i było dość jednoznaczne.
- Dajmy spokój Mildred. Powiedz, jaki ty masz problem z Jess.
- Będziesz się ze mnie śmiała.
- Przekonajmy się.
- Myślę, że ona jest o ciebie zazdrosna.
- Masz rację, śmieję się z ciebie.
- I może słusznie. Tylko że nie mogłam się opędzić od tego wrażenia, chociaż przez pół wieczoru powtarzała ci, jaka jesteś wspaniała.
- Powtarzała, że jest mi wdzięczna. Po jakimś czasie poprosiłam, żeby przestała, bo sama wiesz, że urządziliśmy to przyjęcie z przyjemnością.
- Zrobiliście to dla Ala.
- To nie do końca prawda. Oczywiście, że cieszymy się ze względu na niego, ale to Jess dała mu miłość.
- Obserwowałam ją, jak ci się przygląda - ciągnęła Cathy. - I jak patrzy na Sama... Moim zdaniem jest w nim zadurzona.
- To absurd.
- Dlaczego?
- Bo jest zakochana w Martinezie.

- Może.
- Och, dajże spokój - Grace się roześmiała.
- Zwariowany pomysł? Naprawdę bym chciała, żeby tak było.
- Tak jest. Na sto procent.

Grace nie miała cienia wątpliwości w tej kwestii.

65

Martinez leżał w izbie przyjęć szpitala Miami General, gdzie poddawano go wnikliwym badaniom.

Odzyskał przytomność po krótkim omdleniu, ale miał dreszcze, wysoką gorączkę, bóle w mięśniach i stawach, jakiś czas temu wymiotował, a co gorsza, kaszel i ból głowy przybrały na sile.

- To może być cokolwiek - powiedział Samowi jeden z lekarzy.

Innymi słowy, badania. Mnóstwo badań.

Al wyglądał na przerażonego, a Sam nie pamiętał, by kiedykolwiek widział na jego twarzy strach. Potem na szczęście zjawiała się blada i wstrząśnięta Jess i chory odprężył się trochę, za co Sam był dziewczynie wdzięczny.

- Lepiej idź, człowieku - powiedział Martinez do Sama. - Złap tych popaprańców.

- Wpadnę później - obiecał Sam.
- Nie trzeba. Mam tu Jessicę.
- To dobrze. - Sam dostrzegł w jej oczach strach. - Wyjdzie z tego.
- Wiem - odparła. Ale strach nie zniknął.

Po powrocie na posterunek Becket poszedł prosto do Al-vareza; sierżant zdecydował, że w czasie choroby Martineza zastępować będzie Beth Riley.

- Wyglądał fatalnie - powiedział Sam. - Prawdę mówiąc, piekielnie się boję.

- Chcesz trochę wolnego, żeby z nim posiedzieć? - zapytał Alvarez.

- Wykluczone. Poza tym Al chce, żebym zajmował się śledztwem.

- A ty się denerwujesz, bo wykupiłeś rejs.

- Jeśli sprawy się pogorszą, odwołam wyjazd. Siedzący za biurkiem Alvarez uniósł wzrok na wysokiego,

przystojnego detektywa, jednego z najlepszych policjantów, z jakimi pracował, choć teraz przygnębionego niepowodzeniem.

- Usiądź, Sam.

- Nie mam czasu.

- Siadaj.

Sam posłuchał.

- Moim zdaniem nie powinieneś odwoływać urlopu - powiedział Alvarez. - Jeśli ta praca, a także choroba najbliższego przyjaciela mogą nas czegoś nauczyć, to przede wszystkim tego, żeby jak najlepiej wykorzystywać każdą chwilę spędzaną z bliskimi.

Poprzedni szef, Kovac, zatruwał im życie i Sam często dziękował losowi, że trafili na Alvareza, który zanim dostał awans, piętnaście lat był detektywem. Podwładni szanowali go za doświadczenie i wrodzoną empatię.

- Wiem, ale to odnosi się też do moich kolegów i rodzin ofiar.

- To się rozumie samo przez się - odparł Alvarez - tylko że są plany i plany. Nie chcę słyszeć, że odwołujesz wyjazd z Grace, chyba że naprawdę świat się zawali. Dobra?

Becket powątpiewał, czy kapitan Kennedy zareaguje na jego wyjazd z równym zrozumieniem, zresztą wcale tego nie oczekiwał, i zadawał sobie pytanie, czy

ktoś z góry nie dojdzie do wniosku, że Michael Alvarez za bardzo złagodniał. Myśl, że mógłby przysporzyć kłopotów temu przyzwoitemu facetowi, jeszcze pogłębiła poczucie winy Sama.

A to nikomu w niczym nie pomoże, najmniej ofiarom.

- OK - powiedział Sam do sierżanta. - Dziękuję. I wrócił do pracy.

Anthony Christou odwołał spotkanie, co trochę go zirytowało. Mary Cutter, nie znalazłszy nic ciekawego na liście nabywców plastikowych kopuł w Internecie, pojechała do Hal-landale zebrać próbki piasku, a Sam i Beth Riley ponownie rozważali teorię ekspozycji, szukając w przeszłości przestępstw popełnionych przez artystów, właścicieli galerii czy kolekcjonerów. Riley umówiła się na spotkania z właścicielami bardziej znanych sal wystawowych i dyrektorami akademii sztuk pięknych, bo a nuż ktoś z nich znał malarza lub rzeźbiarza, którego prace w jakiś sposób łączą się z wypaczonym pojęciem estetyki mordercy.

- Bóg wie, że potrzebujemy motywu solidniejszego od ewentualnej nienawiści do szczęśliwych par - powiedziała Riley, gdy jechali do galerii przy Lincoln Road.

Bez uzasadnionego powodu Sam spodziewał się, że w jej samochodzie będzie panował większy porządek niż u Martineza, tymczasem impala zasypana była papierkami po cukierkach i było niezrozumiałe, jak osoba, która tak lubi słodkie, może być taka szczupła jak Riley, ale życie jest niesprawiedliwe.

- Nienawiść, zazdrość, urazy, może nawet chora miłość - wyliczał Sam. - Albo żaden z tych motywów... Wracając do sztuki, skłaniałbym się ku rzeźbiarstwu, bo rzeźbiarze muszą się odznaczać fizyczną krzepą i najczęściej wykorzystują niezwykle materiały.

- Wszyscy artyści używają kleju - zauważyła Riley.

- To prawda. Słyszałaś o Rauschenbergu?

- Koláže, tak? - Riley dostrzegła, jak Sam potakuje.

- W dzisiejszych czasach pełno jest świrniętych artystów.
- Dojeżdżali do De Longhe Gallery, zatrzymała się więc na parkingu. - A ten Brytyjczyk, który wystawia martwe zwierzęta?
- Damien Hirst. Chyba przechowuje je w formalinie.
- Ładnie. - Riley wyłączyła silnik. - Więc dlaczego nie John Hercules?
- Martinez go sprawdził. - Sam potrząsnął głową. - Nie-notowany, nie ma za sobą nieudanego małżeństwa, nic nie wiadomo o złych związkach czy socjopatycznych skłonnościach. Jego prace w żaden sposób nie kojarzą się z morderstwami, głównie tworzy dzieła abstrakcyjne z metalu i gliny, a poza tym, jak głosi plotka, ostatnimi czasy głównie pije.

Otworzył drzwi, jedną myśl poświęcił Martinezowi i razem z Beth Riley weszli do galerii.

Po trzech spotkaniach, które nic nie dały, wrócili na posterunek i zajęli się dokładniejszym przeszukiwaniem sieci. Wtedy właśnie ponownie natrafili na Allison Moore.

Jako artystkę. Wystawiała swoje prace na Wiosennym Salonie Sztuki, imprezie odbywającej się co roku w North Miami Beach. Nie wykorzystywała nietypowych materiałów, nic z tych rzeczy, ale według opisu w katalogu, który Riley wygrzebała w Internecie, obraz Moore odznaczał się „mroczną atmosferą”.

- To na pewno ona, no nie? - Riley wskazała fotografię. Sam pokiwał głową.
- Czas najwyższy przycisnąć panią Moore. A także Beatty'ego.
- Ale tym razem spotkajmy się z nimi w ich domach - powiedział.
- Poza pracą - zgodziła się Riley.
- Bez kamuflażu - dodał Sam.

TLR

Około czwartej po południu Cathy i Saul popijali w warsztacie koktajl z granatów, które Cathy kupiła w Publiksie.

Siedzieli na poduchach, przyglądali się stołowi z brzoźowego drewna, ostatniej pracy Saula, i rozmawiali o rejsie. Oboje się zgadzali, że Sam i Grace bezwarunkowo muszą pojechać.

- Choć teraz nie jestem pewien, czy coś z tego będzie, skoro Martinez zachował - powiedział Saul.

Grace zadzwoniła do nich z wiadomością o chorobie Ala. Powiedziała, że Sam bardzo się martwi i choć nie mogą pomóc, na pewno chcieliby wiedzieć o wszystkim na bieżąco.

- Ale on wyzdrowieje, prawda? - zapytała Cathy z nagłym niepokojem.

Zbyt wiele już straciła. Alejandro Martinez nie był ich krewnym, ale Sam uważał go za swoją opokę, co czyniło Ala członkiem rodziny.

- Mam nadzieję - odparł Saul. - Musimy zachować optymizmu, zakładajmy, że wszystko pójdzie zgodnie z planem... A przy okazji, Sam chciałby, żebyś spakowała rzeczy Grace.

Cathy potrafiła rozpoznać unik, tym razem jednak była z tej taktyki zadowolona.

- Więc będziemy musieli wyprowadzić ją z domu. - Zastanowiła się przez chwilę. - Joshua jedzie z nimi?

Saul pokręcił głową.

- Zostaje z tatą i Mildred. Im to pasuje.

- Na pewno - uśmiechnęła się Cathy.

- Wiesz, to śmieszne. Mildred mieszka u taty dopiero od kilku miesięcy, a wydaje się, że jest z nami od zawsze. - Saul zawahał się, ogarnięty dziwnym poczuciem winy, choć przecież nie było powodu, Mildred Bleeker i jego ojca nie łączył romantyczny związek. - To znaczy nie od zawsze, nie tak jak mama...

- Nie ma nic złego w tym, że się cieszysz, że twój tata ma przyjaciółkę - powiedziała Cathy łagodnie.

- Wiem.

Po chwili milczenia Cathy przeszła do drugiego powodu wizyty u Saula.

- Dzisiaj rano rozmawiałam z Grace o Jess.

- Jest bardzo miła. Cieszę się ze względu na nich oboje. To okropne, że Martinez jest chory, ale przynajmniej mają.

- Ja nie jestem jej taka pewna. Szczerze mówiąc, trochę się jej boję.

- Dlaczego? - Saula, podobnie jak Grace, zaskoczyły jej słowa.

- Może przesadziłam, ale na pewno mnie irytuje.

- Uważasz, że nie jest szczerą?

- Sama nie wiem. Mam jakieś podejrzenia... Powiedziałam Grace, że moim zdaniem durzy się w Samie.

- Żartujesz - powiedział Saul wstrząśnięty. - Co na to Grace?

- Że to zwariowany pomysł. - Cathy dopiła koktajl. - A ty co myślisz?

- To samo co Grace. - Saul odetchnął. - Myślę też, że w obecnej sytuacji, kiedy Martinez jest chory, a Sam pod wielką presją, chyba powinnaś zatrzymać takie uwagi dla siebie.

Odkąd Cathy sięgała pamięcią, Saul nikogo nie upominał, a teraz niemal ją zganił.

- O Boże. Wyszłam na prawdziwą sukę.

- Nie ma w tobie cienia złośliwości.

- W każdym jest.

- I myślisz, że w Jess także. Cathy wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem.

Starali się zaskoczyć Beatty'ego niezapowiedzianą wizytą tuż po siódmej, ale portier w drogim apartamentowcu przy Collins niedaleko skrzyżowania z Siedemdziesiątą Pierwszą, mężczyzna w średnim wieku, z imieniem „Angelo” na identyfikatorze, nie zdołał się połączyć z mieszkaniem 14D.

- Zacząłem zmianę godzinę temu - wyjaśnił - a pana Beatty'ego nie widziałem przez cały tydzień, co nie znaczy, że nie było go w domu. Sprawdzanie, kiedy lokatorzy wychodzą i przychodzą, nie należy do naszych obowiązków.

- Ma biuro w pobliżu? - zapytał Sam.

- Nie mam pojęcia - odparł Angelo.

- Może w drodze do domu wybrał się na kolację- zasugerowała Riley. - Orientuje się pan, jakie restauracje lubi?

-Nie.

Jedno było jasne: Angelo nie zamierzał podzielić się z nimi żadną informacją, niezależnie od tego, czy Lawrence Beatty budził w nim sympatię, pogardę czy obojętność.

- Chcą państwo zostawić dla niego wiadomość?

- Nie - odparł Sam. - Złapiemy go kiedy indziej.

Wyszli na ulicę, gdzie saab Sama zaparkowany był za samochodem Riley, ale nie wsiadali, tylko przez chwilę stali w lutowym zmroku rozpraszonym jaskrawymi światłami.

- Pojedziemy go szukać? - zapytała Riley. Sam zdjął marynarkę i pokręcił głową.

- Nie jestem jeszcze gotowy, żeby go przydusić. Wystarczy, jeśli zrobimy to jutro.

- Wybierasz się do szpitala?

Sam zadzwonił tam godzinę wcześniej i dowiedział się, że Martinez dostał wysypki i jego stan pogorszył się na tyle, że przyjęto go na oddział intensywnej opieki. Ta informacja go przeraziła.

- Później - odparł. - Cathy pracuje na wieczornej zmianie, więc pomyślałem, że najpierw wpadnę do niej i zobaczę, jak sobie radzi.

Ruszyli w stronę samochodów. Riley położyła mu dłoń na ramieniu.

- Przekaż Ałowi moje najlepsze życzenia.

- Przekażę - obiecał.

Wiedział, że wizyta w restauracji to w gruncie rzeczy odwlekanie chwili, gdy zobaczy Martineza na OIOM-ie. Tchórz.

- Wyglądasz, jakbyś potrzebował makaronu - powiedział Dooley, wychodząc z kuchni i ściskając mu dłoń. - Nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę to wszystko, co się teraz na ciebie zważyło. Cathy nam opowiadała.

Sam się uśmiechnął.

- Nie zdawałem sobie sprawy, jaki jestem głodny, dopóki tu nie przyszedłem. - Popatrzył na Cathy, która tego wieczoru obsługiwała klientów. Simone była u matki.

- Co u przyjaciela? - zapytał Dooley.

- Nie za dobrze.

- Więc tym bardziej powinieneś zachować siły, racja?

- Racja - zgodził się Sam.

- Siadaj gdziekolwiek - powiedział Dooley. - Dzisiaj wieczorem jest niewielki ruch.

Sam wybrał stolik z sofą, wspominając swoją pierwszą bytność tutaj, kiedy Simone zadbała o jego wygodę, bo wyglądał na zmęczonego.

To zaczyna być zwyczajem w tym lokalu.

Jednym z przyjemniejszych.

Cathy przyniosła mu menu.

- Dooley mówi, że potrzebujesz *penne all'arrabiatta*, ale ja uznałam, że powinien mieć wybór.

- Brzmi zachęcająco - zgodził się Sam, zbyt zmęczony, żeby się zastanawiać.

- Byłeś u Ala? - zapytała łagodnie Cathy. Sam pokręcił głową.

- Pojadę stąd. - Popatrzył na nią i pomyślał, jak ślicznie wygląda, chociaż także martwiła się o Martineza. - Szczerze mówiąc, przyszedłem zobaczyć się z tobą.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Bardzo szczególnego. Twój widok poprawia mi humor. Cathy pochyliła się i pocałowała go w policzek.

-I wzajemnie. - Wyprostowała się i rozejrzała po sali. - Makaron zaraz będzie.

Rzeczywiście, nie trwało to długo; *penne* było dobre, choć apetyt Sama pozostawiał wiele do życzenia. Mimo to zjadł, ale nadal czuł się wyczerpany. Wypił całą butelkę san pellegrino i po raz pierwszy od półtora roku pomyślał, że espresso skuteczniej pomogłoby mu zachować trzeźwy umysł i może to prawda, że z większością rzeczy człowiek jakoś sobie radzi, jeśli ma na to dość czasu...

- Żałuję, że nie mogę pójść z tobą - powiedziała Cathy, kiedy Sam wstał od stołu - ale...

- Idź. - Dooley znowu wyszedł z kuchni. - Dzisiaj wieczorem sam sobie poradzę.

- A jeśli zrobi się tłok?

- Dam sobie radę - powtórzył Dooley. - Na wypadek gdybyś nie zauważyła, potrafię wykonywać wiele czynności na raz prawie tak samo dobrze jak większość kobiet.

- Nie ma pośpiechu - wtrącił Sam. - Mogę poczekać.

- Jesteś zmęczony - oświadczył stanowczo Dooley. - Zabierz córkę i jedź do partnera.

- Przekłęte badania - powitał go Martinez. - Cholerne barbarzyństwo.

W chwili przyjęcia był dostatecznie świadomy, by jako „rodzinę” oprócz Jessie podać także Sama i Grace, co oznaczało, że mogli odwiedzać go o każdej porze. Cathy musiała czekać na korytarzu.

Bogu dzięki, wciąż był na tyle świadomy, by przeklinać.

- Wyglądasz strasznie, ale mówisz jak zawsze - odparł Sam.

- Nie za dobrze się czuję. Przepraszam.

- To ja przepraszam, że zaraziłem cię katarem.

Na twarzy Martineza pojawił się smutny półuśmiech.

- To nie jest katar, człowieku.

Sam spojrział na przyjaciela i od razu wiedział, nikt nie musiał mu tego mówić, że sprawy przybrały fatalny obrót, w przeciwnym razie Martinez nie wylądowałby na OIOM-ie; w przeszłości Sam dość się napatrzył na tę ratującą życie jaskinię, nie wspominając o pobycie na oddziale półtora roku temu. Ale w przypadku bliskiej osoby trudno podchodzić do tego spokojnie:

Został tylko dziesięć minut, bo pielęgniarka powiedziała, że chory powinien wypoczywać, i nie podobał mu się sposób, w jaki przyjaciel złapał go za rękę na pożegnanie. Al nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie był śmiertelnie przerażony.

- Powiedz Gracie, że ją kocham.

- Sam jej to powiesz.

Jess razem z Cathy czekały na niego na korytarzu. -I co myślisz? - zapytała go Jess.

- Że jest w najlepszym możliwym miejscu.

- Nawet nie wiedzą, co mu dolega.

- Jeszcze nie, ale się dowiedzą.

Sam pomyślał, że dziewczyna jest wyczerpana, wyglądała niemal tak źle jak Al.

- Musisz odpocząć, Jess.

- Nie zostawię go samego.

- Ja też zostanę. Dotrzymam ci towarzystwa.

- Wykluczone - sprzeciwiła się Jess. - Wiesz, jak ważne dla Ala jest dochodzenie, więc musisz iść do domu i się przespać. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Obiecuję, że zadzwonię, jeśli coś się zmieni.

- Cóż, trzeba przyznać, że jest pełna poświęcenia - powiedziała Cathy, gdy wyszli ze szpitala.

Sam spojrział na nią, słysząc w jej głosie sceptycyzm.

- Jakiś problem?

- Chyba nie.

- Czyli tak. No, skarbie, wyrzuć to z siebie.

Na parkingu pozostały wolne miejsca, ale w szpitalu było pełno ludzi; odprowadzając Cathy do jej mazdy, Sam przypomniał sobie, że tu zawsze tak jest, nawet późną nocą. Krewni i przyjaciele chorych nie mają szans na odpoczynek.

- Nie zauważyłeś, jak Jess na ciebie patrzy? To pytanie zaskoczyło Sama.

- Co masz na myśli?

Doszli do samochodu, który wcześniej należał do Grace, dopóki Sam nie kupił jej nowej toyoty; jego auto też miało swoje lata, ale je lubił i dotąd nigdy go nie zawiodło.

- Nie powinnam o tym mówić - powiedziała Cathy. - Zwierzyłam się Saulowi ze swoich odczuć i poradził mi, żebym trzymała gębę na kłódkę. - Przeszła z nogi na nogę. - To znaczy tak tego nie ujął, Saul nigdy tak nie mówi, ale o to mu chodziło.

Sam powtórzył, żeby to z siebie wyrzuciła.

Posłuchała go.

- Masz wybujałą wyobraźnię - skwitował ostro.

- Nie wściekaj się na mnie. Nie jestem wredna. Długo się nad tym zastanawiałam, bo może jednak jestem, ale doszłam do wniosku, że nie.

- Nie jesteś wredna. Ale niezależnie od tego, co myślisz (a przy okazji zapewniam cię, że się mylisz), nawet jeśli w to wierzysz, w żadnym razie nie mów o tym w promieniu pół kilometra od Ala, dobrze?

- Nigdy bym tego nie zrobiła.

- Mam taką nadzieję - powiedział Sam.

Począł, aż razem z Grace utulili synka, który się obudził, kiedy Sam wrócił do domu. Był za to wdzięczny Joshui, bo jak mu powiedział, na koniec takiego dnia jak ten nie ma lepszego pocieszenia od ciepłego uścisku żony i syna.

- Według mnie Cathy wygaduje banialuki - powiedział, kiedy w sypialni rozpiął pasek i zdejmował spodnie. - Ale chciałbym usłyszeć, że się ze mną zgadzasz.

- Zawsze mi się podobało słowo „banialuki” - odparła Grace. - Obawiam się jednak, że nie do końca jestem przekonana. Cathy nie jest fantastką, oboje dobrze o tym wiemy, tak samo jak nie jest intrygantką... A zdaniem Cathy podobne wrażenie odniosła Mildred, choć o tym nie rozmawiały.

- Cieszę się, że tak mówisz. - Sam usiadł ciężko na łóżku, rozpinając koszulę; wyczerpanie zaczynało dawać o sobie znać.

- Wiesz, nie lekceważyłabym tego. W każdym razie nie lekceważyłabym przypuszczenia, że Jess uważa cię za atrakcyjnego. - Uśmiechnęła się, składając jego spodnie. - Kobiety tak o tobie myślą, wiesz.

- Ale nie świeżo zaręczone dziewczyny w takim wieku, że mogą być moimi córkami. A już zwłaszcza narzeczona mojego partnera i najlepszego przyjaciela.

- Zlekceważyłam natomiast wrażenie Cathy, że Jess może mi zazdrościć - ciągnęła Grace.

- Tak powiedziała? Chyba nie dałam jej dość czasu, żeby mnie też to powtórzyła. - Poirytowany Sam zastanowił się nad tym przez chwilę. - Wiem, że Jess cię podziwia, a to zupełnie inna sprawa.

- Z jej punktu widzenia niewiele jest do podziwiania. Mama i psychiatra na pół etatu w średnim wieku.

- Ja jestem niższej rangi policjantem w średnim wieku, a według ciebie kobiety uważają mnie za atrakcyjnego.

- Ciekawe dlaczego - powiedziała Grace.

68

21 LUTEGO

Kiedy w sobotę rano Sam zadzwonił do szpitala, usłyszał, że przez noc stan chorego się pogorszył.

- Odwiedzę go w drodze na posterunek - powiedział. Grace dostrzegła w jego oczach strach.

- Przyjadę, jak tylko przyjdzie Mildred... Pojechałabym od razu, ale nie chcę zabierać Joshui.

- To nie jest miejsce dla niego - zgodził się Sam. - Ale byłoby dobrze, gdybyś mogła odwiedzić Martineza.

- Chcesz, żebym zadzwoniła do twojego ojca? Straciła już rachubę, ile razy w ostatnich latach David

Becket, choć specjalizował się w pediatrii, ruszał na pomoc krewnym i przyjaciółom. Tych przypadków było za wiele.

- Nie zaszkodzi - powiedział Sam.

Kiedy przyszła Grace, Jess płakała przytulona do Sama.

- Co się stało?

Nawet w chwili przerażenia Grace poczuła ochotę, by sprawdzić przyczynę łez Jessiki.

Choć przecież nie wątpiła w ich szczerłość.

Zawstydziała się własnych myśli.

- Nic. - Sam odsunął się od Jess. - Ale jego stan jest zły.

- Tak mi przykro. - Grace objęła męża. Jess cofnęła się jeszcze bardziej, robiąc im miejsce. Zachowała się jak trzeba.

Tylko że Grace nie powinna nawet myśleć o takich sprawach i choć nie była zła na Cathy, to w tej chwili czuła rozczarowanie, że córka bez uzasadnionego powodu wywołała potencjalnie niszczące napięcie.

- Co mówią lekarze? - Skierowała to pytanie do nich obojga. - Wiedzą, co mu jest?

- Jeszcze nie - odparł Sam.

- Czekają na wyniki badań - powiedziała Jess.

- Kolejnych badań - uściślił Sam.
- Biedny Al - westchnęła Grace.
- On właściwie jest poza tym - stwierdził Sam.
- Jak myślisz, mogę z nim chwilę posiedzieć?
- Na pewno się ucieszy na twój widok, jeśli odzyska przytomność.

Jess rozplakała się cicho.

-Przepraszam, nic na to nie mogę poradzić. Byłam przekonana... powtarzałam sobie w nocy, że do rana jego stan się poprawi, ale tak się nie stało, a teraz myślę, że jest jeszcze gorzej.

Grace podeszła do niej i objęła serdecznie. Jess oddała uścisk.

- Muszę iść - powiedział Sam.
- Wiem. Zaopiekujemy się nim - odrzekła Grace. Posłał jej całusa i ruszył w stronę schodów.
- OK. Może posiedzimy przy twoim narzeczonym? - zaproponowała Grace. Jess zrobiła krok w tył i Grace pomyślała, że dostrzegła w jej oczach urazę.
- Posiedź sama, dobrze? Chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem.
- Jasne, przerwa dobrze ci zrobi.
- Naprawdę poczuję się lepiej dopiero wtedy, kiedy Al wyzdrowieje.

Grace uznała, że to jednak była uraza, a potem pomyślała z nadzieją, że to sobie wyobraziła.

Przede wszystkim modliła się, żeby Martinez wyzdrowiał.

Potem będą się martwić, czy Jessica Kowalski jest dla niego odpowiednią kobietą.

Choć przecież to nie ich sprawa, upomniała się, odprowadzając wzrokiem Jess, która szła wyprostowana jak lalka.

I kto teraz jest wredny, powiedziała sobie, po czym weszła na oddział, żeby posiedzieć przy chorym przyjacielu.

69

Kiedy Sam opuścił szpital Miami General, czekali na niego dziennikarze, chociaż swoją wypowiedź ograniczył jedynie do stwierdzenia, że jego wizyta tutaj miała charakter prywatny.

Większy tłum zastał na placu przed posterunkiem.

Media znały tę sprawę jako Rzeź Par, rzecz zdaniem Sama nieunikniona, a teraz stało się jasne, że na cel wzięto jego, czego także się spodziewał i mógł z tym żyć.

Jeden z reporterów, którzy przyszli za nim ze szpitala, zawołał:

- Detektywie Becket, ma pan czas na sprawy prywatne w sytuacji, kiedy rodziny sześciorga mieszkańców Miami pogrzyły się w żałobie, a wszystkie uczciwe, kochające się pary obawiają się o życie?

Dzień, w którym nie znajdzie czasu na odwiedziny u chorego przyjaciela, będzie dniem, kiedy poważnie rozważy rezygnację z pracy.

Wiedział jednak, że tego lepiej im nie mówić.

W sprawie Resslerów nie pojawiło się nic, co rzuciłoby światło na powód, dla którego zostali wybrani. Najgorsze było to, że jeśli odstępy czasowe między morderstwami układały się we wzór, to wzięwszy pod uwagę, że między pierwszym a drugim minęło sześć dni, między drugim a trzecim pięć, istniało ponure prawdopodobieństwo, że następna para już została porwana.

Na razie nie odebrali żadnego alarmującego zgłoszenia.

Policjanci raczej nie przyznają się do odpukiwania w niemalowane drewno, w każdym razie na głos.

Sam, który przejął ten nawyk od Grace, po cichu teraz to robił.

- Dzwoniła Effie Stephanopoulos - oznajmiła Riley o wpół do dziesiątej. - Panu Christou będzie naprawdę trudno spotkać się dzisiaj z nami, bo soboty są u nich zwariowane, ale jeśli to ważne, znajdzie czas.

- Bardzo ładnie z jego strony - odparł Sam.

- Więc jedziemy do niego?

- Nie dzisiaj.

Jeszcze nie, skoro nie mają solidnego dowodu, na którym mogliby oprzeć przesłuchanie - o ile kiedykolwiek będą mieli.

- Effie mówiła, że pani Christou wyjechała do przyjaciół, ale zostawiła numer, na wypadek gdybyśmy jej potrzebowali. Powiedziałam, że bylibyśmy wdzięczni, gdyby podała nazwisko i adres przyjaciół - Riley z naciskiem wymówiła ostatnie słowo - i Effie obiecała, że oddzwoni. Cutter wciąż pracuje nad panią C.

Przeczysywali bazy danych w poszukiwaniu czegoś interesującego na temat Karen, ale na razie na nic nie trafili. Panięskie nazwisko Carlsen. Ojciec Duńczyk, matka Amerykanka. Jedenaście lat temu wyszła za Anthony'ego. Dwie skargi sąsiadów z Prairie Avenue dotyczące głośnych kłótni. Od dwóch lat, kiedy para zaczęła żyć w separacji, nic, nawet awantur o akwarium.

Tego poranka Larry Beatty był w domu. Mieszkanie 14D urządzone było z większym smakiem niż gabinet. Nowoczesny, swobodny apartament w stylu Miami

Beach z podłogą wykładaną kafelkami i błękitnymi dywanami, starannie dobrane meble, szklane szafki na ścianach i szerokie okna od podłogi do sufitu. Sprawiało wrażenie dobrze utrzymanego i wygodnego, ale w żaden sposób nie zdradzało osobowości lokatora.

- Jestem trochę zaskoczony tą wizytą - powiedział Beatty, kiedy Sam przedstawił mu Beth Riley.

- Pan nie pracuje w weekendy - zauważył Sam. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy.

- Nawet gdyby, to przecież już mówiłem, że chcę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc.

Zaproponował wodę i kawę, ale podziękowali za poczęstunek. Wszyscy troje usiedli, Riley i Sam na kanapie, Beatty w fotelu.

- Detektyw Martinez ma wolny weekend? - zapytał Beatty.

- Jest chory - wyjaśnił Sam.

- Bardzo mi przykro.

Sam podziękował i od razu przeszedł do rzeczy.

- Może nam pan opowiedzieć o swoim związku z Allison Moore?

- Związku? - Beatty uniósł jasne brwi. - Jesteśmy kolegami, jak zresztą wiecie. Pracuje u mnie.

- Nazwałby pan waszą relację przyjaźnią? - zapytała Riley.

- Chciałbym myśleć, że wszyscy moi bliscy współpracownicy są przyjaciółmi.

- A poza pracą też się przyjaźnicie? - zapytał Sam.

- Kilka razy byliśmy na drinku i na lunchu. - Beatty wzruszył ramionami. - To w gruncie rzeczy inna forma narady.

- Co może nam pan powiedzieć o pani Moore? - zapytała Riley.

Beatty usiadł prosto.

- Mogę zadać pytanie?

- Oczywiście - odparła Riley.

- Czy Ally jest o coś podejrzana?

- A powinna być? - odpowiedział pytaniem Sam.
 - Jasne, że nie. - Beatty pokręcił głową. - Chociaż skąd mam wiedzieć?
 - To pan o to zapytał - zauważyła Riley. Sam się uśmiechnął.
 - Zaczniemy od początku, dobrze?
 - OK - odparł swobodnie Beatty.
 - Zależy nam na lepszym poznaniu ludzi, których w czasie tego dochodzenia spotkaliśmy. - Sam przerwał na moment.
 - Z pewnością słyszał pan o innych morderstwach.
 - Trudno nie słyszeć. Wszyscy są przerażeni.
 - Głównie szczęśliwe pary - powiedziała Riley.
 - Pan nie ma partnerki, prawda? - zapytał Sam.
 - Aktualnie nie. Może powinienem się cieszyć, że jestem sam... Więc Ally zadajecie te same pytania na mój temat? Tak to działa?
 - Pani Moore jest artystką, czy tak? - zapytał Sam.
 - Raczej amatorką.
 - Widział pan jej prace? - zapytał Sam.
 - Wydaje mi się, że raz widziałem jej obraz.
 - Wydaje się panu? - powtórzyła Riley.
- Beatty pokręcił głową, zdradzając lekkie zniecierpliwienie.
- Widziałem. Jej obraz znalazł się na wystawie i kilka osób z biura poszło, żeby ją wspierać.
 - Co pan o tym sądził? - zapytała Riley.
 - O obrazie?
 - Czy pana zdaniem jest utalentowaną malarką? - zapytał Sam.

- Szczerze mówiąc, chyba go nawet nie pamiętam. - Beatty wzruszył ramionami. - Nie jestem krytykiem, detektywie.

- Zarządzał pan Oates Gallery - zauważyła Riley.

- Tylko jako nieruchomością.

- Czy pani Moore pokazywała panu swoją pracownię?

- zapytał Sam.

- Nie. Nawet nie wiem, czy ma pracownię.

- Według katalogu z tamtej wystawy jej prace są mroczne - powiedział Sam.

Coś na sekundę zamigotało w orzechowych oczach Beatty'ego, jakby błysk zrozumienia, który jednak szybko zgasł.

- Może. Jak mówiłem, ledwo pamiętam ten obraz.

- Orientuje się pan, czy pani Moore ma partnera? - Sam zmienił temat.

- Nie wiem. Nie jest zamężna.

- Mieszka sama? - zapytała Riley.

- Nigdy nie słyszałem, żeby wspominała o kimś szczególnym. Z jakiego powodu mnie o to pytacie?

- Z czystej ciekawości - odparł Sam.

- Przykro mi, ale nie mam nic więcej do powiedzenia na temat Ally. Gdybym miał, już bym to zrobił. - Beatty uśmiechnął się z wysiłkiem. - A może zadacie mi pytania na mój temat? Przynajmniej mógłbym na nie odpowiedzieć.

- Nie dzisiaj - odparł Sam.

- Może kiedy indziej - dodała Riley. Beatty wybuchnął śmiechem.

- Mam wrażenie, że zaraz usłyszę, żebym nie opuszczał miasta.

- Dlaczego mielibyśmy to panu mówić? - zapytał Sam.

- Z żadnego znanego mi powodu. - Beatty spoważniał.

- OK, dwa pytania na pański temat, panie Beatty - powiedział Sam.

Larry spojrział pytająco.

- Kiedy ostatni raz był pan na urlopie?

- W październiku. - Był wyraźnie zdumiony. - Pojechałem do Nowego Jorku.

- Od tamtego czasu nie spędzał pan poza miastem żadnego weekendu? - zapytała Riley.

Beatty pokręcił głową.

- I ostatnie pytanie - powiedział Sam.

- OK.

- Jest pan golfistą?

Beatty znowu się uśmiechnął, tym razem cierpko.

- Bardzo marnym.

- Należy pan do klubu? - zapytała Riley.

- Nie... Dlaczego?

- Gdzie pan zwykle gra?

- Tam, gdzie mnie zaproszą. - Beatty się zastanowił. - Ostatnim razem byłem na jednym z pól w Doral. Dlaczego?

- Z czystej ciekawości - powtórzył Sam.

70

Kiedy Sam w porze lunchu wchodził do szpitala, zadzwoniła Cathy.

- Chciałam przeprosić za to, co powiedziałam o Jess. Wrócił na słońce, oddalając się od rozsuwanych drzwi i ludzi, którzy przez nie wchodzili i wychodzili.

- W porządku, skarbie. Po prostu powiedziałaś, co czułaś.

- Wiem, ale dzisiaj zwierzyłam się Simone, tak ogólnie. I oczywiście nie wymieniałam nazwisk: Simone powiedziała, że czasami lepiej zachować swoje opinie dla siebie, niż ryzykować, że zrani się innych, i to do mnie trafiło.

- Na razie nie rozmawiałaś z Martinezem ani z Jess - odparł Sam. - Nikomu nie stała się krzywda.

- Ale jeśli ktoś powinien znać szkody, jakie wyrządzają plotki czy nawet zwyyczajna bezmyślność, to przede wszystkim ja, nie sądzisz?

- Nie ulega wątpliwości, że o tym wiesz, a to się liczy - odparł Sam z uśmiechem.

- Powinnam była jednak dwa razy pomyśleć, zanim otworzyłam usta.

- Przestań się dręczyć.

- Kocham cię, Sam.

- Ja też cię kocham, skarbie.

Stan Martineza ani się nie polepszył, ani nie pogorszył. Wciąż nie postawiono diagnozy. Kiedy Sam przyszedł, David wychodził. Ojciec i syn uściskali się.

- Miałem do ciebie dzwonić - powiedział David. - Jeden z lekarzy pytał, czy Al mógł mieć kontakt ze szczurami.

- Myślą o leptospirozie?

- Raczej o szczurzej gorączce albo hantawirusie - odparł David. - Powiedziałem, że zapytam ciebie.

- Nic o tym nie wiem. Czy to bardzo ważne?

- Być może decydujące. - Pobrużdżona twarz Davida była spokojna, choć skupiona.

- Będę u niego kilka minut, potem pojedę do jego domu i rozejrzę się.

- Wiesz, jak wyglądają szczurze odchody, synu?

- Większe od mysich.

- O wiele większe. W kształcie kapsuły.

- Dobrze. Dzięki, tato.

- Nie zwlekaj z tym - powiedział David.

- Nie będę.

Po niecałej godzinie był w domu Martineza. Drzwi otworzył kluczem, który Al dał mu zaraz po przeprowadzce, bo w tamtym okresie Sam był dla niego jedyną bliską osobą.

Dom wyglądał inaczej niż podczas ostatniej wizyty.

Teraz to już nie była jaskinia kawalera. Panowała delikatniejsza atmosfera, choć Jess wcale nie wymusiła na swym męskim narzeczonym kwiatów ani innych kobiecych drobiazgów.

W tej chwili jednak dom przede wszystkim wydawał się pusty. Był to taki rodzaj pustki, od którego Samowi ścisnął się żołądek.

W kuchennej szafce pod zlewem znalazł latarkę i zaczął po kolei sprawdzać pomieszczenia, najpierw na parterze, potem na piętrze. Zaglądał do szaf i szuflad, na początku czując się jak intruz, ale szybko odsunął od siebie to wrażenie, bo jeśli wziąć pod uwagę obrót spraw w szpitalu, mogła to być kwestia życia lub śmierci.

Nic, najmniejszego śladu jakichkolwiek gryzoni.

Dom czysty jak przysłowiowa łąza.

To przypuszczalnie też była zasługa Jess, jako że Martinez nigdy nie przejmował się nadmiernie domem, choć z drugiej strony niewykluczone, że zaczął przykładać się do porządków, ponieważ chciał, żeby czuła się tu dobrze.

Sam pomyślał o telefonie Cathy; cieszył się, że zadzwoniła.

Także ze względu na Jess.

Odłożył latarkę na miejsce, upewnił się, że Martinez wszystko powyłączał, kiedy wczoraj rano wychodził z domu, i starannie zamknął drzwi na klucz. Wsiadając do saaba, zadzwonił do ojca.

- W jego domu nie ma śladu szczurów - oznajmił krótko. - Uznałem, że będzie lepiej, jeśli ty zadzwonisz to szpitala, tato. O ile oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

- Zaraz to zrobię. Nie martw się za bardzo.

- Jasne - zapewnił Sam.

71

Mieszkanie Allison Moore na Północno-Wschodniej Sto Dwudziestej Drugiej w pobliżu Oleander Park mieściło się w kamienicy, która wyglądała, jakby przeznaczono ją do rozbiórki.

Sam i Riley umówili się, że dzisiaj będzie to tylko jeden zestaw pytań dotyczących wyłącznie sztuki, chyba że odpowiedzi pani Moore podsuną im interesujący trop. Będą zachowywać się przyjacielsko, zapewniać, że wszystkie osoby związane ze śledztwem są w kręgu ich zainteresowania, czyli na otwarcie ta sama kwestia co w przypadku Beatty'ego, choć o niego pytać nie będą.

- Gotowa jestem udzielić wszelkiej możliwej pomocy - oświadczyła.

Zareagowała tak samo jak Beatty. Zaskoczyło ją ich przyście, ale nie okazywała przesadnego zakłopotania, a chociaż podobnie jak jej szef zapytała o Martineza i życzyła mu szybkiego powrotu do zdrowia!, Sam i Riley odnieśli wrażenie, że Beatty uprzedził ją o ewentualnej wizycie detektywów, rzecz absolutnie normalna między kolegami.

- To wspaniale - odparł Sam.

Pomyślał, że wyglądała ślicznie w niebieskich ogrodniczkach i białym T-shircie z obciętymi rękawkami. Piegi na jej twarzy bardziej rzucały się w oczy niż podczas ich ostatniego spotkania, bo w pracy była lekko umalowana, a w domu najwyraźniej wołała naturalność.

- Nie ma pani powodu do obaw - zapewniła Riley.

- Nie obawiam się - odparła Moore. W jej szarych oczach malował się spokój.

Mieszkanie było małe, ale czyste, chociaż kiedy zaproponowała, żeby usiedli na rattanowej kanapie, Sam wyczuł zapach wilgoci, z rodzaju tych, które trudno usunąć. Gospodyni wyraźnie lubiła trzcinę, wiklinę i materiały w jaskrawe drukowane wzory. Na ścianach salonu i ciasnego przedpokoju wisiały artystyczne plakaty w ramach, jeden czy dwa podobne do tych, które miał Sam.

- Chcielibyśmy zadać kilka pytań o pani drugim życiu - zaczął.

- Drugim życiu? - powtórzyła zdumiona.

- Jak rozumiemy, jest pani malarką - powiedziała Riley.

- Ach, o to.

- Co innego moglibyśmy mieć na myśli? - zapytał Sam.

- Nie mam pojęcia. - Uśmiechnęła się. - Jestem absolutną amatorką. - Wydawała się zadowolona z tej rozmowy, tak, jak często bywają zadowoleni amatorzy lub mało znani zawodowi artyści, kiedy ktoś interesuje się ich twórczością.

- Nie studiowałam w akademii sztuk pięknych, wzięłam tylko kilka lekcji, to wszystko.

- Ale wystawiała pani swoje prace. Takim sukcesem mało kto może się pochwalić - wtrąciła Riley.

- Jeśli mówi pani o Wiosennym Salonie Sztuki, to nie była wielka sprawa. Chyba miałam szczęście, choć wtedy bardzo mnie to podekscytowało... Od tamtego czasu kilka razy wystawiano moje prace, ale nigdy żadnej nie sprzedałam.

- Jak pani sądzi, dlaczego? - zapyta! Sam.

Z rośliny za fotelem wyleciała mucha i zaczęła krążyć blisko ucha Ally Moore. Kobieta podniosła rękę, żeby od-gonić owada.

- Przypuszczam, że mój styl dość daleko odbiega od gustu większości ludzi.

- Obraz z wystawy w North Miami Beach zatytułowany był *Erebus* - powiedziała Riley.

- Czy to był Erebus, syn Chaosu? - zapytał Sam. - Czy raczej miejsce w Hadesie?

- A może góra w Antarktyce? - dodała Riley.

- Zaimponowali mi państwo - powiedziała Allison. - Naprawdę znacie się na rzeczy.

- To nasza praca - odparł Sam. - Więc o którego Erebusa chodziło?

- Nie zdołaliście się domyślić, oglądając obraz? - Swobodnie rzuciła im wyzwanie.

- Nie widzieliśmy go, chociaż chętnie byśmy obejrzeliby - odparła Riley.

- Nie ma sprawy. Jeśli nie przeszkadza wam, że to tylko fotografia.

- W żadnym razie - zapewnił Sam.

Moore wstała, podeszła do klonowego biurka, zamknęła laptop i z dolnej szuflady wyjęła oprawiony w czarny filc album. Zaczęła odwracać karty, aż wreszcie znalazła to, czego szukała.

- Proszę - powiedziała. Sam wziął album.

- To z całą pewnością Hades.

-I jak, podoba się? - zapytała Moore.

- Podoba się. Intrygujący - odparł Sam i podał album Riley, która przyjrzała się fotografii, po czym zaczęła przeglądać kartki.

- Zwykle nie pokazuję ludziom innych zdjęć - powiedziała Moore.

- Dlaczego? - zapytała Riley, nie przestając przeglądać albumu.

- Proszę. - Moore wstała i wyciągnęła rękę.

- Oczywiście. - Riley oddała jej album. - Przepraszam, nie chciałam być natrętna.

- W porządku.

Widzieli jednak wyraźnie, że wcale tak nie myślała.

Sam czekał, aż gospodyni odniesie album na miejsce, i myślał, że chociaż obie, Moore i Riley, są rude, to ich włosy bardzo się różnią. Pierwsza miała miedziane i kręcone, druga jaskrawoczerwone, obcięte na krótko.

- Ma pani pracownię? - zapytał, kiedy Moore znowu usiadła.

- Chciałabym. Pracuję w pokoju gościnnym.

- Moglibyśmy go zobaczyć? - zapytała Riley.

- Teraz nie ma tam nic do oglądania. Ostatnio nie malowałam, większość obrazów jest w magazynie.

- To musi kosztować - zauważył Sam.

- Nie - zaprzeczyła. - Przyjaciółka udostępniła mi garaż.

- Dobra przyjaciółka - powiedziała Riley.

- Nie ma samochodu... Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego tak was interesuje moja sztuka. - Poirytowanie, które okazała w zeszłym tygodniu, kiedy poprosili ją o próbkę DNA, znowu dawało o sobie znać. - To znaczy domyślałam się,

że musi chodzić o związki z Oates Gallery, ale ja nigdy nie wystawiałam tam swoich prac, to chyba oczywiste.

- Jest pani zbyt skromna - powiedziała Riley.

Nie do końca pewna, że w tych słowach nie kryje się ironia, Moore tylko wzruszyła ramionami.

- Mimo to chcielibyśmy zobaczyć miejsce, w którym pani pracuje - powiedział Sam.

Teraz już nie kryła zdziwienia.

- Dobrze - zgodziła się. - Choć tam naprawdę nie ma nic wartego oglądania.

Poprowadziła ich korytarzem do małego pokoju ze sztalugami pod oknem. Na stole były słoje z pędzlami, węgiel, zamknięty notatnik wyglądający na nowy, telefon z faksem i lampa do regulacji. Nigdzie nie dostrzegali nowych prac, a zapach farby i terpentyny wyraźnie zwietrzył.

- Mówiłam - powiedziała Moore. Podziękowali jej i wrócili na korytarz.

- Wygląda pani na zmęczoną, pani Moore - zauważył Sam. - Kiedy była pani na urlopie?

- W czasie wakacji, jak większość ludzi.

- Pojechała pani w jakieś wyjątkowe miejsce? - zapytała Riley.

- Odwiedziłam przyjaciółkę w Key West... Jeszcze coś?

- Szare oczy miały ostry wyraz, źrenice pociemniały. - Naprawdę chcę wam pomóc, ale po prostu nie rozumiem, jak wasze pytania mogą łączyć się ze śledztwem.

- Na dzisiaj to wszystko - odparł Sam, ale zaraz zmienił zdanie. - Czy to pani jedyne hobby?

- Właściwie tak.

- Sportów pani nie uprawia? - zapytała Riley.

- Kiedyś biegałam. Dlaczego pytacie?

- Z ciekawości - odparł Sam.

- Miałaś rację w przypadku tej dwójki - powiedziała Riley, kiedy wyszli z zaniedbanej kamienicy. - Tak samo jak Martinez nie lubię Beatty'ego i ona też mi się nie podoba.

- Żałuję tylko, że nie mamy nic, co pozwoliłoby porządnie ich przydusić. - Sam otworzył saaba ogarnięty nową frustracją.

- To nadal tylko przeczucie.

Riley wsiadła od strony pasażera.

- Szkoda, że prokuratorowi stanowemu i sędziom to nie wystarcza.

Sam wycofał samochód z parkingu.

- Jakie były pozostałe obrazy?

- Dziwne - odparła Riley. - Portret faceta, który mógł być Lucyferem, nie znam się na takich sprawach. Sporo dość upiornych biało-czarnych obrazów, na jednym na pewno był smok... Próbowałam przyjrzeć się plakatom na ścianach. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że na którymś były czarownice.

- Sprawdź malarstwo Goi - powiedział Sam.

- Dobrze. - Riley zrobiła notatkę.

- Sądzisz, że ten motyw ma coś wspólnego z morderstwami?

- Chyba nie, tylko tyle, że to Moore jest trochę pokrecona - odparła Riley. Po chwili namysłu dodała: - Było coś jeszcze.

Sam spojrzał na nią.

- Dzisiaj każdy drobiazg będzie super. Uśmiechnęła się.

- Na jednym ze zdjęć był szkic nagiego mężczyzny. W ciemnej tonacji, trudno coś jednoznacznie stwierdzić, więc mogę się mylić, ale wydaje mi się, że ten mężczyzna to Beatty.

- Więc mieli romans. Może nadal mają.

- Jeśli na rysunku był on.

- To wciąż ich nie obciąża. - Sam na skrzyżowaniu skręcił w lewo. - Dwoje kolegów z pracy, którzy nie chcą się przyznać do romansu. Zwykła rzecz.

- Chyba tak - zgodziła się Riley. - Ale?

- Kolejne przeczucie. I te obrazy Moore rzeczywiście są dość upiorne.

Sam rozejrzał się, skręcił w prawo na North Miami Boulevard. Niedługo będzie mijał dom - nagle zapragnął, by jak zwyczajny facet wcześniej wrócić do żony i synka, zamknąć za sobą drzwi i zapomnieć o pracy...

- Ziemia do Becketa - powiedziała Riley.

- Przepraszam. - Skupił się, bo w tej chwili nie miał żadnego usprawiedliwienia dla takich myśli. - Trzeba sprawdzić alibi Moore i Beatty'ego.

- Tylko że nie mamy dokładnego czasu porwań, nie wspominając o morderstwach.

- To nie przeszkadza w dokładnym ustaleniu zajęć tych dwojga w dniach, kiedy popełniono zbrodnie.

Kiedy wieczorem Sam wrócił do szpitala, stan Martineza wciąż był krytyczny, ale stabilny. Jess nadal przy nim czuwała.

- Nie wiem, co zrobię, jeśli on... - Urwała, oczy zaszkliły jej się od łez.

- Wyjdzie z tego. Jest silny - powiedział Sam.

- Nie taki znowu silny. Jest jak mały kotek.

- Wiem - przyznał Sam.

Stali przy łóżku, patrząc na Martineza podłączonego do urządzeń i kroplówek.

- Będzie ci przeszkadzało, jeśli na chwilę przytulę się do ciebie? - zapytała Jess.

W gruncie rzeczy mógł tylko się zgodzić.

- Jasne.

Żałował z całego serca, że Cathy powiedziała to, co powiedziała.

Takie słowa, nawet gdy się je cofnie, wciąż kłują jak szpilki. A Martinez nawet nie wiedział, że Sam i Jess tu są. Znowu zapragnął wrócić do domu i Grace. Im szybciej, tym lepiej.

72

22 LUTEGO

Nadeszła kolejna niedziela i wszyscy czekali na nieunikniony cios.

Minęły cztery dni od znalezienia Resslerów. Dobra wiadomość była taka, że zgłoszeń o zaginięciach nie było, ale cały zespół miał wrażenie, że krążą po okręgu, który ledwo się powiększa i donikąd nie prowadzi.

A potem nieoczekiwanie wszystkich zelektryzował pewien trop.

Niejaki Ludo Birkin, który mieszkał w Juniper Terrace, ale od czwartku, dwunastego lutego, przebywał poza miastem, zadzwonił z informacją, że tuż przed wyjazdem widział bmw Andre Dupreza opuszczające podziemny garaż około jedenastej wieczorem.

Środa, jedenastego lutego.

Wieczór porwania.

- Powiedział, że prowadził Duprez? - Sam z tym pytaniem zwrócił się do Cutter, która przyniosła wiadomość.

- Nie wie na pewno.

Gdyby się okazało, że Birkin istotnie nie jest w stanie jednoznacznie tego potwierdzić, jego zeznanie pomoże im tylko w precyzyjniejszym ustaleniu czasu drugiej zbrodni; oznaczałoby to, że albo Duprez jechał spędzić noc u Elizabeth,

albo zareagował na jej prośbę o pomoc. Mogłoby to również sugerować, że o tej porze Duprez nie połknął jeszcze temazepanu, który później znaleziono w jego organizmie, lub lek nie zdążył zadziałać. Wszystko to były szczegóły do ewentualnego wykorzystania w trakcie procesu, co daj Boże, ale żaden nie posuwał do chodzenia naprzód.

Jeśli jednak Birkin zezna, że kierowcą nie był Duprez, czyniło to z niego ważnego świadka.

A ponieważ dzisiaj i tak nie mogli udać się do Beatty Management, żeby uzyskać od Allison Moore i Beatty'ego informacje o ich poczynaniach w dniach porwań i morderstw, Ludo Birkin w tę niedzielę był *numero uno* na liście zadań detektywów.

Na wszelki wypadek Sam zaopatrzył się w trzy fotografie: Beatty'ego, Moore i Anthony'ego Christou.

Bóg wie, że zasłużyli na przełom.

73

Sam znowu pracował, więc Grace zostawiła Joshuę z Mildred i pojechała do szpitala, żeby posiedzieć przy Martinezie i pocieszyć Jess.

Wczoraj wieczorem Sam mówił, że dziewczyna sprawia wrażenie przekonanej, iż Martinez z tego nie wyjdzie. Gracenie lubiła się za własne myśli - wiedziała, że pewnie nie przyszłoby jej to do głowy, gdyby nie Cathy - ale nie wykluczała, że Jess należy do osób wymuszających uwagę otoczenia.

Pojawiło się jeszcze wstrętniejsze przypuszczenie: że Jessica chorobę narzeczonego traktuje jako narzędzie do podsycania tej uwagi, niewykluczone, że głównie ze strony Sama.

Cóż za niegodne, podłe myśli, przypominały jej o okresie sprzed lat, kiedy żyła całkowicie bezpodstawne podejrzania wobec innej młodej kobiety.

- Dzwoniłaś do rodziców, Jess? - zapytała Grace.

- To nie wchodzi w grę.

- Dlaczego? Nie ulżyłoby ci, gdybyś z nimi porozmawiała?

- Nie sędzę. Skończyłoby się na tym, że ja musiałabym pocieszać ich, a nie mam na to czasu ani energii, bo chcę się zająć wyłącznie Alem... Szczerze mówiąc, Grace, jedyni ludzie, którzy wiedzą, przez co przechodzę, to ty i Sam. On oczywiście rozumie mnie najlepiej jako najbliższy przyjaciel Ala.

- Oczywiście - powiedziała Grace. Znowu siebie nie lubiła.

74

Ludo Birkin, mężczyzna po trzydziestce, z nadwagą, nalaną twarzą i rzadkimi rudawymi włosami, był uprzejmy i niewątpliwie miał dobre intencje, nie potrafił jednak powiedzieć nic ponad to, co oznajmił podczas rozmowy telefonicznej. Sam i Riley pojechali do niego.

- Wtedy założyłem, że prowadził Andre Duprez, ale było ciemno, a ja nie miałem powodu, żeby dokładniej mu się przyglądać - mówił z żalem. Chrypiał, bo dokuczała mu angina. - Pewnie bym zauważył, gdyby za kierownicą siedziała, dajmy na to, kobieta, ale skłamałbym, twierdząc, że z całą pewnością mogę to wykluczyć.

Mieszkanie wielkością i rozkładem przypominało apartament Dupreza, za to Birkin - o ile to on je urządzał - miał bardziej ekstrawagancki gust i, o czym świadczyły jaskrawe tkaniny i fotele o dziwnych kształtach, zdaniem Sama równie niewygodne jak pokryta gumą stal.

- Mówił pan, że widział pan samochód „około” jedenastej wieczorem - drażył Sam. - Mógłby pan precyzyjniej określić czas?

Birkin jeszcze bardziej się zafrasował.

- Tak mówiłem, ale im bardziej się przekonuję, jakie to ważne dla waszego śledztwa, tym mniej jestem pewny.

- Więc to mogło być wcześniej? - zapytała Riley. - Czy później?

- Raczej później, może po wpół do dwunastej - odparł Birkin. - Gdybym był teledwidzem, pewnie przypominałbym sobie, że oglądałem film albo wiadomości, ale rzadko włączam to cholerne pudło. - Jego usta, i tak wąskie w okrągłej twarzy, zacisnęły się mocno i ledwo było je widać. - Strasznie mi żal tego biednego Dupreza i jego dziewczyny.

- Znał pan Elizabeth Price? - zapytał Sam. Birkin pokręcił głową.

- Jego też właściwie nie znałem, witaliśmy się tylko i rozmawialiśmy o pogodzie w windzie, tego rodzaju wymiana zdań. Ale kilka razy widziałem go z panią Price. Uznałem, że jest piękna. - Odchrząknął i zamilkł.

Sam chwilę odczekał.

- Czy w samochodzie mógł być ktoś jeszcze?

- To też trudno powiedzieć. Wtedy myślałem, że on, to znaczy kierowca, był sam, ale wołałbym pod przysięgą tego nie zeznawać. - Birkin wzruszył ramionami. - Nie da się wykluczyć, że ktoś mógł siedzieć skulony z tyłu.

- Czy w garażu oprócz pana ktoś był? - zapytała Riley.

- Nikogo nie widziałem. Bariierka w garażu otwiera się na kartę przy wjeździe, a przy wyjeździe podnosi automatycznie. Nie ma strażnika.

Ani działającej kamery, o czym już wiedzieli. Sam wyjął fotografie i pokazał je Birkinowi.

- Rozpoznaje pan którąś z tych osób? Birkin dość długo przyglądał się zdjęciom.

- Nie... Pytacie, czy ktoś z nich mógł być kierowcą?

- A mógł? - zapytał Sam.

- Nie potrafię tego powiedzieć, tak samo jak nie potrafię z całym przekonaniem stwierdzić, czy kierowcą był pan Duprez. - Birkin znowu pokręcił głową. - Bardzo żałuję, że nie mogę wam pomóc.

Na pożegnanie podziękowali mu, powiedzieli, że doceniają, że sam się zgłosił, i zapewnili, że skąpe informacje, które im przekazał, okazały się użyteczne.

Nadzieje na przełom rozpadły się w proch.

- Mogą jednak pomóc w skompletowaniu układanki - stwierdził Sam, kiedy wrócili do samochodu.

- Ale donikąd nas to nie prowadzi, prawda? - odrzekła Riley.

- Niestety - zgodził się Sam.

Było wczesne przedpołudnie, ale jedno nie ulegało wątpliwości.

Zaczynało brakować mu czasu.

75

Grace została w szpitalu; nie podobał jej się wygląd Martineza ani wyraz twarzy obu pielęgniarek.

Tuż po drugiej zadzwoniła na komórkę Sama.

- Muszę niedługo wracać do domu, żeby zwolnić Mildred - powiedziała łagodnie. - Wydaje mi się, że jeśli dasz radę, powinieneś tu przyjechać.

Riley zobaczyła minę Sama.

- Martinez?

- Grace uważa, że jego stan się pogorszył.

- Więc jedź. Ja skupię się na Allison Moore, sprawdzę, jakie szczegóły uda mi się wyszperać, jeśli uważasz, że to dobry pomysł.

- Jasne. - Sam podniósł się z za biurka, chwilę stał bez ruchu, czując się dziwnie bezbronny, niepewny, co dalej robić.

Riley czytała mu w myślach.

- Marynarka - podpowiedziała lekkim tonem. - Telefon. Kluczyki.

Zrobił, co mu kazała.

- Jedź, Sam - dodała.

Po telefonie Grace sprawy przybrały inny obrót. David przyjechał dziesięć minut przed Samem i zdążył porozmawiać z lekarzami.

- Jego szanse wzrosły - powiedział synowi na korytarzu przed OIOM-em. - Są teraz pewni, że to szczyrca gorączka.

- Ale skąd, do diabła? - zapytał Sam.

- To teraz bez znaczenia - odparł David. - Gonili własny ogon, byli skłonni postawić na hantawirus, nawet na gorączkę plamistą Gór Skalistych, bardzo rzadką w naszym stanie, a przecież wiemy, że Martinez od lat nigdzie nie wyjeżdżał. A potem się udało, kultura bakterii *Streptobacillus moniliformis*, szczyrzej gorączki, namnażała się szybciej niż normalnie, więc nie mają wątpliwości.

- Ale to da się wyleczyć, tak? - zapytał Sam.

- Owszem, penicyliną - odparł David. - Jak wynika z kartoteki, Martinez nie jest na nic uczulony.

- Wiem, że w zeszłym roku brał penicylinę na ząb i żadnych problemów nie było.

- To dobrze... Wiesz, Jess przydałoby się parę słów pociechy.

- Wciąż jest w złym stanie?

- Biedne dziecko.

- Czy ktoś ją pytał o szczury w jej kamienicy? - zapyta! Sam.

Jak na zamówienie z oddziału wyszła Jess.

- Ojciec już ci powiedział? - Oczy miała zapadnięte z troski. - A jeśli u mnie są szczury? Jeśli ja mu to zrobiłam, Sam?

- Zorientowałabyś się. Wiesz, odgłosy, odchody.

- Niczego takiego nie zauważyłam. Poza tym wiedziałabym, gdyby Al został pogryziony.

- To nieporozumienie - wtrącił się David. - Ugryzienia są najczęstszym powodem, ale zarazić się można, pijąc zanieczyszczoną wodę albo mleko.

Sam dostrzegł, jak przerażenie w jej oczach narasta, i ogarnęło go współczucie.

- Gdyby to było powodem, Jess, przypuszczalnie zachorowalibyście oboje.

- Poza tym nie spędzamy u mnie zbyt wiele czasu - dodała Jess. - U Ala jest więcej miejsca i choć nigdy tego nie powiedział, wiem, że woli być u siebie w domu.

Wszyscy się odwrócili, słysząc znajomy dźwięk kół na linoleum. Z windy wyjechało łóżko z nowym pacjentem i myśli Sama na moment skierowały się w stronę śledztwa.

- Jeśli chcesz, mogę zrobić u ciebie to samo co u Ala - zwrócił się do Jess. - Rozejrzę się, poszukam śladów... Tylko że na razie nie chcę stąd wychodzić.

- Ja też nie - odparła Jess.

- Tak czy owak mleko już się rozlało - powiedział David.

- Ale musimy sprawdzić - upierała się Jess.

- Sprawdźcie, kiedy twojemu narzeczonemu przestanie grozić niebezpieczeństwo - powiedział łagodnie David.

- Myślałem, że skoro wiedzą... - Sam poczuł nowy przyływ strachu.

- Skoro wiedzą, jego szanse wzrosły - odparł David. Przez chwilę milczeli.
- Sam, posiedzisz przy nim? - zapytała Jess. - Chciałabym pójść do kaplicy.
- To dobry pomysł - uznał David. - Masz ochotę na towarzystwo?

Jess pokręciła głową.

- Tam nie jest mi potrzebne. Patrzyli, jak szła w stronę wind.
- To dobra dziewczyna - powiedział David.
- Tak, też tak myślę - odrzekł Sam.

Do wieczora ciągle ktoś wpadał do szpitala. Najpierw przy Martinezie siedzieli Cathy i Saul, potem zastąpili ich Grace i Sam (Joshua zaopiekowali się David i Mildred). Po piątej przyszły Beth Riley i Mary Cutter, sierżant Alvarez pojawił się koło szóstej.

Myśli detektywów wciąż krążyły wokół zabójstw.

Nieuchronne jeszcze nie nastąpiło.

Brak zgłoszeń o zaginionych parach.

- Może to już koniec - powiedział Sam do Alvareza.
- A może było następne porwanie, tylko nikt go nie zgłosił - zauważył sierżant.
- Niewykluczone też, że nie ma żadnego wzoru - odparł Sam.

76

23 LUTEGO

Poniedziałkowy poranek zaczął się o wiele lepiej, niż zakończył niedzielny wieczór.

Stan Martineza się poprawił, choć niebezpieczeństwo nie zostało jeszcze zażegnane. Jess miała spokojniejszy wzrok i już tak bardzo nie domagała się uwagi, kiedy do szpitala przyszedł Sam; przed sobą nawet nie chciał przyznać, jak bardzo go to ucieszyło, wolałby zapomnieć o takich myślach, ale uporczywie krążyły mu po głowie.

Na razie najważniejsze było to, że Martinez poradził sobie z kryzysem.

Sam rozmawiał z jedną z lekarek, ładną kobietą po trzydziestce. Nazywała się Dana Friedman i powiedziała mu, że od dawna zna i szanuje jego ojca.

- Kuracja w przypadku tej choroby może trochę potrwać. Jeśli pański przyjaciel przetrwa najgorsze, pewnie przez jakiś czas będzie potrzebował pomocy. - Spojrzała przez szybę na oddział i uśmiechnęła się. - Narzeczona jest bardzo do niego przywiązana, to bardzo dobrze dla chorego.

Samowi podobał się ton, jakim wypowiedziała to zdanie, wibrowały w nim szacunek i troska, przez co Martinez stawał się czymś więcej niż tylko kolejnym przypadkiem.

- Ma mnóstwo ludzi w swoim narożniku - oznajmił.

- Zauważyliśmy - odparła lekarka.

- Zrobimy wszystko, co trzeba.

- Na razie niech przetrwa najgorsze - powiedziała lekarka i wróciła do swoich zajęć.

- Piasek z Hallandale nie pasuje do wcześniejszych próbek - oznajmiła Riley godzinę później.

To zepchnęło Anthony'ego i Karen Christou na koniec listy, na początek natomiast przesunęło Allison Moore, a to zdaniem Sama o ich liście nie świadczyło najlepiej.

- Zlokalizowałam jedną z jej nauczycielek malarstwa, która ma fotografie najważniejszych prac swoich uczniów. Przesłała mi zdjęcie obrazu wystawionego przez Moore na Wiosennym Salonie.

- Zdawało mi się, że już go widzieliśmy. - Sam usiadł za biurkiem; marzył, by nie czuć się aż takim zmęczonym. - *Erebus*, tak?

- Tak. - Riley wyglądała świeżo. - Już chciałam skontaktować się z naszym oddziałem FBI, żeby ktoś od nich go obejrzał, ale pomyślałam, że może Grace rzucałaby na niego swoim okiem psychologa.

- Jestem pewien, że się zgodzi, ale jej specjalnością nie jest sztuka.

- Założę się, że czasami analizuje rysunki dzieci. - Riley nie zamierzała się poddać.

- O ile się orientuję, analiza rysunków nie jest dla niej narzędziem diagnostycznym, ale słyszałem, jak mówiła, że to ważna forma ekspresji. - Sam wzruszył ramionami. - Przynajmniej w jednakowym stopniu odnosi się to do dzieci, nastolatków i dorosłych.

- Więc ją zapytasz?

- Jasne. Może być dzisiaj wieczorem?

Riley się uśmiechnęła.

- Zidentyfikowałam też jeden z plakatów Moore. Miałeś rację, to obraz Goi. Nosi tytuł „Lot czarownicy”.

Może sprawiła to energia Riley, ale Sam także zaczął się ożywiać.

- Myślisz, że rysunek przedstawiający Beatty'ego, o ile to był on, dotyczył czegoś mroczniejszego niż seks?

- Nie znam się na tym - odparła Riley - ale jak rozumiem, rytuały czarnej magii wiążą się z seksem.

Młoda kobieta, którą z Martinezem poznali w pierwszym dniu śledztwa, wydawała się Samowi skuteczna, sympatyczna i pełna współczucia dla ofiar.

Choć kilka razy pokazała ostrzejszy rys charakteru.

Poza tym wiedziała o plastikowej kopule i niemal na pewno skłamała, że podsłuchiwała rozmowę prawników.

- Kiedy z nią pierwszy raz rozmawialiśmy, wspomniała, że w starej galerii zawsze przechodziły ją dreszcze.

- A teraz się okazuje, że to jej ulubiony stan - odparła Riley.

- Musimy sprawdzić ich alibi.

Mildred była w domu od ósmej, przez godzinę pracowała w gabinecie, potem opiekowała się Joshua, kiedy Grace przyjmowała dwóch porannych pacjentów, następnie zaproponowała, że z nim zostanie, a mama niech idzie na zakupy.

- Naprawdę ci to odpowiada? - upewniła się ponownie Grace.

- Chcę być tutaj i z tym dzieckiem.

Godzinę później z zakupami w bagażniku Grace wpadła do Opera Cafe z bukietem kwiatów, żeby jeszcze raz podziękować za kolację w ubiegłym tygodniu. Cathy dopiero co przyszła do pracy, a Simone wybierała się do matki przebywającej w domu opieki. Wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną, choć pora była wczesna.

- Może cię podwiozę? - zaproponowała Grace.

- To bardzo miło z twojej strony, ale nie ma takiej potrzeby.

- Przecież masz samochód w warsztacie - wtrąciła Cathy, po czym wyjaśniła: - Simone chodzi teraz pieszo albo jeździ taksówkami, a ponieważ wiem, że zaczyna jej się migrena, jestem pewna, że wolałaby, żebyś ją podwiozła.

- Twojej mamie to nie po drodze - powiedziała Simone z naganą.

- Mówiłaś, że dom jest niedaleko Indian Creek Drive. Tylko kilka przecznic na południe.

- Twoja córka zaczyna się zachowywać jak szefowa. Grace się uśmiechnęła.

- Proszę, zgódź się. Dla mnie to przyjemność, a szczerze mówiąc, przynajmniej tyle mogę zrobić.

W Domu Opieki im. Jamesa L. Burridge'a przy Trzydziestej Trzeciej Ulicy Grace uparła się, że odprowadzi Simone do holu wyłożonego hiszpańskimi kafelkami, bo chciała się upewnić, że można stąd zamówić taksówkę, w przeciwnym razie zamierzała poczekać do końca wizyty.

- To nie jest konieczne - protestowała Simone.

- Robię to bardziej ze względu na Cathy, nie na siebie.

- Z przyjemnością pomogę pani Regan - oznajmiła recepcjonistka Alice, jak wynikało z identyfikatora. - To jedna z naszych wyjątkowych pań.

- Och, Alice - westchnęła Simone. Starsza kobieta mimo to ciągnęła:

- Zawsze znajduje czas dla matki, podczas gdy wiele córek dawno przestało się zajmować swoimi, ponieważ, niestety, czasami bywa to nieprzyjemne.

- Ja tak nie uważam. - Simone rzuciła Grace znużone spojrzenie.

- I dlatego twoje wizyty są dla mamy ważne, nawet jeśli tylko chwilami uświadamia sobie twoją obecność. A ty o tym wiesz, skarbie, dlatego mówię, że jesteś wyjątkowa.

- Proszę Alice, przestań. - Simone zdobyła się na uśmiech. - Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

- Musisz nauczyć się przyjmowania pochwał, które ci się należą moja droga - powiedziała starsza kobieta.

Gdy upewniły się, że taksówka zostanie wezwana, Simone odprowadziła Grace do wyjścia.

- Jesteś szczęściarą, mając taką córkę jak Cathy.

- Dobrze o tym wiem - odparła Grace.

- Wiesz, oboje z Mattem naprawdę uważamy, że Cathy powinna się rozwijać. Widać wyraźnie, że jest typem młodej osoby, której może przeszkodzić lojalność. Musi mieć poczucie, że jest wolna i nie musi przejmować się nami.

Grace obejrzała się na recepcję.

- Alice miała rację, że jesteś wyjątkowa. Matt także, naturalnie.

Zielone oczy Simone złagodniały.

- Prawda jest taka, że będziemy strasznie za nią tęsknić i wątpię, czy kiedykolwiek uda nam się trafić na następną Cathy, ale znajdziemy kogoś do pomocy. A szczerze mówiąc, kiedy moja matka odejdzie, praca w restauracji będzie mi potrzebna jako oparcie.

77

Wczesnym popołudniem Sam i Riley wrócili do gabinetu Lawrence'a Beatty'ego.

- To kwestia rutynowa - oznajmił na wstępie Sam. Beatty zdobył się na uśmiech.

- Mnóstwo tej rutyny.

- Nie widać końca - przyznał Sam. - Obecnie sprawdzamy wszystkie osoby w jakikolwiek sposób związane z którymś z morderstw, będziemy więc wdzięczni, jeśli poda nam pan rozkład swoich zajęć w dniach, gdy je popełniono.

- Naturalnie w celu eliminacji - powiedział Beatty.

- Tak jest - odparła Riley.

Zaproponował im fotele i poczęstunek, nalał sobie dietetycznej coli z małej lodówki i usiadł za biurkiem.

- W czasie naszego ostatniego spotkania wydawaliście się bardziej zainteresowani Allison niż mną, ale teraz zaczynam czuć się nękanym. - Jego ton i mina były lekkie.

- Słusznie?

- W żadnym razie - odparła Riley.
- Gdyby miał pan kalendarz pod ręką, to by pomogło
- powiedział Sam.
- Oczywiście.

Zabrali się do pracy, omawiając interesujące ich terminy: czas prawdopodobnego porwania, śmierci i porzucenia zwłok Eastermanów, dwójga młodych prawników i w końcu Resslerów. Beatty miał spotkania i narady, które wypełniały mu dni, za to niewiele było informacji o wieczorach i weekendach.

- Ma pan prywatny terminarz? - zapytała Riley po prawie godzinie.
- Obawiam się, że nie prowadzę jakoś nadmiernie ożywionego życia towarzyskiego - odparł Beatty przyjacielsko.
- W takim razie powinien pan pamiętać ważniejsze wydarzenia - stwierdziła Riley.
- Niewiele tego.

Jego ton jakby stracił na przyjacielskości, pomyślał Sam.

- W takim razie zastanówmy się kolejno nad interesującymi nas dniami - zaproponował.
- Dobrze - westchnął Beatty. - Choć muszę przyznać, że znowu zaczynam czuć się nieprzyjemnie.
- Dlaczego? - zapytał Sam.
- Według mnie to dość oczywiste. Sprawiacie, że czuję się jak podejrzany.
- Wszyscy tak się czują, proszę pana - powiedziała Riley.
- Jest pan w licznym towarzystwie.

Wrócili do początku, do pierwszego czwartkowego wieczoru miesiąca, kiedy Mayumi Santos po raz ostatni widziała pracodawców żywych.

- Nie pamiętam - powiedział Beatty.

- Nie wie pan, co pan robił tamtego wieczora? - zapytał Sam.

Beatty pokręcił głową.

- Co zwykle robi pan w czwartki po pracy? - zapytała Riley.

- Nie mam ustalonych zajęć. Nie jestem typem, który co tydzień gra w karty albo odwiedza siostrę.

- Czy ma pan krewnych w Miami? - zapytał Sam.

- Moja rodzina mieszka w Karolinie Południowej. Choć wyobrażam sobie, że już to wiecie.

Przeszli do piątku piątego - Beatty'emu wydawało się, że przypuszczalnie był to wieczór, kiedy wziął film z wypożyczalni Blockbuster.

- Której filii? - zapytała Riley.

- Na skrzyżowaniu Collins i Sześćdziesiątej Piątej. To był francuski film, jeden z wielkich przebojów lat osiemdziesiątych, *Jean de Florette*. Wypożyczyłem też następną część.

Sam nie miał nic do zarzucenia jego filmowemu gustowi.

- Obejrzał pan obie części?

- Tak, choć widziałem je wcześniej.

Sam patrzył, jak Riley notuje nazwę wypożyczalni, aczkolwiek oboje zdawali sobie sprawę, że o ile Beatty nie pojechał do filii na Zachodnim Wybrzeżu, fakt wypożyczenia dwóch filmów nie wyklucza wcale, że mógł porwać i zamordować Eastermanów.

- Chociaż to mogło być w tamten piątek albo w następny - powiedział Beatty. - Tygodnie zlewają się jeden z drugim, nie sądzicie?

Sam nie odpowiedział na to pytanie.

- Wróćmy do soboty szóstego.

Zanotowali wszystko, co ich rozmówca zapamiętał lub wolał zapamiętać, po czym zmienili temat.

- Mówił nam pan, że Allison Moore jest dla pana wyłącznie koleżanką z pracy - powiedział Sam.

- Czasami chodzicie na drinka lub lunch, ale stwierdził pan, że to po prostu inna forma narady - dodała Riley.

- Tak, oczywiście - potwierdził Beatty. Zacisnął szczękę.

- Jeśli chodzi wam o...

- Czy kiedykolwiek pozował pan pani Moore? - zapytał Sam.

- Nie, nigdy - odparł Beatty ze zdumieniem.

- Czy pan wie, że jest pan na co najmniej jednym obrazie czy raczej rysunku pani Moore?

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Więc nie orientuje się pan, że to akt? - zapytała Riley.

- Boże, nie. - Beatty wyglądał na przerażonego. Sam i Riley wymienili spojrzenia.

- Nie! Mówię prawdę - powtórzył Beatty, nie odrywając od nich wzroku. - Na litość boską, z własnej woli opowiedziałem wam, co zaszło w TVW, ale przypuszczam...

- To nie ma nic wspólnego z przeszłością - uciszył go Sam.

- My tylko pytamy o rysunek pani Moore - dodała Riley. - To wszystko.

Beatty chwilę milczał, odzyskując panowanie nad sobą.

- Przypuszczam, że wszystko jest możliwe - powiedział wreszcie. - Artyści tak robią, prawda? Malują ludzi bez ich wiedzy. - Pokręcił głową. - To nie musi oznaczać, że jej pozowałem. Nie pozowałem.

- OK. - Ton Riley był swobodny.

- Jak wyglądałem? - Musiał się bardzo postarać, żeby sprawiać wrażenie odprężonego.

- Był pan nagi. - Riley uśmiechnęła się do niego. -1 cokolwiek diaboliczny, nie sądzi pan, detektywie Becket?

- Może trochę - przyznał Sam. - Ale niewykluczone, że pani Moore po prostu ma taki styl. A jak pan uważa, panie Beatty?

- Nie wiem.

Sam podniósł rękę.

- Przepraszam, zapomniałem. Pan nie zna jej prac.

- Właśnie.

- Nie pamięta pan nawet jej obrazu, który w zeszłym roku znalazł się na wystawie.

- Mimo że pan był na tej wystawie - powiedziała Riley twardszym tonem.

Oboje znowu to dostrzegli. Po raz drugi widzieli dziwny wyraz oczu Beatty'ego, gdy rozmowa schodziła na mroczne aspekty malarstwa Allison Moore, choć teraz graniczyło to z paniką.

- OK - powiedział Sam i wstał.

- Dziękujemy, panie Beatty. - Riley także się podniosła. Mężczyzna sprawiał wrażenie zagubionego.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Bardzo nam pan pomógł - odparł Sam.

- Naprawdę?

- Oczywiście - potwierdził Sam.

- Na razie - dodała Riley.

- Na sto procent coś jest - oznajmiła Riley, gdy wyszli na ulicę.

Beatty powiedział im, że Ally Moore sprawdza nieruchomość przy Byron Avenue, a bez nakazu nie mogli przejrzeć jej terminarza.

- Ciekawe, ile jej mówi - odezwał się Sam.

- Zależy, jak teraz wygląda ich związek - odparła Riley.

- Ale masz rację. Coś tu jest.

W żadnym razie nie mogli jednak stwierdzić, czy to ma związek z morderstwami.

78

- Już nie jest na liście pacjentów w stanie krytycznym! - Jess zobaczyła nadchodzącego korytarzem Sama, pobiegła więc ku niemu i zarzuciła mu ręce na szyję. - Wyzdrowieje!

- Dzięki Bogu! - Sam odwzajemnił jej uścisk. Zalała go fala ulgi.

- Tak się bałam.

- Wiem, Jess.

To stało się cholernie szybko. Już chciał się od niej odsunąć, ale Jess wspięła się na palce, przyciągnęła jego głowę do siebie i zaczęła go całować w usta...

- Hej! - Sam cofnął się gwałtownie. - Co jest, do diabła?!

- O mój Boże! - Policzki Jess płonęły. - O mój Boże, Sam, strasznie mi przykro.

- Co ty wyprawiasz? - Sam usiłował mówić cicho, ale był zbyt wstrząśnięty, zbyt na nią wściekły. - Twój narzeczony, a mój partner i najlepszy przyjaciel, leży tu chory.

- To z radości. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Chciałam cię tylko uściskać. Bardzo proszę, wybacz mi, Sam.

- To nie był zwykły przyjacielski uścisk - odparł roztrzęsiony i zszokowany.

- Ale nie miałam takiego zamiaru. Naprawdę kocham Ala. Nigdy bym go nie skrzywdziła, przysięgam, nie chciałam, przysięgam.

- OK. - Sam wciąż nie potrafił się uspokoić. - Zapomnijmy o całej sprawie.

- Ale teraz mnie znienawidzisz. Widzę to w twoich oczach. Powiesz Alowi, powiesz Grace i wszyscy mnie znienawidzicie.

- Nie gadaj bzdur, Jess. - Sam rozejrzał się po korytarzu: wokoło nikogo nie było i to go ucieszyło. - A ja na pewno nie powiem Alowi, choć mam nadzieję, że jeśli jest coś, co powinien usłyszeć, usłyszy o tym od ciebie. - Z ponurą miną pokręcił głową. - Ale nie rób tego, póki jest chory, dobrze?

- Nigdy tego nie zrobię, Sam.

- To sprawa między tobą a Alem. Jeśli jednak sprawisz mu ból teraz, kiedy jest chory, będziesz miała ze mną do czynienia.

- Dobrze. - Jej głos był zduszony, cichy.

- Więc możemy o tym zapomnieć.

- A co z Grace? Powiesz jej?

- Mówię Grace o wszystkim.

- Ale ona...

- Ona nikomu nie powtórzy - przerwał jej Sam. - Jak mówiłem, możemy o tym zapomnieć.

- Dziękuję. - Znowu była biała jak kreda, tylko na policzkach pozostały dwa krwiste placki. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi przykro.

- Zapomnij o tym - powiedział stanowczym tonem, choć nie szorstko. - Po prostu zapomnij.

Zdawał sobie jednak sprawę, że to niemożliwe. Było mu przykro, że to musiało się stać, że podejrzenia Cathy okazały się słuszne, że przez długi czas - o ile kiedykolwiek - nie będzie czuł się swobodnie w towarzystwie Jess i co gorsza, będzie musiał okłamać przyjaciela.

Nade wszystko jednak nie mógł znieść myśli o skutkach, jakie ten incydent spowoduje w życiu Martineza, jak zrujnuje szczęście, które Al dopiero co odnalazł.

Nie mógł tego znieść.

Pod koniec tego długiego dnia wypełnionego zdarzeniami dobrymi i złymi Sam miał myśli zajęte nie tylko Jess Kowalski czy nawet Martinezem. Na jutro zaplanowali z Riley dalsze sprawdzanie alibi Allison Moore, dlatego zamierzali odwiedzić ją w Beatty Management i czekać tak długo, aż będzie mogła się z nimi zobaczyć. Nadal nie dysponowali żadnym na tyle solidnym dowodem, by wezwać oboje na przesłuchanie, właściwie nadal nie dysponowali niczym solidnym, kropka.

A tymczasem jakiejś niewinnej parze być może groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Sam znowu poszedł do Mike'a Alvareza. Bez żadnych wstępów oznajmił:

- W tych okolicznościach uważam, że muszę odwołać urlop.

- Nic więcej nie mów i siadaj - polecił szef. Odczekał chwilę, po czym powiedział: - Zdawało mi się, że tę rozmowę już przeprowadziliśmy. Wyraziłem się chyba jasno, że nie chcę słyszeć o odwołaniu...

- Chyba że świat się zawali - skończył za niego Sam.

- Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? - zapytał Alvarez.

- Nie, i w tym sęk.

Sierżant pochylił się nad biurkiem.

- Wiem, jak fatalnie się czujesz, Sam. Ale to jest rejs, za który już zapłaciłeś, poza tym nie pamiętam, kiedy ostatnio byliście z Grace na wakacjach.

Sam nie wierzył własnym uszom, takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Przełożeni zazwyczaj nie są tacy łaskawi, kiedy w rejonie objętym ich jurysdykcją szaleje seryjny morderca, więc może Mike Alvarez rzeczywiście skapcał...

- W zeszłym roku spędziliśmy kilka dni w Chicago.

- Żeby zlikwidować dom jej chorego ojca. Trudno nazwać to wakacjami.

- Mieszkaliśmy w wygodnym hotelu.

- Ho ho. - Alvarez rozsiadł się wygodnie. - Tak się składa, że uważam twoją żonę za wyjątkową kobietę.

- Witam w klubie.

Samowi przyszło do głowy, że może coś się dzieje, agent Duval, kapitan albo nawet komendant kwestionują jego pracę i Alvarez chce na kilka dni odsunąć go od sprawy, a po powrocie zacznie się cyrk...

- Niedługo urodziny Grace, mam rację? - zapytał Alvarez. - A rejs jest niespodzianką.

- Dlatego odwołanie go nie będzie miało dla niej znaczenia.

- I zwrócą ci pieniądze?

- Nie.

- Więc może to mieć dla niej cholernie wielkie znaczenie, jeśli zaproponuje później urlop, a ciebie nie będzie na to stać.

- Ale w sytuacji, kiedy Martinez jest chory, a śledztwo stoi w miejscu...

- Aktualnie pracuje nad tą sprawą specjalny zespół - przypomniał mu ironicznie Alvarez. - Z przykrością ci to mówię, ale nie jesteś nie do zastąpienia.

Sam już chciał zapytać sierżanta, czy o to tutaj chodzi, czy planują odebrać mu dochodzenie, ale zaraz sobie przypomniał, że nie on jest ważny, tylko ofiary.

- Riley i ja pracujemy nad ewentualnym śladem.

- Wiem. Rzeczywiście, między Moore a Beattym może dzieje się coś dziwnego, ale na razie nie nazwałbym tego śladem. - Alvarez wzruszył ramionami. - Poza tym wciąż masz dwa pełne dni, żeby wyciągnąć asa z rękawa.

- Twoim zdaniem morderstwa się skończyły? - zapytał Sam.

- Pięć dni pomiędzy zniknięciami zamiast czterech? - Alvarez rozpostarł dłonie. - Osobiście uważam, że to nie jest takie ważne, jakbyśmy chcieli, choć może trzy to magiczna liczba i rzeczywiście na tym się skończy.

- Bezbożna trójca - powiedział Sam.

A to znowu zwracało ich uwagę na Moore i Beatty'ego.

- Idź do domu, Sam - poradził Alvarez. - Jutro rano zabierzesz się do pracy.

- Dobrze.

- I żadnego siedzenia przez całą noc i szukania w Google'u satanizmu czy czegoś w tym rodzaju, dobrze? Sam wstał, z ulgą prostując nogi.

- Jakbym miał na to ochotę.

79

W niecałe pół godziny od powrotu do domu Sam nalał wina do dwóch kieliszków i opowiedział Grace o incydencie z Jess.

- To niedobrze - odparła. - Martwisz się o Ala?

- Jeśli ona złamie mu serce... - Sam potrząsnął głową. - Kogo ja oszukuję? Niewiele mogę zrobić, jeśli tak się stanie.

- Możesz mu pomóc się pozbierać.

Popatrzyli na siebie, a potem (nie musieli nic mówić) zrobili to, co zawsze robili, kiedy było im szczególnie dobrze, źle lub smutno. Poszli na piętro do pokoju śpiącego synka, patrzyli na niego i szeptem mówili mu o swojej miłości.

Po powrocie do gabinetu usiedli na kanapie z Woodym, który ulokował się między nimi, i Sam pokazał żonie fotografię obrazu.

- Beth pyta, czy mogłabyś rzucić na to okiem psychologa. Grace przyjrzała się zdjęciu.

- Tego nie namalowało dziecko. Ani nastolatek. Sam pokręci! głową.

- Osoba, która nas interesuje. Grace zmarszczyła czoło.

- Macie swoich ekspertów.

- Oczywiście, ale Beth uważa, że nie zaszkodzi, jeśli ty też się wypowiesz.

- W porządku. Pod warunkiem że będziemy pamiętać, że to nie moja dziedzina.

- Jasne. Twoja opinia i tak jest dla nas cenna.

Grace znowu zwróciła wzrok na fotografię przedstawiającą mroczny, poszarpany krajobraz, w którym jedynym źródłem światła był żar, wydobywający się z ziemi i złowrogo migoczący zamiast dawać pociechę. Przyglądając się uważniej, dojrzała w mroku jakieś stwory, mogły to być węże lub robaki...

- Nie śpiesz się - powiedział Sam.

- Nie zamierzam. - Przyjmując podejście Jungowskie, była bowiem pewna, że tego od niej oczekują, próbowała przeprowadzić analizę psychiki autora na podstawie jednego, a tym samym nazbyt ograniczonego przykładu jego twórczości. - Ale nic z tego nie będzie, materiał jest skąpy, co grozi wyciąganiem zbyt daleko idących wniosków.

- Widzieliśmy inne obrazy - powiedział Sam. - Są...

- Nic nie mów - przerwała Grace. - Przynajmniej nie teraz. Przez jakiś czas studiowała fotografię.

- Mogę tylko powiedzieć, że gdyby to była praca nastolatka - wyobraźmy sobie wersję namalowaną mniej profesjonalnie - pewnie bym się zaniepokoiła. - Pokręciła głową. - Ale od tego jeszcze bardzo daleko do stwierdzenia, że malarz może mieć jakieś związki z brutalnymi morderstwami.

- Obraz nosi tytuł *Erebus* - powiedział Sam. - Od miejsca w Hadesie.

- Ile lat ma artysta?

- To dwudziestosiedmiolatka.

- Więc to kobieta.

- To coś zmienia?

- W gruncie rzeczy nic. - Grace wróciła do fotografii. - Wielu młodych ludzi fascynuje się satanizmem i demonami, bo telewizja i gry komputerowe karmią ich tą tematyką. - Znowu pokręciła głową. - Ale pamiętaj, nie jestem na bieżąco.

- Tu chodzi o dorosłą kobietę.

- Rzeczywiście... Mówimy o kobiecie z galerii? Wcześniej Sam opowiedział jej trochę o Moore i Beattym,

choć wtedy uznała, że problemy raczej ma Beatty.

- Tak. W domu ma przynajmniej jedno dzieło związane z czarną magią: „Lot czarowników” Goi.

- To piękny obraz. Sama też powiesiłabym go u siebie... Więc Allison jest malarzką.

- Riley uważa, że jej prace są mroczne. Grace zastanawiała się przez chwilę.

- Przypuśćmy, że jest zaangażowana w jakieś mroczne sprawy, założmy nawet, że uprawia satanizm. Czy to wiąże się w jakikolwiek sposób z morderstwami?

- Nie, w każdym razie nie w sposób oczywisty.

- Pomogłam ci?

- Zawsze pomagasz.

- Ale nie w złapaniu tego mordercy.
- Dzisiaj wieczorem nie - odparł Sam.

80

24 LUTEGO

We wtorek o wpół do dziewiątej rano znowu byli w Beatty Management.

Allison Moore czekała na nich w swoim gabinecie na parterze, tuż za recepcją. Wyjęła terminarz.

- Pan Beatty uprzedził mnie, że będziecie go potrzebowali - powiedziała, kiedy na jej zaproszenie zajęli miejsca.

Jej gabinet był mały, prosty, dobrze zorganizowany, choć krzesła nie pasowały do wystroju, jakby pożyczyła je, spodziewając się wizyty. Siedząc na kolejnym za małym i niewygodnym siedzisku, Sam złapał się na myśli, że marzy o dniu, kiedy ktoś bardziej myślący o innych, może Saul, zaprojektuje nowe meble biurowe.

- Pan Beatty? - Riley uniosła brwi. - Bardzo oficjalnie.
- To mój szef.
- Choć nie tylko - odparł Sam.
- Szkic - powiedziała Moore bez emocji.
- O nim też pani wspomniał? - zapytała Riley.
- A dlaczego nie? Wasze pytania wydały mu się dość dziwne.
- Zwłaszcza że nigdy pani nie pozował - zauważyła Riley.
- Przynajmniej tak twierdzi.

- Bo nie pozował.

- Ale szkic przedstawia Lawrence'a Beatty'ego? - zapyta! Sam.

- Nie rozumiem, dlaczego to takie ważne - odrzekła po krótkim wahaniu i pokręciła głową. - Mówiłam wam, że naprawdę chcę współpracować, ale to są moje prywatne sprawy.

- Bardzo nam przykro, że wypyujemy panią o sprawy prywatne, ale praca detektywów z wydziału morderstw polega na przedzieraniu się przez kolejne warstwy - oświadczył Sam.

- Jeśli na powierzchni jest niewiele, zaczynamy drążyć głębiej.

- I drążycie wokół wszystkich związanych z morderstwami, choćby ten związek był bardzo luźny?

- Oczywiście - odparła Riley. - Chociaż w pani przypadku związek nie jest taki znowu luźny, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że to pani najczęściej bywała w miejscu, gdzie porzucono zwłoki Eastermanów.

- Co raczej czyni ze mnie potencjalnego świadka, nie podejrzaną.

- Nikt nie traktuje pani jako podejrzaney, pani Moore - powiedziała Riley.

- Chyba że takie wrażenie odniosła pani po rozmowie z panem Beattym - dodał Sam.

Riley rozejrzała się po pomieszczeniu.

- To pani gabinet?

- Tak. Dlaczego pani pyta?

- Żadnych plakatów, nic związanego ze sztuką - odparła Riley.

- To moje miejsce pracy.

- Czy szkic przedstawiał Lawrence'a Beatty'ego? - powtórzył Sam.

Moore odetchnęła z irytacją.

- No dobrze. Narysowałam go. Raz. Nie miał o tym pojęcia, jego nagość była całkowicie wytworem mojej wyobraźni.

- Pamięta pani, kiedy to było? - zapytała Riley.

- Nie. Lub raczej niedokładnie. To trwało pewien czas. Niekiedy tak pracuję, odkładam rysunek, potem do niego wracam.

- OK - powiedział Sam. - Dziękujemy.

Przeszli do oficjalnego powodu wizyty: sprawdzania jej terminarzy, zarówno służbowego, jak i prywatnego. Rezultaty były równie niejednoznaczne jak w przypadku Beatty'ego, chociaż gdyby cień podejrzenia wobec obojga lub któregoś z nich nabrał wyrazistości, alibi trzeba będzie sprawdzić czterokrotnie.

- Wygląda pani na zmęczoną, pani Moore - powiedziała Riley, kiedy skończyli.

- Bardziej przygnębioną niż zmęczoną - odparła ich rozmówczyni. Zadzwoił jej telefon. - Wszystko w porządku, ten ktoś zostawi wiadomość na poczcie głosowej. - Telefon umilkł po czterech sygnałach.

- Przygnębioną naszymi pytaniami? - chciał wiedzieć Sam.

- Okropnością tych morderstw oraz faktem, że w jakimkolwiek stopniu mogę być w nie wplątana. - Niespokojnie poruszyła się na krześle. - Przykro mi. To wielki stres.

- Straszne doświadczenie - powiedział Sam.

- Zwłaszcza dla rodzin - dodała Riley.

- Sądzicie, że o tym nie wiem? - zapytała Moore.

Sprawiała wrażenie, że z trudem powstrzymuje się od płaczu, i Sam intuicyjnie jej uwierzył. Pomyślał przelotnie o Jess Kowalski; przyszła mu do głowy rzecz cokolwiek niepokojąca - że mimo wieloletniego doświadczenia staje się coraz bardziej wrażliwy na kobiece łzy.

Kiedy pani Moore odprowadzała ich do recepcji, Riley nagle oznajmiła:

- Chciałabym jeszcze raz obejrzeć ten szkic.

- Dlaczego? - W głosie Allison zabrzmiała frustracja.
 - Na litość boską!
 - Tylko rzuciłam na niego okiem, a detektyw Becket wcale go nie widział.
 - Ma pani jakiś szczególny powód, żeby go nie pokazać? - zapytał Sam.
 - Nie, oczywiście, że nie, ale jak wcześniej mówiłam, to sprawa prywatna. - Rozejrzała się i zniżonym głosem dodała:
 - A jeśli mam być szczerą, także piekielnie żenująca.
 - Oglądając pani prace, pomyślałam sobie, że właśnie to panią interesuje - powiedziała Riley. - To znaczy piekło.
 - Czy moglibyśmy jeszcze raz odwiedzić panią w domu...
 - Sam zauważył jej rumieniec. - ...jutro po pracy?
 - Żeby obejrzyć szkic - dodała Riley.
- Moore pokręciła głową, wyraźnie zrezygnowana.
- Cóż mogę powiedzieć?
 - Może pani odmówić - odparł Sam.
 - Nie odmawiam.
 - O szóstej? - zaproponowała Riley.
 - Będę czekała.
- Sam i Riley wyszli na Collins. Ruch był niewielki.
- Dlaczego chcesz obejrzyć ten rysunek? - zapytał Sam.
 - Nagłe przeczucie. Ruszyli do saaba.
 - Nie chodzi o postać, raczej o tło - dodała Riley.
 - Dobrze - odrzekł Sam.

Popołudniowa narada zespołu nie przyniosła nic nowego.

Cutter, która w dalszym ciągu sprawdzała małżeństwo Christou, nic nie znalazła. Rano zadzwonił Anthony, powiedział, że ma czas dla detektywów, i zapytał, czy Karen może wrócić do domu na Prairie Avenue. Niewykluczone, że ci dwoje mogą się okazać najbardziej szalonymi i zuchwałymi seryjnymi mordercami w dziejach, ale jakoś nikt w to nie wierzył.

Beatty i Moore wydawali się ostatnim promyczkiem nadziei, aczkolwiek nie można było postawić im żadnych konkretnych zarzutów.

Fiasko, gdziekolwiek spojrzeć. Mieli tylko nadzieję, że to są jednak morderstwa ze wzorem i szaleństwo sprawców skończyło się wraz z trzecią parą. Sześć ofiar.

- Nie jestem przekonany, że mamy do czynienia ze wzorem - powiedział Sam.
- W każdym razie jeśli chodzi o układ czasowy.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał Joe Duval.

- Owszem, choć wolałbym się mylić. - Sam rozejrzał się, zobaczy! wyczekiwanie na twarzach kolegów i pożałował, że nie może się podzielić z nimi dobrą wiadomością. - To tylko wrażenie, że się z nami bawią. Że nasza frustracja i nieskuteczność działań dostarcza im tyle samo przyjemności co cierpienia ofiar.

- Uważasz, że specjalnie każą nam czekać - powiedział Duval.

- Wszyscy wiemy, jak bardzo uzależniająco są tego rodzaju chore przyjemności
- odparł Sam poważnie.

- Za bardzo, żeby łatwo z nich zrezygnować - dodała Riley ponuro.

- Niech mi ktoś powie, że nie mam racji - zwrócił się Sam do zespołu.

Nikt się nie odezwał.

Dokładnie o szóstej Sam i Riley zapukali do mieszkania Allison Moore.

Tym razem nie zaproponowała, żeby usiedli, tylko podała fotografię Riley.

- Wyjęła ją pani z albumu - zauważył Sam.

- Przepraszam, ale to ten rysunek chcieliście ponownie obejrzeć?

Sam zauważył, że w jej zachowaniu zaczyna ujawniać się agresja. Coraz mniej przypominała łagodną i bezpośrednią młodą kobietę, jaką wydawała się na początku.

- Tak. Dziękujemy - powiedziała Riley.

Stała pod lampą i długo przyglądała się fotografii, potem podała ją Samowi. On też to zobaczył.

- W porządku? - zapytała pani Moore.

- Interesuje nas tło - wyjaśnił Sam. - Tło?

Sam podsunął jej fotografię.

- Portretowana postać, pan Beatty, znajduje się na pierwszym planie. W tle widać kolumnę.

- Tak - potwierdziła, czerwieniąc się.

- Wygląda znajomo - ciągnął Sam.

- To tylko kolumna. Nic nie oznacza. To nie jest żadne rzeczywiste miejsce.

- Och, racja - odparła Riley. - Przecież pan Beatty nie pozował do tego rysunku. To wytwór wyobraźni.

- Właśnie.

- Ale pan Beatty jest rzeczywisty, więc niewykluczone, że to samo odnosi się do tła - uznał Sam.

- A ta kolumna z całą pewnością wygląda znajomo - dodała Riley.

- Skoro tak mówicie. Detektywi wymienili spojrzenia.

Czas mijał, nie mogli sobie pozwolić na jego marnowanie.

- Przypomina mi kolumnę z Oates Gallery - stwierdził Sam.

- Bardzo podobna - zgodziła się Riley. Allison wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że ten budynek mógł mieć na mnie wpływ.

- Bo spędza tam pani dużo czasu - odrzekł Sam.

- Nie tak dużo, choć pewnie wystarczyło.

- Ma pani kserokopiarkę, pani Moore? - zapytała Riley.

- Nie, przykro mi.

- Wydawało mi się, że ostatnim razem widziałem faks w pani pracowni - powiedział.

- Och. Rzeczywiście.

- Pozwoli pani, że skopiujemy to zdjęcie? - zapytała Riley.

- Nie jestem pewna, czy zmieści się w faksie - odparła Moore.

- Myślę, że tak - zapewnił ją Sam. Uśmiechnęła się ironicznie.

- Przypuszczam, że odmowa nie wyglądałaby dobrze.

- Ma pani do niej prawo - oświadczył Sam.

- W tej sytuacji - dodała Riley.

Allison Moore spuściła głowę ruchem pełnym urazy i rezygnacji.

- Służę uprzejmie - powiedziała.

Saul i Cathy byli w kuchni, odgrzewali pizzę i układali strategię na dzień niespodzianki.

- Mildred mówi, że w czwartek rano Grace ma tylko jednego pacjenta - powiedział Saul. - O wpół do dziesiątej. Więc jeśli nie przyjmie kogoś jeszcze, około jedenastej wywabimy ją z domu, żebyś mogła się zająć pakowaniem.

- A skąd będę wiedziała, co spakować? - Cathy wyjęła z lodówki sałatę i koktajlowe pomidorki.

- Jesteś kobietą. Domyślisz się - odparł Saul.

- Nie bądź takim seksistą. Ja jestem kelnerką i biegaczką--amatorką, a Grace to wyrafinowana psycholożka i piękna kobieta. Nie wszystkie kobiety są takie same, Saul, tak na wypadek, gdybyś nie zauważył.

- Wszyscy wiemy, w czym lubi chodzić. - Saul nie dał się sprowokować. - Spakuj wszystko, co twoim zdaniem będzie jej potrzebne. I nie zapomnij o kosmetykach, perfumach i biżuterii.

- Co ty nie powiesz! A jeśli umówi innych pacjentów?

- Mildred stanie na głowie, żeby do tego nie dopuścić. - Saul otworzył piekarnik i sprawdził pizzę. W powietrzu uniósł się aromat młodych papryczek i cebuli. - Ja mam najtrudniejsze zadanie, muszę wywabić Grace z domu.

- Wymyśl jakąś nagłą sprawę. - Cathy umyła pomidory i wytarła je papierowym ręcznikiem.

- To musi być coś, co tylko Grace może zrobić.

- Trudno ją nazwać złotą rączką - odparła Cathy. - W gruncie rzeczy umie tylko rozwiązywać ludzkie problemy.

- O Boże - westchnął Saul.

- Co się robi na sabacie czarownic? - zapytał Sam, kiedy tuż przed siódmą wrócili na posterunek.

- A skąd mam wiedzieć, do diabła? - odparła Riley.

- Ty pierwsza wyciągnęłaś temat czarownic. Wiesz, zastanawiam się nad krwią w galerii. I kokainą. Nie orientujesz się, czy czarownice biorą narkotyki?

- Zadzwoń do Joe Duvala - odparła Riley. - Niech poprosi biuro o zlokalizowanie sabatów w okręgu Miami-Dade.

- Uprzedź go, żeby pominął oficjalne miejsca kultu Wicca - powiedział Sam. - Wydają się dość szacowne.

- Chryste, nie jestem pewna, czy tydzień temu w ogóle o tym słyszałam.

- Powiedz mu, żeby się postarali. Szukamy czegoś mniejszego i bardziej ukrytego.

- Przypuszczalnie też znacznie nieprzyjemniejszego - dodała Riley.

Sam odsłuchiwał wiadomości i uśmiechnął się.

- Co jest? - zapytała Riley.

- Martineza przeniesiono z OIOM-u na zwykły oddział.

- Dzięki Bogu - westchnęła Riley.

- Tak. - Wielka ulga sprawiła, że nagle poczuł się bardzo słaby.

Riley podniosła słuchawkę.

- Zadzwoń do Duvala, ty jedź do Ala.

- Mogę odwiedzić go później.

- Jeśli na coś trafimy, dam ci znać i wrócisz.

- Na pewno?

- Dobrze ci zrobi, jak go zobaczysz poza OIOM-em - stwierdziła Riley.

Sam nie dyskutował.

- Zadzwońię ze szpitala.

Martineza przeniesiono na oddział znajdujący się cztery piętra nad OIOM-em. Leżał w ładnej salce z niebieskimi zasłonami i oprawioną w ramki fotografią przedstawiającą krajobraz z South Beach; Sam pomyślał, że pewnie identyczną widział w pokoju ogrodnika osiem dni wcześniej.

Jess siedziała w fotelu przy łóżku.

- Cześć - powiedziała i zarumieniła się z zażenowania. Powinna być zażenowana, pomyślał Sam, i wyrzucił tamten

incydent z pamięci.

Miał nadzieję, że to już przeszłość, teraz liczyło się tylko zdrowie Martineza.

Na razie.

- Cześć - zwrócił się do niego. - Popatrz tylko na siebie.

- Cześć. Jak leci?

Po raz pierwszy od wielu dni Sam usłyszał Martineza mówiącego do rzeczy, choć przyjaciel miał słaby głos.

- W porządku. - Sam ujął jego dłoń; miał niemal nadzieję, że tamten się zachwie, znowu będzie sobą, ale Martinez przymknął oczy i Sam pojął, że choroba uświadomiła przyjacielowi jego śmiertelność. - Wszyscy za tobą tęsknimy.

- Mówię o dochodzeniu, nie o swojej popularności. Sam poczuł ulgę.

- Naprawdę jest ci lepiej.

- No, człowieku, zależy mi na szczegółach.

- Przede wszystkim potrzebny ci odpoczynek - odparł Sam.

- Wysyłasz mnie na emeryturę?

- Będiesz pracował dłużej niż ja.

- Dopiero przenieśli cię z OIOM-u, Al - wtrąciła Jess.

- Dobrze wiem, gdzie byłem - powiedział szorstko Martinez.

- Wiem, że wiesz. Przepraszam.

Chory pokręcił głową; ciemne włosy miał przyklejone do czaszki po tych kilku dniach, gdy dręczyła go gorączka i nie mógł iść pod prysznic.

- Nie, to ja przepraszam, Jessie. Ja tylko chcę znowu czuć się normalnie, jak ja, rozumiesz?

- Jasne, że rozumie - wtrącił Sam. - Wszyscy to rozumiemy.

- Więc daj coś, człowieku.

- Żałuję, ale nic nie mam.

- Nic? - zapytał Martinez z niedowierzaniem, jakby spędził w łóżku rok, a nie cztery dni. - Nikogo nie aresztowaliście? Nikt nie jest podejrzany?

- Nie warto nawet o tym mówić. Jess wstała.

- To dlatego, że ja tu jestem. Sam pokręcił głową.

- Dlatego, że nie ma o czym mówić, a ten tutaj musi odzyskać siły, co oznacza, że powinien odpoczywać jak każdy inny pacjent, który o mało nie umarł na szczurzą gorączkę.

- Ciągle im powtarzam, że szczury nigdy mnie nie pogryzły - powiedział Martinez.

- A oni ci tłumaczą, że wcale nie musiałeś się zarazić w ten sposób - przypomniała mu Jess.

Martinez się wzdrygnął.

- Na samą myśl robi mi się niedobrze. Nienawidzę tych pieprzonych gryzoni.

- Więc o nich nie myśl - poradziła Jess.

- Słuchaj narzeczonej - powiedział Sam. Martinez zamknął oczy.
 - Jezu, ale jestem zmęczony.
 - Prześpij się teraz - powiedział Sam. - Wracam do domu.
- Jego partner znowu uniósł powieki.
- U Grace wszystko w porządku?
 - W jak najlepszym. Wygląda na to, że jednak wyjedziemy.
 - To świetnie. - Chory uśmiechnął się z wysiłkiem.
 - Alvarez nie chce, żebym rezygnował. Ten facet jest niemożliwy.
 - Dokąd wyjeżdżacie? - zapytała Jess.
 - To niespodzianka dla Grace - wyjaśnił Martinez sennym głosem. - Na jej urodziny.
 - Jak miło - odrzekła Jess.
- Becket spojrzał na nią, zobaczył szczerłość w jej oczach.
- Zabiera ją na rejs - dodał Martinez. Sam pożałował, że przyjaciel to powiedział.
 - Och, jak jej zazdroszczę - westchnęła Jess i znowu się zarumieniła. - Wiesz, Al, chciałabym, żebyśmy kiedyś też się wybrali na taki rejs.
 - Może się wybierzemy, dziecinko - odparł Martinez i zamknął oczy. Tym razem zasnął.

Sam zadzwonił do Riley z samochodu, powiedział jej o Martinezie i zapytał, czy otrzymała z biura Duvala jakieś użyteczne informacje.

- Na razie nie, ale szukają dalej. Ogarnęło go zniecierpliwienie.

- Musimy wezwać na posterunek Moore i Beatty'ego. Jestem pewien, że w najgorszym razie byli w galerii blisko interesującej nas daty, może nawet tamtej nocy.

- Nie mamy na to dowodu.

- Wiem, ale jeśli istnieje najmniejsza szansa na to, że mam rację, nie możemy marnować czasu.

- Tylko przesłuchanie, tak? - zapytała Riley. - O ile się zgodzą.

- Z całą pewnością nie zamierzamy ich aresztować.

- Jestem za, pod warunkiem że kapitan nie będzie się sprzeciwiał.

- Mam nadzieję, że Alvarez stanie po naszej stronie. - Sam skręcił na parking przy Biscayne Boulevard.

- Więc stan Martineza naprawdę się poprawił?

- Odpukać, ale tak - odparł Sam.

- Bardzo proszę, tylko bez żadnych wielkich planów na moje urodziny - powiedziała Grace, kiedy leżeli już w łóżku. - I tak masz dość stresów, a ja nie potrzebuję niczego oprócz ciebie. - Poglądziła go po policzku i pocałowała w skroń.

- Mówię poważnie, Sam. Nie masz na to czasu.

- Zawsze mam czas dla ciebie, Gracie.

- Zawsze chcesz mieć dla mnie czas - skorygowała.

- A to co innego.

- Zobaczymy.

- Bardzo proszę, nie czuj się zobowiązany do organizowania imprezy - upierała się Grace. - Powiem wszystkim, żeby nie spodziewali się nawet kolacji, chyba że będzie to zwykłe spotkanie przy kuchennym stole.

- OK. - Sam pocałował ją w usta. - Jesteś niesamowita.

- Liczę, że wyraziłam się jasno. Nie chcę nic wielkiego.

- Ty jesteś dla mnie najważniejsza - odparł Sam.

84

25 LUTEGO

Tom Kennedy poprzestał na zaleceniu zwykłej ostrożności, tak więc Sam i Riley wystosowali osobne „zaproszenia” do Moore i Beatty'ego.

- O co chodzi? - zapytał Beatty. - Jestem aresztowany? Powinienem wezwać adwokata?

- Z całą pewnością nie jest pan aresztowany - odparł Sam. - Jeśli pan woli, możemy znowu odwiedzić pana w biurze, ale uznałem, że to się panu nie spodoba.

Moore głosem bardziej poirytowanym także zapytała, czy potrzebuje adwokata.

- Ma pani takie prawo - odpowiedziała Riley.

- Jestem podejrzana?

- Na razie nie.

Spotkanie z nią ustalono na dwunastą. Z Beattym - pół godziny później.

85

Cathy odwiedziła Martineza.

- Wyglądasz o wiele lepiej - powiedziała.

Jeszcze wiele mu brakowało do pełnej formy, ale rzeczywiście wyglądał ze sto razy lepiej niż podczas jej ostatniej wizyty.

O Jess nie można było tego powiedzieć.

- Za to ty wyglądasz na zmęczoną. - Cathy miała nadzieję, że zabrzmiało to współczująco.

- Bo jestem - odparła Jess.

- To dlatego, że nie odstępuję mnie na krok - powiedział Mar-tinez. - Najlepsze lekarstwo, tak mówią o miłości, prawda?

Cathy pomyślała, że mówią tak o śmiechu, nie o miłości, ale zachowała to dla siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że w ciągu paru dni nastąpiła taka ogromna poprawa - powiedziała. - David i Sam mi mówili, ale musiałam zobaczyć to na własne oczy.

- Nie musisz ciągle przychodzić, masz sporo zajęć. - Mar-tinez się uśmiechnął. - Choć świetnie mi robi, kiedy mogę mieć koło siebie tyle ślicznych dziewczyn, ile się da.

- Co za facet - powiedziała Cathy do Jess i pokręciła głową.

- Wszyscy tacy są. - Jess uśmiechnęła się lekko. Ale w jej oczach nie ma uśmiechu, pomyślała Cathy.

Dwadzieścia minut później zaczęła się żegnać, wyczuła, że Martinez jest zmęczony. Pochyliła się, żeby pocałować go w policzek, ścisnęła mu dłoń. Odważemnił uścisk.

- Wyjdiesz z tego - powiedziała.

- Jasne, że tak. Jess także wstała.

- Odprowadzę cię.

- Nie trzeba.

- Mam ochotę rozprostować nogi. Minęły dyżurkę i poszły do wind.

- Coś się stało? - zapytała Cathy.

- Można tak powiedzieć - odparła Jess.

Cathy zatrzymała się i spojrzała jej w twarz. Zobaczyła w oczach Jess dziwny wyraz, gniew pomieszany ze znużeniem.

- Więc mi powiedz. Wyglądasz na zdenerwowaną.

- To ci się nie spodoba.

- Przekonajmy się.

- Pewnie mi nie uwierzysz.

- Nie dowiemy się, dopóki mi nie powiesz. Jess upewniła się, że w pobliżu nikogo nie ma.

- Twój tato przystawiał się do mnie.

- A ja jestem Marilyn Monroe - odparła Cathy. Nagle ogarnęła ją złość.

- Mówiłam, że mi nie uwierzysz - powiedziała Jess.

- I nie myliłaś się. - Cathy postanowiła nie owijać dłużej w bawełnę: - Mam cię na oku od przyjęcia u moich rodziców. Nie ufam ci, nie jestem pewna, czy wiesz, co to jest prawda, i za grosz nie wierzę w to, co mówisz.

- Dziękuję ci - szepnęła Jess. Miała w oczach łzy.

- W tym też jesteś bardzo dobra - stwierdziła szorstko Cathy.

- Sam przystawiał się do mnie przedwczoraj wieczorem. - Jess mówiła spokojnie i cicho, choć wydawało się, że każde słowo wypowiada z trudem, przeciągle.

- Cały czas mnie to męczy.

- Jasne, że cię męczy. Możesz być pewna, że Samowi ani Grace nie zrobisz krzywdy takimi złośliwymi bzdurami. Ale jeśli skrzywdzisz Martineza bardziej niż trzeba, żeby się z nim pożegnać, będziesz miała do czynienia ze sporą gromadą ludzi.

Przeszła obok nich pielęgniarka i z jej miny Cathy się domyśliła, że tamta usłyszała co najmniej ostatnie zdanie; wstrząsnął nią własny gniew, nie podobały jej się własne emocje i to jak ścisnął się jej żołądek i serce waliło.

Nic więcej nie dodała, nie ufała sobie.

- Kiedyś zrozumiesz, że mówię prawdę - odezwała się Jess - i że twój tatuś nie jest takim superbohaterem, za jakiego chcesz go uważać.

- Ty... - Tego w żadnym razie nie odpuści. - Ty mała kłamliwa suko.

- W porządku. Rozumiem.

- Och, daruj sobie. - Cathy odwróciła się na pięcie. Nadal trzęsła się z wściekłości, kiedy na parterze wysiadała

z windy. Ze wstrętem myślała o tym, co musi teraz zrobić, a Bóg wie, że moment nie mógłby być gorszy, i zadawała sobie pytanie, czy Jess wie o rejsie niespodziance. Pewnie tak, Martinez na pewno jej powiedział. Suka.

A może nic nie robić, zachować ten nieprzyjemny incydent w tajemnicy? Była jednak przekonana, że plany Jessiki Kowalski takiej ewentualności nie przewidują.

- Suka - powiedziała na głos, idąc na parking, gdzie zostawiła mazdę.

86

- To jak czepianie się brzytwy - powiedział Sam Martinezo-wi, kiedy o wpół do dwunastej rozmawiał z nim przez telefon, uznał bowiem, że partner przypuszczalnie ma rację, na tym etapie informowanie go na bieżąco sprawi więcej pożytku niż szkody. - Jedno z moich przeczuć.

Poza tym skierowanie uwagi przyjaciela na pracę może się okazać najlepszą pod wieloma względami terapią.

- Zawsze ufałem twoim przeczuciom - odparł Martinez. Jego głos nadal brzmiał słabo i obco, ale przynajmniej

można było z nim rozmawiać i Sam bardzo się z tego cieszył.

- Mam tylko nadzieję, że to nie jest ślepy zaułek, bo wiesz, właściwie czas mi się kończy... No i mam jeszcze takie cholerne przeczucie, że jak wrócę, to się okaże, że odebrano mi dochodzenie. Niewykluczone, że to sprawa mojego ego.

- Naprawdę w to wierzysz, człowieku?

- Właściwie nie - odparł Sam. - Rzecz raczej w tym, że Beatty i Moore to wszystko, co mamy.

Cathy zadzwoniła tuż po wpół do jedenastej i opowiedziała Samowi o rozmowie z Jess.

- Nie jestem pewna, czy nie potraktowałam jej gorzej, niż powinnam była.

- Nie można mieć o to do ciebie pretensji.

- Tak się martwię o Martineza.

- Wiem. Ja też.

- Mógłbyś zadzwonić do Grace? - zapytała Cathy. - Ostrzeż ją, tak na wypadek gdyby Jess próbowała do niej dotrzeć. Czy wolisz, żebym ja z nią porozmawiała?

- Zaraz wychodzisz do pracy. Ja to zrobię.

- Tak mi przykro. Pomyślałam tylko, że muszę ci o tym powiedzieć.

- Słusznie, skarbie, i to nie ty powinnaś przeproszać.

- Tylko że akurat ten czas jest dla ciebie okropny. Rzeczywiście był, i to bez intryg tak zwanej narzeczonej jego najlepszego przyjaciela.

Rozmowa z Grace z konieczności była krótka i niemiła.

- Wiesz, zaczynam się czuć trochę surrealistycznie - powiedział, przekazawszy żonie nieprzyjemne ostrzeżenie.

- Tak mi przykro. Z twojego powodu, ale przede wszystkim z powodu Ala.

- Kocham cię - pożegnał się Sam.

- Ja też cię kocham. Bardziej niż kiedykolwiek. Dopiero po tym telefonie przyszło mu do głowy, że żadne

nie czuło najmniejszej potrzeby powtarzania, że Jess istotnie kłamie.

I to było najcudowniejsze.

Tego ranka zadzwonił jeszcze do biura Elliota Sandersa, ale go nie zastał, patolog wyjechał na miejsce zbrodni.

Sam zadzwonił więc na jego komórkę. Odezwała się poczta głosowa.

- Musimy zamienić słowo, doktorze. To bardzo pilne. Nadal chodziło o to samo przeczucie.

Tylko przeczucie.

87

Allison Moore przyszła na posterunek bez adwokata, za to wyraźnie wrogo nastawiona.

- Nie będę ukrywać, że zaczynam mieć tego dość.

Byli w pokoju przesłuchań, pustym i ponurym, którego wystrój miał na celu skupienie się wyłącznie na rozmowie. Sam i Riley siedzieli po jednej stronie stołu, Moore po drugiej.

Po kilku minutach irytującego oporu zgodziła się w końcu, żeby nagrać przesłuchanie.

- Tu chodzi przede wszystkim o pani bezpieczeństwo - powiedział Sam. - Poza tym oszczędzi to pani ciągłego powtarzania.

- Zakładając naturalnie, że w ogóle mam wam coś do powiedzenia.

- Naturalnie - zgodził się Sam. Potrząsnęła głową i westchnęła.

- Ach, co tam, do diabła, niech wam będzie.

- Bardzo jesteśmy wdzięczni za współpracę - powiedział Sam.

- Liczymy, że na tym się nie skończy - dodała Riley. Moore bez słowa wzdusiła ramionami.

Sam włączył magnetofon, podał datę, godzinę, nazwiska obecnych osób i policzył do dwóch.

- Czy w nocy z szóstego na siódmy lutego była pani w budynku nieczynnej Oates Gallery? - zapytał.

Allison nie odrywała od niego wzroku.

- Oczywiście, że nie.

Zawahała się na ułamek sekundy, ale zdążyli to dostrzec.

- Mamy powody wierzyć, że mogła pani przebywać w gmachu sama albo w towarzystwie innych osób - oznajmiła Riley.

Moore odetchnęła głęboko, najwyraźniej próbując nad sobą zapanować. -Nie.

Sam się uśmiechnął.

- Napije się pani kawy, pani Moore?

Pierwszą propozycję odrzuciła, powiedziała, że wolałaby zacząć i skończyć tę rozmowę tak szybko, jak się da.

- Nie, żadnej kawy - powtórzyła i tym razem.

- Tylko że musimy panią poprosić, żeby pani przez kilka minut poczekała - powiedział Sam.

-Na co?

- Musimy coś sprawdzić - wyjaśniła Riley.
- Co?
- Tym nie musi się pani przejmować.
- Proszę nie traktować mnie protekcjonalnie.
- Wcale nie miałam takiego zamiaru.
- Detektyw Riley tylko chciała panią uspokoić. - Sam wyłączył magnetofon i wstał.

Beatty był w innym pokoju; on także przyszedł bez prawnika. Zgodził się na nagrywanie, choć Sam i Riley od razu wiedzieli, że to będzie zupełnie inna rozmowa.

Sprawiał wrażenie człowieka, który jest u kresu wytrzymałości.

Gotowego do zeznań.

- OK - odparł na ich pierwsze pytanie o Oates Gallery.
- Mam wam coś do powiedzenia, ale musicie obiecać, że zachowacie to w tajemnicy.
- To będzie zależało - zastrzegł Sam.
- Od czego? Mówię wam przecież, że to... że ja nie mam nic wspólnego z tymi morderstwami. Dobry Boże, przysięgam na głowy moich bliskich.
- Ale nie na Biblię - powiedziała Riley, krzywiąc usta.
- Pewnie nie, co?
- Chryste, więc wiecie.
- O czym? - zapytał Sam dość łagodnie.

- Proszę, detektywie Becket. - Błaganie w głosie Beatty'ego nasiliło się, oczy biegały od policjantów do magnetofonu i z powrotem. - Muszę mieć pewność, że sprawa nie przedostanie się do opinii publicznej.

- Jak mówił kolega, to będzie zależało od tego, co nam pan powie - odparła Riley.

Beatty się zastanowił, podjął decyzję, a kiedy zaczął mówić, z jego ust popłynął strumień chaotycznych słów, jak bywa w przypadku ludzi, którzy wplątali się w coś, co ich przerosło.

- Poszedłem tylko raz, bo byłem zaintrygowany, no i z powodu Ally. Między nami właściwie nic się nie dzieje, ale jest ładna i... sami wiecie, widzieliście ją. Kiedyś po pracy wybraliśmy się na drinka i zaczęła opowiadać o tej swojej grupie. Na początku myślałem: Och, to obrzydliwe, jak ta sympatyczna dziewczyna może się zadawać z takimi ludźmi? Tylko że sprawa nie dawała mi spokoju, a Ally powiedziała, że każdy członek raz na kilka miesięcy musi zapewnić lokal na spotkanie.

- Powoli. - Sam wolałby mu nie przerywać, ale musiał wyjaśnić szczegóły. - Czy może pan sprecyzować znaczenie słów „grupa” i „spotkanie”?

- Mówiąc „grupa”, mam na myśli sabat - odparł Beatty. - Sabat, czyli zgromadzenie czarownic. W głowie mi się nie mieści, że to mówię, to takie głupie, idiotyczne, sam nie wiem, jak mogłem być takim kretynem. Bóg wie, że popełniałem w życiu błędy, ale przecież nie jestem głupcem.

- W to nie wątpię, panie Beatty - zapewnił Sam. - Proszę mówić dalej.

- No więc powiedziała, że chciałyby udostępnić swojej grupie galerię na tę jedną noc, a ja odparłem, że nie, to wykluczone. Ale ona się upierała, mówiła, że budynek nadaje się idealnie, poza tym nikt nigdy się nie dowie, bo bywamy w nim tylko my i ekipa sprzątająca, a oni, to znaczy grupa, zawsze po sobie sprzątają. I niczego nie zniszczą, bo spotkania nie na tym polegają, zresztą i tak nie ma tam nic do zniszczenia.

- To na czym spotkania polegają, panie Beatty? - zapytała Riley.

- Mogę wam opowiedzieć tylko o tym jednym, tej jednej nocy.

- W porządku - odparł Sam.

-To była ceremonia... Ceremonia inicjacji. Dlatego tak cholernie się wstydzę, musicie mi uwierzyć. Jak mówiłem, byłem zaintrygowany, ale kiedy to oglądałem, czułem tylko odrazę. Jeśli ludzie się dowiedzą, ten wstyd nie opuści mnie do końca życia.

- Co się stało? - zapytał Sam swobodnie, z zainteresowaniem.

- Seks - odparł Beatty szczerze. - W sumie do tego wszystko się sprowadzało, w każdym razie ja tak to odebrałem. Wszelkiego rodzaju chore zachowania, niektóre wręcz na granicy śmieszności, ale generalnie chodziło o seks. Choć stosunków jako takich nie było, tylko różne zboczone praktyki. - Wzruszył ramionami, nieco rozluźniony. - W każdym razie z mojego punktu widzenia.

- Czy to pan przechodził inicjację? - zapytał Sam.

- W żadnym razie. To była młoda kobieta. - Beatty przymknął oczy i zacisnął zęby; po krótkim odprężeniu nie pozostał ślad. - Ally wcześniej mi powiedziała, że kandydat przygotowuje się do ceremonii przez rok... rok i jeden dzień, tak powiedziała. Sabat głosuje, czy dopuścić nowicjusza do tego idiotycznego rytuału.

- Był pan członkiem sabatu? - zapytała Riley.

- Jasne, że nie, przecież wam mówiłem.

- Więc jakim sposobem dopuszczono pana do udziału w ceremonii? Odnoszę wrażenie, że to dość zamknięte grono.

- Ally za mnie poręczyła. Żałuję, że to zrobiła.

- Poręczyła, ponieważ był pan zaintrygowany - powtórzył nieco ostrzejszym tonem Sam. - Wydaje mi się dziwne, że w jednej chwili do tego stopnia jest pan zaciekawiony, żeby poprosić koleżankę o wprowadzenie na ceremonię, a w następnej demonstruje pan odrazę. Przecież musiał pan co nieco wiedzieć, jak to będzie wyglądało.

- Mówiłem, że wcześniej nie miałem pojęcia. - Beatty utkwiał wzrok w detektywie, licząc, że zaapeluje do łagodniejszej części jego natury, ale zaraz zrezy-

gnował. - A potem się zaczęło, byłem w samym środku i nie mogłem nic zrobić, tylko poddać się biegowi wydarzeń.

- Nie mógł pan wyjść? - zapytała Riley.

- Nie chciałem. Ze względu na miejsce.

- Ponieważ była to nieruchomość, za którą jest pan odpowiedzialny - powiedział Sam.

- Tak.

- A ich nie mógł pan wyrzucić? - zapytał Sam.

- Myślałem o tym, ale uznałem, że może się zrobić nieprzyjemnie. - Beatty się skrzywił. - No wiecie, sabat...

Sam i Riley świadomi byli, że czas mija, w drugim pokoju przesłuchań czeka Allison Moore, która w każdej chwili może po prostu wyjść.

- O której zaczęła się ceremonia i jak długo trwała? - zapytał Sam.

- Przyjechaliśmy na jedenastą.

- Jedenastą wieczorem - uściśliła Riley. Beatty przytaknął.

- Przypuszczam, że ceremonia skończyła się o wpół do drugiej, może drugiej.

- I wtedy wszyscy wyszli? - zapytał Sam.

- Wyszli członkowie sabatu. Ally i ja zostaliśmy, żeby posprzątać.

- Co trzeba było sprzątać? - zapytał Sam.

- Głównie wosk i kredę, bo narysowali okrąg. - Beatty oburącz zakreślił okrąg w powietrzu. - Zapalili cztery świece, nie pamiętam, z jakiego powodu. Na podłodze była też woda. Przynieśli wannę, w której zanurzyli tę kobietę, nowicjuszkę, potem ją wytarli i... - Głos mu zadrżał, więc odchrząknął.

- Potrzebne wam szczegóły? Bo ja wołałbym jak najszybciej o nich zapomnieć.

- Co jeszcze trzeba było posprzątać? - zapytał Sam.

- Przekłuli jej palec, więc pomyślałem, że na podłodze może być krew. - Beatty się wzdrygnął. - Najwyraźniej ją przegapiliśmy.

- Coś jeszcze? - zapytała Riley.

- Nic więcej nie przychodzi mi na myśl.

- Co się stało, kiedy skończyliście sprzątać? - zapytał Sam.

Beatty milczał.

- Panie Beatty, już prawie skończyliśmy - ponaglił go Sam. - Bardzo by nam pomogło, gdyby jednak pan odpowiedział.

- Kochaliśmy się z Ally.

- A potem? - zapytała Riley.

- Wróciłem do domu.

- O której to było? - zapytała Riley.

- Chyba koło wpół do czwartej.

- Wyszliście razem? - zapytał Sam.

- Nie, Ally jeszcze została, żeby pozamykać budynek.

- Dlaczego pan na nią nie poczekał? - zapytała Riley.

- Myślałam, że przyjechaliście razem.

- Przyjechaliśmy osobno, a szczerze mówiąc, chciałem się stamtąd wynosić, bo ona wciąż była w dziwnym nastroju. Mówiła, że uwielbia uczucie, które pozostaje po ceremonii.

- Miłe wspomnienia - powiedziała Riley.

- Wygląda na to, że miała zwyczaj zostawać dłużej - stwierdził Sam. - Choć nie zawsze załatwiała miejsce spotkania, prawda?

- Nie wiem. - Beatty spojrzał na zegarek. - Skończyliśmy?

- Prawie - odparł Sam. - Panie Beatty, był pan w galerii, kiedy porzucono w ogrodzie zwłoki Michaela i Suzy Eastermanów?

- Nie, nie byłem... To znaczy nic o tym nie wiem.

- A czy Allison Moore wciąż tam była?

- Musicie ją o to zapytać. Jeśli tak, nic mi nie powiedziała.

- Czy istnieje możliwość, że ciała były w ogrodzie, kiedy pan przyjechał do galerii? - zapytała Riley.

- Nie.

- Skąd ta pewność? - zapytał Sam.

- Podniosłem żaluzje, bo księżyc jasno świecił, i przez kilka minut wyglądałem przez okno. Potem je zamknęliśmy, nie chcieliśmy, żeby ktoś z zewnątrz zobaczył światło świec i zawiadomił policję.

- I przez te kilka minut widział pan wyraźnie cały ogród? - zapytał Sam.

- Tak mi się wydaje. Nie dostrzegłem nic, co by odbiegało od normy.

- Dziękujemy panu za współpracę - powiedział Sam.

- To już wszystko? - zapytał z nadzieją Beatty.

- Poza jedną prośbą: żeby podał pan nazwiska innych osób obecnych w galerii tamtej nocy - odparła Riley.

- Używali takich specjalnych imion. Pamiętam tylko kilka.

- Na przykład? - zapytała Riley.

- Wierzba. Srebrny Księżyc albo coś w tym rodzaju. - Beatty przewrócił oczyma. - Imiona jak z tych kiczowatych filmów o magii dla nastolatków.

- Często pan ogląda takie filmy? - zapytała Riley.

- Czyli poza panią Moore nie zna pan prawdziwych nazwisk osób, które wtedy tam były - powiedział Sam.

- Niestety, bardzo mi przykro... Czy wspomniałem, że nosili maski?
- Nie - odparła Riley.
- A pan miał maskę? - zapytał Sam.
- Tak. Prosta, czarną, z otworami na oczy, taką jak maska Zorro.
- Na rysunku pani Moore jest pan bez maski - zauważył Sam.
- Znowu do tego wracamy? - westchnął Beatty. - Mówiłem, nie miałem o tym pojęcia.
- Jeszcze jedno - powiedziała Riley. - Czy pan albo ktoś inny brał tamtej nocy kokainę?
- Ja nie. Jeśli inni brali, nic o tym nie wiem.
- Ja też mam jeszcze jedno pytanie - dodał Sam.
- OK.
- Czy podczas ceremonii używano jakiegoś sztyletu albo szabli?
- Tak. Według mnie to była szabla, nie sztylet. Facet, którego nazywali Wielkim Kapłanem, kilka razy nią wymachiwał.
- I tylko to z nią robił? - zapytał Sam. Beatty się zaczerwienił.
- Nowicjuszka była ubrana w długą szatę. Rozcięli ją szablą. - Musiał prze-
rwać; oblizał wargi i przełknął ślinę. - Ten kapłan przeciął też sznur, którym mia-
ła skrepowane ręce.
- Co jeszcze? - naciskał Sam.
- Nie zranili jej, jeśli o to panu chodzi. - W oczach Beatty'ego pojawiło się
przerażenie. - Chce pan powiedzieć, że tą szablą zamordowano ofiary?
- Czy jest jakiś powód, dla którego pan uważa, że to mogło być narzędzie
zbrodni? - zapytał Sam.
- Nie, oczywiście, że nie. Becket wstał.

- W takim razie jeszcze raz panu dziękujemy. Okazał pan wielką cierpliwość.
- Czy to wam pomogło? - zapytał Beatty.
- Każda informacja jest pomocna - odrzekł detektyw.

Piętnaście minut wcześniej zadzwonił Elliot Sanders. Sam wykorzystał przerwę między przesłuchaniami, żeby do niego oddzwonić.

- Słyszałeś o athame? - zapytał Sam.
- Tak. To rytualny nóż, rodzaj obustronnego sztyletu. Sam zawsze był pod wrażeniem ogromnej wiedzy San-

dersa.

- Albo szabli? - zapytał.
- Niewykluczone, choć wiem tylko, że to sztylet.
- Istnieje możliwość, że athame użyto do poderżnięcia gardeł parom?
- Owszem, ale na podstawie ran nie potrafię stwierdzić, czy ostrze było jedno-, czy dwustronne.

Sam skrzywił się zawiedziony.

- Czyli sprawa jest nierozstrzygnięta?
- Przykro mi, Sam.

88

- Pani przyjaciel czy raczej szef był bardzo pomocny - powiedziała Riley, kiedy wrócili do Allison Moore, by podjąć przerwane przesłuchanie.
- To bardzo dobrze.

- Najwyraźniej noc w galerii nie sprawiła mu wielkiej przyjemności - dodał Sam.

Kobieta milczała.

- Może z wyjątkiem ostatniej części - Riley uśmiechnęła się nieznacznie.

- Pan Beatty zeznał, że razem z panią brał udział w ceremonii inicjacji na saba-cie czarownic, który odbył się w dawnej Oates Gallery w nocy z szóstego na siódmy lutego. - Sam mówił teraz oficjalnym tonem.

Pani Moore zacisnęła wargi i pokręciła głową, rzucając okiem na magnetofon, wreszcie wzruszyła ramionami.

- Co chcecie wiedzieć?

- Chcemy poznać prawdę - powiedział Sam.

- Byłam tam.

- To niezły początek - skomentowała Riley.

- O ile się orientuję, prawo tego nie zabrania.

- Zależy, co się tam działo - stwierdził Sam.

- Do głowy przychodzi mi naruszenie cudzej własności - powiedziała Riley. - Nie wspominam już o śladach krwi, które później znaleziono w budynku.

- Oraz kokainy - dodał Sam.

- To nie ma ze mną nic wspólnego. Detektywi czekali.

Allison przez chwilę się zastanawiała.

- Czy powinnam wezwać adwokata? - zapytała wreszcie.

- Już mówiliśmy, że decyzja należy do pani - odparł Sam.

- Może więc opowiem, co „tam się działo”, jak pan to ujął.

- Z przyjemnością o tym usłyszymy - odparła Riley.

- W to nie wątpię - powiedziała Moore kwaśno.

- Proszę się nie śpieszyć - poradził Sam.

Mówiła dość długo, bez zażenowania, rzeczowym tonem opisując wydarzenia tamtej nocy. Powiedziała o Najwyższym Kapłanie, o rozcięciu szablą szaty młodej kobiety (nazywała ją „kandydatką”, nie „nowicjuszka”), o rytuałach, wśród których było też zawiązanie dziewczynie oczu i poprowadzenie nagiej do wanny.

- Wodę należało podgrzać na ogniu, ale uznałam, że w galerii to nie byłoby bezpieczne, więc musiała zanurzyć się w zimnej. Trzeba przyznać, że dzielnie to zniosła.

- Plus dla niej - skomentowała Riley. Sam zerknął na koleżankę.

Następnie kandydatkę osuszono i zanesiono do kredowego kręgu; tam Najwyższy Kapłan i członkowie sabatu kontynuowali ceremonię, w skład której wchodził między innymi „popiątny” (jak nazwała go Moore) pocałunek, składany wraz z błogosławieństwami na stopach, kolanach, łonie, piersiach i ustach.

Było klucie, o którym wspominał Beatty, i cała litania dziwacznych czynności; słuchając spokojnego głosu kobiety, Sam i Riley mieli ochotę wyjść z tego cholernego pokoju i wziąć prysznic.

Na razie nic, nawet szabla, nie dało się powiązać z morderstwami.

Wrócili więc do nich przy pierwszej okazji.

- Pan Beatty zeznał, że została pani w galerii, żeby zamknąć drzwi - powiedział Sam.

- To prawda. - Moore odetchnęła głęboko, po czym dodała: - Nie widziałam, jak porzucono zwłoki w ogrodzie.

- A może to pani je porzuciła? - zapytał Sam.

- W żadnym razie. Wykluczone. Tak ożywionej jeszcze jej nie widzieli.

- Daj spokój, Ally - ponaglił Sam. - Powiedz nam, co się stało. Co zobaczyłaś.

- Wiedziała pani o plastikowej kopule - dodała Riley. -1 nie dlatego, że podsłuchiła pani, jak ktoś o tym mówił.

- Nie - przyznała Moore. - Przykro mi z tego powodu.

- To „nie” odnosi się do której części wypowiedzi detektyw Riley? - zapytał Sam dla ścisłości.

- Wiedziałam o kopule, ponieważ ją widziałam - odparła Moore cicho.

- Co dokładnie pani widziała, pani Moore? - Sam pochylił się nad stołem.

- Ciała. - W bladej twarzy widać było wyraźnie piegi, rysy miała ściągnięte. - Po wyjściu Larry'ego sprawdzałam, czy nie zostały jakieś ślady. Nagle ogarnęło mnie znużenie, bo zrobiło się późno, a przeżycia były intensywne. Położyłam się na chwilę i zasnęłam. Nie wiem, czy obudził mnie jakiś hałas, bo nic takiego nie pamiętam, ale coś wyrwało mnie ze snu. Wstałam, podeszłam do okna i podniosłam żaluzje. Zaczynało świtać, było dość jasno i zobaczyłam ich.

- Ich? - powtórzył Sam z budzącą się nadzieją.

- To nie byli sprawcy, przykro mi. - Potarła pięścią skroń, turkusowe oczko pierścionka pozostawiło na skórze lekkie wgniecenie. - Gdybym ich zobaczyła, od razu bym wezwała policję, ale w tej sytuacji to nie miało sensu. Widziałam tylko tych nieszczęśników. Na początku pomyślałam, że to jakieś manekiny, ale potem przyjrzałam się dokładniej, oboje z całą pewnością byli martwi. Wiedziałam, że nie jestem w stanie im pomóc, mogłam tylko stamtąd uciekać.

- Nie schodziła pani do ogrodu? - zapytał Sam. Pokręciła głową.

- Wiedziałam, że pan Mulhoon wcześniej zaczyna pracę, więc ich znajdzie. Pomyślałam, że wpakowałabym się w poważne kłopoty, gdyby ktokolwiek wiedział, że byłam w nocy w galerii, nie wspominając już o...

- O sabacie czarownic - skończyła za nią Riley.

- Rozumiecie, dlaczego nic nie mówiłam, prawda? - zapytała Moore błagalnym tonem.

- Jest pani istotnym świadkiem - odparł Sam. - Nie zgłosiła pani poważnego przestępstwa i kłamała, kiedy panią o to pytaliśmy.

- Co teraz będzie? - Jej głos zniżył się do szeptu.

- Potrzebne nam są nazwiska i adresy członków sabatu - powiedziała Riley.

- Nie mogę wam ich podać. To tajemnica, a poza tym nie znam ich prawdziwych nazwisk. Używamy wymyślonych imion.

- I nie przyjaźni się pani z żadnym z członków? - zapytał Sam. - A kobieta, która pozwala pani przechowywać obrazy w swoim garażu? Albo ta z Key West, u której spędziła pani ostatnie Boże Narodzenie?

- Ich tam nie było. Nie mają pojęcia o sabacie.

- Jakie jest pani specjalne imię? - zapytała Riley.

- Sarenka. - Moore się zarumieniła.

- Kto przechowuje szablę? - zapytał Sam.

- Nie jestem pewna, chyba Wielki Kapłan. Nie znam jego prawdziwego nazwiska.

- W jaki sposób umawiacie się na spotkania?

- Poprzez e-maile.

- Potrzebne nam będą pani komputery. Służbowy i domowy.

- Nie używam komputera służbowego do spraw osobistych.

Riley cicho prychnęła.

- Mimo to potrzebne będą oba - powtórzył Sam. - Uzyskamy nakaz przeszukania, a do tego czasu w biurze i przed pani domem będą czekali funkcjonariusze, żeby uniemożliwić pani dostęp do sprzętu.

- Ale na razie nie macie nakazu, prawda?

- Odmawia pani współpracy? - zapytał Sam.

- Nie, oczywiście, że nie.

- To dobrze - stwierdził.

89

Było tyle do zrobienia, a czasu tak mało.

Wystąpić o nakaz przeszukania gabinetu i komputerów Beatty'ego i Allison Moore.

Dowiedzieć się jak najwięcej o czarnej magii i ustalić, czy to ma związek z morderstwami.

Odnaleźć Wielkiego Kapłana i pozostałych członków cholernego sabatu, nie wspominając o nowicjuszcze, która była potrzebna do potwierdzenia próbki krwi. Nieważne, czy tańczyli wokół tej młodej idiotki, całowali ją, pieścili i poszturchiwali, czy też pieprzyli się jak króliki, wszyscy lub któreś z nich może być ważnym świadkiem, dlatego należało do nich dotrzeć.

Tylko że jutro Sam zabiera żonę na rejs niespodziankę.

Co oznaczało, że właściwie nie miał czasu.

Bolało go, że coś co miało być przyjemnością, obecnie wywoływało niemal fizyczne cierpienie, ponieważ w jego oczach było zaniedbaniem obowiązków i zdradą wszystkich ofiar.

Suzy i Michaela Eastermanów. Elizabeth Price i Andre Dupreza. Evelyn i Franka Resslerów. A także ich bliskich.

- Wyjeżdżasz tylko na pięć dni - powiedział Alvarez, kiedy Becket tuż przed szóstą wszedł do jego gabinetu.

- Pięć najważniejszych dni w całym dochodzeniu - zauważył Sam.

- Wszystkie są najważniejsze, ale jeśli to ci pomoże, to powiem, że zamierzam do twojego powrotu pracować nad sprawą razem z Riley.

Poruszony Sam pokiwał głową.

- To bardzo mi pomoże.

Żaden inny znany mu szef pewnie by tego nie zrobił, ale Mike Alvarez miał za sobą wieloletnie doświadczenie detektywa wydziału zabójstw, był jednym z nich, i nagle Sam potrafił sobie jednak wyobrazić, jak wchodzi z Grace na statek.

- Więc to odpowiednia pora, żebyś podzielił się ze mną pomysłami, na które pozostali członkowie zespołu może nie wpadną - powiedział Alvarez.

- Kalendarz księżycowy. Już go znalazłem w sieci.

- Na wypadek gdyby istniał jakiś związek między czarną magią a morderstwami - dopowiedział Alvarez.

- W nocy czwartego lutego księżyc był w pełni, ale wygląda na to, że wiedźmy lub wyznawcy kultu Wicca gromadzą się też przy nowiu i urządzą święta zwane sabatami. - Sam mówił coraz szybciej. - Znalazłem także Koło Roku, rodzaj kalendarza wiedźm. Dam ci kopię.

- Warto rzucić na to okiem - zgodził się Alvarez.

- Tylko jedno ze świąt przypada w tym miesiącu. Znane jest pod wieloma nazwami, najbardziej powszechna to Święto Ofiarowania.

- Myślałem, że to chrześcijańskie święto.

- Ale też ważny dzień dla wiedźm. Ze względu na czas można je powiązać z dwoma pierwszymi morderstwami, jednak nie z ostatnim.

- O ile nie było iskrą, która zapaliła dłuższy lont - stwierdził Alvarez.

- Bardziej prawdopodobne jest to, że cała ta czarna magia nie będzie miała żadnego znaczenia poza tym, że jest dla nas najlepszą szansą na znalezienie świadków. Ale musimy przycisnąć Beatty'ego i Moore, wydobyć z nich dokładne informacje o tym, co oni i ich grupa robili w każdej sekundzie interesujących nas dni, a jeśli nie będą mieli niepodważalnego alibi...

- Powiedziałem: pomysły, na które my możemy nie wpaść - przerwał mu Alvarez.

- Jeszcze jedna rzecz dotycząca koła. Jeżeli związek rzeczywiście istnieje i jeśli morderstwa na razie się urwały, mogą się zacząć w przyszłym miesiącu. Przesilenie wiosenne to kolejna ważna data, jedną z podstawowych idei Wicca jest odrodzenie, odzyskanie energii.

- Miejmy nadzieję, że szczęście nam dopisze i wcześniej znajdziemy sprawców - powiedział Alvarez.

- Boże, tak.

- Wysprzątaj biurko - polecił sierżant. - Przekaż wszystko Riley, kopie daj mnie, odwiedź Martineza, upewnij się, że jest pod dobrą opieką. Nie chcę się martwić, że kiedy wypuszczą go ze szpitala, wpadnie mu do głowy jakiś szalony pomysł.

- Wątpię, czy będzie miał na to dość siły.

- W takim razie idź do domu.

- Nie mogę wrócić wcześniej, bo Grace zacznie coś podejrzewać, więc popracuję jeszcze przez godzinę albo dwie. A skoro rano będę musiał wyjść jak zwykle, równie dobrze mogę przyjść tutaj.

- Jeśli się jutro pokażesz, będzie na ciebie czekała góra dokumentów - ostrzegł go Alvarez. - Oficjalnie jesteś na urlopie, postaraj się o tym pamiętać. I pozdrów ode mnie Grace - dodał na koniec z uśmiechem.

90

26 LUTEGO

W czwartek rano nie było żadnych komplikacji.

David i Mildred przyszli wcześniej. David zabrał Joshuę na plażę, a Mildred została w gabinecie, żeby odbierać telefony i zajmować się kartoteką, kiedy Grace przyjmowała ośmioletnią pacjentkę przeżywającą głęboką traumę po śmierci brata, który rok temu zginął w wypadku.

Saul strasznie się denerwował, gdyż pragnął jak najlepiej odegrać swoją rolę, która jego zdaniem była w całej intrydze najtrudniejsza. Ponieważ nie miał talentu aktorskiego, czuł szczerą wstręt do tego, co zaplanował, a co polegało na trywializacji spraw niezwykle przecież bolesnych, jak z własnego doświadczenia doskonale wiedział.

Cel jednak był szczytny, a wraz z Cathy zgadzali się, że nic innego nie przekonana Grace, by rzuciła wszystko i do nich przyjechała.

Odczekał do dziesiątej czterdzieści pięć, sto razy zerknął na zegarek, żeby się upewnić, po czym wybrał numer.

Mildred, siedząc za małym sosnowym biurkiem, za którym wcześniej urzędowała Dora Rabinovitch, a po niej Lucia Bus-seto (wspomnienia o niej były dla Becketów źródłem wielu koszmarów), powiedziała do słuchawki:

- Dzień dobry, Saul.
- Jesteś taka spokojna.
- A jaka niby mam być? Dzwonisz do mnie?
- Czy Grace wciąż przyjmuje pacjentkę?
- Nie, może z tobą rozmawiać.

Mildred poprosiła, żeby poczekał, i podała słuchawkę Grace, która stała przy jej biurku, uzupełniając notatki.

- Cześć, Saul. Co u ciebie?
- W porządku. - Zawahał się, po czym przeszedł do rzeczy: - Grace, z przykrością cię o to proszę, ale potrzebuję twojej pomocy.
- Jasne. O co chodzi?

- Chciałbym z tobą porozmawiać. Grace usiadła w fotelu.
- Jestem do twojej dyspozycji. - Spojrzała na zegarek.
- Chcesz przyjechać?
- Czy byłbym bardzo natrętny... - Saul aż się wzdrygnął.
- ...gdybym cię poprosił, żebyś ty przyjechała do mnie?
- Wszystko w porządku?

Usłyszał w jej głosie troskę, ale musiał sobie z tym poradzić.

- Właściwie to nie wiem.

Grace poczuła, jak żołądek skręca jej się z napięcia.

- Zaraz u ciebie będę.
- Och, nie ma powodu do pośpiechu - powiedział szybko Saul. - Jedź ostrożnie.
- O mnie się nie martw.

Kiedy niebieska toyota włączyła się do ruchu i zniknęła na końcu ulicy, Cathy zaparkowała swoją mazdę przed domem. Mildred czekała przy drzwiach.

- Droga wolna.

Cathy pocałowała ją na powitanie i schyliła się do Woody'ego.

- Bardzo ci dziękuję.
- To żaden problem - odparła Mildred.
- Nie mam pojęcia, co spakować - powiedziała Cathy, wbiegając po schodach.
- Mnie nie pytaj o radę! - zawołała za nią Mildred. - Byłam bezdomną, nie pamiętasz?
- Ale masz klasę.
- Idź już i zacznij to pakowanie.

- Co u Joshui? - zawołała z progu Cathy.

- Jest z dziadkiem, świetnie się bawi. Przestań zwlekać i zabieraj się do roboty.

Cathy wyszła na schody.

- A jeśli Grace wróci?

- Nie wróci - zapewniła Mildred. - A gdyby przyjechała, to dam ci znać, możesz wyskoczyć przez okno, schować się pod łóżkiem albo co tam będziesz chciała.

- Bardzo jesteś pomocna. Mildred uśmiechnęła się szeroko.

- Sprawianie przyjemności innym to moje powołanie.

- Nie powinienem był cię tu ściągać - powiedział Saul. - Przesadziłem trochę.

- Z czym? - zapytała Grace.

- Napijesz się kawy?

- Tak, jeśli zaparzyłeś.

Polubiła jego kuchnię od pierwszej wizyty, a to uczucie jeszcze się pogłębiło, odkąd wprowadziła się tu Cathy. Kuchnia była mała i nowoczesna, ale panowała w niej przyjemna atmosfera.

Dobrzy ludzie tworzą dobrą atmosferę, to oczywiste.

- Spieszysz się? - zapytał Saul.

- Wręcz przeciwnie. Twój tato wziął Joshuę i za jakiś czas przyjdą po Mildred. Powiedzieli, że mają dzisiaj czas, więc mogą być u ciebie tak długo, jak będziesz mnie potrzebował.

- Szczerze mówiąc, już czuję się lepiej.

- To dobrze.

Poczekwała, aż Saul zaparzy kawę, bo doskonale zdawała sobie sprawę, jak zwyczajnie proste czynności korzystnie wpływają na osoby z problemami; natu-

ralnie podczas sesji z psychologami rzecz ma się odwrotnie, wtedy można tylko mówić.

Dzięki Bogu, Saul nie jest jej pacjentem.

Mimo to obserwowała, jak marudzi, parząc kawę, wyjmując lepsze filiżanki i szuka ciastek, cały czas gawędząc o niczym zwykle tak się nie zachowywał. Wreszcie usiadł naprzeciwko niej przy małym stole.

- Masz jakieś plany?

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Ciągłe patrzysz na zegarek - powiedziała Grace. - Sprawiasz wrażenie spiętego.

- Tylko dlatego, że zmusiłem cię do przyjazdu. Masz sporo zajęć, a ja ci przeszkodziłem.

- Teraz muszę się zająć moim kochanym szwagrem - odrzekła Grace serdecznie. - Albo przynajmniej go wysłuchać. Jeśli będzie chciał mówić.

- OK. - Saul zdobył się na uśmiech. - Dzięki. -No i?

- Jestem w dołku.

Grace czekała. Z upływem lat doszła do wniosku, że jednym z jej największych osiągnięć jest umiejętność czekania, rozpoznanie, kiedy ludzie gotowi są wyrzucić z siebie to, co ich dręczy, a kiedy, co często się zdarzało, opierają się przed zwierzeniami.

- Nie chodzi o nic konkretnego - powiedział Saul. - Raczej wszystko po trochu.

Grace w milczeniu zamieszała kawę.

- Tęsknię za Tete.

To przynajmniej była prawda. Dochodził do siebie, zaczynał zdrowieć, ale wciąż, codziennie, tęsknił za Teri Suarez, swoją utraconą miłością.

- Oczywiście, że tak.

- Skłamałbym, gdybym powiedział, że brakuje mi studiowania albo medycyny, choć od czasu do czasu dręcę się myślą, że zmarnowałem czas innym ludziom, zająłem miejsce, które mogło przypaść komuś lepszemu ode mnie, bardziej zdeteterminowanemu. - Saul urwał, boleśnie świadom, że to prawda. - Wiem też, że gdyby nie tamta napaść, pewnie bym nadal studiował, choć nigdy szczerze nie wierzyłem, że będzie ze mnie dobry lekarz, taki jak tato.

Grace wszystko to już kiedyś słyszała, ale Saul od dawna z nią nie rozmawiał, a jeśli nie rozmawiał także z innymi, to może najwyższa pora, żeby znowu pozbył się tego ciężaru.

Chyba że pojawiło się coś nowego, gorszego.

- Czy to poczucie narastało od jakiegoś czasu? - zapytała.

Saul potrząsnął głową.

- Właściwie nie. W każdym razie nie zdawałem sobie z tego sprawy. - Uśmiechnął się z poczuciem winy. - Byłem szczęśliwy, zwłaszcza odkąd Cathy się do mnie wprowadziła.

- Wiem, że ona też jest szczęśliwa.

- Więc czego właściwie się spodziewam? - Saul wstał, bo coraz trudniej było mu ciągnąć tę grę, gdy siedział twarzą w twarz z Grace. - Nikt przez cały czas nie czuje się szczęśliwy. Mam tak wiele. Najlepszą rodzinę, o jakiej można marzyć. Pracę, którą naprawdę kocham.

-A mimo to...?

Saul nie mógł się powstrzymać, musiał spojrzeć na zegarek. Dochodziło południe, więc zaraz proponuje, że zrobi lunch dla nich obojga. Po posiłku zgodnie z planem zabierze Grace do warsztatu i pokaże jej, nad czym teraz pracuje, a potem przyjedzie Sam.

Przyjedź wcześniej, Sam.

Początkowo to Saul miał odwieźć Grace do portu, ale był jeden szkopuł: co zrobić z jej samochodem, przyszło im tylko do głowy, że można przebić oponę, ale i tak w ostatnim akcie inicjatywę powinien przejąć Sam.

Sam.

Najlepszy starszy brat na świecie. Wspaniały mąż i ojciec.

Saul miał nadzieję, że jeśli kiedykolwiek jeszcze spotka kobietę, którą pokocha z wzajemnością, będzie w połowie tak dobrym mężem jak Sam, a także ojcem, skoro o tym mowa.

-Saul?

Grace patrzyła na niego pytająco. Weź się w garść, nakazał sobie.

- Przepraszam, zamyśliłem się. Odetchnął głęboko i mówił dalej.

91

Sam przyjechał z bukietem.

To nie było nic wielkiego, zwykła wiązanka ślicznych różowych i białych wiosennych kwiatów, która wpadła mu w oko.

Czerwone róże zostaną dostarczone do ich kabiny w dzień urodzin Grace.

- Co się dzieje? - zapytała Grace, kiedy zobaczyła męża w domu Saula.

- Mnóstwo. - Sam wręczył jej kwiaty i pocałował ją w usta.

- Wiedziałam!

- Co wiedziałaś? - zapytał Sam.

- Że coś jest nie tak. - Grace spojrzała na Saula. - Możesz mi to wyjaśnić?

- Wiem, że posłużyłem się bezwstydnym pretekstem, ale rozmowa z tobą bardzo dobrze mi zrobiła.

- Cieszę się.

- Więc jak, jesteś gotowa? - Sam tryskał radością.

- Na co?

- To się dopiero okaże.

- A sądząc po łobuzerskim błysku w twoich oczach, ty mi nie powiesz.

- Mam łobuzerskie oczy? - Już czuł się szczęśliwy.

- Bandyckie.

- Wszystko się wyjaśni - obiecał Sam. Oboje uścisnęli Saula i ruszyli podjazdem. Na widok saaba Grace powiedziała:

- Przyjechałam swoim samochodem.

- Nic mu się tu nie stanie - zapewnił ją mąż. - To spokojna okolica.

- Mój Boże, kompletnie się pogubiłam. Chyba nie straciłam rachuby dni, prawda? To jeszcze nie są moje urodziny?

- Jeszcze nie. - Sam otworzył drzwi od strony pasażera.

- Żadnych podpowiedzi?

- Wykluczone.

- No dobrze. - Grace wzruszyła ramionami i wsiadła do samochodu, kładąc bukiety na kolanach. - W takim razie najlepiej zrobię, jeśli przestanę zadawać pytania i zacznę się dobrze bawić.

- Tak jest.

Wszyscy już czekali w porcie Everglades w Fort Lauderdale; zgromadzili się przed funkcjonalnym raczej niż pięknym budynkiem terminalu linii First National. Za ich plecami wznosiła się potężną śnieżnobiałą bryłą *Stardust*. Grace wzruszyła się na widok Davida, Joshui, Mildred i Cathy, a także Saula, który przyjechał za nimi.

- Ale dlaczego? - zapytała męża z niedowierzaniem. - Przecież czterdzieści lat będę miała dopiero w przyszłym roku.

- Bo na to zasłużyłaś. Bo chcę cię porwać daleko stąd.

- Wszystkiego najlepszego przed urodzinami. - Cathy wręczyła Grace bukietik różowych róż.

- Sam, weź to dla niej - powiedziała Mildred, podając mu wiązanekę delikatnych błękitnofioletowych kwiatów. Uściskała mocno Grace. - Bawcie się dobrze oboje.

- I pożegnajcie się z synem. - David podał Joshuę ojcu.

- Tata - powiedział chłopczyk, szeroko otwartymi oczyma przyglądając się strumieniowi pojazdów, ludzi, bagażów.

Sam przytulił synka, pocałował go w czubek głowy, wciągnął w nozdrza zapach jego włosów i odwrócił się do Grace. Zobaczył, że jeszcze chwila, a żona się rozplacze.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział łagodnie. - W lepszych rękach nie mogliśmy go zostawić, Gracie.

- Wiem. Dobry Boże, kocham was wszystkich. - Poglądziła Joshuę po miękkim policzku. Odetchnęła głęboko i przełknęła ślinę; nie chciała zdenerwować malca. - Nie ma na świecie większej szczęściary ode mnie, skoro zgodziliście się nim opiekować, ale co będzie, gdy wypłyniemy na ocean, jeśli coś się stanie, jeśli Joshua będzie nas potrzebował, a my nie zdążymy wrócić na czas?

- Nic się nie stanie - zapewnił David.

- Nie możesz tego wiedzieć na pewno.

- Teraz mnie przestraszyłaś - powiedział Sam.

- Mamy dwudziesty pierwszy wiek - zauważyła Cathy.

- Środki przekazywania informacji są na dość wysokim poziomie. Nie słyszałaś o satelitach?

- Poza tym nie wypływacie daleko - dodał Saul.

- A jeśli się martwisz, że ci tutaj nie będą się dobrze opiekować małym, to pamiętaj, że wtedy ja się z nimi rozprawię

- oznajmiła Mildred.

Grace się roześmiała, zdrowy rozsądek powrócił i nagle trzeba było się żegnać. Podziękowała wszystkim, zwłaszcza Cathy za spakowanie walizki.

- Pewnie zapomniałam o czymś naprawdę ważnym - powiedziała Cathy.

- To bez znaczenia - odparła Grace. - Wystarczy mi jedna sukienka, bo mam cudownego męża, dzieci i rodzinę. - Uśmiechnęła się przy tym do Mildred z nadzieją, iż ona wie, że o niej także mowa. - Reszta jest nieważna.

- Chciałaś sukienkę? - zapytała Cathy.

Wciąż się śmiejąc, weszli do terminalu na odprawę.

Dopiero później, po wejściu do uroczej kabiny z własnym balkonem, Sam uświadomił sobie, że od chwili, gdy spotkał się z Grace w domu Saula, nie pomyślał ani razu o morderstwach, Riley, Alvarezie czy zespole, nie pomyślał nawet o Martinezie.

No, w każdym razie do teraz.

A potem zobaczył piękne ogromne łóżce.

I zaraz znowu o nich zapomniał.

Urodziny Grace nadeszły po dwóch rozkosznych dniach na spokojnym morzu. Ukoronowaniem pierwszego była elegancka kolacja (Cathy na tę okazję wybrała dla Grace piękną czarną koktajlową sukienkę), na której świetnie się bawili w towarzystwie dwóch sympatycznych i wesołych małżeństw z Karoliny Północnej

i Nowego Jorku. Wczoraj *Stardust* zawinął do portu na meksykańskiej wyspie Cozumel i większość pasażerów wybrała się na wycieczkę, ale kiedy Sam zapytał Grace, co chciałyby robić, powiedziała, że przypomina sobie, jak ich przyjaciele Jay i Annie Hoffmanowie mówili, że w czasie rejsów najbardziej lubią siedzieć na pokładzie, gdy statek jest prawie pusty.

- Dla mnie to raj - dodała. - A może jestem nietowarzyska?

- Raczej nie za bardzo lubisz przygody - powiedział Sam. - Ale jestem za.

Tak więc zostawili zwiedzanie innym, a sami w ciszy i spokoju opalali się na pokładzie, grali w ping-ponga, pływali i - tak im się przynajmniej wydawało - ciągle coś jedli.

Teraz Cozumel była już przeszłością, zaczął się trzeci i ostatni pełny dzień rejsu. Tulili się w łóżku, bo było dopiero wpół do ósmej, a śniadanie na balkonie mieli zjeść o ósmej, i z radością myśleli o długim, wspaniałym dniu.

- Kiedy ostatnio w taki sposób spędzaliśmy czas? - zapytał leniwie Sam.

Grace pocałowała go w klatkę piersiową, przesuwając wargami po jednej z wąskich blizn, spadku po Calu Nienawistniku, a nie były to jedyne blizny Sama, zostały mu ślady po Johnie Brodericku, biologicznym ojcu Cathy, zresztą jej na lewym ramieniu także zostało wspomnienie tamtej straszliwej nocy...

To było dawno temu.

- Jedno chciałabym zrobić, jeśli pozwolisz - powiedziała. - A mianowicie zadzwonić do domu i upewnić się, że wszystko w porządku.

- Chcesz porozmawiać z naszym synkiem w swoje urodziny - odparł Sam wtulony w jej piersi. - To całkowicie zrozumiałe.

- Ale kosztowne.

- Do diabła z kosztami.

Zadzwonili później, kiedy Grace otworzyła wszystkie prezenty i kartki, które Sam przemycił na pokład. David zdołał ich przekonać, że Joshua jest w doskona-

łej formie i wcale za nimi nie tęskni, a potem w słuchawce rozległ się jego głosik i malec przez chwilę radośnie szczebiotał. Sam zadzwonił też do Martineza, który był już w domu i wydawał się osłabiony, ale w lepszym stanie. Zapewniał, że Jess dobrze się nim opiekuje, i Sam postanowił, że przynajmniej na razie będzie w to wierzył.

W ich świecie wszystko układało się dobrze.

- Od czegoś takiego warto rozpocząć pamiętnik - powiedziała Grace, kiedy wyszli na pokład po lunchu w Andromeda Cafe, gdzie siedzieli przy wielkim oknie i zachwycając się widokiem, jedli sałatkę z krabów i pieczeń wołową.

- Nie lubisz pamiętników.

- To prawda, ale teraz chciałabym utrwalić każdy moment. Choć przypuszczam, że pozostaną tutaj. - Poklepała się po głowie. - Będziemy mogli do nich wrócić, kiedy zrobimy się starzy i niedołęźni.

- Nigdy nie będziesz niedołęźna.

- Właściwie nie miałabym nic przeciwko temu, pod warunkiem że staniemy się niedołęźni razem.

Przypuszczali, że miłość, o której teraz tak często rozmawiają, zawsze jest z nimi, tylko że w prawdziwym świecie rzadko mogli się cieszyć leniwym czasem jak obecnie.

- Aż do teraz nie miałem pojęcia, że statki mnie podniecają.

- Mnie też - odparła Grace. - Kto by pomyślał? Bez słowa odwrócili się i poszli do kabiny.

Jako że był to ostatni wieczór, w ich życiu znowu zapanowała dyscyplina, polecono im bowiem przygotować bagaże do odbioru przed północą. Większość pasażerów, w tym Grace i Sam, zajęli się pakowaniem przed kolacją, żeby mieć wolny wieczór.

Wszyscy starali się do końca wykorzystać te ostatnie godziny, widzieli to już podczas sutej kolacji złożonej z żeberek i homara. Nawet teraz, kiedy przy różnym stoliku w Aurora Bar popijali koniak, wokoło kręcili się ludzie w kostiumach, bo ktoś na statku wydawał prywatne przyjęcie. Sam mówił właśnie, że po powrocie będzie musiał przejść na dietę, kiedy jego wzrok padł na postać stojącą sześć metrów dalej, przy końcu baru...

Mężczyzna od stóp do głów ubrany w srebro.

Duch z przeszłości.

- Dobry Boże. - Wstrząśnięty do głębi Sam poczuł na kręgosłupie lodowaty dreszcz.

Jerome Cooper, brat przyrodni Grace, zwany też Calem Nienawistnikiem. Wielokrotny zabójca, który niecały rok temu o mało nie zniszczył ich rodziny.

Sam nigdy nie widział Coopera w tym błyszczącym srebrnym stroju, za to Mildred miała potem kilkakrotnie okazję i niemal przypłaciła to życiem.

Grace odwróciła się na krześle i także go zobaczyła.

- To nie może być on. Wykluczone, Sam. Ponieważ Jerome Cooper był martwy.

Został uznany za zmarłego. Jego ciała nie odnaleziono w oceanie.

Mężczyzna w srebrnym stroju wyszedł z baru i kierował się na środek pokładu.

- Przepraszam. - Sam podniósł się z krzesła. - Muszę mieć pewność.

Odszedł, zanim Grace zdążyła go powstrzymać. Nagle ogarnęło ją przerażenie, wstała także i podążyła za mężem. Zobaczyła srebrną postać idącą pośpiesznie w kierunku Star Theater, Sam już doganiał tego mężczyznę - Grace chciała krzyknąć, zamiast tego jednak szła dalej, nie biegiem, ale szybko. Serce jej waliło, bo

zaraz miało się stać coś strasznego, nieuniknionego, a przecież są jej urodziny, jeden z najlepszych dni w życiu...

To, co może się zdarzyć, sparaliżowało jej umysł, zaciemniło wzrok. Była jak ślepa. Błąd: to już się działo.

Sam dogonił mężczyznę, wyglądało na to, że rozmawiają, a potem Sam zrobił krok w tył i przez ułamek sekundy Grace pomyślała, że stała się najgorsza z możliwych rzeczy, i zaczęła biec...

- To nie on. Usłyszała głos męża.

Mówił do niej. Był cały i zdrowy, tamten człowiek zniknął, rozpląnął się w powietrzu, Sam się uśmiechał, najgorsze jednak się nie stało.

- Myślałam... - Grace z płaczem rzuciła się mężowi w objęcia.

- Boże, Gracie, tak mi przykro. - Pocałował ją w czubek głowy i pogładził po włosach. - Pomyliłem się, zepsułem ci ten wyjątkowy wieczór.

- To nie był on? - Cofnęła się, wycierając łzy. - Jesteś pewien?

- Na sto procent. Rozmawiałem z nim. To nie Cooper, tylko obcy facet w kostiumie.

- Dzięki Bogu. -Amen.

94

2 MARCA

Tuż po drugiej w nocy w poniedziałek Sam smacznie już spał, a Grace, która kręciła się niespokojnie na posłaniu, poczuła nagle potrzebę ruchu i odetchnięcia świeżym powietrzem; może to była reakcja na cudowny dzień albo na przelotne, choć głębokie przerażenie sprzed kilku godzin, tak czy owak łaknęła ukojenia i spaceru, oceaniczna bryza i gwiazdy wydawały się lekiem, który przepisałby lekarz.

Na wypadek gdyby Sam się przebudził, zostawiła mu list na poduszce.

Nie mogłam zasnąć. Poszłam się przejść. Czuję się dobrze i jestem szczęśliwa, więc się nie martw. Zaraz wracam. Dzięki za cudowny dzień. G.

W długim wąskim korytarzu przed kabiną panowała cisza, bagaż zniknął, rozplynął się jak zjawą Jerome'a.

Grace odpędziła myśl, obraz tego człowieka, i ruszyła w stronę schodów. Zeszła trzy poziomy w dół, bo pamiętała, że drzwi na pokładzie siódmym są otwarte dla nocnych marków.

Wciąż kręcili się tu ludzie w imprezowych nastrojach, głównie młodzi. Byli bywalcy kasyna, było kilka romantycznych par (Grace pomyślała, że jedna z nich to na pewno nowożeńcy w podróży poślubnej) oraz kilka samotnych osób jak ona.

Nie zawiodła się, na pokładzie owiała ją chłodna oceaniczna bryza, bardziej ożywcza niż zimna.

Wiedziała, że po kilku minutach będzie mogła wrócić do kabiny i zasnąć.

Nic nie widziała.

Ale go usłyszała.

Głos, bez cienia wątpliwości należący do niego, dobiegł ją z ciemności. - Cześć, Grace.

To prawda, że krew tężeje w żyłach.

- To znowu ja, chłopak Roxy, wróciłem z odmetów.

- Jerome? - Okręciła się na pięcie, przez sekundę przekonana, że widzi cień w pobliżu drzwi, niesamowicie rysujący się na tle białej farby, ale zaraz zniknął.

- Dobry żeglarz zawsze wypłynie na powierzchnię - powiedział głos. - Ładna łódź, choć wolałem moją *Baby*... A przy okazji, jak się miewa twój synek?

Grace odwróciła się i pobiegła. Ceną było życie.

Sam nie spał, siedział na sofie. Na widok Grace skoczył na równe nogi.

- Co się stało?

Ledwo zdążyła wbiec do łazienki; padła na kolana i zaczęła wymiotować.

- Gracie, skarbie. - Sam był obok niej. Podał jej ręcznik, pomógł wstać.

- Jerome. Jest na statku. Mówił do mnie na pokładzie.

Wciąż dygotała, była spocona. Sam dał jej wody, wyprowadził Grace z łazienki, położył na łóżku. Kucnął, wpatrując się w nią.

- Co się stało? Zrobił ci krzywdę?

- Nie dotknął mnie. - Grace ogarnęło poczucie nierzeczywistości. - Tylko mówił do mnie, powiedział coś o łódce, *Baby...* - Oczy miała szeroko otwarte z przerażenia. - A potem zapytał o Joshuę.

- Co dokładnie powiedział? - Sam był spięty, stara wściekłość wracała, budziła się nowa.

- Zapytał: „A przy okazji, jak się miewa twój synek?”. Potem uciekłam.

- Ale widziałaś go?

- Tylko kształt w mroku, nie wiem na pewno. Choć to był na pewno jego głos.

Sam zastanawiał się gorączkowo, usiłując nie stracić panowania nad sobą.

- Czy to mogło być nagranie?

- Chyba tak. - Grace odetchnęła głęboko, starając się uspokoić. - Ale nawet jeśli tak, oznacza to, że Jerome wciąż żyje i uprawia swoje gierki, prawda?

- Inne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy - przyznał Sam ponuro.

Wyprostował się i ruszył w stronę telefonu.

- Skąd mógł wiedzieć, że wybiorę się na spacer? - zapytała Grace.

- Nie mam pojęcia.

- Musiał czekać i obserwować. - Znowu zrobiło jej się niedobrze. - Przypuszczalnie obserwował nas przez cały rejs.

Sam podniósł słuchawkę, wybrał numer obsługi, czekał.

- Muszę się zobaczyć z kapitanem - powiedział.

95

Spotkanie z kapitanem nie wchodziło w grę, poza tym, jak poinformowano Becketa, kapitan nie był właściwym człowiekiem, z którym w tej sprawie należało rozmawiać.

Ario Larsen, mniej więcej pięćdziesięcioletni szef ochrony, szczupły mężczyzna w okularach, przypominał Grace Jamesa Stewarta; oboje z Samem uznali, że jest zbyt dobroduszny i beztroski, by skutecznie zadziałać w tej sytuacji. Zwłaszcza że przypuszczalnie Larsen bardziej był przyzwyczajony do kradzieży i oszustw karcianych niż do mglistych zjaw psychopatów uznanych za zmarłych.

- Jeśli ten mężczyzna był na pokładzie o drugiej w nocy, to wciąż tu przebywa, co oznacza, że znajdziemy go, zanim opuści statek - zapewnił ich w swoim gabinecie na pokładzie piątym.

Na biurku leżała fotografia Jerome'a Coopera, przysłana w nocy faksem przez policję z South Beach po nagłym telefonie Sama do Mike'a Alvareza, który rozmawiał już z Larsenem, potwierdzając tożsamość Becketa i powagę dawnej sprawy.

- Musi pan pamiętać, że chodzi o psychopatycznego mordercę i porywacza dzieci - powiedział Sam.

- Doskonale to rozumiem, detektywie Becket - odparł Larsen. - Rozumiem też, że nawet jeśli głos, który pani słyszała - tu spojrzał na Grace - był nagrany, sprawa nie staje się przez to ani trochę mniej groźna.

- Trzeba przeszukać statek - nalega! Sam. - Przekonać się, czy to był Cooper, czy nagranie.

- Statek zostanie dokładnie przeszukany po zejściu pasażerów na ląd.

- A na razie co? - Gniew Sama narastał, napędzany frustracją. - Pozwoli mu pan spokojnie odejść?

- Oczywiście, że nie, ale pan sam wie lepiej niż inni, detektywie, że bez nakazu nie możemy nikogo rewidować ani przeszukiwać bagażu.

- Jeśli to była taśma, zapewne wyrzucono ją do wody - zauważyła Grace.

- Zgadzam się. - Wąskie niebieskie oczy Larsena otoczone były siateczką zmarszczek. - Jeśli natomiast chodzi o waszego przestępcę lub jego współnika, to doświadczenie mi podpowiada, że człowiek, który chce żyć, nie wyskakuje ze statku na pełnym morzu. Z waszych słów wynika, że jest raczej typem zwycięzcy, nie samobójcą.

- Jerome Cooper wysadził w powietrze statek, będąc na pokładzie - powiedział Sam.

- W takim razie należałoby uznać, że jeśli wyskoczył dzisiaj, zginął na pewno. Ponieważ jednak w to wątpię, będziemy kontynuować stosowne czynności tak, jakby wciąż był z nami, przypuszczalnie korzystając z fałszywej tożsamości.

- Skoro nie możecie przeszukać statku, to co pan zamierza? - zapytał Sam.

- Wszystko, co jest możliwe bez niepokojenia pozostałych pasażerów, zwłaszcza że nie mamy żadnego dowodu, iż komukolwiek grozi niebezpieczeństwo...

- Jeśli to jest Cooper - przerwał Sam - nie możecie tego zakładać.

- Jasne, że nie - zgodził się Larsen. - Ale Cooper, o ile to był on, pani Becket, nie groził pani niczym konkretnym...

- Ale czułam się zagrożona.

- Jestem tego pewien - powiedział Larsen poważnie.

- Na razie wyślę trzech ludzi na pokład siódmy, żeby sprawdzili, czy ten człowiek nie zostawił jakichś śladów.

- Doskonale. - Sam wstał. - Zauważyłem, że na statku jest system bezpieczeństwa.

Larsen potakująco głową.

- Kamery są na wszystkich pokładach, moi ludzie już sprawdzają nagrania z interesującej nas godziny... Najbardziej czasochłonnym zajęciem będzie porównywanie fotografii Coopera z fotografiami pasażerów i członków załogi. Przy najlepszej woli nie zakończymy tego przed zawinięciem do portu. - Otworzył przed nimi drzwi. - Ale zrobimy, co w naszej mocy.

Na pokładzie nie znaleziono niczego, a chociaż zespół Larsena zidentyfikował na nagraniach Grace w dwóch momentach jej spaceru, nigdzie nie rozpoznano postaci choćby luźno odpowiadającej rysopisowi Coopera.

- Radzę wam, żebyście teraz odpoczęli, jako że za mniej więcej półtorej godziny zawiniemy do portu - powiedział szef ochrony o czwartej nad ranem.

- Rozsądny pomysł - zgodził się Sam - ale skoro pasażerowie zaczną opuszczać statek około ósmej...

- Rozładunek trwa od ósmej do dziesiątej - uściślił Larsen.

Wysadzanie pasażerów na ląd odbywało się według planu podobnego do tych, które realizowały inne wielkie statki wycieczkowe. Pasażerów dzielono na mniejsze grupy i kierowano na dwa główne trapy, co ułatwiało załatwienie formalności celnych i paszportowych.

- Wyznaczono nas na wpół do dziewiątej, byłbym jednak wdzięczny, gdybyśmy mogli opuścić statek z ostatnią grupą - powiedział Sam.

- Domyślam się, że chce pan przyglądać się wychodzącym pasażerom. - Larsen na moment zdjął okulary i potarł oczy. - Jeśli władze nie zgłoszą sprzeciwu, osobiście nie widzę przeszkód.

- Będziemy bardzo wdzięczni - powiedziała Grace. Szef ochrony spojrział na nią współczująco.

- Nie o takim zakończeniu rejsu pani myślała, prawda, pani Becket?

- Niezupełnie - przyznała Grace.

Policjanci z Fort Lauderdale i celnicy, którzy weszli na pokład *Stardust*, nie sprzeciwili się pomysłowi Sama. Ario Larsen zapewnił, że porównywanie fotografii pasażerów ze zdjęciem Coopera będzie prowadzone do końca.

- Jeśli ten człowiek jest lub był na pokładzie *Stardust*, to o ile w sposób znaczący nie zmienił wyglądu... - powiedział Larsen.

- Co jest możliwe - wtrącił Sam.

- Ale jeśli tego nie zrobił - ciągnął Larsen - powinniśmy przynajmniej się dowiedzieć, czy tutaj był.

Obserwacja, którą prowadzili z dwóch miejsc była zajęciem nużącym i niewdzięcznym. Oczy ich piekły, gdy koncentrowali się na kolejnych twarzach, i dość wcześnie oboje pojęli, że sprawa jest beznadziejna.

Nic z tego nie będzie.

I jak powiedział Ario Larsen, z całą pewnością nie było to miłe zakończenie pięknej podróży.

Przede wszystkim jednak budziło wielką frustrację. Nigdzie nie znaleźli Coopera. Cal Nienawistnik znowu zniknął.

Martinez bardzo się cieszył z powrotu do domu. Nie był jednak szczęśliwy.

Od chwili, gdy odzyskał przytomność i mógł zebrać myśli, wiedział, że z Jess coś się dzieje, że zgasł ten błysk w jej ślicznych oczach, z którym dawniej na niego patrzył a. Wciąż wydawała się miła i cholernie troskliwa, do diabła, nawet słodsza niż dawniej - a jednak coś było nie w porządku.

I coś przed nim ukrywała; Al nie potrafił odgadnąć, co to może być, i to go dręczyło.

Szczerze mówiąc, doprowadzało go do szaleństwa.

Gdyby nie to, chyba nie zniżyłby się do tego, co zrobił wczoraj.

Począł, aż Jess pójdzie wziąć prysznic, i zajrzał do jej płóciennej torby, którą wszędzie ze sobą nosiła.

Nie był pewien, dlaczego to zrobił, nie oczekiwał, że trafi na coś ważnego, czuł się przy tym podle, jak prawdziwy drań, ale coś go popychało do działania.

Jedno było pewne: znalazł więcej, niż mógłby przypuszczać.

Mały notatnik, niewiele większy od portfela, schowany w zamykanej na zamek błyskawiczny kieszonce, notatnik wypełniony uwagami, opisami, statystyką i wnioskami.

Dotyczącymi szczurów.

Przeklętych, cholernych szczurów.

Więc postawił sprawę otwarcie.

- Całkiem cię pogięło? - zapytał ją, gdy wyszła spod prysznic, owinięta w jeden z nowych białych ręczników, które dla niej kupił. - Co to ma być, jakieś tajemnicze badania naukowe czy kompletne wariactwo?

To nie był najczulszy sposób potraktowania narzeczonej. Ale wzięwszy pod uwagę, co przeszedł...

- Mogłem umrzeć - przypomniał jej.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - zapytała Jess.

Twarz znowu miała bladą - tak wyglądała, kiedy leżał w szpitalu i sądził, że Jess się o niego boi.

- Ale pytali, czy miałem kontakt ze szczurami - powiedział Martinez. - Sam sprawdził mój dom, a jego ojciec mówił mi, że byłaś przerażona, powtarzałaś, że nic nie wiesz o szczurach, ale jeśli są u ciebie, to jestem chory z twojej winy. - Nagle zaczął się trząść, dygotać z wyczerpania. Doktor Friedman powiedział, że potrzeba czasu, by odzyskał siły, więc nie może się przemęczać, musi unikać stresu, ale nic na nie mógł poradzić. - A ty przez cały czas miałaś w domu te cholerne szczury i nic im nie powiedziałaś?

- Przepraszam.

- Przepraszasz. - Chwilę odczekał, usiłując się uspokoić. - Do diabła, dlaczego w ogóle hodowałaś szczury?

- Lubię je - wyjaśniła z obronnym tonem w głosie. - Lubię, bo nigdy mnie nie oceniają, i podoba mi się, że są całkiem ode mnie zależne, wiele się o nich dowiaduję i mam nad nimi kontrolę - chyba chodzi o to, że wreszcie nad czymś mam kontrolę. Zawsze dobrze się nimi opiekowałam i żyły sobie wygodnie, dopóki nie nadszedł ich koniec. Tylko że jeden uciekł i przypuszczam, że musiał być chory.

- Przypuszczasz, że musiał być chory - powtórzył Martinez. - Och, biedny szczurek.

- Romeo - powiedziała Jess. - Na imię miał Romeo Piąty, bo był piątym samcem, którego hodowałam.

- Jezu. - Martinez opadł ciężko na łóżko. - Jezu Chryste, zaręczyłem się z kompletną świruską.

- Dziękuję.

- Dziwisz mi się?

- Chyba nie. - Jej usta wygięły się w półuśmiechu. - Ale to mi przypomina, dlaczego wolę szczury od mężczyzn.

Martinez spojrzał na Jess i w jej oczach zobaczył, że naprawdę tak myślała.

Z wysiłkiem wstał i powiedział:

- Wynoś się.
- Nie mówisz poważnie, Al.
- Wypieprzaj z mojego domu. Jess wolno pokiwała głową. -OK.
- Natychmiast - powiedział Martinez cicho. - Nie chcę cię widzieć.
- Mogę najpierw pozbierać swoje rzeczy?
- Jasne - odrzekł, próbując zapanować nad wewnętrznym drżeniem. -1 wynoś się.

Tuż przed wyjściem stanęła przed nim i oddała mu pierścionek.

Martinez spojrzał na maleńkie szafiry i brylanciki, które połyskiwały jasno, bo Jess codziennie je polerowała.

- Nie musisz - powiedział.
- Wręcz przeciwnie.

Widok pierścionka budził w nim smutek i sprawiał, że zerwanie stawało się faktem.

- Myślę, że powinieneś dowiedzieć się czegoś o twoim najlepszym przyjacielu Samie.

- Czego mianowicie?
- Przystawiał się do mnie. Parę razy.

- Kłamiesz - odparł Martinez. - Parszywie kłamiesz. Zacisnął pierścionek w dłoni, a potem z całej siły rzucił nim o ścianę, trafiając w stary obraz przedstawiający kubańskiego chłopca, jedną z ulubionych pamiątek po matce.

- Cathy też mi nie uwierzyła - powiedziała Jess.
- Mówiłaś jej? - Nie mieściło mu się to w głowie. - Suka.

- Naprawdę taka jestem? - zapytała cicho Jess. - Zawsze starałam się być miłą. Próbowałam być dobra dla ludzi.

Nagle Martinez pomyślał o przysługach, które Jess wyświadczała innym, o jej dobroci i czasie poświęcanym kolegom z pracy. Nigdy nie oczekiwała pochwał, choć zawsze się starała, żeby wszyscy o tym wiedzieli. A potem przypomniał sobie, że często służyła pomocą, kiedy innym działo się coś złego, jak wtedy, gdy tamta dziewczyna z biura zwichnęła kostkę...

To kazało mu się zastanowić.

A wtedy poczuł się jeszcze bardziej znużony.

- Lepiej już idź, Jessie - powiedział.

Jego gniew nagle się wypalił, pozostał tylko smutek.

- Będiesz za mną tęsknił? - zapytała.

- Będę tęsknił za kobietą, za którą cię uważałem.

- Ale to nie jestem ja.

- Sam nie wiem. - Martinez pokręcił głową.

- Ja będę za tobą tęskniła, Al. Martinez wzruszył ramionami.

- Zawsze możesz się postarać o nowe szczury.

- Nie. - Jess pokręciła głową. - To już skończone.

- Bo przez nie byłem chory? - zapytał, czując, jak rodzi się w nim cień nadziei.

- No tak. Zresztą teraz wszystko się popsuło. Nie byłoby jak przedtem.

- Dlaczego przyniosłaś tu notatnik? - zainteresował się na koniec. - Dlaczego nie zostawiłaś go w domu? Nigdy bym się nie dowiedział.

- Myślałam, że Sam albo ludzie z wydziału zdrowia mogą do mnie przyjść... I nie sądziłam, że jesteś typem, który będzie grzebał w moich rzeczach, Al. Uważałam cię za dżentelmena.

- Chyba się jednak pomyliłaś.

- Więc może ty też się mylisz, jeśli chodzi o Sama.
- Wynoś się - powtórzył, czując mdłości.
- Do widzenia, Al - powiedziała Jess i wyszła.

Teraz znowu był sam w swojej kawalerskiej jaskini.

Przyjrzał się dokładniej obrazowi matki i zobaczył, że jeden z kamieni w pierścionku rozdarł płótno. Wywołało to kilka łez, ale szybko przestały płynąć i Martinez znowu nad sobą panował.

Sam i Grace niedługo wracają. Był przekonany, że go odwiedzą.

Nie miał cienia wątpliwości, że Jess skłamała na temat Sama.

Wiedział, że przyjaciel w żadnym razie by tego nie zrobił.

Ale jak to o nim świadczyło, że więcej wiary pokładał w przyjacielu niż w narzeczonej?

A ściślej mówiąc, jak to świadczyło o ich związku? Bez dwóch zdań nie za dobrze.

Sam wrócił do domu późnym popołudniem. Nie tak to sobie planował.

Najpierw pojechali z Grace na posterunek, po części dlatego, że Sam chciał poznać aktualne ustalenia w śledztwie (nic nowego, powiedział Alvarez i kazał mu wracać do domu), przede wszystkim jednak dlatego, że musieli złożyć oficjalne zeznanie na temat Coopera, który jednak nie zginął i prawdopodobnie poprzedniej nocy znajdował się na pokładzie *Stardust*.

Z posterunku pojechali do Golden Beach do Davida i Mildred, żeby zabrać Joshuę i Woody'ego. Później Sam, zaniepokojony tonem Martineza podczas rozmowy telefonicznej, pojechał odwiedzić partnera.

Wysłuchał go, czując na Jessicę Kowalski gniew, który jednak ustąpił miejsca współczuciu dla tej młodej kobiety, najwyraźniej cierpiącej na poważne zaburzenia psychiczne.

Przede wszystkim jednak było mu żal Martineza.

- Naprawdę cieszę się, że cię widzę, człowieku, chociaż moja eksnarzeczona twierdzi, że się do niej przystawiałeś.

Sama ogarnęła wściekłość na Jess, ale potem zobaczył, że w ciemnych oczach przyjaciela kpina miesza się ze smutkiem.

- Nie wierzyłem w to ani przez chwilę - zapewnił go Martinez.

- Dzięki Bogu.

- Już chciałem powiedzieć, że miała lepszy gust, ale przypomniałem sobie, że woli szczury.

98

- Dzwoniła Cathy - powiedziała Grace, kiedy Sam wrócił na wyspę. - Przywiezie nam jedzenie, bo jak oświadczyła, to, wykluczone, żebym dzisiaj coś gotowała.

- Fatalna sprawa. - Sam opadł na kuchenne krzesło. - Nie powinniśmy dzisiaj tak się czuć.

-I nie czulibyśmy się, gdyby nie Jerome.

- Opowiem ci o Martinezie, ale najpierw muszę się napić.

- Zróbmy to jednocześnie - zaproponowała Grace. - Jo-shua smacznie śpi, Woody dostał miche. Otworzymy butelkę i czekając na kolację, będziemy udawać, że wciąż jesteśmy na statku.

Z drzemki na kanapie w gabinecie wyrwał ich warkot silnika i znajome głosy.

Trzask frontowych drzwi. Cathy nie była sama.

- Specjalny poczęstunek - oznajmiła, kiedy Dooley i Simone weszli do holu, niosąc pojemniki z jedzeniem. - A przy okazji, przyprowadziłam do domu twój samochód, Grace.

- Dziękuję, skarbie - powiedziała Grace i podeszła do córki, żeby ją pocałować.

- Naprawdę, nie powinniście byli tego robić - zwrócił się Sam do Dooleya i Simone.

- Nie sprzedajecie dań na wynos - dodała Grace.

- Cathy nas przekonała - powiedziała Simone - więc ukradliśmy te pojemniki z włoskiej restauracji i oto jesteśmy.

- Gdzie jest kuchnia? - zapytał Dooley.

- Tędy, proszę. - Sam poszedł pierwszy.

- Ojej, to niesamowite - westchnęła Grace.

- A co z restauracją? - zapytał Sam.

- Zamknięta na kilka godzin - wyjaśnił Dooley. - Zresztą w poniedziałki wieczorem nigdy nie ma ruchu.

- Założę się, że jest wręcz przeciwnie - powiedziała Grace. - Wyglądacie na wykończonych - zauważyła Cathy.

- To straszne, że Jerome znowu się pojawił.

- Fakt, jesteśmy zmęczeni - przyznał Sam.

- A może nie macie ochoty jeść? - zapytał Dooley. - Nie obrazimy się.

- Żartujesz? - odparł Sam.
 - W takim razie siadajcie, zaraz was obsłużymy - zaproponowała Simone.
 - Co przygotowaliście? - zapytał Sam.
 - Dania na pociechę. Zobaczycie - odrzekł Dooley.
 - Odpoczywajcie, my wszystkim się zajmiemy - dodała Simone.
 - A potem zostawimy was samych - oświadczyła Cathy.
 - Simone i Matt odwiozą mnie do domu.
 - Możesz zjeść z nami - zaprosił ją Grace.
 - Przestań być uprzejma. W ten jeden wieczór rób, co ci każą.
 - Zjedzcie i kładźcie się spać - powiedział Dooley. - I nie przejmujcie się naczyńiami. Odbierzemy je jutro i umyjemy w restauracji.
 - Jestem pewna, że dam radę pozmywać - odezwała się Grace.
 - Nie ma takiej potrzeby - odparł Simone. - Wliczone w usługę.
 - Ile płacimy? - zapytał Sam.
 - To prezent od nas - wyjaśnił Dooley.
 - Ale to... - Sam pochwycił spojrzenie Grace i urwał.
 - To bardzo miło z waszej strony.
 - Niezwykle miło - podkreśliła Grace.
 - Dziękujemy - dodał Sam.
- Pocałował córkę i Simone, a Dooleyowi uściśnął rękę.

- Ależ to dobre - westchnęła Grace pół godziny później.

- Zachowali się bardzo miło, prawda?

- Matt miał rację, takie jedzenie poprawia samopoczucie - odparł Sam.

Zjedli kurczaka w winie z grzybami, gniecione ziemniaki i bukiet warzyw, wszystko po prostu wyśmienite; teraz został tylko deser, szarlotka z bezą.

- Jestem zbyt zmęczona, żeby zmieścić choć kęs - oświadczyła Grace.

- Ja też - przyznał Sam sennie.

- Nasza córka to prawdziwy skarb.

- Największy.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham. Przykro mi, że twoje urodziny się nie udały.

- Tylko pod sam koniec. Cała reszta była idealna. -Tak jak ty.

- Wyglądasz na skonanego, jakbyś zaraz miał zasnąć na stole.

- Ty też - odrzekł Sam bełkotliwie.

I wtedy zaczęło to do niego docierać. Gniecione ziemniaki...

- Chryste.

- Hmm? - mruknęła Grace.

Sam próbował wstać, jego zasnuwający się mgłą umysł jeszcze walczył, żeby poskładać elementy w całość. Kolana się pod nim ugięły.

- Gracie!

Nie odpowiedziała. A on się osuwał. W mrok.

Cathy zadzwoniła, żeby życzyć rodzicom dobrej nocy, ale odpowiedziała jej automatyczna sekretarka.

Była dopiero dziesiąta, a Grace i Sam nigdy nie kładli się tak wcześnie.

Z drugiej strony wieczorem wyglądali na kompletnie skonanych.

Ale przynajmniej rano będą w formie, a Cathy nie mogła się doczekać, kiedy usłyszy o wszystkich romantycznych szczegółach - to znaczy do momentu, kiedy ten łajdak zepsuł im wycieczkę.

Na świecie jest więcej dobrych ludzi niż złych, napomniała się Cathy.

Uśmiechnęła się, w duchu przesyłając pozdrowienia Doo-leyowi i Simone.

Niezależnie od tego, jak ułoży się jej nowa kariera, nigdy nie przestanie być im wdzięczna.

Prawda jest taka, że im więcej ciosów spotyka cię w życiu, tym bardziej doceniasz dobrych ludzi.

Cathy wątpiła, by znaleźli się lepsi niż Matt Dooley i Simone Regan.

101

3 MARCA

Sam wiedział w chwili, gdy odzyskał przytomność. Ogarnęła go rozpacz z powodu własnej zapierającej dech, czystej głupoty.

- Gracie.

Jego głos brzmiał chrapliwie, obco.

Chciał się poruszyć, wstać, ale w głowie mu się kręciło, wzrok miał zamglony, a lewa noga była jak z ołowiu i nie mógł oderwać jej od ziemi.

Grace.

Usiadł z trudem i spojrzał w lewo. Leżała na ziemi niecałe trzy metry dalej, wciąż śpiąc i z niczego nie zdawała sobie sprawy.

Była naga, na prawej kostce miała obręcz połączoną z przymocowanym łańcuchem do żelaznego pręta za plecami. - Sam też był nagi i skuty, ale na widok Grace w takim stanie poczuł przeszywający ból.

- Grace, skarbie, odezwij się. Drgnęła, ale nie odpowiedziała.

Ogarnęło go straszliwe przerażenie. Szarpnął za łańcuch, obręcz boleśnie wpiła się w kostkę, ale nie przesunął się ani o centymetr.

- Grace.

Jęknęła cicho, odzyskując przytomność.

- Dzięki Bogu! Grace, nie przeraż się.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek wypowiedział równie głupie zdanie.

Znajdowali się w czymś w rodzaju klatki o wymiarach trzy na cztery metry. Stalowe pręty z przodu i z tyłu, w środku metalowe drzwiczki.

Zamknięte na klucz, jak przypuszczał Sam. Zapewne nie będzie mu dane tego sprawdzić.

Jedynym źródłem światła była słaba żarówka pod sufitem.

Za prętami rozciągała się nieprzenikniona ciemność.

Skuci i nadzy w klatce.

Nadzy.

Ostatnia para.

Ostatnie dzieło Matta Dooleya i Simone Regan. Którzy w trakcie dochodzenia ani razu nie znaleźli się w kręgu zainteresowania policji.

- Sam? - Głos Grace był przytłumiony, pełen strachu. - Co się stało?

- Dooley i Simone. Nafaszerowali jedzenie lekami oszałamiającymi.

Temazepam, jak w przypadku poprzednich par. Może większa dawka.

Prawda uderzyła Grace jak cios.

- Mój Boże, Joshua. - Usiadła. - Gdzie Joshua?

- Tu go nie ma. Nie tknęliby go.

- A co z Cathy?

- Jej też nic nie zrobią... Porywają tylko pary, pamiętasz?

- Tak. Kochające się pary.

Rozejrzeli się, ale niewiele było do oglądania, poza leżącym pod ścianą kształtem przypominającym zwiniętego węża. Widoczne za prętami klatki ściany były obite, pewnie wygłuszone, a na lewo od Grace wisiała siatka o szerokości jakichś trzydziestu centymetrów.

To chyba coś w rodzaju siatki na owady, jaką wieszka się na tarasie, pomyślał Sam, pomimo oszołomienia analizując sytuację, bo teraz ważne było tylko jedno: jak się stąd wydostać, zanim...

Próbując opanować dreszcze, zastanawiał się, czy ściany są z betonu, pustaków czy cegły, szukał w klatce czegoś, czego mógłby użyć jako narzędzia, gdyby zdołali się uwolnić z łańcuchów.

Nic.

Betonowa podłoga była wilgotna i zimna, w powietrzu unosił się odór wilgoci. I czegoś jeszcze. Kleju.

- Sam, boję się - powiedziała cicho Grace.

- Ja też.

Przedmiot pod ścianą był węzem ogrodowym.

Sam wolał się nie zastanawiać, do czego go wykorzystywano, ale wzrokiem policjanta oglądał bacznie ściany i podłogę - w końcu to było miejsce zbrodni, którego szukali - sprawdzając, czy nie ma tu śladów krwi, czegokolwiek, co pozwoli im zbudować solidne oskarżenie przeciwko tym dwojgu.

- Myślisz, że uda nam się stąd wydostać? - zapytała Grace.

- Jasne, że tak, do diabła - odparł.

Bóg tylko wiedział, że nie miał pojęcia, jak tego dokonać, ale mówił szczerze.

Grace opanowała łzy i zrobiła to, co wcześniej zrobił Sam, szarpnęła łańcuchem i zaraz krzyknęła cicho z bezsilności i bólu. W tej samej chwili dostrzegła wyraz twarzy męża.

- Nic mi nie jest - zapewniła, oddychając głęboko. - Wiesz, jeśli się odwrócimy w drugą stronę i wyciągniemy nogi tak daleko, jak się da, może się dotkniemy.

Rzeczywiście, zetknęli się palcami u stóp.

Było im niewygodnie, ale mieli wrażenie, że osiągnęli sukces. Że jednak jest jakaś nadzieja.

- Tak lepiej - powiedział Sam.

Nagle zadał sobie pytanie, czy tamci ich obserwują, czy to po części jest powód, dla którego zostawili światło, choć z drugiej strony mogli przecież korzystać z noktowizorów albo wcale im się nie przyglądać. Na pewno jednak rozważali, czy przerażenie ich więźniów wywołane całkowitą ciemnością będzie tak samo satysfakcjonujące jak widok ofiar, które bez cienia wątpliwości uświadamiają sobie beznadziejność własnego położenia.

- Zabrali mi zegarek - odezwała się Grace.

- Mnie też.

Sam spojrział na lewą rękę i nic nie powiedział. -1 obrączki - dodała cicho.

- Wiem.

- Myślę, że lepiej bym to znosiła, gdybyśmy nie byli nadzy.

- Ale i tak to zniesiesz, bo jesteśmy razem i wydostaniemy się stąd.

Grace przez chwilę milczała.

- A jeśli Joshua się obudzi, a nas przy nim nie będzie? - zapytała.

Sam wyobraził sobie synka kurczowo ściskającego szczelki łóżeczka i wołającego rodziców. Może teraz już z przerażenia zanosił się szlochem.

Gdyby mógł, zamordowałby Dooleya i Simone.

- Nic mu nie będzie, skarbie.

- A jeśli jest z Simone? - Grace wybuchnęła płaczem.

- Albo został w domu samiuteńki jak palec?

- Nie płacz, Gracie. - Sam musnął jej stopę.

- Nie będę. - Nakazała sobie spokój. - Tylko skąd wszyscy będą wiedzieć, że Joshua jest sam albo że coś się z nami stało, skoro nawet my nie mamy pojęcia, gdzie nas trzymają?

- Wokół nas są dociekliwi, inteligentni ludzie. Odkryją prawdę.

- Mam nadzieję.

Grace długo zwlekała z zadaniem następnego pytania; nie była pewna, czy trafi znieść odpowiedź.

- Wiem, że poprzednie pary też były nagie, ale nigdy nie wspominałeś, zresztą w relacjach też nie pojawiały się takie wzmianki...

- Nie było gwałtów. Popatrz na mnie, Grace. - Spojrzała mu w oczy. - Nie sądzę, że by chodziło im o seks.

Tylko o satysfakcję innego rodzaju, pomyślał, ale zachował to dla siebie.

- Czyli o władzę - stwierdziła Grace. - Myślę, że z tym łatwiej dam sobie radę.

- Oboje sobie poradzimy.

We wtorek rano Mildred przyjechała do domu na wyspie o ósmej piętnaście.

Przed domem stały oba samochody, co Mildred wydało się dziwne, bo Samuel do pracy wyjeżdżał o wiele wcześniej, a kiedy był w domu, parkował w garażu.

Choć z drugiej strony wczoraj sporo przeszli.

Ta wiadomość jej także odebrała spokój.

Człowiek, który o mało jej nie zabił, który porwał Joshuę i zamordował co najmniej trzy osoby, jednak nie zginął.

Chciała zadzwonić do drzwi, ale zmieniła zdanie i skorzystała ze swojego klucza, bo może Sam i Grace tak jak ona mieli złą noc i teraz odsypiają.

Już od progu Mildred wiedziała, że coś jest nie tak.

Joshua płakał, a Woody ujadał gdzieś w głębi domu, choć przecież powinien witać ją radosnym skakaniem w holu.

Poza tym panowała cisza.

Niedobra cisza, pomyślała Mildred.

- Grace! - zawołała. Odpowiedzi nie było. - Samuel! - Także nic.

Stało się coś złego.

Płacz Joshui dobiegał z piętra.

Mildred szybko wbiegła na schody. Serce jej waliło, dłonie lepiły się od potu, ale nie pozwalała sobie na żadne myśli, najpierw trzeba się zająć malcem.

Był cały w pokoju dzieciennym, stał w łóżeczku, trzymając się szczebelków, spocony i przerażony. Z jego ślicznych ciemnych oczu leciały łzy.

- Moje kochanie - powiedziała i wzięła go na ręce.

Był rozpalony ze strachu, pieluszkę miał moką i brudną; jego lamentsy przeszły w przeraźliwe krzyki, gdy próbował opowiedzieć jej o swoim strasznym osamotnieniu, więc go przytuliła.

- Już dobrze, już dobrze - szeptała mu uspokajająco do ucha. - Cichutko, jestem przy tobie.

Poszła do sąsiedniego pokoju i zapukała, gotowa odwrócić malca tyłem, gdyby okazało się, że czeka tam na nich coś naprawdę strasznego. Otworzyła drzwi.

Nic - tyle tylko, że Becketowie na pewno nie spędzili nocy w swoim łóżku.

- Już dobrze - powtórzyła.

Tuląc Joshuę, zajrzała do łazienki i dawnego pokoju Cathy, a potem szybko zeszła na dół, sprawdziła taras, salonik, nieskazitelnie czystą kuchnię i werandę.

Woody był zamknięty w gabinecie Grace, zabrudził dywan i bardzo się denerwował. Wydawał dziwne, przenikliwe dźwięki, jakby chciał jej o czymś powiedzieć.

- Do diabła - mruknęła Mildred i poszła do telefonu, żeby podnieść alarm.

103

Sam układał elementy w całość. Odzywał się rzadko, nie dlatego, że chciał oszczędzić Grace, a raczej po to, by tamci nie poznali jego myśli, jeśli teraz ich słuchają. Uprzedził Grace, chociaż jak mogłoby to zmienić ich sytuację?

- Zastanawiam się nad paroma rzeczami-powiedział jakiś czas temu - ale nie będę mówił o tym na głos.

- Rozumiem.

Sięgnął dłonią do obręczy, ponownie próbując sprawdzić, czy zdoła się jakoś oswobodzić, pojął, że to na nic, szarpnął za łańcuch słabiej, a potem z większą siłą i skapitulował, jak przedtem.

- Nie można się poddawać - uśmiechnął się do Grace. Wyciągnął nogę i dotknął jej stopy.

- Nic mi nie jest, naprawdę. Ty się zastanawiaj, a ja będę na ciebie patrzeć.

- Akurat teraz nie wyglądam najlepiej.

Nieważne, co mówił wcześniej, to jednak nagość była najtrudniejsza do zniesienia; Grace okazywała wielką odwagę i siłę, ale kiedy spoglądał teraz na żonę ze świadomością, że intencją tamtych jest upokorzenie ich obojga i poniżenie, wiedział, że gdyby teraz dorwał Dooleya, wbrew swoim zasadom pewnie by go zabił.

Chociaż trudno było rozsądzić, kto jest bardziej nikczemny: mężczyzna z przeszłością więzienną, otwarcie o tym mówiący, który z taką cholerną wielkodusznością traktował Cathy, czy ta suka ze swoimi migrenami i chorą matką.

- Dla mnie zawsze jesteś najpiękniejszy na świecie - odparła Grace.

- Oczywiście poza Joshua.

- Zajmujecie mniej więcej to samo miejsce.

- Pozwolisz, że usiądę? - Jej dotyk poprawiał mu nastrój, ale pozycja nie należała do najwygodniejszych, poza tym lepiej mu się myślało, kiedy siedział z podkurczonymi kolanami, lekko zgarbiony.

- Jasne. - Grace cofnęła nogę i także usiadła. Pewne sprawy zaczynały się wyjaśniać.

Plastikowa kopuła, jak zauważył Martinez w czasie wizyty w restauracji Christou, istotnie mogła być monstrualną wersją przezroczystej pokrywy, chroniącej przed wyschnięciem sery lub ciasta. Dobre restauracje specjalizujące się w owocach morza często mają wielkie akwaria z rybami, z których goście sami wybierają sobie obiad. Wprawdzie Resslerów umieszczono w rzeźbiarskim piecu do wypalania gliny, ale to mógł być gigantyczny piekarnik.

W sumie wszystko w taki czy inny sposób wiązało się z restauracją. Element gry morderców - przynajmniej w tej sprawie detektywi mieli rację. Przypuszczalnie państwo Christou i ich akwariów wybrani zostali z równą starannością jak ofiary. Aluzje do sztuki to kolejna gierka.

Co przygotowali dla Becketów?

- Pomyślą, że to Jerome, prawda? - odezwała się nagle Grace.

Miała rację, niewykluczone, że zespół w dalszym ciągu brnie w ślepe uliczki, marnując cenny czas - czas, którego rachubę Sam stracił, pewnie wciąż jest wtorek, ale która to może być godzina?

- Nie, bo Cathy powie im o kolacji - odparł. O ile będzie mogła to zrobić.

Nie powiedział tego na głos, aczkolwiek świadom był, że Grace także o tym myśli.

Zmusił się do ponownej analizy ich położenia; ciekawe, czy tamci tu przyjdą, a jeśli tak, czy jest jakiś sposób na przekonanie ich, by zadowolili się tylko nim i puścili wolno Grace ze względu na Joshuę, a nawet Cathy. Żadna z pozostałych par nie miała małych dzieci, więc jeśli serdeczność, którą okazywali dziewczynie, choć w ułamku była szczerą, to może uda mu się uratować Grace.

Prawdopodobieństwo takiego rozwiązania graniczyło z zerem.

Sam wiedział także, że on i Grace nie są jedynymi ludźmi, którzy mogą zidentyfikować morderców.

Jeśli córka jeszcze nie wie o ich porwaniu, jeśli nie miała sposobności powiedzieć Alvarezowi i Riley o wczorajszej kolacji, jeśli już nie jest pod ochroną, to znaczy, że Cathy grozi teraz śmiertelne niebezpieczeństwo, a tej myśli Sam nie potrafił znieść.

Spojrzał na żonę, dostrzegł cierpienie w jej oczach i zrozumiał, że Grace myśli o tym samym.

- Nic jej nie będzie - wykrztusił.

- Ciągle mi to powtarzaj - odrzekła i zacisnęła zęby.

W ciągu godziny od telefonu Mildred do Davida wszyscy tylko tym się zajmowali: zespół prowadzący śledztwo w sprawie Rzezi Par i cały wydział.

- Czy to Cooper? - Alvarez pierwszy zadał to pytanie na głos. - Czy istnieje możliwość, że to on popełnił te wszystkie morderstwa?

Myśl była szalona, ale nagle wydała się najbardziej oczywistym rozwiązaniem. Atlantyk nie pokonał Cala Nienawistnika, który teraz wrócił do Miami Beach, żeby zabawić się w nową straszną i niewytłumaczalną morderczą grę.

- Nie kupuję tego - stwierdziła Riley. - Jego nakręcała nienawiść.

Wszyscy sporo wiedzieli o Cooperze z jego zapisków. „Listy Cala Nienawistnika”, rozwlekłe wynurzenia zamieszczone w zeszytach, które znaleziono w ostatniej kryjówce Coopera, przeczytali detektywi prowadzący śledztwo i nie ulegało wątpliwości, że jeszcze długo stanowiąc one będą materiałem badawczym dla studentów psychologii specjalizujących się w tworzeniu profili przestępców.

- Ale nienawidził Sama i Grace - zauważyła Mary Cutter.

- No i co z tego? - odparła Riley sceptycznie. - Jedno szczęśliwe małżeństwo zmieniło go w mordercę par?

- Słyszałem już bardziej absurdalne teorie - powiedział Alvarez.

A na razie ta była najlepsza i miała sens. Jerome Cooper znowu znalazł się na liście poszukiwanych, tym razem jako podejrzany o zabójstwo sześciu osób. Oraz przypuszczalne porwanie Sama i Grace Becketów.

David myślał, że postrada rozum. Naprawdę go postrada.

Zdołał jakoś porozmawiać przez telefon z sierżantem Alvarezem, bo Sam mówił wcześniej, że podczas jego nieobecności sierżant prowadzi śledztwo razem z Riley, a poza tym wiedział, że syn uważa swojego bezpośredniego przełożonego za dobrego człowieka i świetnego policjanta.

Alvarez potraktował poważnie wiadomość, że Sam i Grace zaginęli, ponieważ wiedział niemal tak dobrze jak David i Mildred Bleeker, że nigdy z własnej woli nie zostawiliby swojego ukochanego półtorarocznego synka samego w domu.

Chyba że stało się coś bardzo złego.

Chyba że ktoś ich do tego zmusił.

Becketowie byli szczęśliwą parą.

Niewykluczone, że zdaniem mordercy - tą parą.

Tak więc Alvarez nie zlekceważył zgłoszenia Davida, ale zapytał, czy ktoś z rodziny widział Sama lub Grace od czasu ich powrotu. David odparł, że on i Mildred rozmawiali z obojgiem, kiedy syn i synowa przyjechali wczoraj po Joshuę i Woody'ego, wiedział też, że później Sam odwiedził Marti-neza, ale cała rodzina uzgodniła, że pozwolą im odpocząć po ostatnich traumatycznych godzinach rejsu.

- Wie pan, co wczoraj jedli na kolację? - zapytał Alvarez. Ton miał swobodny, ale myślał o pozostałych parach.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział David. - Pewnie jakieś proste danie. Zrobiliśmy dla nich podstawowe zakupy, więc lodówka nie była pusta.

Alvarez zaproponował, że przyśle kogoś, kto pomoże Davidowi w tych trudnych chwilach.

- Nie, dziękuję, sierżancie. Nie jestem sam, zresztą nie zgodziłbym się w żadnym razie, żeby uszczuplał pan siły oddziału, wyznaczając dla mnie niańkę.

Sierżant polecił, żeby David został w Golden Beach z Joshua i Mildred, bo dom Sama i Grace jest teraz miejscem zbrodni, więc nie ma sensu, żeby ktoś z rodziny tam się wybierał.

- Musi pan zdać się na nas - ciągnął Alvarez. - Wiem, jak niewiarygodnie trudne to będzie dla pana, doktorze Becket, ale sprowadzimy ich do domu, proszę mi wierzyć.

- Naprawdę myślicie, że to znowu Cooper? - zapytał David.

- Moim zdaniem to byłby zbyt wielki zbieg okoliczności, gdyby on nie brał w tym udziału. Sprawdzamy wszystkie ewentualności, ale Cooper jest naszym głównym podejrzanym.

David sam nie rozumiał, jak zdołał opanować strach i rozpacz, ale był u niego mały wnuczek, biedne dziecko, które już raz doznało cierpień z rąk Jerome'a Coopera. Wystarczająco okropne było to, że malec spędził Bóg wie ile godzin samotny i przerażony, zanim rano przyszła Mildred. David nie zamierzał teraz znowu przestraszyć Joshui.

Jeśli jednak cokolwiek stanie się Samowi i Grace...

To Mildred kazała mu zadzwonić do Saula.

Zwlekał w nadziei, że będzie w stanie oszczędzić młodszemu synowi i Cathy dodatkowej udreki, i modlił się, by cała ta sprawa okazała się jakąś niewiarygodną pomyłką, by Sam i Grace stanęli w drzwiach, przytłoczeni wyrzutami sumienia z powodu Joshui, ale cali i zdrowi.

Niewiarygodne - to było odpowiednie słowo. Wiedział o tym aż za dobrze.

Pięć po wpół do jedenastej Mildred oświadczyła:

- Jeśli ty nie zadzwonisz do Saula, ja to zrobię.

- Nie zrobisz tego.

- A ty możesz udawać groźnego starca i mówić do mnie takim tonem, jakim ci się podoba. Byłoby dla nas lepiej, gdybyśmy mieli oboje przy sobie.

- Radzę sobie dobrze. Mam ciebie.

Tych dwoje „starszych współlokatorów”, jak kiedyś nazwała ich Mildred w rozmowie z Grace, rzadko pozwalało sobie na serdeczne gesty, ale teraz usiadła obok doktora na zniszczonej sofie, która stała tu od ponad trzydziestu pięciu lat, i go objęła.

- Tak bardzo ci współczuję.

- Przestań - powiedział David. - Przez ciebie się rozkleję.

- Zadzwoń do Saula. Jeśli dowie się od kogoś innego, będzie zły, a co gorsze, to go zrani.

Więc David zadzwonił.

- Tylko nie wpadaj w panikę.

- Tato, co się stało?

David o wszystkim mu opowiedział; słyszał, jak syn próbuje zapanować nad sobą.

- Rozmawiałeś z nimi wczoraj wieczorem? - zapytał.

- Nie, ale Cathy się z nimi widziała - odparł Saul. Opowiedział ojcu o kolacji, którą Dooley i Simone przygotowali

dla Sama i Grace, o ich wielkodusznej propozycji, kiedy usłyszeli od Cathy o strasznym końcu rejsu i wyczerpaniu rodziców.

Wtedy David coś sobie przypomniał.

Coś, co Sam mówił mu o morderstwach.

- Tato? Powiedz, co myślisz.

- Muszę porozmawiać z Cathy.

- Nie ma jej - odparł Saul.

Davidą ogarnął jeszcze większy strach.

- Widziałeś ją rano?

- Tak. Czują się dobrze, nie musisz się o nią martwić. Poszła biegać.

- Nie do pracy?

Mildred, która wcześniej wyszła z pokoju, teraz stała w progu, zaalarmowana jego tonem, miną, napięciem w oczach, wyostrzonymi nagle rysami twarzy.

- Nie, ale powiedziała, że pójdzie im podziękować za wczorajszy wieczór.

- Dobry Boże - jęknął David.

- Co? Tato, o co chodzi?

- OK - powiedział David. - Synu, chcę, żebyś natychmiast zadzwonił do Cathy. Niech w żadnym razie nie zbliża się do restauracji.

- Dlaczego nie? - Saul był skonsternowany.

- Powiedz jej, żeby nie kontaktowała się z tymi ludźmi. - David mówił szybko, stanowczym tonem. - Ja muszę zadzwonić. Ty zostań w domu, postaraj się złapać Cathy i każ jej natychmiast zatelefonować do sierżanta Alvareza na posterunek.

Rozłączył się i drżącymi palcami wybrał numer. Spojrzał na Mildred, wdzięczny za jej milczenie, za zrozumienie, że najpierw musi działać, dopiero potem może się rozkleić.

Alvarez odebrał natychmiast. Wysłuchał Davida w skupieniu.

- Jezu - powiedział cicho.

- O mój Boże. Uważa pan, że mam rację.

- Chyba tak. Mówił pan, że Saul próbuje złapać Cathy?

- W tej chwili.

- Proszę poczekać. David czekał.

- W porządku, doktorze Becket. - W słuchawce znowu rozległ się głos sierżanta. - Cathy zadzwoniła, nic jej nie jest, zaraz przywieziemy ją na posterunek.

- Dzięki Bogu - powiedział z ulgą David.

Ale zaraz sobie przypomniał, że Sama i Grace wciąż nie odnaleziono.

106

- O mój Boże, Sam - odezwała się Grace. - Popatrz na tę ścianę!

Podążył za jej wzrokiem na ścianę, na której był ekran. Przez moment się przyglądał, a potem z ironią stwierdził:

- I kto by pomyślał, kolacja i kino.

- To my w restauracji, prawda?

Wiedziała, ponieważ miała bluzkę, którą wcześniej nosiła tylko raz, z jedwabiu barwy lodowego błękitu, wyrazistego nawet na czarno-białym filmie.

A poza tym teraz wszystko zaczynało mieć sens.

Zrobiło jej się niedobrze, miała ochotę krzyczeć, ale nie zrobiłaby tego Samowi.

Nie zrobiłaby tego ze względu na nich.

Sam wstał, usiłując dostrzec coś, co mógł wcześniej przegapić w wygłuszeniu ściany po prawej stronie, coś miniaturowego jak te nowe projektory pico, o których czytał. Co prawda Dooley nie wyglądał na znawcę nowych technologii, ale z drugiej strony nie wydawał się też potworem, a w restauracji zawsze był doskonale zorganizowany.

Becket słyszał cichy szum, ale niczego nie widział.

Seria ujęć odgrywana w kółko: Sam i Grace w czasie „specjalnego” wieczoru, który Dooley i Simone pomogli Cathy przygotować. Ukryta kamera (teraz Sam zastanawiał się, gdzie do diabła ją umieścili) pokazywała zbliżenia, chwile, gdy patrzyli sobie w oczy, dotykali się, a chociaż oboje stronili od publicznego oka-

zywania czułości, lubili trzymać się za ręce, nachylać się ku sobie, muskać po policzku.

Teraz widzieli to wszystko na ekranie, prawdziwe intymne momenty, które powtarzały się w ciszy, i Sam wyobrażał sobie, że inne pary także musiały to znosić, próbowały analizować zamiast oglądać, i zadawał sobie pytanie, czy o to chodziło, czy owa bliskość budziła nienawiść morderców? Lecz przecież pomiędzy Dooleyem a Simone widział serdeczną więź; sprawiali wrażenie bardzo sobie oddanych, na pierwszy rzut oka nie wydawali się emocjonalnie okaleczeni. Na czym więc polega ich uraz, czemu tak nie znosili szczęśliwych par?

Gdyby się okazało, że morderstwa popełnia jeden sprawca, w grę wchodziłaby teoria triady, problemy psychiczne spowodowane chorobą czy obrażeniami, paranoja i molestowanie w dzieciństwie, czyli natura, wychowanie, neurologia, ale w przypadku pary...

Sam usiłował przypomnieć sobie innych „zespołowych” morderców, tylko że lista, którą dwa tygodnie temu przyniósł na spotkanie śledczych, była bardzo długa i w jego głowie kłębiły się najbardziej przerażające z ludzkich uczynków.

Archiwa i książki pełne były historii o mordujących przyjaciółach, małżeństwach, matkach i synach, braciach i siostrach, czy po prostu nieznanym, których zetknął przypadek, o wszelkiego rodzaju związkach napędzanych narkotykami, chciwością, pożądaniem, chorobą psychiczną lub czystym, niczym nieskazitelnym złem.

- Sam? - Głos Grace był łagodny, miękki, jakby zdawała sobie sprawę, że jej mąż z trudem znosi własne myśli, jakby chciała je przerwać choć na chwilę, pomóc mu.

-Tak?

-Porozmawiajmy trochę o dobrych czasach, dopóki jeszcze możemy. W porządku?

Poczuł, jak w piersiach rośnie mu ognista kula miłości; była realna i solidna, pomyślał więc, że zdoła stłumić wszystko inne.

-Lepiej niż w porządku, Gracie.

- Zaczniemy od rejsu i będziemy się cofać w przeszłość.

- Ale oprócz ostatniej nocy.

Skoro mają podjąć tę grę, to prędzej piekło go pochłonie, niż pozwoli, żeby Jerome Cooper także i to zepsuł -choć jakim sposobem Cooper zdołał wkraść się w ich wakacje tuż przed porwaniem? Czyżby stali za tym Dooley i Simone? Czyżby wiedzieli, że nawet najbardziej mglisty dowód na to, że Cal Nienawistnik przeżył, będzie ciosem dla Sama i Grace?

- Sam, daj spokój - powiedziała Grace.

- Tak, słucham.

- To był najlepszy prezent, jaki mogłam dostać.

- Ale ty zasługujesz na więcej.

- Nie chcę niczego oprócz ciebie. I naszej rodziny.

- Przepraszam, że do tego wracam. - Nie potrafił uwolnić się od tej myśli. - Sądzisz, że oni mogą też mieć związek z wydarzeniami na statku?

- Przyszło mi to do głowy, choć nie mam pojęcia, jak mogli to zrobić.

Ciekawe, czy kiedykolwiek się dowiedzą.

- Hej - powiedziała Grace łagodnie. - Popatrzmy na film. Wbrew ich intencjom to miłe wspomnienie... Założę się, że nie chcą sprawić nam przyjemności.

- Niech idą do diabła - odparł Sam.

- Spodziewam się, że pójda.

- Dzwonię, żeby pana poinformować, że Cathy jest bezpieczna na posterunku i rozmawia z Beth Riley i sierżantem Alvarezem - powiedziała Mary Cutter.

- Dobrze się czuje? - zapytał David.

- Jest w wielkim szoku, ale się trzyma.

To typowe dla Cathy, pomyślał David, ale w którym punkcie młoda osoba dociera do kresu wytrzymałości? Kiedy w końcu się okazuje, że to za wiele?

- Pomogła wam?

- W tej chwili nawet najdrobniejsza informacja, którą Cathy nam przekaze, z pewnością będzie pomocna, doktorze Becket.

David zebrał siły, by zadać następne pytanie:

- Wiecie już, gdzie oni mogą być?... Proszę o prawdę.

- Jeszcze nie, ale z pewnością to ustalimy.

- Chciałbym do was przyjechać.

- Najlepiej pan zrobi, jeśli zostanie pan w domu, doktorze Becket - powiedziała detektyw Cutter. - Kiedy skończymy rozmawiać z Cathy, odwieziemy ją do domu albo do pana, to ona zdecyduje, ale pod warunkiem że nie zostanie sama.

- Proszę jej powiedzieć, żeby przyjechała do nas.

- Powiem - obiecała policjantka.

Na krótko przed przyjazdem Cathy na posterunek udało im się dotrzeć do jednej z uczestniczek sabatu, którą z anonimowej grupy wyłuskała Beth Riley, nieustrudzenie podążająca śladami Allison Moore.

Marcia Keaton, dwudziestoosmioletnia sprzedawczyni, była drobną kobietą o okrągłych policzkach i promiennych oczach. Stanowiła wręcz uosobienie normalności. Powiedziała Riley i Alvarezowi, że kiedy z pozostałymi członkami sabatu wychodzili z dawnej galerii, na skrzyżowaniu Osiemdziesiątej Pierwszej i Collins zauważyli granatowy van, w którym siedziało dwoje ludzi - niewyklu-

czone, że byli to mężczyzna i kobieta, choć na sto procent nie może tego potwierdzić.

- Przestraszyli mnie, bo pomyślałam, że może nas śledzą, było ciemno, ale rejestrację oświetlała uliczna lampa i nie mam pojęcia, dlaczego ją zapisałam...

- Ma ją pani przy sobie? - przerwała jej Riley, aczkolwiek wiedziała, że tablice przypuszczalnie zostały skradzione i numery będą takie same jak na furgonetce zarejestrowanej przez kamerę przed domem Elizabeth Price.

- Trzymam kartkę w portfelu - odparła Marcia Keaton. Po krótkiej przerwie zapytała: - Czy dzięki temu cofnięty zostanie ten idiotyczny zarzut o naruszenie cudzej własności?

- Jeśli nie da nam pani tego numeru, będzie pani groził zarzut o wiele gorszy niż naruszenie cudzej własności - powiedział Alvarez.

Teraz informację sprawdzano w bazach danych.

108

Obrazy na ścianie wciąż się przesuwały, kiedy usłyszeli te dźwięki.

Dziwne odgłosy. Trzeszczenie, toczenie.

Koła, pomyślał Sam; uświadomił sobie, że za sekundę będzie wiedział, czy mordercy korzystają ze szpitalnego łóżka, czy z wózka, i zadał sobie pytanie, czy kiedykolwiek będzie w stanie powiedzieć o tym Martinezowi albo Riley...

Gdzieś w ciemności poza klatką zabrzęczały klucze; jeden został wsunięty w zamek.

- Gracie - powiedział Sam cicho. - Bądź silna. - Kocham cię.

Klucz obrócił się w zamku.

- Ja też cię kocham. Przejdziemy przez to razem.

Do pomieszczenia wdarła się smuga światła w kształcie kawałka tortu, poszerzyła się, częściowo przesłonięta przez wchodzącą osobę, a potem się skurczyła.

I znowu zapadł mrok.

Mordercy byli z nimi, łóżko zostało na zewnątrz. W ciemności rozległ się głos.

- Mogliśmy się domyślić. - Głos Dooleya. - Wy. Wykorzystujecie każdą chwilę.

- Każdą ostatnią chwilę. Głos Simone Regan.

- Kolejna idealna para - dodała.

- Ta właściwa - powiedział Dooley.

109

- Więc Cathy nie wie, gdzie oni mieszkają? - zapytał Martinez.

- O ile wiem, policja jeszcze nie zna adresu - odparł Saul. - Tak czy owak tamci pewnie mówili jej same kłamstwa.

Saul skontaktował się z Cathy i kazał jej zadzwonić do sierżanta Alvareza, po czym zatelefonował do Beth Riley, żeby jak najwięcej z niej wyciągnąć. Zgodnie z jego oczekiwaniami przekazała mu absolutne minimum, więc następną decyzję podjął, kierując się wyłącznie intuicją.

Martinez musiał się dowiedzieć.

To nie był jedyny powód, dla którego Saul pojechał do domu przy Alton. Przede wszystkim nie dałby rady wykonać polecenia policji i spokojnie czekać z ojcem, Mildred i bratankiem.

- Musimy coś zrobić - powiedział. Dlatego przyjechał do Ala.
- Jasne, że tak, cholera.
- Riley mówi, że wystąpili o nakaz przeszukania restauracji.
- Nie będę czekał na żaden nakaz - oznajmił Martinez. Saul nie popełnił błędu: wybrał właściwego człowieka.
- Więc jak, włamujemy się?
- Ty nie, tylko ja - odparł partner Sama.
- Ale ty jesteś chory.
- A o adrenalinie nigdy nie słyszałeś?

110

Adres w dokumencie rejestracyjnym vana, którego numery zapisała Marcia Keaton, okazał się fałszywy.

To znaczy ów dom naprawdę istniał, ale jego obecni lokatorzy (nigdy nie ukradziono im żadnego samochodu) mieszkali tu od prawie półtora roku. Przez jakiś czas po przeprowadzce przychodziła korespondencja do poprzedniego właściciela, nie pamiętali jednak jego nazwiska.

Tylko coś im się kojarzyło, że było hiszpańskie.

Na pewno nie brzmiało „Dooley” ani „Regan”.

W niczym nie pomogło to śledztwu, detektywi zmarnowali tylko czas i siły w chwili, gdy jednemu z nich i jego żonie groziło śmiertelne niebezpieczeństwo.

List gończy za Jerome'em Cooperem wciąż był aktualny.

Przede wszystkim jednak w Miami Beach i w całym okręgu poszukiwano Matthew Dooleya, Simone Regan oraz ich przypuszczalnych więźniów, Samuela Lincolna Becketa i Grace Lucca Becket.

111

- Dlaczego nie wyjdziecie i nie pokażecie się?

Głos Sama zabrzmiał czysto i donośnie; odczuł coś w rodzaju ulgi, że nie musi szeptać, że wyczekiwanie dobiegło końca.

Wstał, sprawdził obręcz na kostce, ale łańcuch trzymał mocno i przez głowę przebiegła mu myśl o praprapradziadku, niewolniku, który w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku uciekł z Georgii na Bahamy, i dla uczczenia swojego przodka stanął wyprostowany.

Kroki tamtych były ciche, widać mieli obuwie na gumowych podszewkach. Nagle oboje pojawili się w słabym świetle tuż przed klatką, słychać było ich oddechy.

Oboje mieli na sobie czarne kombinezony i rękawiczki.

- Mam nadzieję, że nie jest wam zbyt niewygodnie - odezwał się Dooley.

- Wręcz przeciwnie, czujemy się jak pączki w maśle - odparł Sam.

Grace, która nadal siedziała, przysunęła się do prętów i objęła za kolana, by się osłonić, w miarę możliwości pozbawić ich satysfakcji z oglądania jej nagości, chociaż głowę trzymała wysoko.

- Czy moglibyście przynajmniej dać mojej żonie jakieś okrycie?

- Moglibyśmy - powiedziała Simone.

- Ale nie damy - dodał Dooley.

Sama ogarnęła wściekłość, wiedział jednak, że jest bezsilny, odetchnął więc głęboko i znowu nad sobą zapanował.

- Dlaczego nie? - zapytał.

- Bo to wszystko by zepsuło - wyjaśnił Dooley.

- Simone? - odezwała się Grace.

- Nie próbuj nawet prosić Simone - powiedział Dooley. - To jej fantazja, nie moja.

Grace poczuła, jak w gardle wzbiera jej żółć, zwalczyła nudności i zadała pytanie, które krążyło jej po głowie, najważniejsze pytanie.

- Czy naszym dzieciom nic się nie stało? - Oczywiście że nie - odpowiedziała Simone. - Nie o to w tym chodzi, Grace.

- Przypuszczamy, że oboje chcielibyście zrozumieć - odezwał się Dooley.

- Jasne. Gliniarz i psycholog - dodała Simone.

- Jeśli możecie poświęcić nam czas - powiedział Sam.

- Na sarkazm też bym się nie silił - oświadczył Dooley.

- Ja bardzo chciałabym zrozumieć. Jestem kompletnie skołowana - powiedziała Grace.

- To mnie nie dziwi - stwierdziła Simone.

- Myślałam... - Grace nie skończyła zdania.

- Co? Że cię lubię? - zapytała Simone.

- Tak. Powiedziałaś mi to, więc ci uwierzyłam.

- To pewnie znaczy, że cię okłamałam.

Grace wpatrywała się w nią, usiłując dopasować tę Simone do miłej, pracowitej kobiety z Opera Cafe czy też znużonej córki odwiedzającej chorą matkę. Nagle sobie uświadomiła, że nawet się nie orientuje, na co matka Simone jest chora, założyła po prostu, że to rodzaj demencji albo udar, ponieważ czuła, że nie powinna wypytywać.

- Co ci się przydarzyło, Simone?

Psychologowie rzadko zadają tego rodzaju pytania swoim pacjentom, ale Simone nie była jej pacjentką, poza tym Grace stwierdziła, że chce, musi wiedzieć, niewykluczone też, że dzięki tej rozmowie zyskają trochę czasu.

- Że teraz robię takie rzeczy? - Simone wzruszyła ramionami. - Lubię to. Czuję wtedy, że żyję.

- Nie mów jej o rzeczach, o których nie chcesz mówić - wtrącił Dooley.

Nadal ją chroni, zarejestrował w myślach Sam. Więc nie wszystko jest kłamstwem.

- To nie ma znaczenia - odrzekła Simone. - W końcu wszyscy wiemy, co będzie potem.

- Z nimi, nie z nami - powiedział Dooley.

- Z nami w sumie też. Przynajmniej na razie.

112

Martinez i Saul przejechali przed restauracją. Za późno na włamanie. Wszędzie pełno mundurowych.

- Szlag by to trafił. Jedź dalej - polecił Martinez.

Z jednej strony był wkurzony jak diabli, że policjanci go uprzedzili, sądził, że najpierw skupią się na domu Becketów, co pewnie dowodziło słuszności lekarskiej opinii, że nawet psychicznie nie jest jeszcze zdolny do pracy, a z drugiej się cieszył, że porwanie Sama i Grace zmobilizowało wszystkie siły. Tylko że strasznie chciał pomóc, coś zrobić.

Ale nie tutaj.

W sumie to dobrze, że Saul uparł się przy swoim samochodzie; początkowo Martinez skrzywił się na widok starego dodge'a pikapa, którym Saul woził me-

ble, ale teraz uznał, że przynajmniej mundurowi nie rozpoznają go z taką łatwością jak we własnym wozie.

Nie chciał, żeby go zatrzymali i kazali mu wracać do domu, to była ostatnia rzecz, na jakiej mu zależało.

- Co robimy? - zapytał Saul.

- Jedź, daj mi czas na zebranie myśli.

Tylko że wciąż miał papkę w mózgu, pewnie dom był jedynym miejscem, do którego powinien jechać. Na razie tam nie wróci, wykluczone. Po jego trupie.

113

- Jak długo jesteście razem? - zapytał Sam.

- Bardzo długo - odparł Dooley.

Na ekranie wciąż wyświetlał się niemy film, rzucając cienie na klatkę. Sam znowu usiadł, bo ta pozycja była mniej konfrontacyjna i dzięki niej zbliżył się do Grace, która nawiązała rozmowę, co było słusznym, w gruncie rzeczy jedynym wyjściem.

- Gdzie się poznaliście? - zapytała Grace.

W głowie jej się nie mieściło, że potrafi formułować pytania i kontrolować swoje reakcje nawet teraz, a z drugiej strony jeśli nagość wiązała się z władzą, to kontynuowanie tej rozmowy było czymś więcej niż tylko środkiem zdobycia informacji czy nawet odwlekaniem nieuchronnego.

Było sposobem wyrażenia oporu, jedynym, jaki w tej chwili im pozostał.

Zresztą wszystko wskazywało na to, że przynajmniej na razie mordercy chcą mówić.

- Oboje pracowaliśmy w restauracji w Naples - odpowiedział Dooley. - Raz, późno w nocy, kiedy wszyscy już poszli, znalazłem Simone na zapleczu. Robiła sobie krzywdę. Cięła się nożem... Oto, co jej zrobili.

- Kto? - zapytała Grace. Chętny do mówienia okazał się raczej Dooley, nie Simone. Albo czuł potrzebę wyrzucenia z siebie wszystkiego, albo po prostu mu to odpowiadało.

- Kto jej to zrobił?

- Idealna para. Celine i Dougie Reganowie. Jej cudowni rodzice.

- Byli bardzo utalentowani - dodała Simone. - Mieli restaurację w Sarasocie. Wszyscy ich uważali za wspaniałą, czarującą parę, bardzo się kochali i byli piękni.

- Tak piękni, że torturowali własne dziecko.

- Tortury to mocne słowo.

- Oblewali ją wrzątkiem, przypalali - ciągnął Dooley.

- Czasami tylko bili garnkami. Zawsze robili to razem.

- Raz uderzyli mnie tak mocno, że musiałam leżeć w szpitalu.

- Nie zostali ukarani? - Sam dołożył starań, by w jego głosie nie zabrzmiał cynizm, chociaż słowa tej dwójki wydawały mu się kłamstwem; zastanawiał się, ile już wiedzą Alvarez, Riley i zespół, bo jeśli Cathy nic się nie stało i mogła wszystko im opowiedzieć, teraz już znają nazwiska porywaczy.

- Nikomu o tym nie powiedziałam. Nikt by mi nie uwierzył.

- Dlaczego nie? Ja ci wierzę - powiedziała Grace. Simone prychnęła pogardliwie.

- Wolałam uciec. Wsiadłam do autobusu do Naples i nauczyłam się, jak sobie radzić.

- Dzięki pracy i marzeniom - dodał Dooley i spojrzał na Grace. - Myślę, że chciałabyś wiedzieć, co to za marzenia.

- Tylko jeśli Simone będzie chciała mi powiedzieć. Grace przyjęła ich zasady, w pełni świadoma, że się z nią

bawia, mimo to spokojnie kontynuowała, i Sam nie po raz pierwszy poczuł wielki podziw dla żony.

- Ojej, jaka taktowna psycholożka - skomentował Dooley.

- Nie wszyscy są tacy cierpliwi.

- Ja chętnie posłuchałbym o marzeniach Simone - odezwał się Sam.

- Na początku nie chciała mi się zwierzyć, ale byłem wobec niej delikatny i zaczęła się przede mną otwierać. Powiedziała, że gdybym poznał jej myśli, uciekłbym gdzie pieprz rośnie, wziąłbym ją za wariatkę, ale odparłem, że sam też mam „myśli” (a przy okazji, to prawda, tak na wypadek, gdybyście uważali, że ją wykorzystywałem), choć nigdy nie spotkałem nikogo, z kim mógłbym tak rozmawiać jak z nią.

- Powiedział, że jesteśmy sobie przeznaczeni. -1 miałem rację, no nie?

- Zawsze masz rację.

Znowu czułość, może prawdziwa, przyznawał w duchu Sam, choć teraz każda wymiana zdań pomiędzy tymi dwojgiem sprawiała, że włosy stawały mu dęba.

Udał, że kaszle, wykorzystał drobne napięcie mięśni, by znowu szarpnąć za łańcuch.

- Możesz ciągnąć, wielkoludzie - powiedział Dooley.

- Kupiłem najmocniejszy.

- Trudno mieć pretensje do człowieka, że próbuje - odparł Sam.

- Znudziłeś się? - zapytała nagle Simone ostro. - Znudziła cię moja opowieść?

- Wydaje mi się, że masz rację - powiedział Dooley.

Zrobił dwa kroki w stronę klatki i Grace doświadczyła nowej fali przerażenia. Była pewna, że tamten wejdzie do klatki i ukarze Sama.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie ty udawałaś kaszel - zauważył Dooley.

Sam patrzył poprzez pręty na jego buty i nagle złapał się na tym, że w myślach nakazuje mu, żeby wszedł do środka, bo jeśli ten sukinsyn zbliżyłby się na zasięg ramienia, mógłby go złapać, powalić na ziemię.

- Na twoim miejscu nawet bym o tym nie myślała - odezwała się Simone.

Sam i Grace milczeli.

Dooley stał w miejscu i uśmiechał się.

- Musicie poważnie traktować tę panią - oświadczył. Sam utkwiał w nim nieruchomy wzrok.

- Ależ myją tak traktujemy - powiedział.

114

Martinez i Saul siedzieli w pikapie przed domem, w którym mieszkał Saul.

-I co teraz? - zapytał Saul. Czuł, jak znowu się zaczyna.

Wraca cierpienie spowodowane tym, co już się wydarzyło.

Co jeszcze może się stać, co może dzieje się w tej chwili. Był beużyteczny. Wróciło cierpienie po stracie Tete. Kochał ją i kochał też Grace, ale najważniejszym człowiekiem w jego życiu był starszy brat.

- Co robimy? - powtórzył.

- Mogę zrobić tylko jedno - odparł Martinez, wyczuwając jego udrekę. - Dołączyć do zespołu, dopilnować, żebyśmy ich szybko znaleźli.

- A jeśli ci nie pozwolą?

- Na pewno pozwolą.

Patrząc na niego, Saul mu wierzył.

- Czujesz się dobrze? - zapytał.

- Dobrze poczuje się dopiero wtedy, kiedy przywiozę Sama i Grace do domu.

115

- Matka Simone jest w domu opieki - odezwała się nagle Cathy.

Wciąż była z detektyw Riley na posterunku.

Pozostali wyruszyli w teren, nie mając pojęcia, gdzie szukać, i Beth siedziała jak na szpilkach, bo chciała być z nimi, ale Alvarez kazał jej zostać z Cathy, na wypadek gdyby dziewczyna coś sobie przypomniała.

I nieoczekiwanie tak się stało.

Może coś z tego będzie, powiedziała do siebie Riley.

- Grace podwiozła ją tam w zeszły... - Cathy zamknęła oczy, wyężając pamięć.

- W zeszły poniedziałek. Simone miała migrenę.

- Miewa fatalne migreny? - Riley zrobiła notatkę. Cathy skinęła twierdząco głową.

- Przynajmniej tak mówi. - Na moment położyła dłoń na oczach, szukając w pamięci szczegółów. - Grace przyszła do restauracji w poniedziałek po południu, przyniosła kwiaty, żeby podziękować im za kolację, którą pomogli mi przygotować kilka dni wcześniej, a ja powiedziałam Grace, że samochód Simone jest w warsztacie...

- Jaki ma samochód?

- Nie pamiętam, rzadko go widywałam. - Cathy pokręciła głową, wściekła na siebie. - Wiem, że był czerwony i mały.

- Znowu zamknęła oczy. - Dwudrzwiowy. Ale nie znam marki, przykro mi.

- Wiesz, z jakiego warsztatu korzysta?

- Nie. - Cathy dłonią zaciśniętą w pięść uderzyła się w udo.

- Boże, jestem zupełnie do niczego.

- Wręcz przeciwnie, doskonale ci idzie - zapewniła ją Riley. - Opowiedz mi o tym popołudniu.

Cathy nabrała powietrza i podjęła opowieść:

- Później Grace opowiadała, że dom sprawiał miłe wrażenie, a recepcjonistka mówiła, że Simone jest cudowną córką. - Gorzko zacisnęła usta. - Cudowną.

- Czy Grace wymieniła nazwę domu?

- Nie, ale wiem od Simone, że to gdzieś przy przecznicy Indian Creek Drive, w sumie niedaleko restauracji.

- Nigdy nie wymieniła nazwy?

- Nie pamiętam... - Cathy zastanowiła się przez chwilę.

- Chociaż Mildred może coś wiedzieć. Tamtego dnia opiekowała się Joshua, więc na pewno była w domu, kiedy Grace wróciła.

Riley już wybierała numer Davida Becketa. Trzy minuty później знаła nazwę.

- To Dom Opieki imienia Jamesa L. Burridge'a - oznajmiła Mildred. - Zapytałam Grace o nazwę, bo dom wydał mi się przyjemny, a nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś może szukać takiego miejsca.

- Burridge - powtórzyła Beth. - Jest pani pewna, pani Bleeker?

- Jestem. Mam nadzieję, że to pomoże.

Alvarez wrócił na posterunek, kiedy Riley drukowała adres.

- Cathy podała nam informację - wyjaśniła, biorąc wydruk z drukarki. - Matka Regan jest w domu opieki.

- Jedziemy - polecił sierżant. Cathy wstała.

- Mogę jechać z wami?

- Obawiam się, że nie - odparł Alvarez.

- Odwieziemy cię do doktora Becketa - powiedziała Riley.

- To będzie strata czasu - sprzeciwiła się Cathy - a poza tym nie chcę siedzieć u Davida i udawać, że nie tracę zmysłów.

- Jestem pewna, że doktorowi twoje towarzystwo dobrze zrobi - odrzekła Beth.

Już byli na schodach, Alvarez szedł pierwszy szybkim krokiem.

- David ma Mildred, Saula i Joshuę - upierała się Cathy. - A nigdy nie wiadomo, może jeszcze coś mi się przypomni.

- No dobrze - zgodził się Alvarez - ale musisz dać słowo, że w domu opieki będziesz trzymała buzię na kłódkę, w przeciwnym razie zamkniemy cię w samochodzie.

- To byłoby wbrew prawu - stwierdziła Cathy.

- Więc pozwij nas do sądu - odparła detektyw Riley.

116

Grace dygotała, zła na siebie, że okazuje słabość, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Proszę - spróbował jeszcze raz Sam. - Grace naprawdę zmarła. Nie moglibyście znaleźć dla niej jakiegoś okrycia?

- Jeśli się martwisz, że się przeziębisz, to niepotrzebnie - powiedziała Simone.

- Ach, co tam, do diabła - odezwał się Dooley. Została w nim resztką człowieczeństwa, zastanawiał się Sam, czy może nawet wstydu.

A więc także cień nadziei dla nich.

Dooley wycofał się w mrok poza światło żarówki i po chwili wrócił, trzymając coś w ręce.

Wyjął klucze z kieszeni kombinezonu.

- Jesteś pewien? - zapytała Simone.

- Dla nas nic to nie zmieni.

Sam zobaczył, jak Simone wzruszyła ramionami, więc może rzeczywiście on jest szefem, chociaż wcześniej powiedział, że to jej „fantazja”; zanotował tę obserwację w myślach, bo każdy najdrobniejszy nawet szczegół mógł im obojgu pomóc.

Drzwiczki się otworzyły, do środka wszedł Dooley.

W lewej dłoni trzymał brudny biały ręcznik.

Kiwnął głową do Simone, która także weszła do klatki.

- Daj jej to - powiedział, podając ręcznik swojej współpracownicy. Sam zastanawiał się, czy jest w tym geście odrobina przyzwoitości, czy ich „przyjaźń”, choć była przecież monstrualnym oszustwem, nie utrudnia jednak sprawy Dooleyowi? A może wbrew sobie Dooley szanuje Grace, może jego sympatia do Cathy po części jest prawdziwa. Sam starał się nie myśleć o skutkach, jakie dla jego przybranej córki będzie miało to zdarzenie, choć przecież to on, nie ona, wpuścił tych ludzi do życia ich rodziny.

Simone rzuciła ręcznik Grace na kolana, szybko się cofnęła.

Sam pomyślał, że jest teraz bardziej zdenerwowana, niż była przed chwilą; teraz jej zielone oczy wydawały się czarne.

- Dziękuję. - Grace okryła piersi ręcznikiem i utknęła końce pod pachami, zabraniając sobie myśleć, co wcześniej nim wycierano, krew albo...

Dosyć.

- Dziękuję - powiedział Sam.

- Simone, co się stało z twoim ojcem? - zapytała Grace. - Jeśli oczywiście chcesz o nim mówić.

- Umarł.

Sam się zastanawiał, czy tych dwoje nie zamordowało drania, ale wiedział, że lepiej o to nie pytać, aczkolwiek było jasne, że nie zrobili rzeczy oczywistej, nie uczynili rodziców Simone swoją pierwszą „parą”.

-I wtedy twoja matka przyjechała do Miami? - pytała dalej Grace.

- O tak. Kiedy potrzebowała opieki.

-I ty się nią zaopiekowałaś - stwierdziła Grace neutralnym tonem.

- Lepiej niż ta suka zasługiwała - powiedział Dooley.

- Co jej się stało?

- Cierpi na starczą demencję. Grace odczekała chwilę.

- Chciałabym usłyszeć o twoich marzeniach - powiedziała ostrożnie.

Sam uświadomił sobie, że jego żona wciąż czepia się krótkotrwałego rozejmu, a potem zobaczył, jak Simone spogląda na swojego partnera, wyraźnie czekając na jego decyzję.

- Jej marzenia dotyczyły ukarania rodziców - wyjaśnił Dooley.

-I ukarałaś ich? - zapytał Sam.

Miał nadzieję, że będzie lepiej, jeśli on zada to pytanie, bezpieczniej dla Grace.

Simone w milczeniu oparła się o klatkę.

- Nie miała okazji - wyjaśnił w jej imieniu Dooley. - Stary umarł, a Celinę zachorowała, więc Simone musiała to zaakceptować.

- Jest tyle idealnych par - odezwała się Simone. - Nienawidziłam ich wszystkich.

Teraz znowu zabrał głos Dooley:

- Problem w tym, że nienawidziła siebie za te uczucia, czuła, że jest zła, skoro chce skrzywdzić tych ludzi, i dlatego krzywdziła siebie.

Klasyczny przykład, pomyślał Sam, może nawet za bardzo podręcznikowy; zazrykował zerknięcie na Grace i wyczuł, że ona to kupuje, więc jeśli dla niej było dostatecznie dobre...

Zresztą nic poza tym nie mieli.

- I ty pomogłeś jej zrobić następny krok? - zwróciła się Grace do Dooleya.

- Matt uświadomił mi, że urzeczywistnienie marzeń to jedyny sposób na uwolnienie się od tych emocji - powiedziała Simone.

- Miał rację? - zapytała Grace. - To ci pomogło?

- Matt pomógł mi zrozumieć, że jestem do tego stworzona. - Simone nie udzieliła odpowiedzi wprost. - Mówił, że wcale nie jestem zła, bo on też takich ludzi nienawidzi, nie potrafi znieść ich próżności, nieomylności.

Innymi słowy socjopaci, pomyślał Sam. Para cholernych socjopatów, których los ze sobą zetknął. Wzajemnie się nakręcali. Regan po części jest ofiarą, najpierw rodziców, potem Dooleya zachwyconego, że znalazł uległą partnerkę, którą może kontrolować, Sam spotykał takich ludzi, przeczytał o nich całe tomy.

Gra, w którą grało tych dwoje, musiała być prowokacja, może Dooley także czerpał z niej siły, może dlatego prowadzili swoją kampanię strachu w taki dziwny sposób - a gra jest podstawową formą działania w przypadku wielu seryjnych morderców.

- Teraz rozumiem, dlaczego tak, a nie inaczej eksponowaliście zwłoki - powiedział.

- Mądrała z ciebie - odparł Dooley.

- Bardzo sprytne - ciągnął Sam. - Gastronomia połączona z mylącymi aluzjami do sztuk pięknych.

- Nam się to podobało - powiedziała Simone.

- Ale skąd wzięła się idea ekspozycji? - zapytała Grace.

- Bo żaden protest nie ma sensu, jeśli nikt się o nim nie dowie - wyjaśnił Dooley. - Nie ma sensu zabijać ludzi i grzebać ich w ukryciu. - Uśmiechnął się do Grace. - Inni muszą to zobaczyć, prawda?

- A klej? - zapytał Sam, choć sądził, że zna odpowiedź, ale im dłużej tamci gotowi byli mówić, tym lepiej.

- Na zawsze razem - odparła Simone.

- Jak w piosence - dodał Dooley.

- Wszystkie te kochające się, szczęśliwe, zadowolone z życia pary. Rozmawialiśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że oni wszyscy chcieliby w taki sposób zakończyć życie.

Grace poczuła znowu, że zrobi jej się niedobrze.

Zastanawiała się, w jaki sposób połączą ich, jeśli odsiecz nie nadejdzie w porę.

Przypuszczalnie skórą. Brąz z bielą.

I może Simone jednak miała rację, ponieważ Grace wolałaby przez wieczność trzymać Sama za rękę, niż żyć bez niego.

Tylko co by się stało z Joshua?

Przełknęła, starając się zapanować nad rozpaczą, i z wysiłkiem uśmiechnęła się do Sama, choć zaraz sobie uświadomiła, że tamci mogą to przeciwko nim wykorzystać.

Ostrożnie.

Stan Celine Regan nie pozwalał na rozmowę.

Norman Gardner, kierownik domu, oświadczył to Alvarezowi na wstępie, choć potem dał się namówić, żeby Beth Riley przekonała się na własne oczy.

Wróciła na parter po niecałych dziesięciu minutach.

- Beznadziejne - powiedziała.

Gardner podał im dwa telefony kontaktowe, które zostawiła mu Simone Regan, jeden do Opera Cafe, drugi na jej komórkę.

Komórki nikt nie odbierał, nie zgłaszała się poczta głosowa, a namierzenie obecnej lokalizacji telefonu wcale nie zakończyło się szybkim sukcesem, jak to bywa w filmach. Najpierw trzeba pokonać mnóstwo przeszkód, a otrzymanie sądowego nakazu na sprawdzenie telefonu komórkowego trwa jeszcze dłużej niż uzyskanie nakazu rewizji.

Poza tym nikt nie zamierzał się zakładać, że Simone Regan korzysta w tej chwili z komórki.

Cathy, która aż do tej pory milczała, uprzedziła Alvareza i Riley, zadając następne pytanie:

- Gdzie przedtem mieszkała pani Regan?

- Nie mam pod ręką tej informacji - odrzekł Norman Gardner, po czym zwrócił się do Alvareza: - A nawet gdybym miał, naruszyłbym prawo do prywatności pacjentki, gdybym wam to wyjawiał.

- A jej lekarz? - zapytała Riley. - Może on ma adres.

- Niekoniecznie, jako że pani Regan przebywa u nas od dawna - odrzekł Gardner. - Zresztą przypuszczalnie wysunie te same obiekcje.

- Ale i tak spróbujemy - oświadczył Alvarez.

- Proszę, niech pan się pośpieszy - wtrąciła Cathy.

- Podam wam numer - powiedział Gardner.

118

Sam podejrzewał, że czas pytań dobiega końca.

Simone wciąż opierała się o pręty, ale Dooley zaczął krążyć po klatce. Nie okazywał na razie zniecierpliwienia, Sam wiedział jednak, że tych dwoje tylko do pewnego momentu będzie uczestniczyć w rozmowie.

Wątpił, by Eastermanowie oraz pozostali mogli się cieszyć takimi „przywilejami”, i miał nadzieję, że śmierć przyszła do nich szybko, bo teraz lepiej niż przedtem rozumiał, jak straszliwe przerażenie było ich udziałem.

- A jak wybieraliście pary? - zapytał.

- Goście - odparła krótko Simone.

- Czyli co, po prostu szczęśliwi ludzie, którzy przychodzili do restauracji? - Grace musiała dołożyć starań, by w jej tonie nie zabrzmiała odraza. Trudno jej było wprost pojąć tego rodzaju przypadkowe okrucieństwo.

- Mniej więcej tak. Pozwalałem Simone wybierać - wyjaśnił Dooley.

Becket pomyślał o Jess Kowalski i jej satysfakcji z faktu, że miała pełną kontrolę nad sznurami, o czym mówił mu Martinez.

Tu też chodziło o władzę. Dooley kierował Simone, dawał jej swoje błogosławieństwo, pozwalał wybierać ofiary, a potem we dwoje sprawowali nad nimi całkowitą władzę.

Teraz mieli władzę nad Samem i Grace.

- To musieli być goście, którzy przychodzili do was, zanim Cathy zaczęła pracować - zauważył Sam. Wiedział, że to prawda, w przeciwnym wypadku widząc ich fotografie w mediach, pierwsza odkryłaby prawdę.

I znalazłaby się w większym niebezpieczeństwie od tego, które dotąd jej groziło.

- My jesteśmy wyjątkiem - powiedziała Grace. Dooley kiwnął głową.

- Wy jesteście wyjątkiem - powtórzył.

- Choć nie aż takim - odezwała się Simone. - Od Cathy słyszeliśmy więcej o Grace i Samie, najwspanialszym małżeństwie na świecie, niż o którejkolwiek z pozostałych par.

- A ja prowadziłem śledztwo - dodał Sam.

- Jasne - zgodził się Dooley. - Co znaczyło, że prawdopodobnie właśnie ty nas zdemaskujesz, jeśli będziesz miał dość czasu. - Wzruszył ramionami. - Choć wcale tak świetnie ci nie szło.

- Ale Matt powiedział, że z tego powodu będziecie z całą pewnością naszym ostatnim przedsięwzięciem w Miami - dodała Simone.

- Planujecie wyprowadzkę? - zapytał Sam.

- Po was nie mamy innego wyjścia - odparł Dooley.

Doktor Richard Massey, lekarz matki Simone Regan, leżał w łóżku z grypą, jak oznajmiła jego gosposia Maria Rodriguez, która nie zgodziła się obudzić swojego pracodawcy, bo potrzebny mu był odpoczynek.

Alvarez nie marnował dłużej czasu i zawiadomił Toma Kenned/ego, który natychmiast zadzwonił do pani Rodriguez.

- Albo w tej chwili poprosi pani doktora Massey'a do telefonu, albo pani i doktor dostaniecie wezwanie do sądu. Na wypadek gdyby pani nie rozumiała, oznacza to, że jeśli nie zrobicie tego, o co prosimy, możecie iść do więzienia - oznajmił kapitan. - *Prision. La carcel.*

- Do więzienia? - powtórzyła przerażona Maria Rodriguez.

- Niech pani poprosi doktora.

W niecałe trzy minuty lekarz odebrał i przeprosił za zwłokę, wyraźnie zły na gosposię, że kazała czekać policji.

- Adres jest w kartotece - powiedział - ale pani Regan od dłuższego czasu przebywa u Burridge'a, niewykluczone więc, że dom został sprzedany albo wynajęty. - Zawahał się.

- Pamiętam, że kilka miesięcy temu uciekła, choć nie wiem, gdzie się zaszyla.

- Czy to możliwe, że pamiętała swoje poprzednie mieszkanie?

- Owszem, możliwe.

- Wróciła z własnej woli?

- Przywiozła ją córka. Niestety, potem stan chorej bardzo się pogorszył. W tamtym okresie odwiedziłem ją kilka razy, bo nie mogła się uspokoić i była bardzo dezorientowana.

- W jakim sensie? - zapytał Kennedy.

- Miała obsesję na punkcie uwięzienia - odparł Massey. - Mówiła, że kiedy była niegrzeczna, córka zamykała ją w klatce. Wiedzieliśmy, że to demencja, ponieważ u Burridge'a wszyscy mają o Simone doskonałą opinię.

- Potrzebny nam adres.

- Jest w moim gabinecie. Musiałbym...

- Potrzebujemy go teraz - przerwał Kennedy. - Życie dwojga przyzwoitych ludzi od tego zależy, doktorze Massey.

Nie bez powodu był kapitanem.

120

Grace znowu się trzęsła.

Nienawidziła się za to, ale nie potrafiła zapanować nad tą reakcją, poza tym musiała się wysiusiać, choć wolałaby umrzeć, niż zrobić to na oczach morderców.

I może tak się stanie.

Przynajmniej Joshua będzie miał cudowną rodzinę, a jest jeszcze na tyle mały, że dorastając, ledwo będzie zdawał sobie sprawę z braku rodziców.

Ale nie Cathy.

Podobnie jak Sam Grace nie mogła znieść myśli o tym, jak ta sprawa wpłynie na Cathy.

Ta młoda kobieta od dzieciństwa nie miała spokojnego życia, więc gdyby nadarzyła się okazja, Grace wydrapałaby oczy mordercom.

- Mojej żonie jest zimno - powiedział Sam.

- Przykro mi - odparł Dooley i wsunął prawą rękę do tylnej kieszeni.

Wyjął średniej wielkości nóż w skórzanej pochwie.

To żadna cholerna szabla ani athame, zauważył Sam, chociaż nie widział ostrza. Nie chciał go widzieć; jego umysł policjanta zżymał się, wspominając czas zmarnowany na zajmowanie się czarną magią z powodu chorych bredni Beatty'ego i Moore.

Chociaż to nie była ich wina, że nie dostrzegali tego, co przez cały czas miał pod nosem. Popełnił błąd jako detektyw, ojciec i mąż, oceniając tę parę łotrów po pozorach, bo jeśli ktoś powinien był się zorientować...

Wpatrywał się w futerał noża, mając przed oczami poprzednie ofiary. Spojrzał na Grace i pojął, że nie jest w stanie znieść myśli, że ją również spotka tak okrutny los.

- Na miłość boską - powiedział do Dooleya.

- Bóg nas nie kocha - odparła Simone.

- Gdzie nas zostawicie? - Głos Grace był zachrypnięty, usta i gardło miała wysuszone. - Na pewno już to ustaliliście.

- Oczywiście - potwierdził Dooley.

- Zastanawiam się, czego jeszcze nie wykorzystaliście - powiedział Sam. - Nie wydaje mi się, żeby produkowali garnki na nasz rozmiar, nawet jako eksponaty, chociaż może trafiliście gdzieś na stare filmowe rekwizyty.

- Nasze rozwiązanie jest o wiele prostsze - oznajmił Dooley.

- I nie trzeba daleko chodzić - dodała Simone. Zaczynało brakować czasu.

- Mam jeszcze kilka pytań - powiedział Sam. - Dla was to żadna różnica, skoro sprawa jest prawie skończona.

- Możesz spróbować - odparł Dooley.

- Jak rozpracowaliście drugą parę? Rozumiem, że dostarczyliście kolację do mieszkania Dupreza, ale co dalej?

- Trafne pytanie. - Na twarzy Dooleya malowała się satysfakcja. - Cieszy mnie, że do tego nie doszliście. To znaczy, że wykonaliśmy dobrą robotę. - Wzruszył ramionami. - Spodziewaliśmy się, że Price zostanie u niego na noc, ale mieliśmy plan zapasowy, gdyby wyszła, zanim facet zaśnie.

- Jechałam za nią vanem. - Simone zaczęła zdradzać oznaki zniecierpliwienia, jakby pragnęła, by wreszcie z nimi skończyć. - To nie było trudne, bo sama wysiadła, więc obezwładniłam ją w garażu, zabrałam do mieszkania i czekałam.

- A ty czekałeś, aż Duprez zaśnie... - Sam spojrzał na Dooleya. - Albo powiedziałeś mu, że przyszedłeś po naczynia, i wpuścił cię do mieszkania.

- Jasne, że wpuścił. Powiedziałem, żeby odpoczął, póki nie posprzątam, dał mi napiwek, pochwalił, że porządny ze mnie gość, nawet przeprosił, że zasnął.

- A potem? - Sam podsyczał próżność Dooleya, gotów zrobić wszystko, byle zyskać na czasie, poza tym jako detektyw chciał poznać fakty. - Sprowadziłeś go do garażu, wsadziłeś do jego samochodu.

Dooley pokiwał głową.

- Tamten facet widział, jak wyjeżdżałem, no nie? Ale nie potrafił podać wam rysopisu.

- Niestety nie - przyznał Sam.

- Już czas - odezwała się Simone. Sam poczuł, jak puls mu przyspiesza.

- Jeszcze trochę - powiedział. - Uznajcie to za uprzejmość... Duprez siedział po stronie pasażera czy wepchnąłeś go do bagażnika?

- Do bagażnika. W garażu nie było nikogo, co ułatwiło sprawę, ale gdyby ktoś nas zobaczył, powiedziałbym, że biedak zachorował.

-I pojechałeś do domu Elizabeth.

- Wyprowadziliśmy jej auto z garażu - włączyła się Simone. - Na to miejsce postawiliśmy vana, podjechaliśmy bmw, przenieśliśmy Dupreza do vana, skończyliśmy sprzątać, wsadziliśmy ją do vana, zaparkowaliśmy jej samochód w garażu, koniec historii.

- Reszta wydarzyła się tutaj - powiedział Dooley. Pogładził rękojeść noża.

Ich czas szybko się kończył.

- A co z piaskiem? - zapytał Sam, zmieniając temat. Dooley znowu wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Wpadłem na ten pomysł dopiero przy numerze drugim, ale założę się, że dałem wam popalić.

- Jasne - potwierdził Sam. - Jeszcze jedno pytanie.
- Żadnych pytań - odparł Dooley.
- Z czego korzystacie, z łóżka szpitalnego, wózka czy czegoś innego?
- Z łóżka - wyjaśnił Dooley. - Chcesz je obejrzeć?
- Chętnie - powiedział Sam.
- Fatalnie - stwierdziła Simone.

Kiwnęła głową do Dooleya, a ten wyjął nóż z pochwy.

121

Zaczął się.

Cathy nie mogła brać w tym udziału, niemal siłą wsadzono ją do wozu policyjnego i dostarczono - „jak paczkę”, skarżyła się bez końca - do Golden Beach, żeby czekała tam z Davidem i resztą rodziny.

Co nie znaczy, że nie rozumiała konieczności takiego działania.

Najważniejsze było to, że akcja się zaczęła.

Zmobilizowano wszelkie dostępne siły i teraz oddziały policji, wzmocnione oddziałem SWAT, kierowały się do domu przy East Meridian Avenue w North Miami, gdzie wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zostali uwięzieni detektyw z wydziału zabójstw w Miami Beach i jego żona, którym w każdej chwili groziła śmierć z rąk dwojga głównych podejrzanych w sprawie Par.

Zastosowano największe środki ostrożności.

122

Detektyw Martinez także wyruszył na East Meridian.

Nie zamierzał jechać na posterunek, to była tylko sztuczka mająca na celu pozbycie się Saula, bo dobrze wiedział, że nikt z wydziału się nie zgodzi, by chory policjant brał udział w akcji.

Siedział więc w swoim samochodzie, słuchał radia i układał plan. Zdawał sobie sprawę, że obecna kondycja fizyczna ledwo pozwala mu na wyjście na podwórko, a co dopiero mówić o wygrzebaniu starego munduru bojowego SWAT, który sobie sprawił, kiedy jeden jedyny raz zgodził się pójść na bal kostiumowy. Nie wspominając już o przypięciu pasa z glockiem i pojechaniu na miejsce zbrodni. Ale Samowi i Grace groziło największe możliwe niebezpieczeństwo i Alejandro Martinez czuł, jak adrenalina krąży mu w żyłach.

Saul także chciał jechać na posterunek.

- Jeżeli się tam pokażesz, to na pewno nie pozwolą mi się włączyć - powiedział Martinez.

- Uważasz, że będę przeszkadzał.

Przyjmując rozsądne argumenty detektywa, Saul pojechał do Golden Beach, żeby czekać tam z rodziną, może zmówić modlitwę.

Martinez nie był pewien, co właściwie zastanie na miejscu i co, do diabła, chce tam zrobić.

Miał wielką nadzieję, że będzie obserwował i czekał, aż prawdziwi gliniarze załatwią sprawę jak trzeba.

A jeśli im się nie uda, jeśli pozostanie tylko jedno do zrobienia i on będzie w stanie to zrobić, nie zawaha się nawet przez sekundę.

Nic poza kulą go nie powstrzyma.

Sam widział teraz ostrze noża.

Jedno-, nie dwustronne. Przypuszczalnie to nóż z restauracji.

Jakby to cokolwiek zmieniało.

Spojrzał na Grace, nade wszystko pragnąc ją objąć, i w jej pięknych błękitnych oczach dostrzegł tę samą rozpaczliwą potrzebę.

Odwrócił się do Dooleya.

- Nie odpowiedziałeś na pytanie, co zaplanowaliście dla nas.

- Daj spokój - odparł Dooley.

- Lodówka - odezwała się nagle Grace. Jakby brali udział w quizie.

- Ciepło - powiedziała Simone.

- Chłodnia? - zasugerował Sam.

- Otrzymuje pan pierwszą nagrodę - skomentował Dooley.

-I jeszcze jedno. To już ostatnie pytanie.

- Żadnych więcej pytań - odparł Dooley. Nóż połyskiwał słabo w świetle żarówki.

- W porządku, Matt - odezwała się Simone. - Chciałabym je usłyszeć.

Sam znowu spojrzał na Grace, modląc się, by nie zabrakło jej sił. Kochał ją bardziej niż kiedykolwiek, choć wcześniej wydawało się to niemożliwe. Widział, że ona tę miłość odwzajemnia, i myślał, że to powinno wystarczyć, że powinien być wdzięczny za dary, jakie w życiu otrzymał, i rzeczywiście był, ale jak każdy człowiek, chciał dostać więcej.

Dużo więcej.

- Mówiłeś: „Na zawsze razem”. - Żołądek mu się ścisnął.

- Chodzi o klej.

- Chce wiedzieć, jakimi częściami ciała ich połączymy - wyjaśniła Simone.
- Widać było wyraźnie, że ta chwila sprawia jej przyjemność.
- W waszym przypadku łatwo to odgadnąć - odrzekł Dooley. Grace wiedziała, że miała rację.
- Skóra - powiedziała.
- Teraz nagrodę otrzymuje ta pani - oświadczył zabójca.
- A co z ostatnim życzeniem? - zaryzykował Sam.
- Zależy, co nim jest - odparł tamten.
- Chciałbym ostatni raz objąć żonę.
- Jasne, że chciałbyś - zgodził się Dooley.
- Tylko że musielibyśmy was rozkuć - wtrąciła Simone - a wtedy rzuciłbyś się na nas jak wielki policyjny macho i mogłoby się zrobić nieprzyjemnie.
- Przykro mi - powiedział Dooley. - Ostatnie słowo zawsze należy do Simone.
- Dziękuję ci - odparła współpracowniczka.

Wszyscy zajęli pozycje, w tym także snajperzy i obserwatorzy, którzy rozlokowali się na dachach sąsiednich domów.

Większość mieszkańców ewakuowano, choć dopiero po tym, jak właścicielka z domu po lewej, niejaka Miriam Guam, zwięźle i kompetentnie opisała im miejsce, w którym mordercy zapewne przetrzymują Becketów.

Pięć sąsiednich domów miało werandy zbudowane w tym samym czasie, ale na posesji pani Regan mniej więcej półtora roku temu przeprowadzono dodatkowe prace. Obudowano wówczas werandę białymi pustakami.

Miriam Guam pokazano fotografie Simone i Dooleya.

- On to jeden z budowlanców, a ona to córka - oświadczyła bez zastanowienia.

Niestety, jak ustalono, drzwi do zabudowanej werandy były jedynym potencjalnie „czystym” punktem wejścia i policjanci zamierzali tam się dostać przez tylne podwórko, najpierw zajmąwszy dom.

Wszystko wskazywało na to, że albo się spóźnią, albo zdążą na ostatnią chwilę.

Komendant Thomas G. Grove wydał ostatnie rozkazy.

Nie było możliwości oddania czystego strzału z zewnątrz.

Musieli jak najszybciej wkroczyć do środka. Natychmiast.

125

- Policja! Odłóż broń!

Oddział SWAT bez przeszkód przebiegł przez pusty dom na dziedziniec w niemal absolutnej ciszy, wyłamał drzwi od werandy i wpadł do środka, krzycząc i oślepiając obecnych w środku jaskrawym światłem.

Antyterrorysty próbowali oddać czysty strzał do któregoś z podejrzanych.

- Nie strzelać! - Na wpół oślepiony Sam próbował przekrzyczeć wrzaski.

Wcześniej dostrzegł, że Dooley podnosi Grace, a teraz przyciskał ją do siebie, trzymając na jej gardle nóż. Z rany sączyła się krew.

- Nie strzelać! - wrzasnął ponownie Sam. - On ma moją żonę!

Grace stała bez ruchu, z nogą wciąż przykutą do klatki, prawą dłonią ściskając brudny ręcznik, którym się okryła.

Sam miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi.

Simone padła na kolana, wlepiając wzrok w twarz Dooleya, który stał tyłem do ekranu.

Film wciąż się wyświetlał.

Agenci z oddziału SWAT nie patrzyli na ekran, oczy mieli utkwione w celach.

- Jak zastrzelicie Simone, to poderżnę tej kobiecie gardło - ostrzegł Dooley.

- To już koniec, Matt - powiedział Sam. - Wiesz o tym.

- Będzie koniec, kiedy ja tak powiem. Zasłania mnie ta miła, dobra, prawie naga kobieta, a jeśli któryś spieprzy sprawę i zmusi mnie, żebym ją zabił, to jej przystojny i goły mąż zamieni mu życie w piekło na ziemi.

- Oni poczekają - odparł Sam.

- Aż się zmęczone, tak? - Dooley pokręcił głową. - Ale wtedy zastąpi mnie Simone. Możemy długo tak się bawić.

- Po co? - zapytał Sam. - Koniec będzie taki sam.

- Rzecz w tym, że to nasza gra, nie wasza - oznajmił Dooley.

- Na miłość boską, bądź rozsądny - powiedział Sam. Ze wszystkich sił starał się nie patrzeć na ekran za mordercą.

Przed kilkoma sekundami dostrzegł tam przesuwany się cień. Nie miał pojęcia, kto to może być, ale intuicja podpowiadała mu, że to bez znaczenia, a cień jest jedyną szansą dla Grace.

Jeśli zdoła trafić Dooleya prosto w jego przeklęty łeb.

Strzał odbił się echem w głowie ogarniętego paniką Sama. Dooley stał przez sekundę, która ciągnęła się wieczność. Najpierw wypuścił z dłoni nóż. Potem upadł, ciągnąc za sobą Grace. Całą i zdrową.

- Matt! - Simone rzuciła się ku niemu, sięgnęła po nóż. - Matt!

Sam nie potrafił zliczyć, ile pocisków trafiło w nią jednocześnie.

Był wdzięczny za każdy.

126

Wciśnięty pomiędzy ścianę z pustaków a starą siatkę na owady Alejandro Martinez (fałszywy mundur bojowy SWAT pozwolił mu wejść na dziedziniec z oddziałem, choć przypuszczalnie będzie też powodem, dla którego jeszcze dzisiaj go aresztują) dygotał gwałtowniej niż wtedy, kiedy z wysoką gorączką leżał w szpitalu.

Zaraz po wkroczeniu do przybudówki intuicja kazała mu odłączyć się od od-
działu. Nikt go nie zatrzymywał, kiedy wsunął się w wąską lukę, którą z dziwną
jasnością umysłu zauważył po prawej ręce.

TLR

To był cud albo największy ze wszystkich horror.

Jeśli w ciągu następnych dwóch sekund nie przekona się, że Sam i Grace żyją, to zwymiotuje, a potem chyba się zastrzeli.

Zbliżali się do niego ludzie, prawdziwi członkowie oddziału SWAT.

Martinez odłożył broń.

- Detektyw Martinez, wydział policji z Miami Beach - powiedział.

Gdzieś z tyłu rozległ się głos Beth Riley:

- Jezusie przenajświętszy.

Alejandro zmrużył powieki i wydało mu się, że widzi ją kilka kroków za agentami.

- To jeden z naszych - potwierdziła.

- Udało mi się? - Głos także mu drżał. - Czy wszystko spieprzyłem?

Antyterrorysty się wycofali, a do Martineza podeszła Riley. Objęła go.

- Dobry Boże - jęknął Martinez i rozplakał się.

- Udało ci się - powiedziała mu. - Uratowałeś oboje. Martinez w ostatniej chwili odwrócił się, zwymiotował na ścianę i stracił przytomność.

127

6 MARCA

Martinez, który wciąż przebywał w domu, na zwolnieniu czekając, kiedy przełożeni podejmą przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne, w piątek rano zadzwonił na posterunek. To był pierwszy pełny dzień Sama w pracy.

- Mam złe wiadomości - powiedział Martinez. - Jess nie żyje.

- Mój Boże. Co się stało?

Zanim Sam zdążył się zastanowić, pomyślał, że to samobójstwo.

- W jej domu był pożar.

- Jezu. Tak mi przykro, Al. Biedna Jess.

- Przed chwilą rozmawiałem ze strażakami - ciągnął Martinez. - Nie wiedzą tego na pewno, ale myślą, że szczury mogły poprzegryzać izolację na kablach i spowodować spięcie. Mówią, że te małe dranie ciągle to robią.

Głos przyjaciela brzmiał normalnie, ale Sam wiedział lepiej.

- Al, siedź w domu, przyjadę tak szybko, jak będę mógł.

- Później - odparł Martinez. - Wystarczy, jak przyjedziesz po pracy.

- Mam przywieźć piwo, whisky czy jedno i drugie? - zapytał Sam.

- Już kupiłem.

Martinez łyknął spory haust whisky, zanim wybrał następny numer.

Zadzwoił do rodziców Jess w Cleveland. Odebrała Monika Kowalski, ale zaraz oddała słuchawkę mężowi.

George Kowalski, ojciec, który córce nadał imię gwiazdy filmowej, potraktował Martineza uprzejmie i z silnym obcym akcentem powiedział, że przyjedzie do Miami, żeby zabrać ciało Jess do domu.

- Pracował pan z Jessicą, panie Martinez? - zapytał Kowalski.

- Przyjaźniliśmy się, proszę pana - odparł Martinez. Jess nawet nie wspomniała rodzicom o jego istnieniu,

nie widział więc sensu w mówieniu teraz biedakowi, że byli zaręczeni i mieli się pobrać.

- Przykro mi, że o tym nie wiedziałem.

- Proszę się tym nie przejmować. Proszę dać mi znać, jeśli mógłbym jakoś pomóc w załatwianiu formalności.

- Prawda jest taka - oświadczył ojciec Jessiki - że żona i ja nie mieliśmy wiadomości od córki od ponad roku, a i wtedy była to tylko kartka na Boże Narodzenie.

Martinez pomyślał o wszystkich historyjkach o domu, opowieściach o Świętach Dziękczynienia i Bożych Narodzeniach, o fotografiach, na których matka wyglądała na spiętą, choć była to jedyna aluzja świadcząca, że życie rodziny Kowalskich nie zawsze było żywcem wzięte z filmów Franka Capry.

Poza, oczywiście, dziwną niechęcią Jessiki do podzielenia się z rodzicami szczęśliwą wiadomością.

- Pewnie pan myśli, że jesteśmy złymi rodzicami - powiedział Kowalski.

- Dlaczego miałbym tak myśleć?

- Kontakty z Jessicą nie zawsze należały do łatwych. Była wymagającym dzieckiem, choć czasami nie pozwalała sobie pomóc, nie dawała się zrozumieć. Ale kochaliśmy ją i teraz przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić.

- Wiele osób lubiło Jessicę - powiedział Martinez. - Była bardzo dobra, zawsze pomagała innym.

- Miło z pana strony, że pan tak mówi - odparł Kowalski. Zapadła niezręczna cisza.

Martinez uznał, że najwyższy czas pożegnać się z biedakiem.

W tej samej chwili Kowalski powiedział:

- Zawsze wiedzieliśmy, że to dla niej za wiele.

- Czyli co, proszę pana?

- Życie - wyjaśnił ojciec Jess. I rozłączył się.

Wieczorem przyszli Sam i Grace.

- Mam nadzieję, że moja obecność ci nie przeszkadza - powiedziała Grace.

- Żartujesz?

Martinez widział ją po raz pierwszy od porwania i zauważył, że jest szczuplejsza niż kiedykolwiek. Skoro o tym mowa, Sam także.

- Jak się trzymacie? - zapytał.

- Całkiem nieźle - odparł Sam. - Cieszymy się, że żyjemy. Skrzywił się, wymawiając to słowo.

Martinez uśmiechnął się ironicznie.

- Gdybym nie myślał, że się ucieszysz, pewnie nie fatygowałbym się strzeleniem do tego sukinsyna.

Wyszli na tylny dziedziniec z piwami i największą pizzą śródziemnomorską marki Master, jedną z ulubionych Martineza, którą kupili po drodze.

Przez jakiś czas rozmawiali o sprawie, o wszystkich ślepych zaułkach i zmarowanym życiu tylu ludzi, a Sam zwierzał się przyjacielowi ze swojego poczucia winy, bo nie dostrzegł nawet cienia zła u Dooleya i Regan. Po chwili jednak zrezygnował, uznając to za pobłażanie sobie.

Przecież byli tu, by pomóc Martinezowi - i z powodu Jess.

Opowiedział im o rozmowie z George'em Kowalskim.

- Chciałem zapytać, co rozumiał przez ostatnie zdanie, że życie to dla Jessiki za wiele, ale uznałem, że zachowałbym się jak natręt. - W jego oczach pojawił się żal. - Myślę, że zrezygnowałem z prawa do zrozumienia Jess, kiedy kazałem jej się wynosić.

- Nie jestem pewna, czy masz rację - powiedziała łagodnie Grace.

- Ja też nie - dodał Sam. Martinez smutno się uśmiechnął.

- Tak to czuję. Wydaje mi się, że Jess wolałaby, żebym pamiętał ją taką, jaka była dla mnie. Przed tym wszystkim, rozumiecie?

- Jasne - odrzekł Sam. Martinez uniósł butelkę piwa.

- Za Jessie.

Sam także uniósł butelkę.

- Za Jess.

- Śpij spokojnie - dodała Grace.

Martinez przytknął butelkę do ust, napił się i wytarł usta dłonią.

Jego ciemne oczy zaszły łzami.

- Śpij słodko, moja śliczna - powiedział.

128

14 MARCA

Sam, który cały weekend miał wolny, w niedzielę rano znalazł w skrzynce pocztowej małą paczkę.

Charakter pisma na białej nalepce z adresem wydał mu się mgliście znajomy.

Znaczka nie było.

Przesyłkę zaadresowano następująco: „Detektyw Samuel L. Becket”.

Sam uniósł ją pod słońce, choć właściwie nie szukał drutów, ale miał co do niej jakieś przeczucie, może dlatego, że rzadko dostawał do domu pocztę, na której w adresie przed jego nazwiskiem widniał stopień służbowy. Rozdarł róg, przekonał się, że w środku nie ma nic niebezpiecznego, więc pokręcił głową, śmiejąc się ze swojej paranoi, i zabrał paczuszkę do domu.

Woody zamerdał ogonem, licząc na spacer.

- Później - obiecał mu Sam.

Grace siedziała przy kuchennym stole obok Joshui, usadowionego w wysokim krzeselku.

- Dobre wiadomości? - zapytała.

- Jeszcze nie wiem.

Sam pocałował synka w czubek głowy, usiadł przy stole i do końca otworzył kopertę. W środku była płyta kompaktowa, więc ją wyjął. Gracie pochyliła się i zobaczyła, że jest to nagranie dwóch starych przebojów Beatlesów: *Love Me Do* i *PSI Love You*.

- Zamówiłeś tę płytę?

A potem dostrzegła, na co patrzy Sam. W obu tytułach słowo „miłość” było skreślone, a nad nim tą samą ręką co adres napisano słowo „nienawiść”.

Sam zajrzał do koperty. Dostrzegł złożoną kartkę. Ostrożnie, trzymając za róg, wyjął ją i rozłożył. Przeczytali list razem.

Drogi Samie,

Miło było widzieć znowu Ciebie i Grace. Miło było wrócić na ocean.

Zapewne myślisz, że to, co przytrafiło się pani Kowalski, to był wypadek. Przemyśl to sobie.

Wyobrażam sobie, że zadajesz sobie teraz pytanie, skąd mogłem wcześniej wiedzieć o dziewczynie Twojego partnera, i pewnie dochodzisz do wniosku, że nie mogłem. Ze w żaden sposób nie mogłem tak dokładnie śledzić Waszego życia, że przypuszczalnie przeczytałem o jej śmierci w miejscowej gazecie. Może tak, a może jednak nie.

Nigdy nie będziesz wiedział tego na pewno, prawda?

Ogień to brzydka śmierć.

Zapewne zdziwisz się, słysząc, że z radością przyjąłem wiadomość, iż Ty i Grace uszliście z życiem z rąk morderców Par. Pewne przyjemności wolałbym zachować dla siebie. Twój jak zawsze Cal